

Prolog

Orin Coleridge miał przed sobą zaledwie pół roku życia. Nie budziło to w nim większego lęku, był jednak coraz bardziej zniecierpliwiony. Sześć miesięcy to niezbyt długo na to, co chciał zrobić. Siły go opuszczały, a uciążliwe leczenie sprawiało, że czuł się coraz gorzej.

Bał się tylko tego, że córka mogłaby umrzeć wcześniej niż on. Widział, jak całymi dniami kołysze się w fotelu w kącie pokoju, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt za oknem.

Wszystkiemu winien był ten człowiek. Jej mąż. Orin spojrzał na swoje wychudzone, drżące ręce. Gdyby miał dość siły, udusiłby chyba Larry'ego Hausera.

Kiedyś życie Weroniki było jak jasny płomień świecy. Teraz gasła w oczach i mimo upływających miesięcy nie okazywała chęci powrotu do życia.

Była zbyt słaba. Zbyt apatyczna. Jego rady i perswazja nie odnosiły skutku, bo córka w ogóle przestała się odzywać. W kruczoczarnych włosach pojawiło się srebrne pasmo mówiące o tym, ile wycierpiała. Jak bardzo Larry ją skrzywdził.

Orin westchnął ciężko, podszedł do Weroniki i spojrzał przez okno. Zalana słońcem ulica prześwitywała przez liście wiekowego dębu. Nie dbał o to, co się z nim stanie, ale potrzebował więcej czasu, by na nowo wykrzesać iskrę w oczach córki. Znaleźć sposób, by przywrócić ją do życia, zanim sam rozstanie się ze swoim.

Kiedy dotknął jej ramienia, poczuł, jak Weronika drgnęła. Z bólem w sercu cofnął rękę.

Musi być jakaś droga, by do niej dotrzeć, pomyślał, a łzy napłynęły mu do oczu. By dotrzeć do jego małej dziewczynki, która kiedyś chwyciła życie pełnymi garściami, ciekawa świata, żadna wrażeń. By dotrzeć do kobiety, która

poszła w jego ślady i została wykładowcą archeologii.

Miał tak wiele wspomnień związanych z nią, wspomnień pełnych życia i blasku. Z czasów gdy stawiała pierwsze kroki i kiedy przyszła do niego z błyszczącymi oczami, pokazując pierwszą opublikowaną pracę. Taka kobieta nie może przecież odejść na zawsze!

Musi być jakiś klucz do bramy milczenia i rozpacz, za którą się skryła. Musi być sposób, by na nowo rozpalić w niej życie.

Poczuł powracającą falę żalu. Przymknął oczy i spróbował zebrać myśli.

I wtedy, ku swemu zdziwieniu, po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat usłyszał swoją nieżyjącą żonę. Jej głos zdawał unosić się w powietrzu, wibrując tą samą melodyjnością, która tak go oczarowała od pierwszego spotkania.

- Maska Matki Burz.

Przeszył go dreszcz, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo skomplikowało się jego życie przez tę maskę. Nie mógł spokojnie patrzeć, jak córka powoli gaśnie i traci chęć do życia, ale musiał zadać sobie pytanie, czy gdyby ona z kolei rozpoczęła poszukiwania, nie zapłaciłaby jeszcze wyższej ceny.

Odpowiedź była prosta. Miał nadzieję, że maska przywróci córkę do życia nie po to tylko, by później odebrać je na zawsze. Był jednak przekonany, że śmierć żony nie była przypadkowa. Ilekroć o tym pomyślał, ogarniała go fala bólu i złości.

I strachu.

Rozdział 1

Dugan Gallagher siedział w małym, zagraconym biurze z nogami na biurku, lekko odchylony do tyłu, tak by mógł widzieć port.

Miał na sobie roboczą koszulę i spodnie khaki na szelkach - ubierał się tak, odkąd porzucił pracę maklera giełdowego przed dziesięcioma laty. Jednym z przywilejów właściciela firmy było to, że sam decydował, w czym chodzi. A poza tym był przecież w Key West. Tutaj nawet prawnicy nosili sportowe ubrania, trzymając garnitury w biurach na wypadek, gdyby musieli pokazać się w sądzie.

Obserwując jak „Panna Wodna” wychodzi w morze, pełna turystów marzących o nurkowaniu w pobliżu wraków, czuł się znakomicie. Dzisiaj zjawili się jego wszyscy kapitanowie i instruktorzy, co oznaczało, że on, Dugan Gallagher, nie musiał wchodzić do wody. Bardzo mu to odpowiadało. Nie miał nic przeciwko temu, by mieszkać na wyspie, mieć biuro w porcie i utrzymywać się z wynajmu łodzi. Nie znosił jednak zanurzać się w wodzie. I kropka. Jedyne kontakty z wodą, jaki naprawdę lubił, to prysznic.

Lubił także zaszywać się w swoim ciasnym biurze z dala od turystów. Co za ironia losu - oto prowadzi firmę turystyczną, organizuje nurkowanie, nienawidząc i wody, i turystów. Cóż, jakkolwiek na to by nie patrzeć, życie często płata figle. To, że nie musiał nigdy więcej zawiązywać krawata, rekompensowało mu wszystkie inne uciążliwości.

„Panna Wodna” - dość banalna nazwa, ale w końcu to biznes, a nie konkurs na oryginalność - opuściła port i odpływała w dal z drogocennym ładunkiem turystów i butli ze sprężonym powietrzem. Z doświadczenia wiedział, że pokład rozbrzmiewał podekscytowanymi rozmowami i śmiechem, a Jill, instruktorka, podgrzewała nastrój własnym entuzjazmem.

Już chciał parsknąć kpiąco, kiedy uprzytomnił sobie, że nie powinien do tego, co robi, podchodzić cynicznie. To przecież tylko rodzaj przedstawienia.

Nurkowie, którzy zajmowali się turystami, nie szarżowali, pamiętając, że są za nich odpowiedzialni. O ile on mógł być już znudzony nurkowaniem i penetrowaniem wraków, to jego klienci na pewno nie. Powinien o tym pamiętać.

Poza tym ta robota była lepsza od codzienności Wall Street. Niestety, była również bardziej absorbująca, niż sobie wyobrażał, kiedy dziesięć lat wcześniej porzucił giełdę, by wieść życie plażowego bumelanta. Tymczasem wylądował jako właściciel podupadającej firmy, którą przekształcił w całkiem dobrze prosperujący interes.

Z drugiej strony, nic nie mogłoby mu zastąpić widoku portu, leniwych przechadzek po mieście i uliczek tętniących nocnym życiem. Tak więc został bumelantem zarabiającym pieniądze. Nie miał wyrzutów sumienia i nie musiał bić się w piersi.

Rozległo się pukanie do drzwi i Ginny, jego sekretarka, która odwalala za niego większość papierkowej roboty, zajrzała do środka.

- Szefie, jacyś ludzie chcą się z panem widzieć.

Nawet nie odwrócił głowy wpatrzony w maszt wypływającej z doku łodzi. Może nadszedł czas, żeby wybrać się na „Mandolinie” w naprawdę długi rejs po karaibskich wodach. Może nawet na dwa tygodnie...

- Jestem zajęty - odpowiedział.

- Właśnie widzę. Kiedy pan skończy rozmyślenia o pępku świata, może pan z nimi porozmawia. Wspomnieli o dłuższym czarterze.

Sprawa go zainteresowała, chociaż nie chciał tego okazać.

- Tak? Na dwa dni?

- Nie sądzę, chodzi o parę miesięcy.

Już miał zamiar odmówić, lecz coś go powstrzymało. Odwrócił się i

spojrzał na Ginny, rudowłosą dziewczynę po trzydziestce. Do niedawna całe dni spędzała na plaży, nie stroniąc od narkotyków. Ale pewnego dnia ocknęła się i uświadomiła sobie, że jej chłopak wykorzystywał ją, wyciągał od niej ostatnie pieniądze i niszczył kokainą. Rzuciła więc chłopaka, nałóg i rozejrzała się za pracą. Dugan nigdy nie żałował, że ją zatrudnił.

- No dobrze - powiedział.

- Co dobrze? Mam wynająć im łódź? Wpuścić ich tu? Kazać zaczekać?

Poleganie na Ginny wystawiało go na ciężką próbę. Chociaż nigdy nie żałował, że ją zatrudnił, czasem bywała prawdziwym cierniem w jego usłanym różami życiu.

- Poproś ich.

I powrócił do kontemplacji pępka świata - a dokładnie, masztu odpływającej żaglówki. Dla Dugana żeglowanie rzeczywiście było pępkiem jego własnego wszechświata. Nie znosił zanurzać się w wodzie, ale uwielbiał żeglować.

Usłyszał, że otwierają się drzwi. Odwrócił głowę i spojrzał na wchodzących. Pierwszy wszedł starszy mężczyzna, wspierając się na lasce. Nie trzeba było być lekarzem, by dostrzec objawy raka. Wyglądał jak chorzy na AIDS, których widywał na ulicach Key West.

Ale jego oczy wciąż były pełne życia i błękitu, choć twarz miał wymizerowaną, a głowę kompletnie łysą. Ubrany był w codzienny strój koloru khaki. Dugan uznał, że chyba będzie mógł się z nim dogadać - miał tylko nadzieję, że nie chodziło mu o rozsypanie jego prochów na morzu. Nienawidził ludzi, którzy upierali się, żeby ich prochy rozsypywać na morzu. Powód był prosty - kiedy już musiał wejść do wody, nie chciał zastanawiać się, co się może w niej unosić. Nie to, żeby był przewrażliwiony. Uważał tylko, że ciało należy pogrzebać w ziemi.

Za mężczyzną stała młoda kobieta, około trzydziestki, z olśniewającymi

niebieskimi oczami i włosami czarnymi jak skrzydło kruka, z jednym intrygującym siwym pasemkiem. Nie mógł ocenić ich długości: były ciasno upięte z tyłu. Miała na sobie top i szorty.

Była to pierwsza rzecz, która mu się w niej nie spodobała - te ciasno upięte włosy. Nie spodobało mu się również, że miała niemal idealną figurę. Był zły na siebie, że od razu zwrócił na nią uwagę. Ciekawe, czy przyszło jej do głowy, jak szybko jej śniada skóra zaczerwieni się od subtropikalnego słońca...

- W czym mogę państwu pomóc? - zwrócił się do mężczyzny. Wiedział, że powinien wstać i przywitać się, ale nie znosił wszelkich formalności i nie widział powodu, by łamać dla tych dwojga swoje zasady.

- Chcielibyśmy wynająć na kilka miesięcy jedną z pańskich łodzi.

Dugan już miał odpowiedzieć, że się tym nie zajmuje i odesłać ich do firmy czarterowej, jednak nie zrobił tego. Był ciekaw, dlaczego wybrali właśnie jego i co zamierzają. Przemysłem narkotyków się nie zajmują, to pewne jak amen w pacierzu. Zamiast powiedzieć „nie” i oszczędzić sobie kłopotów, zapytał:

- Dlaczego? Był to poważny błąd, wkrótce miał się o tym przekonać.

- Dlaczego właśnie ja?

Mężczyzna spojrzawszy wymownie na krzesło, więc Dugan poprosił, by usiadł. Odstępując od swoich obcesowych manier, wskazał drugie krzesło kobiecie. Nogi jednak wciąż trzymał na biurku i nie miał zamiaru ich zdjąć, mimo że kobieta patrzyła na niego z wyraźną dezaprobatą. Przynajmniej powstrzymał się, chociaż z trudem, od beknięcia i podrapania się po piersi.

- Może powiem panu, kim jesteśmy - zaczął mężczyzna.

Dugan nie miał zbytnej ochoty go słuchać, ale uznał, że to lepsze niż robota przy rachunkach, więc skinął głową.

- Nazywam się Orin Coleridge. To moja córka Weronika. Jesteśmy archeologami.

Teraz Dugan już wiedział, co będzie dalej. Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, natychmiast pokazałby im drzwi. Nie chciał brać na siebie ich problemów.

- Ludzie załamują się i umierają młodo, kiedy biorą się za poszukiwanie skarbów - rzucił.

- Bywa i tak - odpowiedział Coleridge, z wyraźnym uznaniem dla refleksu Dugana. - Mojej córce to jednak nie grozi. Mamy dobre informacje co do położenia wraku.

- Jak wcześniej wielu innych. - Dugan zdjął nogi z biurka i spojrzał prosto w oczy starszemu panu. - Odnalezienie „Atochy” zajęło Melowi Fisherowi szesnaście lat, po tym jak wreszcie uzyskał dobre informacje. Nie mówię już o jego uprzednich poszukiwaniach, trwających dwadzieścia lat. Zdajecie sobie sprawę, jak wielki obszar wchodzi w grę? Jak daleko może podryfować wrak? Jak mało prawdopodobne jest, że zostały z niego jakieś większe fragmenty do identyfikacji?

- Jesteśmy archeologami - odparł Coleridge.

- A co z zezwoleniami? Macie je?

- Oczywiście. Wszystko jest zgodne z prawem, panie Gallagher.

- Może i tak. Czy rozmawialiście z kimś, kto prowadził takie poszukiwania? Jesteście gotowi poświęcić na to resztę życia? - W momencie kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, jak bardzo były one niestosowne wobec człowieka, któremu nie pozostało już wiele życia. Ale cóż, stało się.

Coleridge nie wyglądał na urażonego. Uśmiechnął się blado.

- To już moje zmartwienie. Chcemy tylko wyczarterować od pana łódź na najbliższe trzy miesiące.

- Dlaczego ode mnie?

- Potrzebna nam łódź, z której można nurkować. I potrzebujemy nurków.

A pan cieszy się dobrą opinią.

Dobra opinia w Key West mogła oznaczać różne rzeczy, zależy, kto tak twierdził. Jednak Dugan nie mógł zaprzeczyć: miał bezpieczne łodzie, doświadczonych instruktorów i najlepszy sprzęt. Pod tym względem zależało mu na dobrej reputacji. O resztę nie dbał.

- Nie wynajmuję łodzi na tak długo. Potrzebne mi są wszystkie, żeby zaspokoić potrzeby turystów. Gdybym ich zaczął odsyłać z kwitkiem, straciłbym renome. - Minał się trochę z prawdą, często musiał odmawiać, bo chętnych było zbyt wielu. Ale nie chciał zmieniać rozkładu rejsów z powodu jednej łodzi.

- Cóż, możemy wynająć łódź gdzie indziej - powiedział Coleridge, spoglądając na córkę. - Tyle że bardzo nam pana polecano...

Rzeczywiście miał zamiar oddać klienta konkurencji? Trzy miesiące łatwej pracy, opłaty za wynajem... Znów wyjrzał przez okno, zastanawiając się. Byłby zmuszony moczyć się w wodzie...

- Hmm.

- Na trzy miesiące - powiedział Coleridge. - Zapłacimy z góry, tyle ile pan bierze za zwykły rejs, plus dwadzieścia pięć procent. Opłacimy koszty, także te związane z nurkowaniem - pana oraz jednego lub dwóch dodatkowych nurków.

- Sam nie wiem...

- Czy zawsze patrzy pan w ten sposób podczas rozmowy? - powiedziała kobieta, trochę za głośno.

Odwrócił się gwałtownie, gotów na ripostę, lecz Coleridge powstrzymał go gestem.

- Proszę wybaczyć córce, panie Gallagher. Jest głucha. Nie jest w stanie odczytać słów, gdy patrzy pan w bok.

Złość minęła Duganowi, jeszcze zanim ją sobie uświadomił. Spojrzał na kobietę innym wzrokiem. Głucha? Cholera, jaka szkoda. To oczywiście nie

jego problem, ale kiedy wyobraził sobie wszystkich tych kanciarzy i oszustów, którzy mogliby wykorzystać jej głuchotę i chorego ojca, poczuł jakiś moralny niepokój, uczucie tak u niego rzadkie, że prawie napomniane.

- Naprawdę? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała.

A więc była dobra w odczytywaniu słów z ruchu warg. Spojrzał ponownie na Coleridge'a.

- Dokładnie na trzy miesiące?

- Na tym etapie. Być może będziemy musieli później zrewidować nasze plany i sięgnąć po dodatkowe wyposażenie.

- Nie przeszukacie całego dna w ciągu trzech miesięcy. - Kiedy mówił, starał się patrzeć w jej kierunku.

- Przeszukamy tyle, ile trzeba - odparła krótko i wciąż zbyt głośno. Doszedł do wniosku, że przestała mu się podobać.

- No cóż, to wasze pieniądze - powiedział w końcu. I wtedy zdał sobie sprawę, że przyjął ich propozycję.

Chryste, całe to cholerne miasto będzie się z niego śmiało! Dugan Gallagher, poszukiwacz skarbów! Wolał już, żeby go nazywali dupkiem.

- Mamy jeden warunek - powiedziała Weronika.

- Jaki?

- Nikt nie może się dowiedzieć o naszych planach. Nikt. - Westchnął.

- Droga pani, w Key West niczego nie da się utrzymać w tajemnicy. To po prostu niemożliwe.

- Nie wolno panu o tym nikomu powiedzieć - powtórzyła. - Nikomu. Żadnych informacji. Jeśli się ktoś dowie, że szukamy wraku, to trudno. Poza tym wszystko musi być utrzymane w tajemnicy.

- W porządku, nie ma sprawy. - Pewnie, że ludzie będą się interesować. Od dawna przyjeżdżają w te okolice w poszukiwaniu skarbów i wracają z

pustymi rękami. Nic w tym specjalnego. Jego reputacja jakoś to zniesie.

- Chcielibyśmy, by znalazł pan jeszcze paru nurków. Godnych zaufania. Oczywiście płacimy za nich - odezwał się Coleridge.

- Zaraz, zaraz. - Zamachał ręką i ponownie oparł nogi na biurku. - Chodzi tylko o poszukiwania, tak? Żadnego bagrowania czy czegoś w tym rodzaju.

- Oczywiście, chyba żebyśmy coś znaleźli.

- Chciałbym się zorientować, jaki sprzęt będzie nam potrzebny. Coleridge kiwnął głową

- Zamówiliśmy już wykrywacze metalu i magnetometr. Dostarczą je w sobotę.

- Więc o to wam chodzi? Przeczesać dno w poszukiwaniu metalu?

- Właśnie o to.

Kurczęta do oskubania, zaświtało Duganowi w głowie. Teraz był pewien, że musi im pomóc. Nie po to, żeby oskubać tę parę kurcząt. Nie mógł dopuścić, by zrobił to ktoś inny. Starszy facet był bliski śmierci, a kobieta głucha. W tych okolicznościach nie mógłby zdać się na filozofię życia P. T. Barnuma. Nikt nie potrafi dzielić życia z drugą osobą, chyba że jest nią on sam.

- A jeśli coś znajdziecie? - zapytał.

- Zastanowimy się, jak to wydobyć.

Oczywiście. Jasne jak słońce. Pytanie było po prostu głupie.

- No tak, w porządku. Więc gdzie będziemy szukać?

- Nie musi pan tego wiedzieć - odpowiedziała Weronika.

- Przynajmniej dopóki nie podpiszemy umowy - dodał Coleridge. - Dopóki nie będziemy ze wszystkim gotowi.

- Wygląda na to, że w stanowych archiwach nie ma dokładnej dokumentacji.

- Mają dokumentację olbrzymich połączeń dna - odparła Weronika. - I to wszystko, czym dysponują.

- Macie dokładniejsze dane?
- Co pan powiedział?
- Zapytałem, czy jesteście lepiej zorientowani, gdzie spoczywa statek.
- Dużo lepiej.

Powoli pokiwał głową, zastanawiając się, czy ta kobieta jest równie szalona jak głucha.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że szukacie igły w stogu siana? - spytał, starając się wyraźnie wymawiać słowa.

- Oczywiście - ucięła.

- No cóż, to wasze pieniądze. Kiedy chcielibyście wyruszyć?

- Gdy tylko podpiszemy kontrakt i nadejdą wykrywacze metalu - odparł Coleridge. - W sobotę albo w niedzielę.

Dugan potarł podbródek w zamyśleniu. Wbrew samemu sobie poczuł się zaintrygowany. Już wcześniej myślał o urlopie na wodzie, a to przecież też byłby odpoczynek, nawet jeśli musiałby nurkować.

- O jaką głębokość chodzi?

- Nie więcej niż dziesięć metrów.

- W porządku. Czemu nie, do licha. Zdajecie sobie jednak sprawę, że oprócz fury mułu nic nie znajdziecie? A ja tylko was oskubię.

Coleridge pokręcił głową.

- Nie można oskubać kogoś, kto dokładnie wie, za co płaci.

- Racja. Mam tylko nadzieję, że tak samo będziecie myśleć za trzy miesiące.

- Będziemy.

Chciałby chociaż w połowie być tak pewny, jak oni.

Dugan miał mnóstwo czasu, żeby żałować swojej pospiesznej decyzji. Całe popołudnie i wieczór. Obserwując, jak ostatnia łódź wpływa do portu i porządkując papiery, zastanawiał się, czy P. T. Barnum miał właśnie jego na

myśli.

Wracał z biura zatłoczonymi ulicami, mijał tłumy podpitych turystów cierpiących na nadmiar wolnego czasu i wciąż czuł się jak ostatni frajer. Wreszcie dotarł do domu, cztery przecznice od Duval Street, gdzie dzięki Bogu było cicho i ciemno, o ile właśnie nie przejeżdżał jakiś skuter.

Kupił ten dom zaraz po przyjeździe, nie zdając sobie sprawy, jak korzystna będzie to inwestycja. Zbudowany solidnie przez okrętowego cieślę, tak że mógł przetrwać wieki, reprezentował oryginalny styl Key West.

Z początku Dugan nie przywiązywał do niego większej wagi, tymczasem dom okazał się doskonałym lekiem na zapomnienie o Janie. Nie zliczyłyby godzin, które spędził na naprawianiu, malowaniu, ulepszaniu i przerabianiu wnętrza. W końcu dom stał się prawdziwym cackiem - ze ścianami z białych deszczulek, zielonymi okiennicami, obszernym, zacienionym tarasem oraz typowym dla Key West podwórkiem. Z sadzawką i tropikalnymi roślinami, stwarzał wrażenie najbardziej bezpiecznego miejsca na ziemi. Dom był teraz wart dużo, dużo więcej, niż go kosztował.

Jak na faceta, który przyjechał na Florydę głównie po to, by spędzić resztę życia w barach, postępował raczej dziwnie. A potem wciągnęła go firma, którą odkupił od Tama Ansona. Poznali się pewnego wieczoru w barze, obu nieźle już szumiało w głowach. Tam użalał się, że jego nurkowy biznes zaczyna dogorywać. Dugan, nie całkiem trzeźwy, zaoferował mu finansową pomoc. W ten sposób stał się właścicielem firmy pod nazwą Nurkowanie w Zielonych Wodach. Ściśle mówiąc, współwłaścicielem. Zaczął jako wspólnik, ale z czasem firma interesowała Tama coraz mniej i w końcu odsprzedał Duganowi swoją część.

Obecnie wynajmował u niego apartament na piętrze i pracował dorywczo jako nurek, kiedy akurat postanawiał zmienić styl życia. Po ośmiu latach Dugan wiedział już, że Tam nigdy nie będzie w stanie ani zmienić się, ani też płacić za

mieszkanie.

Duganowi to nie przeszkadzało. Zbójce prawa dżungli zostawił za sobą w Nowym Jorku. Uważał też, że jest coś Tamowi winien za wciągnięcie go do nurkowego biznesu.

Poza tym Tam był dobrym kumplem i nie pozwalał mu zapomnieć, że przyjechał tu, by żyć na luzie, a nie pracować na wysokich obrotach jak na Wall Street. Pociągały go wszelkie imprezy, łażenie po barach przy Duval Street i wypływanie łodzią, żeby celebrować zachód słońca.

Teraz Tam leżał koło basenu, czytając „Mad Magazine” i popijając prosto z butelki. Miał na sobie niebieskie kąpielówki, mokre po kąpieli, i zarzucony na ramiona ręcznik. Wyglądał jak typowy plażowy obibok, z wąsami i wypłowiałymi od słońca jasnymi włosami. Kiedyś Dugan zazdrościł mu wyglądu. Obecnie jednak był zadowolony, że jego ciemne włosy zachowały swą naturalność.

- Co słysząc, kochasiu? - zapytał Tam, odrywając się od czasopisma.

- Nic specjalnego - odparł Dugan, powstrzymując się od komentarza.

Wróci do tego później. - A u ciebie?

- Tak się pałętam. Próbowałem namówić paru facetów na pokera, ale wszyscy byli zajęci.

To zaskoczyło Dugana. Myślał, że większość przyjaciół Tama nie robi nic poza balowaniem.

- A Serena? - Była to jego aktualna dziewczyna. Zbyt młoda, według Dugana, by kręcić się po Key West na własną rękę, ale co on tam wie. W końcu panienska ma już dwadzieścia jeden lat.

- Pojechała na tydzień do domu. Jej ojciec zachorował.

- Szkoda.

Tam wzruszył ramionami.

- Bywa. Złap za piwo, człowieku, i wskakuj do basenu. Woda w sam raz.

- Ale dowcipne. - Tam doskonale wiedział, że Dugan wybudował basen po to tylko, by podnieść wartość posiadłości, a także dlatego, że właśnie tamtego lata odczuwał przemożną potrzebę wykopania głębokiego dołu.

Wszedł do domu, otworzył heinekena i wziął go ze sobą na taras, zatrzymując się na chwilę, żeby zapalić światła na podwórzu i puścić reggae przez głośniki umieszczone na zewnątrz. Złota poświata i spokojna, nastrojowa muzyka wypełniła jego prywatny rajski ogród.

Piwo zadziało szybko i uświadomiło mu, że od śniadania nic nie jadł. Wkrótce poczuł się odprężony i pomyślał, że może nie popełnił największego życiowego błędu. Praca polegająca na żeglowaniu po spokojnych wodach oceanu ma przecież swoje zalety. Spokój i cisza. O ile oczywiście Weronika Coleridge nie będzie bez przerwy gadać. Przynajmniej ze starszym panem łatwo sobie poradzić. Co do niej, tego nie był pewien.

Rejs będzie pewnie trochę bardziej absorbujący niż wymarzony urlop, ale chyba nie aż tak bardzo. Jakież to wysiłki: kilka płytkich nurkowań dziennie i szperanie po dnie wykrywaczem metalu? Co prawda nie dałby złamanego centa, że Coleridge'owie w ogóle coś znajdą, ale w końcu to nie jego sprawa.

Będzie dobrze. Słońce i morze przez trzy miesiące. Jego ulubiony sposób spędzania czasu, gdyby jeszcze nie ta konieczność wchodzenia do wody...

Uspokojony, postanowił powiedzieć o wszystkim Tamowi. Dopiero teraz, kiedy przekonał sam siebie, że podjął słuszną decyzję. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi przyznawać się do błędów, ale nie widział powodu, by to zmienić.

Tam odłożył pismo i skoczył do basenu. Krople rozpryskującej się wody pokryły ciemnymi plamkami szorty i koszulę Dugana. Niektórzy ludzie, pomyślał, nigdy nie dorosną. Wprawdzie on sam był jednym z nich, ale to nie znaczy, że nie zauważał tego u innych.

Tam wypłynął, chwycił za krawędź basenu i odgarnął z twarzy mokre włosy.

- Wskakuj, kochasiu. Cudowny sposób na ochłodę.
- Dzięki, nie jest mi gorąco. Tam spojrział na niego z drwiną.
- No tak... Chyba byłeś kotem w ostatnim wcieleniu, co?
- Może. Może wciąż nim jestem, tyle że mam bardzo solidnego fryzjera. Tam roześmiał się.

- Chcesz robotę przy nurkowaniu na najbliższe trzy miesiące?

- Obwozić turystów? Sam nie wiem. - Tam spoważniał. - Nie wiem, czy można na mnie polegać... Ale mogę ci kogoś polecić.

- Jestem pewien, że jak już znajdziesz się na łodzi, to nie zawiedziesz. A to nie będzie zwykła przejażdżka po okolicy.

- Nie, a gdzie?

- Pewna zwariowana kobieta i jej ojciec chcą odnaleźć wrak. Sądzą, że zajmie im to trzy miesiące.

Tam zdziwiony uniósł brwi, podciągnął się i ociekając wodą, przysiadł na krawędzi.

- Trzy miesiące? Chyba żartujesz? Czy oni przylecieli z Marsa?

- Wydaje im się, że doskonale wiedzą, gdzie go szukać.

- Jasne. To jacyś szaleńcy.

- Już ci to powiedziałem.

- Tu się z tobą zgadzam.

- No właśnie. Tam pokręcił głową.

- Czego dokładnie od nas chcą?

- Łodzi i dwóch nurków do obsługi wykrywaczy metali, jak to przy szukaniu.

- Wygląda na fajny urlop.

- Też tak uważam. - W tym momencie poczuł się trochę nieswojo. Czy to rzeczywiście uczciwe brać pieniądze od tych ludzi tylko dlatego, żeby uchronić ich przed kimś, kto weźmie dwa razy więcej? A może on też był naciągaczem i

tylko usprawiedliwiał się przed sobą?

- Chyba nie dałeś im jeszcze konkretnej odpowiedzi? - zapytał Tam, który nie całkiem zapomniał, jak prowadzi się interesy

- Nie, do diabła. Próbowałem im odradzać, ale odpowiedzieli, że przeprowadzili dokładne badania. Jestem jednak przekonany, że gdyby rzeczywiście tak było, wiedzieliby, że nigdy nie znajdą wraku, nawet gdyby go szukali jeszcze przez trzydzieści lat.

- Widziałeś ich pozwolenia?

- Taak. Nie jestem na tyle głupi, by wdawać się w coś nielegalnego. Oni mają już wszystko nakręcone.

- To może wcale nie są tacy szaleni. Słyszałem, że tylko nielicznym udzielają zezwoleń, choć co roku ubiegają się setki ludzi. Muszą mieć jakieś podstawy...

- Możliwe. To już nie mój problem. Chcą łodzi, dwóch - trzech nurków na trzy miesiące do lekkiej pracy. Szybkie pieniądze, przyjemne zajęcie, żadnych kłopotów, zgadzasz się?

- Brzmi zachęcająco.

Tam nie zadawał sobie pytań, jakie dręczyły Dugana: dlaczego dał się wmanewrować w to szalone przedsięwzięcie, choć roboty w firmie miał aż nadto?

Uznał, że wciąż tkwi w nim coś z plażowego obiboka. Coś z faceta, który lubi leżeć beczynnie i niczym się nie przejmować. I nigdy nie angażować się w nic poważnego, jak to sobie poprzysiągł, kiedy już wylizał się z ran po klęsce swego małżeństwa.

Jednak odkąd prowadził własny biznes, bardzo polubił swoją pracę. Przez siedem dni w tygodniu. Przy rachunkach. Przy zatrudnianiu ludzi. Lista zajęć nie miała końca. Nie miał też najmniejszej wątpliwości, że Ginny poradzi sobie z prowadzeniem firmy. To żaden problem. Zanotował w myśli, żeby dać jej

kolejną podwyżkę.

- A więc - spytał Tam - jakiego wraku szukają?
- Nie mam pojęcia. Wszystko trzymają w tajemnicy. Tam obruszył się.
- Chryste, tutaj każdy milczy na temat wraków i ich wydobywania.

Wszystkim się wydaje, że nowi amatorzy poszukiwań tylko czekają na okazję. A można by nawet wywiesić o tym transparenty i nikt nawet nie zwróciłby uwagi.

- Może nie chcą wyjść na głupców, gdyby coś nie wypaliło.

- Jeśli to prawda, to takich głupców kręci się tutaj całe mnóstwo. - Tam wzruszył ramionami i dał spokój. Nie należał do ludzi, którzy zaprzatają sobie zbyt długo głowę pytaniami bez odpowiedzi. - Trzy miesiące. No to już wiem wszystko.

Dugan skinął głową, ale myślał już o czymś innym - doskwierał mu głód. Musiał koniecznie coś zjeść. Było już zbyt późno na lunch, więc zdecydował się na pizzę. A może nadszedł czas, żeby zadzwonić do Lindy... Zawsze z przyjemnością spędzał z nią wieczory. I to wszystko. Podobnie jak Diiganowi, jej też nie zależało na poważnym związku, i oboje byli z tego stanu rzeczy zadowoleni.

I o to chodziło, prawda? - zadał sobie pytanie w myślach. Żeby być zadowolonym. Na tym polegał jego błąd, kiedy był z Jana. Że nigdy nie był tak naprawdę zadowolony.

I niech go szlag trafi, jeśli kiedykolwiek dopuści do podobnych sytuacji

Rozdział 2

Dlaczego nie założysz słuchawek? - spytał Orin córkę. Weronika nie słyszała go, a jemu nie chciało się krzyczeć. Podał jej wodoszczelne pudełko ze słuchawkami.

Oderwała wzrok od okna domku, który wynajęli w Key West i spojrzała na niego. Pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego? - odczytała z jego ust.

- Ponieważ ich nienawidzę - odpowiedziała. Jej własny głos z trudem do niej docierał. Wydawał się odległy i zniekształcony. Musiała wierzyć, że usta i język pamiętają, jak wyartykułować myśli.

- Przydadzą się, chciałbym z tobą porozmawiać. Niechętnie sięgnęła po pudełko i otworzyła je. W środku znajdował się dowód jej ułomności. Spojrzała na aparat z niewypowiedzianą nienawiścią. W końcu chwyciła go i zirytowana włożyła do uszu. Wzięła krótki oddech i nasłuchiwała. Działał prawidłowo.

Każdy dźwięk brzmiał teraz nieznośnie głośno, nie wyłączając szumu klimatyzatora i buczenia lodówki w kuchni.

- Dziękuję ci - powiedział Orin. W uszach Weroniki zabrzmiało to jak „ęęęę iiii”. Musiała wpatrywać się w jego usta, żeby rozróżnić spółgłoski, których nie była w stanie usłyszeć.

- Nie rozumiem, dlaczego go tak nienawidzisz. Przecież pomaga ci słyszeć.

- Pomaga mi słyszeć wszystko, tato. Dosłownie wszystko. Nawet teraz klimatyzator zagłusza twój głos. - Z trudem rozróżniała jego słowa pośród inwazji innych dźwięków.

Pokiwał głową, ale Weronika wiedziała, że tak naprawdę ojciec nigdy tego nie pojmie. Nie pojmie, że dźwięki tak głośno rozbrzmiewające w jej uszach

były równie bolesne jak kompletna cisza. Nie pojmie, że nie ma tu dobrego rozwiązania. Może być złe albo jeszcze gorsze, zależnie od sytuacji.

- O czym chciałeś porozmawiać?

- O poszukiwaniach. - Starał się mówić stosunkowo krótkimi zdaniami, by mogła łatwiej go zrozumieć.

- A mianowicie?

- Wątpię, czy uda się nam odnaleźć statek. Na pewno nie w ciągu trzech miesięcy.

Wzruszyła ramionami, pragnąc powrócić do widoku za oknem. Wpatrywanie się w wierzchołki palm, zmieniające się w mroczne cienie na tle czerwonego od zachodzącego słońca nieba, pociągało ją znacznie bardziej niż rozmowa. Niestety, nie mogła sobie pozwolić na ten luksus patrzenia w innym kierunku, kiedy ktoś do niej mówił.

- Gallagher ma rację - rzekł ojciec. - Można poświęcić całe życie, wydać fortunę i nic nie znaleźć.

- Wiem. - Jednak nic nie było w stanie jej powstrzymać. Tylko to trzymało ją przy życiu - udowodnić, że matka miała rację. Nic więcej się nie liczyło. Nic.

- Weroniko...

- Słuchaj, tato, nie wracajmy już do tego. Jeśli nie chcesz, żebym się tym zajmowała, to po co, u diabła, mówiłeś mi o masce i o mamie?

Powiedziała to tak głośno, że aż cofnął się o krok. Potrząsnął głową.

- Chciałem, żebyś miała po co żyć.

- Więc teraz mam. I tylko to mi zostało. Pozwól mi się tym zająć.

- Nie chcę, żebyś się rozczarowała.

Tak jakby po tym, co zrobił Lany, mogło ją coś jeszcze rozczarować. Roześmiała się gorzko i odwróciła plecami, ucinając w ten sposób rozmowę. Gdyby mówił dalej, usłyszałyby tylko samogłoski. Tylko samogłoski. Nic zrozumiałego. Zresztą pewnie wcale by go nie usłyszała przez szum

klimatyzatora.

Była zła na niego - od chwili, kiedy opowiedział jej o masce. Miała pięć lat, kiedy zmarła matka, i Weronika dorastała z wielką wyrwą w sercu. Gdy odkryła, że ojciec ukrywał obsesję matki, wpadła w szal. Była to przecież tak istotna część jej życia. Wizerunek matki, jaki przez dwadzieścia pięć lat przedstawiał, był z gruntu fałszywy. Czowała się zdradzona i oszukana. Co więcej, czuła, że ojciec zdradził i matkę, ukrywając pasję jej życia, jakby należało się jej wstydić. Co gorsza, była zła i na siebie za swoją złość do ojca. Uważała, że to nie w porządku, że nie potrafi mu wybaczyć, nawet gdy jest tak bliski śmierci. Nie była w stanie się przemóc. Tak przekonująco okłamywał ją przez te wszystkie lata...

Czasami wystarczyło, że spojrzała na niego i ogarniała ją niepoohamowana wściekłość... a zaraz za nią pojawiała się fala niechęci do siebie samej.

Dotknął jej ramienia, aż podskoczyła, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

- Weroniko, proszę... Musisz o tym wiedzieć. Proszę, usiądź i wysłuchaj mnie.

Przewyciężyła gniew, chowając go jak zimną bryłkę lodu w sercu, i usiadła na krześle przy oknie. Nie było zbyt wygodne, lecz nie dbała o to. Była spięta, poirytowana, gotowa do walki. Dlaczego? Dlatego, że ojciec chciał ją ostrzec? Dlatego że przez ostatnie miesiące pomagał jej prowadzić badania, a jednocześnie ostrzegał przed podejmowaniem ryzyka? Stale czuła się tak, jakby jedną ręką popychał ją naprzód, a drugą ciągnął do tyłu.

Usiadł naprzeciwko, biorąc ją za rękę. Szum klimatyzatora zagłuszył słowa, więc musiała poprosić, żeby je powtórzył. Nienawidziła tego. Boże, jak ona tego nienawidziła. Nienawidziła swojej głuchoty i wszystkiego, co się z nią wiązało.

- Musisz bardzo uważać - powiedział wyraźnie. Powtarzał to setki razy, odkąd podjęła decyzję o poszukiwaniach, choć nigdy nie wyjaśnił dlaczego.

Mdliło ją od tych niezrozumiałych ostrzeżeń.

- Dlaczego? Wciąż o tym mówisz, ale nigdy nie powiesz dlaczego.

- Dlatego, że zatopiony skarb jest bardzo cenny - odparł. - Dla złota ludzie zrobią wszystko. Bo... bo....

Odwrócił głowę tak, że nie była pewna, czy dodał coś jeszcze. Zanim zdążyła zapytać, spojrzał na nią ponownie.

- Słonko - odezwał się - twoja matka zginęła w tajemniczych okolicznościach.

- Wypadła z łodzi i utopiła się!

- Pływała jak delfin.

- Uderzyła się w głowę.

- Być może. Tak stwierdził coroner. Ja nie jestem wcale taki pewien. - Twarz mu stężała, oczy pociemniały. - Musisz być bardzo ostrożna. Wartość tego dzieła sztuki jest większa niż złota.

Tak było w istocie. Była dużo większa. Tylko nieliczne złote wyroby rdzennych amerykańskich plemion ocalały po hiszpańskich najazdach. Większość została przetopiona na sztabki i wysłana do Hiszpanii, albo na monety, którymi opłacano konkwistadorów. Prawdziwych arcydzieł pozostało niewiele. Maską miała jednak szczególne znaczenie. Gdyby ją znaleziono, byłaby jedynym dziełem sztuki, jaki pozostawił po sobie zatopiony, wyspiarski lud, którego kultura była znana jedynie z kilku przypisów w czasopiśmie o podboju Ameryki Środkowej. Bezimienne plemię.

Weronika nie przejmowała się mglistymi podejrzeniami ojca.

- Będę bezpieczna, tato. Nie sposób przecież zakraść się na łódź na otwartym morzu?

- Wcale nie muszą się zakradać. Zaatakują otwarcie, bo nie będzie tamnikogo, kto mógłby stanąć w twojej obronie.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, dając do zrozumienia, że nie

chce o tym dłużej rozmawiać.

Zmienił więc temat, zmuszając ją do ponownego spojrzenia w jego stronę.

- Co o nim sądzisz?

- O kim?

- O Gallagherze.

- Ach, o nim... - Co o nim myślała? Skierowała wzrok z powrotem za okno, ale było już ciemno i jedyne, co zobaczyła, to własne odbicie w szybie.

- Sama nie wiem. Drew ma do niego pełne zaufanie. Dotknął znów dłoni Weroniki, żeby zwrócić jej uwagę.

- Drew zna się na ludziach. A propos, skąd zna Gallaghera?

- Studiowali razem na Harvardzie. Orin ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Harvard? Gallagher ukończył Harvard?

Skinęła głową. Zaczynała ją męczyć rozmowa z ojcem, a także atakująca uszy kakofonia dźwięków.

- Chyba jest magistrem ekonomii.

Odpowiedział coś, lecz ona już nie słuchała. Wyjęła słuchawki i włożyła do pudełka, dając mu do zrozumienia, że na dzisiaj ma dość konwersacji.

Jest jakaś korzyść płynąca z głuchoty, pomyślała z goryczą. Mogła w każdej chwili wyłączyć się z rozmowy i nikt nie mógłby zmusić jej do słuchania. Nie mogła uciszyć własnych myśli. Pytanie ojca o Dugana Gallaghera zburzyło jej spokój.

Co naprawdę o nim sądziła? Nie była specjalnie zachwycona, widząc go w pracy, rozwalonego na krześle, z nogami na biurku. Z drugiej strony jej koledzy, kiedy nad czymś rozmyślali, zachowywali się podobnie, więc może niepotrzebnie się uprzedzała.

Nie podobała jej się jego bezceremonialność, niesmak budził także bałagan panujący w biurze. Już mniej raził ją fakt, że ktoś, kto ukończył Harvard, tracił czas na zajmowanie się drobnym, nurkowym biznesem.

Jednakże jej przyjaciel, Drew Hunnecut, oceanograf, który każde wakacje spędzał na nurkowaniu pośród raf Florida Keys, bardzo go polecał. Jego życie - twierdził - trochę się pokręciło, ale to uczciwy facet.

Właśnie taki człowiek był jej potrzebny. Ktoś, kto powie prawdę, gdyż sama niewiele wiedziała o tym całym polowaniu na skarby i mogła znaleźć się w poważnych kłopotach. Ktoś, kto nie okradnie jej albo nie ukryje tego, co znajdują. Jeżeli w ogóle coś znajdują.

Drew bardzo jej pomógł. Zbadał, jak zachowują się oceaniczne prądy w rejonie, gdzie przypuszczalnie zatонуła „Nuestra Señora de Alcantara” i sporządził komputerowe modele przemieszczania się wraka w ciągu prawie trzystu lat.

W rezultacie zakreślił stosunkowo niewielki obszar w pobliżu Marquesas jako najbardziej prawdopodobne miejsce spoczynienia statku.

Weronika doskonale zdawała sobie sprawę, że jego symulacje mogą być niewiele warte. Że może nigdy nie znaleźć wraku, ba, nawet jego śladów. Była na to przygotowana. Ale nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie spróbowała.

A co do Gallaghera... Będzie miała go na oku. Przecież płaci mu, za jego łódź i czas. Poza tym, skoro Drew mówił, że można polegać na Gallagherze, to pewnie ma rację.

Nie miała jednak wątpliwości, że czeka ją ciemista droga.

Nad górami Wenezueli zapadał wieczór.

Emilio Zaragosa czekał na obiad, przyglądając się, jak ogród spowijają szare cienie. Za chwilę zawoła go żona i zasiądą razem do posiłku, którego nie powstydziliby się sam król. Żyło mu się dobrze. Dorastał w nędzy na ulicach Caracas, a w zasadzie w jego rynsztokach. Głodny, obdarty i odrzucany przez wszystkich, odebrał surową lekcję życia. Nauczył się, że jeśli czegoś pragniesz, musisz to zabrać. A jeśli na czymś można polegać, to tylko na własnym sprycie.

I że bogactwa człowiekowi nigdy nie dość.

Nauczył się też, że rolą mężczyzny jest zapewnić byt rodzinie. Emilio Zaragosa miał rodzinę. Dużą rodzinę. Sześć córek i dwóch synów - czworo z nich założyło już własne gniazda - i siedmioro wnuków. Emilio nie zamierzał dopuścić, by choć jedno z nich zaznało głodu, jak niegdyś on.

Teraz był po pięćdziesiątce, bogaty jak krezus. Fortuny dorobił się na antykach. Zajmował się też produkcją ich podróbek, które namiętnie kupowali turyści w całej hiszpańskojęzycznej Ameryce. Prowadził także lukratywny, choć ze wszech miar nielegalny handel bezcennymi relikdami starożytnych kultur.

Odkrył, że bogaci ludzie są zachłanni i mają szczególne upodobanie do zakazanych owoców. Zaspokajał ich zachcianki, gdyż słono za to płacili.

Przez wszystkie te lata on także stał się nienasycony. Nie miał zaufania do giełdy, do spekulacji walutami czy obligacjami. Starożytne dzieła sztuki nigdy natomiast nie traciły na wartości, a że coraz trudniej było je zdobyć, stawały się wprost bezcenne. Posiadał własną kolekcję, na wypadek nieoczekiwanych kłopotów, które mogą spotkać człowieka zajmującego się niepewnymi interesami. Zabezpieczenie na czarną godzinę, gdy nie będzie w stanie zdobyć nowego towaru. Jego przezorność przynosiła owoce. W każdej chwili mógł się wycofać z interesów spokojny, że jego dzieci i wnuki nie zazną biedy. Ale to nie było w jego stylu. Wspomnienia chudych lat podążały za nim jak wygłodniałe wilki. Kiedy usłyszał, że pewna archeolog z Tamy rozpoczęła poszukiwania zaginionej maski Matki Burz, podwoił czujność. Już przed laty słyszał o tej masce. Wtedy również szukała jej archeolog z Tamy i chociaż było mało prawdopodobne, że ją znajdzie, wielu cwaniaków ostrzyło sobie zęby na bezcenny skarb.

Zrobiono wokół tego wiele wrzawy, choć tak naprawdę zdobył wówczas niewiele informacji. To, czego się dowiedział, pobudziło jego apetyt. Jedyne

dowód wymarłej kultury. W dodatku ze złota. Zdobyć coś takiego - to by dopiero było!

Nigdy nie zdołał się dowiedzieć, gdzie szukać tej maski, a archeolog z Tamy została zamordowana przez rywala Emilia, który sądził, że ją znalazła. Teraz ktoś znowu podjął poszukiwania, a on nie mógł przepuścić takiej okazji.

Świetnie się orientował, jakie zezwolenia na poszukiwania wraków wydawane były przez stan Floryda. To, co znajdowano na zatopionych statkach, było przecież źródłem jego dochodów. Miał wśród stanowych urzędników informatora, który na bieżąco donosił o wszystkich wnioskach i zezwoleniach, a on skrupulatnie je sprawdzał. Większość odrzucał, składali je ludzie o nazbyt bujnej wyobraźni.

Tym razem było inaczej. Kiedy dowiedział się o sprawie, przeszył go dreszcz. I to wcale nie z powodu maski.

Wcale nie.

Do poszukiwań szykowałą się córka zamordowanej. Emilio zawsze podejrzewał, że istniały jakieś dokumenty, które nie ujrzały dziennego światła. Teraz był tego pewny.

List, który trzymał w ręku, utwierdzał go w tym. Dr Weronika Coleridge wyjechała do Key West. Jest przekonana, że wie, gdzie szukać maski.

Emilio Zaragosa nie miał zamiaru spuszczać jej z oczu.

Myślał właśnie, którego z informatorów wysłać na Florydę, gdy żona zawołała go na obiad. Uchyliła oszklone drzwi, dobiegł go śmiech wnuków.

Słyszając te radosne dźwięki, utwierdził się w swoim postanowieniu. Pozwoli jej wykonać najcięższą pracę, potem wkroczy i jak zwykle weźmie to, czego pragnął. Dzięki temu dzieci nigdy nie będą narażone na głód i poniewierkę. Przynajmniej dopóki będzie żył.

Weronika wyrwała się z koszmarne snu, przerażona i zdezorientowana. W pierwszej chwili nie rozpoznała zarysów sypialni, martwa cisza nie pomagała jej zorientować się, gdzie jest.

Czując przyływ adrenaliny, gorączkowo usiłowała zapalić światło, w końcu natrafiła na małą nocną lampkę. Kiedy tylko ją zaświeciła, uzmysłowiła sobie, gdzie się znajduje. W wynajętym domku na Key West należącym do przyjaciela Drew Hunnecuta. Ojciec spał na górze, na poddaszu.

Odrzuciła prześcieradło i wstała z łóżka. Nagrzane powietrze stało nieruchomo. Domyśliła się, że nie działa klimatyzacja. Boso przeszła do kuchni, włączyła światło i nalała sobie szklankę mleka. Usiadła przy blacie i zaczęła przeglądać spis rzeczy potrzebnych do poszukiwań.

Nie mogła się jednak skoncentrować - wokół panowała przytłaczająca cisza. Była noc i żaden odgłos nie przenikał przez otaczający ją kokon. Nie było nic, co pozwoliłoby jej odczuć zewnętrzny świat; miała wrażenie jakby dryfowała w próżni.

Ta noc była gorsza niż inne, ponieważ miała sen, w którym słyszała, Znajdowała się na łodzi, na zalanym słońcem morzu. Stała na dziobie, serwowała toczące się fale i słuchała bezustannego szumu wody. Słyszała jak wiatr pogwizduje na wantach. Zaskoczyło ją to. Skąd się wzięły te dźwięki w jej głowie? Do tej pory pływała małymi żaglówkami i znała tylko odgłos łopotania żagli. Ale te brzmiały głośniejsze, znacznie głośniejsze i wyobraźnia podpowiadała jej, że znajduje się na dużej łodzi, płynącej szybko z wiatrem.

Żeglowali w kierunku ciemnych chmur. Prawie czarnych. Stała na dziobie, wznoszącym się i opadającym w rytm fal, przy świszczącym wietrze. Obserwowała, jak czarna ściana chmur gęstnieje, aż wreszcie przysłania całe niebo. Czowała narastającą grozę i wtedy obudziła się przerażona, gotowa do ucieczki.

Tłumaczyła sobie, że sen był wynikiem ostrzeżeń, jakich udzielał ojciec, i

niczym więcej. Jego niepokój jej również się udzielił.

Zmusiła się, żeby spojrzeć na listę i notatki. Podwodne wykrywacze metalu najlepszej marki, magnetometr, niezbędny przy penetrowaniu dna, boje do oznakowania, satelitarny system naprowadzania, który zapamiętywał określone położenie. Wbrew oczekiwaniom spis okazał się zaskakująco krótki. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że same poszukiwania nie będą zbyt skomplikowane. Wykrywanie żelaznych przedmiotów za pomocą magnetometru, przeczesywanie dna wykrywaczami metali i nurkowanie, by obejrzeć znaleziska. To przecież proste.

Najtrudniej będzie zlokalizować wrak. Wbrew temu, co sądził Dugan Gallagher, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Na informacjach o położeniu zatopionych statków niezbyt można polegać. Rozbitkowie rzadko znali ich dokładną pozycję w chwili katastrofy. W najlepszym przypadku wiedzieli tylko, co odnotowano w dzienniku pokładowym.

W przypadku „Alcantary” uratowały się jedynie dwie osoby, a jedną z nich było dziecko. Konkwistadora, któremu udało się ocalić siebie i dziecko, wyrzuciło na jakąś nieznaną wyspę. Zbudował łódź, którą przepływał z wyspy na wyspę, aż wylądował gdzieś na Florydzie. Po wielomiesięcznej wędrówce wzdłuż wybrzeża dotarł do St. Augustine. Sądził, że statek zatonął w Cieśninie Florydzkiej. Ale niektóre szczegóły w jego opisie nasunęły matce Weroniki, a teraz jej samej myśl, że znacznie zboczył z kursu, zanim uderzył huragan.

Weronika wierzyła w to tak mocno, że była gotowa wydać mnóstwo pieniędzy na potwierdzenie teorii, iż wrak spoczywa gdzieś na południowy wschód od Marquesas.

Oryginał relacji konkwistadora, pergamin z wyblakłym atramentem, przechowywała w sejfie w banku. Ze sobą miała tylko jego tłumaczenie. Dokument stanowił rodową pamiątkę, bezcenny skarb, którego strzegła jak oka w głowie.

Juan Bernal Vasquez y Maria był w podeszłym wieku, kiedy spisywał swoje wspomnienia. Teraz przeszły na własność Weroniki. Zdawała sobie sprawę, że mógł niedokładnie pamiętać szczegóły wyczerpującej podróży z dwuletnim dzieckiem przez pustkowia Florydy, w czasach, kiedy zarówno moskity jak i Indianie stanowili śmiertelne niebezpieczeństwo. Mógł również wyolbrzymić niektóre fakty. Pamięć i czas potrafią przeinaczyć rzeczywistość.

Nie miała wątpliwości co do opisu miejsca, gdzie wylądował razem z dzieckiem, ani też ile czasu zajęło mu przedostawanie się z wyspy na wyspę. A gdyby rzeczywiście został wyrzucony na jedną z wysepek archipelagu Florida Keys, to była pewna, że Juan Vasquez dokładnie potrafił określić kierunek podróży na podstawie położenia gwiazd.

Jeśli statek zatonął tam, gdzie sugerowały *legajos*, jakie matka znalazła w hiszpańskich archiwach, Juan Vasquez nie mógł dotrzeć aż tak daleko na wschód, jak mu się zdawało, gdyż groziło to zagubieniem gdzieś w bezkresie Atlantyku. Renata, jej matka, uważała, że *legajos* są bardziej wiarygodne niż relacja rozbitka i że po latach konkwistador przesadnie ocenił pokonaną odległość. Weronika była innego zdania. *Legajos* nie zawierały informacji o tym, co działo się ze statkiem od kiedy opuścił port, podczas kiedy Bernal był przy tym. Gdyby zasiadała w ławie przysięgłych, też by zdecydowała, że naoczny świadek jest bardziej wiarygodny niż oficjalny protokół.

Porównała opis jego podróży z mapą i wywnioskowała, że statek zatonął gdzieś między Marquesas a Key West. Było całkiem możliwe, że znacznie oddalił się od cieśniny, gdyż zanim nadszedł huragan, gruba warstwa chmur zakrywała niebo przez dwa dni, utrudniając nawigację.

Z tonącej „Alcantary” widać było zarys lądu, ale jedynie Vasquez ze swoją córeczką zdołał dotrzeć do brzegu. Przywiązał dziecko do pustej beczki, uchwycił się jej, utrzymując małą nad powierzchnią wody, podczas gdy fale znosiły ich w kierunku lądu. Widział, jak wiatr i deszcz miotają statkiem i

spychają go -jak twierdził - na południowy wschód.

Weronika przypuszczała, że Bernal określił kierunek dopiero, kiedy chmury się rozeszły i mógł znów obserwować niebo.

Tak więc, jeżeli dobrze pamiętał wydarzenia, a jej wnioski były prawidłowe, z dużym prawdopodobieństwem mogła określić, gdzie spoczywa wrak.

Niewiele z niego pozostało, co do tego była pewna. W dodatku obszar, który trzeba będzie przeszukać, jest dość uczęszczany. Jeżeli ze statku pozostały szczątki, które można dostrzec znad powierzchni wody, to do tej pory ktoś by na nie trafił.

Miała więc zamiar szukać szczątków głęboko zagrzebanych w mule i piasku. No i złota. „Alcantara” była potężnie wyładowana zrabowanym złotem przetopionym w sztabki, wartym około dziesięciu milionów dolarów.

Nie o złoto jej chodziło. Ono stanowiło tylko drogowskaz do prawdziwego skarbu, którego pragnęła - maski Matki Burz.

Rozdział 3

„Zycie to jest to, co ci się przytrafia, kiedy właśnie masz inne plany”.

Napis ten wisiał na ścianie nad biurkiem Dugana. Chociaż cytat przypisywano Johnowi Lennonowi, Duganowi obięło się o uszy, że jego autorką była jakaś pisarka z lat dwudziestych albo trzydziestych, ale nie pamiętał jej nazwiska. Nie przypuszczał, by chciała domagać się uznania praw autorskich, nie zawracał więc sobie tym głowy.

Niezależnie od tego, kto był jego autorem, cytat sprawiał, że Dugan zawsze potrafił zachować spokój, nawet gdy wszystko dookoła waliło się w gruzy. Zdarzało się to regularnie. Tak było i dzisiaj.

Zaraz po przyjsciu do pracy dowiedział się, że nie pojawił się jeden z jego nurków, a któraś łódź miała kłopoty z silnikiem. Nie dość, że stracił zarobek, to jeszcze musiał spojrzeć w oczy poirytowanym klientom, którzy mieli rezerwacje na dzisiejszy ranek. Oczywiście niektórzy podchodzili do tego na luzie, konstatuując filozoficznie, że mogą dzień - dwa poczekać na swoją kolejkę. Inni, zdenerwowani, że ich wakacyjne plany biorą w łeb, nie przebierali w słowach.

Koło południa udało mu się uporządkować grafik. Skrócił przerwy między rejsami, zwiększył liczbę codziennych kursów każdej łodzi, i jedynym problemem pozostało, że turyści mieli obiecane nurkowanie o ściśle określonych porach dnia. Lecz na to nic już nie mógł poradzić.

Właśnie wtedy, kiedy uznał, że najgorsze ma już za sobą, w biurze pojawili się Coleridge'owie. Weronika, zaróżowiona od słońca, teraz miała przynajmniej osłonięte ramiona.

Orin usiadł bez zaproszenia - widać przejął maniery Dugana. Weronika

stanęła w rogu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Być może była to obronna poza, jednak przez to jeszcze bardziej skupiła jego uwagę na jednym ze swych najmocniejszych atutów. Być może jej jedynym atucie.

Dzisiaj miała włosy zaczesane do tyłu i po raz pierwszy zobaczył słuchawki w jej uszach. Przez moment zrobiło mu się jej żal, ale współczucie zniknęło, kiedy tylko napotkał jej błękitne, roziskrzane oczy.

Spojrzał na ojca. Przynajmniej w nim zobaczył zwykłego człowieka, do którego mógł się zwrócić.

- Co nowego? - zapytał czując, że wcale nie chce znać odpowiedzi. Słowa Orina dowiodły, że miał rację.

- Wynajęliśmy samolot, żeby polatać nad wodą w rejonie, gdzie planujemy poszukiwania. Chciałbym, żeby pan towarzyszył Weronice, ponieważ ja nie mogę. Poza tym, to pan będzie naszym kapitanem i głównym nurkiem.

- Chce pan, żebym poleciał? - Dugan nienawidził latania prawie tak samo jak zanurzania w wodzie. Poza tym wykluczał, żeby ktoś inny decydował o jego być albo nie być. Praca czasami wymagała dłuższych przelotów, ale czuł się wtedy jak kot głaskany pod włos. Jednak mały, wycarterowany samolot? Matko Święta!

- Absolutnie nie mam czasu.

- Ależ ma pan. Wynajęliśmy pana od piątku, to znaczy od jutra. Powinien pan polecieć, panie Gallagher. Jeżeli uda nam się dostrzec jakieś szczątki, znacznie nam to pomoże, a pan będzie miał lepszą orientację.

- To strata czasu - powiedział bardziej z powodu narastającego popłochu niż racjonalnych obiekcji.

- Nie zgadzam się - odparł Orin. - Wiele wraków zlokalizowano z powietrza. Lot na wysokości kilkudziesięciu metrów nad wodą bardzo by nam pomógł. Zawęziłby obszar poszukiwań.

Lot na wysokości kilkudziesięciu metrów nie martwił go. Pod warunkiem,

że to nie on siedział obok pilota.

- Jestem zbyt zajęty. Miałem telefon od nurka, że jest chory, w jednej łodzi wysiadł silnik, a setka turystów siedzi mi na głowie. Poszukajcie kogoś innego.

Spojrzał znów na Weronikę i zobaczył, jak jej oczy zwężyły się ze złości. Wolałby, żeby coś powiedziała, bo wtedy mógłby pokazać jej drzwi. Lecz w tym momencie przyszło mu do głowy, że ona chyba nie całkiem nadała za rozmową, a te zwężone oczy świadczą tylko, że usilnie próbuje strzępy słów złożyć w całość.

O cholera, znów poczuł jakieś moralne skrupuły. Ona była głucha, ojciec nie mógł lecieć. Czy mógł zostawić ją wilkom na pożarcie? A dokładniej, wilkowi, który zechce zagarnąć skarb?

Spojrzał na Orina.

- Na pewno jestem wam potrzebny?

- Byłby pan dla nas dużą pomocą. Mamy GPS, ale jedna osoba musi prowadzić obserwacje, a druga nanosić wybrane współrzędne. No i byłoby dużo lepiej mieć oczy po obu stronach kabiny.

No cóż, gdyby coś z tego wyszło, skróciłoby to jego trzymiesięczny wyrok.

Dugan odchylił się na krześle i spojrzał przez okno na port.

- Zgoda. Polecę. Ginny da sobie radę z całym tym bałaganem, zresztą najtrudniejsze już zostało zrobione. Znowu przypomniał sobie, że miał jej dać podwyżkę.

- Strasznie zgłodniałem - zmienił temat. - Może poszlibyśmy coś zjeść?

Nagle zapragnął wyjść z biura i odetchnąć świeżym powietrzem, i nie wynajdywać nowych przeszkód.

Nie dlatego, że miał zamiar się wycofać. Na nieszczęście, był facetem, który dotrzymuje słowa, a wyraził już zgodę. Czułby się jednak dużo lepiej, gdyby ta lodowa królewna nieco odtajała, skoro będą skazani na własne towarzystwo.

Wstał i ruszył do drzwi, kiedy zauważył zakłopotanie na twarzy Weroniki. Zdał sobie wówczas sprawę, że jest zdezorientowana. Proponując lunch, nie patrzył na nią i przypuszczalnie nie zrozumiała, o co mu chodzi.

Jakiś niezrozumiały impuls nakazywał traktować ją nieco łagodniej. Wbrew sobie poczuł w sercu przyływ sympatii.

Zatrzymał się, spojrzał na nią i powiedział wyraźnie:

- Chodźmy na lunch. Ja stawiam. Zaskoczona, spojrzała na ojca i skinęła głową.

- Zgoda.

Wybrał restaurację w pobliżu doku. Jej drzwi zawsze były szeroko otwarte, co było w Key West powszechnym zjawiskiem; klimatyzacja utrzymywała wewnątrz przyjemny chłód.

- Mają tu doskonałe owoce morza - zwrócił się do Coleridge'ów, dbając jednocześnie o to, by Weronika widziała jego twarz.

Zauważył, że wybrała miejsce naprzeciw niego, najwidoczniej nie chciała utracić nic z tego, co będzie mówił. Jakie ciężkie ma życie i jak bardzo musi czuć się upośledzona - przeniknęło mu przez myśl.

Przypominając sobie wyraz jej twarzy sprzed paru minut, pomyślał, że gdyby to on nagle stracił słuch, chyba by oszalał. Była głucha od urodzenia, czy stało się to później?

Doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa, więc nie zapytał.

Zamówił piwo. Coleridge poprosił o lampkę wina, a Weronika poprzestała na zimnej wodzie. Wciąż była spięta. Nie zanosilo się na ocieplenie stosunków.

Ktoś musiał jednak przełamać lody i kiedy zamówili jedzenie, było jasne, że to jemu przypadnie ta rola.

- Może powiecie mi coś więcej o tym wraku?

Znow spostrzegł lekki grymas na jej twarzy i domyślił się, że go nie zrozumiała. Podniósł głowę i powtórzył wolno i wyraźnie.

- Jakiego wraku szukamy?

Tym razem zrozumiała. Zauważył zaintrygowany, że ojciec nie starał się uprzedzić jej odpowiedzi. Coleridge był skoncentrowany na tym, co dzieje się na ulicy.

- „La Nuestra Sefiora de Alcantara” - odpowiedziała Weronika. Mówiła trochę za głośno, ale w restauracji wypełnionej hałaśliwym tłumem nie była wyjątkiem.

- Czyli „Naszej Pani Alcantary” - przetłumaczył. - Hiszpańskiego statku wypełnionego skarbami?

Kiwnęła głową.

- Co się z nim stało?

- Zniknął w czasie huraganu. Ładunek służył jednocześnie jako balast. Kapitan zbyt późno zdecydował się na wyrzucenie czegokolwiek za burtę. W rezultacie zatonęli.

Już miał zapytać, gdzie to się stało, ale zrezygnował. Niektórych szczegółów lepiej nie omawiać w miejscach publicznych.

- Uratował się ktoś?

- Dwie osoby. Jedna z nich później to opisała. A więc ma oryginalne źródło.

- Chyba pani wie, że wiele z tych statków popełniało nawigacyjne błędy?

- Słucham?

- Wiele statków popełniało błędy przy podawaniu położenia.

- Wiem. Wykorzystałam też inne informacje.

Chyba rzeczywiście dobrze odrobiła swoją lekcję. On sam, niewiele wiedząc o całej tej sprawie, nie mógł ocenić, czy jest dobrze zorientowana.

- Pan nurkował już do wraków, prawda? - Nie wiedzieć czemu zaskoczyło go to pytanie.

Skinął głową.

- Tylko trochę. Dla zabawy. Żadne polowanie na skarby. - Przed laty, jak tylko osiedlił się na Key, spędził trochę czasu na nurkowaniu wśród raf i penetrowaniu wraków. - Używałem podwodnych wykrywaczy metali, i to wszystko.

Znów przymrużyła oczy, jakby nie całkiem go zrozumiała. Rozmowa z nią była naprawdę męcząca. Zaraz zdał sobie jednak sprawę, jak męcząca musiała być dla niej.

- Wykrywaczy metali - powtórzył. Spojrzała nie całkiem rozumiejąc.

- Używałem ich.

Teraz kiwnęła głową, że rozumie.

Nie jest tak źle. Ale jeśli spędzi następne trzy miesiące na powtarzaniu wszystkiego dwa razy, chyba oszaleje.

- Przepraszam, panie Gallagher - wtrącił Orin Coleridge, odwracając się do Dugana tak, by Weronika nie widziała, co mówi. Natychmiast to dostrzegła i wyraźnie jej się to nie spodobało.

- Przez ten hałas trudno jej zrozumieć, co pan mówi. Nie pojmował. Po co w takim razie te słuchawki?

- Może mi ktoś wyjaśni, co właściwie robię źle?

- Moja córka nie jest całkowicie głucha. Nie słyszy głównie średnich tonów, a więc dźwięków występujących najczęściej, na przykład podczas rozmowy. Aparat słuchowy wzmacnia głos na tyle, że słyszy słowa, ale jakby pozbawione spółgłosek. Niestety, wzmacnia też pozostałe dźwięki. Przypuszczam, że pański głos zanika w panującym tu hałasie.

- W takim razie, co słyszy z tego, co mówię?

- Ooo ouu aiii iii - odezwała się Weronika, najwidoczniej odczytując jego pytanie z ruchu warg. - Tak pana właśnie słyszę.

Bez spółgłosek. Musi je więc widzieć. Teraz dopiero pojawił się skąd jej problemy.

- Tak więc odczytuje je pani z ruchu warg?

- Tak.

- Niewiarygodne. - Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakie to trudne.

Może zatem zamiast irytować się jej rozdrażnieniem, powinien wyraźniej wymawiać słowa, patrząc w jej stronę. Niby proste, ale wiedział, że niełatwo będzie się przyzwyczać.

Najwyższy czas powrócić do sedna.

- No dobrze, ile nam to jutro zajmie czasu?

-Parę godzin, chcielibyśmy wykonać dwa loty -odpowiedziała. -
Obejrzelibyśmy większość obszaru, który mnie interesuje.

- A jeśli nic pani nie znajdzie?

- Będziemy szukać nadal. Według relacji naocznego świadka, statek się rozbił, więc rzeczywiście możemy niczego z góry nie dojrzeć.

Skinął głową. To faktycznie było głupie pytanie.

- Kiedy statek poszedł na dno?

- W 1703 roku - odezwał się Orin.

- Trzysta lat temu. - Jeśli przykryła go warstwa mułu, to mogły się zachować drewniane fragmenty. W przeciwnym wypadku nie pozostało nic poza ładunkiem, armatami i elementami żelaznego osprzętu. A wszystko to rozrzucone na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych. Trzy miesiące? Możesz tylko pomarzyć, droga pani.

Nie powiedział tego głośno. Nie było sensu. W końcu to jej pieniądze i jeśli chciałyby kierować się rozumem, zrobiłaby to, zanim zjawiała się w jego biurze. Zachował się więc tak jakby chodziło o realizację najnormalniejszego zamówienia.

- Mam dla was drugiego nurka, to mój przyjaciel.

- Dobrze. - Skinęła głową.

- Może na początek wystarczy nas dwóch? Jeśli będą potrzebne dodatkowe

ręce, znajdziemy kogoś jeszcze.

Pomyślała przez chwilę, ale coś w jej oczach mówiło, że nie jest zadowolona.

- Przecież nie chce pani, aby to się rozniosło. Musimy więc działać na małą skalę. A jeśli ma się o tym dowiedzieć cały świat, to weźmy jeszcze jedną łódź, połączmy je kablem i stańmy na czele całego zastępu nurków.

- Nie bardzo rozumiem.

Wziął ze stołu serwetkę i narysował szkic obrazujący to, co miał na myśli. Tym razem zrozumiała i kiwnęła głową.

- Widzę, że pani się ze mną zgadza. A więc najpierw lot, dobrze?

- Dobrze.

- Potem popłyniemy łodzią. Mówiła pani, że macie magnetometr.

- Tak.

- Jeśli znajdziemy coś, co warto sprawdzić, Tam i ja zajmiemy się tym. Na razie wystarczy nas dwóch. Później zobaczymy.

Spojrzała na ojca. Przytaknęła.

- Pan Gallagher ma rację, na początek dwóch wystarczy.

- Proszę mi mówić Dugan.

- No dobrze - powiedziała Weronika. - Zaczynamy z dwoma. Jeśli uznam, że to nie wystarczy, zatrudnimy dodatkowych.

- Jasne. - Jeżeli coś znajdą, przydadzą się dodatkowe ręce, choć na obecnym etapie i dwóch to przesada. Mógł się zresztą założyć, że z samolotu nic nie zobaczą, a magnetometr też niczego nie pokaże.

O rany, może on i nie zna się na szukaniu skarbów, ale mieszka tu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak trudno znaleźć stary, rozsypany hiszpański wrak. Trzysta lat to szmat czasu. Drewno mogło się rozpaść całkowicie, a jego szczątki pokryły koralowce. O ile nie trafią na jakiś wyraźny ślad, niełatwo posuną się do przodu.

Ale to nie jego problem. Jego problem to przeprowadzić te dwie owieczki przez następne trzy miesiące rozczarowań i załamania. Bez zwracania uwagi podejrzanym typkom mogących pomyśleć, że Coleridge'owie są o krok od znalezienia skarbu.

Mimo wszystko wziął na siebie spory ciężar. A przecież postanowił unikać jak zarazy moralnych rozterek, odkąd przekonał się, że inni skrupułów nie mają. Jego zasadą było, że każdy martwi się o siebie. Każdy, kto tego nie przestrzega, jest przegrany.

Kiedyś i on był przegrany. W końcu znalazł dla siebie azyl, w którym nie musiał roztrząsać takich problemów. Po co się więc pakuje w to bagno?

Cały czas chodziło mu to po głowie, co go dodatkowo irytowało, gdyż od wczoraj wiele razy odpowiedział już sobie na to pytanie. Nie chciał więcej o tym myśleć. Chciał tylko jakoś przetrwać następne miesiące.

- O której jutro ruszamy?

- Słucham?

Stłumił westchnienie i spojrzał na Weronikę.

- Samolot - powiedział. - O której?

- O ósmej. Linie Wilsona.

O Boże! Znał Butcha Wilsona. Co gorsza, wiedział, jaką ma reputację. Facet zaczął karierę jako pilot w Wietnamie, gdzie nabrał skłonności do brawury. Potem przewoził narkotyki z Jamajki - były to czasy, kiedy przemysł narkotyków rozwinął się na skalę przemysłową. Upłynęło sporo czasu, nim otrzymał zezwolenie na czarter samolotów, lecz swoich złych przyzwyczajęń nie zmienił. Wciąż lubił wystrzeliwać w górę i gwałtownie pikować.

Może powinien na wszelki wypadek zabrać aviomarin?

Z drugiej strony Butch był wyjątkowo uczciwym człowiekiem. Coleridge'owie mieli szczęście, że na niego trafili.

- Butch to porządny gość - powiedział w końcu. - Jak do niego dotarliście?

- Znasz Drew Hunnecuta? - zapytała Weronika.

- Jasne. Byliśmy razem na Harvardzie. Brałem go często na nurkowanie. - Nie były to zwykłe, turystyczne rejsy. Kiedyś Drew przyjechał do miasta na urlop i chciał sobie urozmaicić odpoczynek. Odtąd Dugan planował urlopy w tym samym czasie i razem wypływali na „Mandolinie”.

- Poleciał was obu, pana i Butcha Wilsona.

- Teraz rozumiem. - Drew lubił takie brawurowe loty, zawsze był trochę szalony. Dugan kochał morze podobnie jak on, jednakże spędzanie życia na badaniu raf koralowych uważał za zajęcie prawie tak nudne jak wyplatanie koszyków.

- Mam nadzieję, że ma pani zdrowy żołądek - powiedział, patrząc prosto na Weronikę. - Butch czasami wariuje za sterami.

Wzruszyła ramionami.

- Drew mnie uprzedził. Powiedział też, że pan Wilson jest człowiekiem uczciwym i potrafi dochować tajemnicy.

- To prawda. - Czasem wydawało mu się, że Butch przechowuje tajemnice lepiej niż grób.

Orin Coleridge pożegnał ich zaraz po lunchu, wymawiając się zmęczeniem. Zostawił go z kobietą, która wydawała się patrzeć na niego z taką samą niechęcią, jak on na nią. Kogo ten Drew mu przysłał! Przy okazji musi powiedzieć mu parę słów.

Zamówił jeszcze jedno piwo, a Weronika sałatkę owocową. Nie była zbyt rozmowna. Może i miała ku temu powody, ale on czuł się niezręcznie. Przywykł do ludzi, którzy mówili dużo i chętnie.

- Czy pani tata wybiera się z nami na morze? Uniosła raptownie głowę.

- Mówił pan coś?

- Tak. Czy pani tata wybiera się z nami na morze?

- Raczej nie. Nie czuje się dobrze i potrzebuje dużo odpoczynku.

- Tak myślałem. - Wspaniale. On, Tam i ta kobieta. Co za wyborna kompania! Chyba że znajdzie z nią wspólny język, co pozwoli im swobodniej rozmawiać, bez wzajemnej podejrzliwości.

- Skąd u pani pewność, że znajdziemy statek w ciągu trzech miesięcy?

- Wcale nie jestem pewna.

- Naprawdę? - Wczoraj odniósł inne wrażenie. Potrząsnęła głową.

- Skąd więc ten termin?

Spojrzała na talerzyk z owocami i odsunęła go, jakby straciła apetyt.

- To długa historia, panie Gallagher.

- Proszę mi mówić po imieniu, dobrze? Chętnie posłucham, mam mnóstwo czasu. Może dziś wieczorem? Czy widziałaś już, jak świętujemy tu zachód słońca? Tego nie można przegapić. Przyjdę po ciebie koło wpół do siódmej.

Przez chwilę wahała się, czy nie odmówić, ale nie zamierzał jej na to pozwolić. Im częściej myślał o całym przedsięwzięciu, tym więcej nasuwało mu się pytań. I tym bardziej chciał się dowiedzieć, dlaczego ta na wpół głucha kobieta oraz śmiertelnie chory ojciec chcieli zacząć poszukiwania niemal natychmiast.

- Żadnych sprzeciwów - powiedział, obdarzając ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - O wpół do siódmej. Przyjdę po ciebie.

- Nie wiesz nawet, gdzie mieszkam.

- To mi powiedz. Nie możesz przegapić takiej okazji. To wielki show. Lokalna specyfika.

Po chwili wahania podała mu adres na Elisabeth Street. Gdy rozstawali się dziesięć minut później, był prawie pewny, że kiedy się tam zjawi, nie będzie jej w domu. Trudno, nie pierwszy raz ktoś wystawiał go do wiatru. Zresztą, aż tak bardzo mu nie zależało na spędzeniu wieczoru z Weroniką Coleridge.

Chciał tylko poznać jej opowieść.

Weronika rzadko wychodziła z domu, odkąd straciła słuch. Teraz pożegnała się z Gallagherem i zrobiła coś bardzo nietypowego: poszła na spacer po Key West. Anonimowa pośród tłumu, nie musiała nateżać słuchu ani czytać z warg. Po prostu szła swobodnie przed siebie i nikt nie wiedział o jej kalectwie.

Ulica rozbrzmiewała głośnym gwarem, wyjęła więc z uszu słuchawki i schowała do kieszeni. Chociaż wciąż nie była w stanie tego zaakceptować, czasami ciszę odczuwała jak prawdziwe błogosławieństwo. Teraz dźwięki dochodziły do niej niewyraźne i przytłumione, z bardzo daleka. Wielu w ogóle nie słyszała.

Widok śmiejących się bezgłośnie ludzi, nie wiedzieć czemu, wytrącał ją z równowagi bardziej niż cokolwiek innego. Odwracała od nich wzrok, koncentrując się na wystawach sklepowych.

Żałowała, że dała namówić się Duganowi na wieczorny spektakl. Właściwie wcale jej nie namawiał. Postawił ją przed faktem dokonanym. W pewnym sensie.

W głębi duszy chciała wyjść z domu, zachowywać się normalnie jak zwykły człowiek. Kiedyś i dla niej było to normalne. Kiedyś... Przed wypadkiem, zanim porzucił ją Lany. Zanim zwykła rozmowa z nieznaną osobą stała się największą katorgą w życiu.

Owszem, z ojcem porozumiewała się bez problemu. Przez ostatnie sześć miesięcy dobrze nauczyła się odczytywać jego słowa z ruchu warg. Gallaghera trudniej było zrozumieć, choć dużo łatwiej niż innych. Nie radziła sobie w rozmowach z obcymi, dlatego w podróży towarzyszył jej ojciec. Na pewno wolałby zostać w domu i odpoczywać, ale był tu, by pomagać córce w kontaktach z ludźmi, którzy czasem paplali bez ustanku.

Poczynając od obsługi na stacji benzynowej, a kończąc na kasjerce w supermarkecie - wszyscy stwarzali taki sam problem. Od kiedy straciła słuch,

uświadomiła sobie, jak rzadko ludzie patrzą na siebie, kiedy rozmawiają.

Zwykle spuszczaają oczy albo spoglądają w bok. Niektórzy mówią, prawie nie otwierając ust.

Wszystko to podkopało jej pewność siebie. Zdawała sobie z tego sprawę, lecz nic na to nie mogła poradzić. Unikała nawet wyjścia do sklepu, obawiając się, że ktoś się do niej odezwie.

Czuła zażenowanie i skrępowanie. Pierwsze - z powodu swej ułomności, a drugie - gdyż bez przerwy musiała prosić o powtarzanie słów i wyjaśniać, że nie słyszy. Tłumaczyła sobie, że nie ma za co przepraszać, a mimo to czuła się winna. Ponieważ nie była w stanie funkcjonować jak cała reszta „normalnych” ludzi.

Wmawiała sobie, że niewiele traci, zamykając się we własnym świecie ciszy. Cóż z tego, że nie rozumie, jak sklepikarz mówi: „Witam, co u pani słychać?” Pytanie bez znaczenia, na które odpowiada się zdawkowo „Wszystko w porządku”, nawet jeśli nie jest w porządku. Teraz przynajmniej nie musiała słuchać wszystkich banalnych i błahych słów.

Ilu ludzi ma naprawdę coś istotnego do powiedzenia? Kiedy rzeczywiście pragniesz zrozumieć czyjeś słowa, zawsze możesz poprosić o powtórzenie. Reszta nie jest nawet warta otwierania ust.

Tak mówiła do siebie w myślach.

Ale naprawdę nie wierzyła w to. Uczciwie stawiając sprawę, musiała przyznać, że brakowało jej rozmów o niczym i pogaduszek z przyjaciółkami o błahostkach. A nade wszystko tęskniła za dyskusjami, jakie zwykli prowadzić z Lanym o pracy.

Bardzo za nim tęskniła, mimo że okazał się skończonym gnojkiem, który powinien spalić się ze wstydu. Dobry Boże, przecież to on prowadził samochód. To on wypił za dużo, a wmawiał jej, że tylko jedno piwo. On był tak podchmielony, że nie zdołał ominąć innego pijanego kierowcy, który przeciął

pas zieleni i zderzył się z nimi. Jak więc śmiał powiedzieć, że nie miał nic wspólnego z jej okaleczeniem!

Zaczęła ogarniać ją ślepa furia, aż sama się przeraziła. Nigdy nie czuła takiej złości. Tak silnej, że miała ochotę tłuc pięściami na oślepa albo rozszarpać coś pazurami. To do niej niepodobne, ale tak właśnie się czuła. W miarę wychodzenia z depresji czuła narastającą wściekłość. Na Larry'ego, że porzucił ją, kiedy straciła i słuch, i dziecko. Na swój los. Na ojca, że wyrwał ją z załamania opowieścią o matce i jej poszukiwaniach.

Ta ostatnia myśl pojawiła się tak niespodziewanie, że zatrzymała się w miejscu. Tłum przesunął się obok, niektórzy patrzyli na nią jak na wariatkę, ale nie zwracała na nich uwagi.

Zła na ojca, że wydobył ją z depresji? To bez sensu.

W głębi duszy czuła jednak, że to prawda. Była na niego zła za to, że umierał, za to, że tak długo taił przed nią historię matki.

Furia. Zawładnęła nią całkowicie. Wściekłość na wszystkich i na wszystko.

Boże, dużo łatwiej było w depresji. Przynajmniej mogła zamknąć się w sobie i w samotności przeżywać cierpienie i rozpacz.

A gniew ranił znacznie bardziej.

Poczuła czyjeś dotknięcie, aż podskoczyła. Nieznajomy mężczyzna coś do niej mówił. Nie rozumiała go, bo nie miała słuchawek, a jego usta skrywała gęsta broda.

Poczuła się nieswojo. Wyraz jego twarzy mówił, że niepokoi się o nią. Uśmiechnęła się blado.

- Przykro mi, nie słyszę pana. Jestem głucha - wyznała z upokorzeniem.

Wydawał się ją rozumieć. Wskazał na pobliski bar i uniósł do góry kciuk. Skinęła głową, chociaż nie miała zamiaru czekać i przekonywać się, o co mu chodzi.

Dogonił ją, nim zdążyła minąć bar. Wcisnął jej do ręki butelkę lodowatej

gazowanej wody. Spojrzała zaskoczona. Wskazał na nią i wymownym gestem otarł czoło wierzchem dłoni. Mówił na migi, że jest bardzo gorąco.

Na jej twarzy pojawił się szczery uśmiech. Nie wierzyła, że potrafi się jeszcze na niego zdobyć.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech, pomachał i poszedł w swoją stronę, zostawiając ją na środku zatłoczonej Duvall Street z zimną butelką w ręku.

Nagle zebrało jej się na płacz. Zupełnie nie wiedziała, co począć z takim przejawem życzliwości.

Rozdział 4

Dugan Gallagher dotrzymywał słowa. Punktualnie o szóstej trzydzieści zapukał do drzwi. Orin zaprosił go do środka wyraźnie zaskoczony.

- Przyszedłem po Weronikę - wyjaśnił. - Chcę jej pokazać, jak świętujemy zachód słońca.

- Aha.

- Czy jest już gotowa?

- Chyba nie... Jest... - Orin rozejrzał się dookoła, jakby nie był pewien, czy córka jest w domu. - Przepraszam, zdrzemnąłem się. Myślę, że jest w swoim pokoju. Chwileczkę.

Dugan czekał w drzwiach, podczas gdy Orin zrobił parę kroków w głąb korytarza i zajrzał do innego pokoju. Nie puka się do pokoju głuchoj, zauważył, potrzeba raczej młota, żeby cię usłyszała.

- Dugan przyszedł - dobiegł go głos Orina. Nie uchwycił jednak, co odpowiedziała. Ciekawe, czy tak właśnie odbierała dźwięki, jak on przed chwilą, pomyślał.

- Będzie za moment. Prawdę mówiąc, dziwię się, że zgodziła się wyjść. Nie lubi przebywać wśród ludzi.

- Nie dałem jej wielkiego wyboru.

Na wychudzonej twarzy Orina pojawił się uśmiech.

- Może tego właśnie potrzebowała.

- Zobaczymy, jak długo potrafi mnie znieść.

Po chwili weszła Weronika, ubrana w białe szorty i jaskrawoczerwony top. Ciśnienie skoczyło Duganowi aż pod sufit. Boże, co za figura. Szkoda, że jej charakter nie dorównuje ciału.

Powiedziała ojcu „dobranoc” i wyszła za Duganem na ulicę. Elisabeth

Street nie była główną ulicą miasta, więc było tu dość spokojnie, choć nie brakowało turystów, którzy wszędzie szukali miejsc do zaparkowania.

Szybko sobie uzmysłowił, że nie mogą jednocześnie iść i rozmawiać, bo Weronika nie widzi jego twarzy. Zatrzymał się i dotknął jej łokcia.

- Zarezerwowałem stolik na nabrzeżu - powiedział wyraźnie, kiedy na niego spojrzała. - Wypijemy po drinku, może coś zjemy.

- Zgoda.

Jak na początek idzie gładko, uznał. Na ruchliwej ulicy odruchowo wziął ją pod rękę. Poczuł ulgę, kiedy nie zaproponowała. Obawiał się, że jest nadopiekuńczy i nie zdziwiłby się, gdyby zwróciła mu uwagę, że potrafi iść sama, bez wspierania się na jego ramieniu.

Tymczasem nie powiedziała nic, może dlatego, że czuła się nieswojo wśród tłumu. Nie był to typowy spacer pod rękę, ale coś w tym rodzaju. Szli dosyć szybko, tylko dlatego, że większość ludzi, jak i oni, zmierzała w kierunku Sunset Dock i Mallory Square na wieczorne święto.

Miał swoje znajomości i stolik już na nich czekał. Mogli usiąść tak jak wszyscy - po tej samej stronie stolika, by bez przeszkód obserwować zachód słońca. Dugan uznał jednak, że lepiej będzie usiąść naprzeciwko niej, plecami do zatoki.

Weronika wciąż nie bardzo rozumiała, co tu właściwie robi i dlaczego uległa jego presji. Lecz po chwili przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Odczuwała kojący powiew wiatru, słońce schodziło coraz niżej, a ekscytacja zgromadzonych udzieliła się także jej. Przyciszone rozmowy zlewały się w słuchawkach w jeden pomruk, ale to jej nie przeszkadzało. Wciąż rozumiała, co mówi Dugan.

- Czego się napijesz?

- Toma Collinsa - odrzekła po chwili wahania.

- Dobry wybór. - Chyba tak właśnie powiedział. Zrobił to zbyt szybko,

odwracając się do kelnera.

Nie była pewna, co zamówił; zobaczy, gdy podadzą. Udawała, że nie przejmuje się takimi drobiazgami, lecz prawda była inna. Nie chciała jednak myśleć o tym teraz. Było zbyt nastrojowo, żeby rozpamiętywać swoje nieszczęście.

Chciałaby oczywiście słyszeć plusk wody uderzającej o pomost. Wyobrażała sobie ten łagodny dźwięk i wyostrzyła zmysł, by go wyłowić z bombardującej kakofonii. Szkoda, nie udało się.

Ostry krzyk przelatującej mewy wyrwał ją z zamyślenia. Powędrowała wzrokiem za ptakiem i poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

Dugan powiedział coś, czego nie zrozumiała. Znowu utkwiała w nim wzrok, czując ogarniającą frustrację. To się ciągle powtarzało. Bóg jeden wie, jak będzie dalej z tym żyła.

- Nie usłyszałam cię.

- Wiem, ale nie chcę wciąż wyciągać ręki i cię dotykać - odpowiedział wolno, starannie wymawiając słowa. - Muszę więc mówić, żebyś zwróciła na mnie uwagę.

- Och, przepraszam. - Za co? Dlaczego ma przeproszać za coś, na co nie ma wpływu?

- Nie ma za co. - Uśmiechnął się. Jakiś diablik krył się w jego uśmiechu, nieprawdopodobnie czarującym uśmiechu. Weronice zrobiło się ciepło na sercu i wcale jej się to nie spodobało. Nie chciała, aby ktoś tak łatwo zawładnął jej uczuciami. Miała wystarczająco dużo innych problemów.

- Co powiesz na zapiekane małże na przystawkę?

- Brzmi nieźle.

Skinął na kelnera, który ich obsługiwał, i złożył zamówienie. Tak przynajmniej się domyśliła. Wciąż musiała się domyślać, co mówią inni - nienawidziła tego. Cały czas skupiała się na obserwowaniu ich warg, sklejanu

w całość urywków słów. Próbach wyłapania sensu całego zdania, gdy umykały poszczególne słowa. Zaczęła nabierać wprawy, ale rozumiała, że tak już pozostanie do końca życia. Zawsze.

Powiew wiatru potargał jej włosy. Zgarnęła je z twarzy do tyłu, wywołując łomot w słuchawkach. Utkwiła wzrok w wodzie i dwóch przybrzeżnych wysepkach. Kanałem płynęły łodzie, niektóre z postawionymi żaglami, inne na silnikach, a wszystkie kierowały się ku morzu.

Dugan dotknął jej ramienia.

- Wypływają łodziami, by na morzu podziwiać zachód.

Też pragnęła to zobaczyć. Może jej się uda, kiedy zaczną poszukiwania. Teraz musiała zadowolić się obserwowaniem łodzi, między innymi przepływającego właśnie dużego szkunera. Sądząc z ilości ludzi na pokładzie, był to turystyczny rejs.

Sączyła drinka, delektując się jego cierpko-słodkim smakiem, czując przyjemny chłód na ustach. Dugan popijał piwo, patrząc tęsknie na szkuner.

Znała to spojrzenie. Tak samo się czuła, spoglądając na kogoś z niemowlęciem na ręku lub na roześmianą, szczęśliwą parę. Na to, co bezpowrotnie utraciła w ciągu kilku sekund pewnej deszczowej, piątkowej nocy. Ból, o którym nie mogła zapomnieć, przeszył ją na nowo. Przymknęła na chwilę oczy.

Poczuła się samotna, jak nigdy dotąd. Szybko uniosła powieki, aby móc lepiej rozróżniać docierające dźwięki.

- Chciałbyś mieć taki szkuner? - zapytała Dugana, raczej by odpędzić własne myśli niż z ciekawości.

Spojrzał na nią.

- Niekoniecznie. Ale kocham żeglowanie. Czasem wydaje mi się, że urodziłem się sto lat za późno.

- Czemu? Mógłbyś chyba sprawić sobie żaglowiec?

- Mam żaglowiec. Niestety, to nie są dobre czasy dla kogoś, kto chciałby popłynąć do... być kapitanem...

- Czego?

- Klipera - powiedział krótko.

- Aha. - Widziała je na zdjęciach. - Były bardzo szybkie, prawda?

- Bardzo. Sześć miesięcy do Chin i z powrotem. - Uśmiechnął się niezbyt szczerze.

- To czemu poszedłeś na Harvard, jeśli chciałeś być kapitanem?

- Dobre pytanie. - Roześmiał się i wzruszył ramionami. - Chyba ze względów praktycznych. No i nikt nie potrzebuje dzisiaj kapitanów klipera.

- A co przygnało cię tutaj?

Przekrzywił głowę, jakby nie rozumiał pytania.

- Przygnało? Co masz na myśli?

- Ekonomiści po Harvardzie na ogół nie lądują w takich miejscach.

- Tak? - Uniósł brew. - Jesteś snobką?

- Nie, jestem ciekawa.

- Trafiłem tutaj z Wall Street. Można powiedzieć, że moje, hmmm, reguły postępowania nie były wystarczająco elastyczne.

Zajęło jej parę chwil, nim go dobrze zrozumiała.

- Chcieli, żebyś był bardziej skłonny do ustępstw?

- Tak jest.

- Ale nie byłeś? Zaśmiał się.

- Tam liczyła się tylko władza i pieniądze. Nic innego. Przynajmniej nie w biznesie.

Stwierdzenie było cyniczne, ale na pewno prawdziwe. Wierzyła mu, sama nie miała do czynienia ze światem wielkich pieniędzy.

- Więc jak się tu znalazłeś?

- Och, postanowiłem zostać plażowym obibokiem.

- Plażowym obibokiem?

Rozłożył ramiona, jakby mówiąc „spójrz na mnie”.

- Coś nie wyszło, prawda? - Nie mogła się powstrzymać od drobnej złościwości.

- Wygląda na to, że nie. - Znów się roześmiał, zarażając ją swoją wesołością. Mogło jej się w nim nie podobać wiele rzeczy, ale na pewno polubiła jego autoironiczne poczucie humoru.

- Jestem szczęśliwy. Pracuję tyle, ile chcę. - Nie była to cała prawda, lecz nie zamierzał się spowiadać. - I mam wszystko, na co przyjdzie mi ochota. - No, prawie wszystko. - A jak było z tobą?

- Ze mną?

- Dlaczego zostałeś archeologiem?

- Nigdy nie dopuszczałam myśli, że mogę robić coś innego. - Tak było w istocie. Dorastała u boku ojca - archeologa i wszystkie wakacje spędzała z nim na wykopaliskach w Ameryce Środkowej. No i była jeszcze matka. Prawie jej nie pamiętała, gdyż była wtedy kilkuletnią dziewczynką. Tym niemniej cały czas dorastała ze świadomością, że matka również była archeologiem.

- Dlaczego? Dlaczego nie pomyślałaś o innym zawodzie?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czyż to, że przez całe życie nie chciała być kimś innym, nie było prozaiczne?

- Sama nie wiem. Zawsze chciałam robić tylko to.

- W porządku. Sądziłem, że to może pod presją ojca?

- Na pewno nie. - Z jakiegoś powodu nie czuła do niego urazy za to pytanie, choć przecież mogła. Zapytał jednak bez żadnych podtekstów. Z czystej ciekawości. Ona również chciała dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Pojawił się kelner z zamówieniem i spytał, czy podać nowe drinki. Dugan potrząsnął przecząco głową. Weronika odetchnęła z ulgą. Stawała się nerwowa, gdy ktoś pił za dużo. Spojrzył na nią pytająco, wskazując na kieliszek. Również

odmówiła.

Zanurzyła kawałek mała w ostrym sosie i włożyła do ust.

- Smaczne, prawda? - stwierdził Dugan, obserwując wyraz jej twarzy. Jeżeli kiedyś stąd wyjadę, będę musiał znaleźć sposób, żeby mi je przysyłali.

W tym momencie do stolika podszedł wąsaty blondyn i usiadł na wolnym krześle. Uśmiechając się, zaczął coś szybko mówić do Dugana. Weronika zdołała uchwycić jedno, może dwa słowa.

Dugan zauważył jej niepewność. Powiedział coś do tamtego, po czym zwrócił się do niej.

- Chciałbym, żebyś poznała drugiego nurka, Weroniko. - Dodał coś jeszcze, ale nie dosłyszała.

Mężczyzna obrócił się do niej z promiennym uśmiechem

- To pani jest szefową? - Wyciągnął rękę na powitanie.

- Nie usłyszałam pańskiego nazwiska - z trudem wykrztusiła.

- Tam, proszę mi mówić Tam.

- Tam?

- Tak jest.

- Weronika ma... trudności w słyszeniu. Mów wolno i wyraźnie.

- Jasne. W porządku. Żaden problem. - Spojrzał na jej uszy. Policzki Weroniki oblała fala gorąca. Dodał coś, czego nie zrozumiała. Jego wąsy skutecznie w tym przeszkadzały.

- Słuchaj, Tam - odezwał się Dugan, zwracając twarz tak, by Weronika mogła widzieć jego usta. - Pogadamy później, dobrze? Mamy tu z panią coś do omówienia.

- Oczywiście. - Tam uśmiechnął się do niej. - Miło była panią poznać, szefowo. - Po czym wstał i odszedł.

- Nie przejmuj się - powiedział Dugan, kiedy Weronika znowu utkwiała w nim pytające spojrzenie. - Tam jest.... trochę bezceremonialny. Wciąż mu się

wydaje, że żyjemy w latach sześćdziesiątych.

Roześmiała się. Naprawdę ją to rozbawiło.

- Chyba jest za młody...

- Wiem. Był zdruzgotany, kiedy zdał sobie sprawę, że ominął go Woodstock. Ale wracając do rzeczy...

- Tak?

- Co wiesz o swoim jutrzejszym pilocie?

- O Butchu Wilsonie? Tyle, że jest bardzo dobry. Drew wysoko go ceni.

Czemu pytasz? Czy coś z nim nie tak?

- Nie, nic. Tak tylko pytam... - Odwrócił głowę, spoglądając na niebo. W miarę jak słońce zniżało się, pasemka chmur wysoko w górze zaczęły przybierać złotą barwę.

Na nabrzeżu panował tłok, buczenie wielu głosów pobrzmiwało w uszach Weroniki. Ku swemu zdziwieniu czuła narastające podekscytowanie. Jest coś niesamowitego w tym, że codziennie gromadzą się tłumy, aby podziwiać zachód słońca. Coś pogańskiego.

Nie myślała jednak z dezaprobatą, raczej z nutką podziwu dla tradycji i żywiołowości tej celebracji.

Pochwyciła na sobie wzrok Dugana.

- Dlaczego trzy miesiące? - spytał. - Skąd ten termin?

- Ojciec nie czuje się dobrze.

- Zauważyłem. Bardzo z nim źle?

- Miesiąc temu skończył chemioterapię i wydaje się, że nastąpiła remisja, chociaż nie wiadomo na jak długo. Nie mam zbyt dużo czasu, bo on go nie ma.

Dugan skinął głową ze zrozumieniem.

- Ale... na pewno zdaje sobie sprawę, jakie małe macie szanse?

Wzruszyła ramionami. Zaczynała być zmęczona ciągłym przekonywaniem, że plany mogą się nie powieść. Wiedziała o tym. W przeciwieństwie do tych,

którzy tak twierdzili, ona знаła wyniki dwudziestoletnich badań, jakie prowadziła matka. Musiała je tylko nieco inaczej zinterpretować. Nie zaczyna poszukiwać od zera.

- Za trzy miesiące ojciec musi powtórzyć badania. Wtedy może się okazać, że choroba zaatakowała ponownie. Nie mamy dużo czasu.

- Rozumiem. - Drgnęła, kiedy położył swoją rękę na jej dłoni.

Dotknięcie poruszyło ją bardziej, niż się spodziewała. Od dawna nikt jej tak nie dotykał. Głuchota sprawiła, że czuła się jak pod kloszem. Mogła widzieć, co się dookoła dzieje, ale nie mogła słyszeć... i dotykać. W każdym razie nie innych ludzi. Jedynym człowiekiem, który ją teraz dotykał, był ojciec.

Zastanawiała się dlaczego.

Zawsze żywo reagowała na dotyk, wymieniała uściski z przyjaciółmi. Teraz jednak, kiedy miała rzadkie okazje ich spotykać, wydawali się nie mieć ochoty jej dotykać, jakby była zbyt krucha albo mogła ich czymś zarazić. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. W chwili, gdy Dugan wziął ją za rękę, zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej tego ludzkiego odruchu.

Jego dłoń była ciepła, sucha i zaskakująco szorstka. Na pewno oprócz siedzenia przez cały dzień przy komputerze pracuje jeszcze fizycznie. Ma spracowane ręce.

Spojrzała na własną dłoń, mocno opaloną, pokrytą drobnymi szramami. Jego dotknięcie wywołało niemal fizyczny ból. I pragnienie czegoś, czego przysięgała sobie nigdy nie pragnąć.

Już miała cofnąć rękę, kiedy jego palce lekko ją przytrzymały.

Utkwiła spłoszony wzrok w twarzy Dugana.

- Przykro mi - powiedział. - Z powodu twojego ojca.

Nie wiedziała, jak zareagować. Jej też było przykro. Jednakże w tej chwili czuła przede wszystkim narastającą potrzebę przerwania tego fizycznego kontaktu, który ją wręcz paraliżował.

Obejrzał się, po czym nie wypuszczając jej ręki, spojrział na nią ponownie.

- Chcesz oglądać stąd, czy przejdziemy się?

- Przejdźmy się. - Uznała, że tak będzie bezpieczniej. Bezpieczniej będzie przedzierać się przez tłum, niż nadal rozmyślać, jakie bezbarwne życie prowadziła przez ostatni rok. Fakt, że tak bardzo przeżywała zwykłe dotknięcie, świadczył o tym, jak wielka otaczała ją pustka. Musi być ostrożna - niespodziewanie odkryła w sobie wewnętrzną słabość.

Podniósł się i pomógł odsunąć jej krzesło. I wtedy nieoczekiwanie objął ją i zanim zdążyła zaprotestować, pokierował w stronę Mallory Square.

Targały nią sprzeczne uczucia. Jego ramię dawało poczucie bezpieczeństwa i za to siebie nienawidziła. Kiedyś spacerowała sama. Teraz utraciła pewność siebie, a zarazem nie mogła znieść, że pragnie emocjonalnego wsparcia.

Chociaż gardziła własną słabością, nie potrafiła odtrącić ramienia Dugana. Nie mogła się do tego zmusić. Czowała się przy nim jak otoczona ochronnym pancerzem. Jeśli ktoś odezwie się teraz do niej, nie będzie już zagubiona. Dugan usłyszy za nią. Gdyby nie była w stanie zrozumieć, wyjaśni. Ochroni ją przed codziennymi sytuacjami, które nie powinny jej przerażać. A przerażały.

Co więcej, coraz bardziej ją stresowały.

Fale dźwięków w słuchawkach przytłaczały. Była wyczerpana ciągłym usiłowaniem zrozumienia, co do niej mówią. Zwykła rozmowa stanowiła dla niej poważną trudność, a co dopiero przebywanie wśród nieznanomych; odczuwała to wręcz jak zagrożenie.

Dotarli do placu i usiedli na kamiennym murku, żeby podziwiać zachód słońca. Chmury zaczęły przybierać ciemniejszy odcień czerwieni, a ognista kula do połowy zanurzyła się w morzu. Z mieszaniny gwarych, wesołych rozmów wyłowiła dźwięki muzyki - kobzy i fletu.

Dugan spojrział na nią z uśmiechem.

- Jestem tu już dziesięć lat, a wciąż mnie to zachwyca.
- To prawie jak karnawał.
- Masz rację. Powiedz mi szczerze, dlaczego te poszukiwania są dla ciebie

takie ważne?

Minęło kilka chwil, zanim go zrozumiała. Zmiana tematu była tak nagła, że nie od razu domyśliła się, co powiedział.

- Jestem archeologiem.
- A ja tego nie kupuję. Zesztywniała i odsunęła nieco.
- Dlaczego?
- Bo nie jesteś tutaj służbowo.
- Kto ci tak powiedział?
- Twój tata, kiedy cię ostrzegął, że nie powinnaś wydawać na to wszystkich

pieniędzy.

- Ach. - Odwróciła głowę. Straciła chęć do dalszej rozmowy. To naprawdę nie jego sprawa.

On jednak uniósł palcem jej podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- To oszustwo - powiedział z żartobliwym błyskiem w oczach. - Jeżeli chcesz, żebym się przymknął, powiedz wprost, a nie zbywaj mnie odwracaniem głowy.

Na policzkach poczuła falę gorąca, aż przestraszyła się, że pokryły się pąsowym rumieńcem. Miała nadzieję, że on weźmie to za odbłask słońca, które właśnie zniknęło za horyzontem.

- No więc dlaczego to takie ważne, że wydajesz własne pieniądze?

Nie potrafiła mu obcesowo powiedzieć, żeby się odchrzanił. Zwykle w takich okolicznościach bez ogródek mówiła ludziom, żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy.

Od chwili wypadku bardzo się zmieniła. Nie wiedziała, czy od wypowiedzenia ostrych słów powstrzymał ją brak pewności siebie, czy też

sprawiły to jego niedawne czułe gesty. W końcu wskazała w stronę południowego zachodu.

- Tam gdzieś leży mała wyspa.

- Tam jest mnóstwo małych wysepek - powiedział z humorem.

- Ta ma szczególne znaczenie. Do 1703 roku zamieszkiwało ją rdzenne plemię. Istnieją na ten temat wzmianki w starych dokumentach, ale poza tym nic o nim nie wiadomo.

- Co się z nimi stało?

- Huragan zmiotł ich z powierzchni. Ten sam, który zatopił „Alcantarę”.

- Coś mi się wydaje, że to się ze sobą wiąże...

- Nie bez powodu wspomniałam o tym, kiedy zapytałeś o statek. - Odrzekła z figlarnym błyskiem w oku.

Roześmiał się swoim ciepłym, uroczym śmiechem, który tak głęboko zapadł jej w serce.

- No dobrze, mów dalej.

- Jeśli chodzi o ich kulturę, była jak z epoki kamiennej. Mieszkali w chatkach z trzciny i słomy, pozostały po nich resztki plecionych koszy, niewypalonych glinianych skorup i kamiennych narzędzi. Nieliczne paleniska. Ponieważ na wyspie nie było złota, Hiszpanie zostawili ich w spokoju. Dlatego praktycznie nic o nich nie wiemy.

- Kiedy zawinął tam statek?

- Około 1700 roku, kiedy Hiszpanie postanowili nawrócić ich na chrześcijaństwo. Przywieźli paru zakonników, no i żołnierzy. Jeden z nich poślubił kapłankę plemienia i miał z nią dziecko. Po kilku latach namówił ją na podróż do Hiszpanii.

- I płynęli tym statkiem?

- Tak. Wzięli ze sobą jedyne wytworzone przez plemię dzieło sztuki - maskę, której kapłanka używała podczas religijnych obrzędów. Zrobioną z

litego złota.

Potarł ręką podbródek, myśląc o tym, co powiedziała. Słońce już się skryło, chmury nabrały koloru indygo. Spojrzał na nią.

- Czyżby ta maska była więcej warta niż całe przewożone złoto? Weronika wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to nieważne. Zależy mi tylko, żeby ją odnaleźć.

- To rzeczywiście szukasz igły w stogu siana.

- Na to wygląda. Zachichotał.

- A ja myślałem, że będziemy mieli trudności z odnalezieniem wraku...

Tymczasem mamy szukać czegoś wielkości ludzkiej twarzy?

- Trochę większego. Mam jej dokładny opis. Wizerunek twarzy otoczony jest misternym filigranem, symbolizującym wiejące wiatry. Prawdopodobnie przedstawia oblicze Matki Burz, mocy władającej huraganami. Legenda mówi, że kiedy kapłanka wzięła ze sobą maskę do Hiszpanii, Matka Burz wpadła w gniew i zmiotła z powierzchni wyspy jej mieszkańców oraz zatopiła statek.

- Skąd o tym wiadomo? Przecież nikt nie ocalał.

- Prawie nikt. Poza dwiema osobami.

- To zaczyna być interesujące.

Ciekawa była, jakie wrażenie wywarła na nim opowieść. Sama przez ostatnie sześć miesięcy zdążyła się z nią oswoić. Zapomniała już, jak bardzo była zaintrygowana, kiedy po raz pierwszy usłyszała tę historię.

- To byłaby rzeczywiście bomba - stwierdził Dugan. - Prawdziwa bomba.

- Na pewno.

- Ale kiedy pomyślę o niedużej masce, leżącej gdzieś na tym ogromnym obszarze... - pokręcił głową.

Nie powiedziała nic więcej. To, co on myślał, przestało mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Płaci mu za pracę, więc ma ją wykonać. Nie potrzebuje jego opinii.

- A niech tam... - spojrzał jej prosto w oczy. - Pobawimy się trochę przez te parę miesięcy.

Pobawimy się?

To dla niego ma być zabawa? Niezbyt jej się to podobało. Nie zachowywał się jak profesjonalista, a zadanie, które mieli wykonać, wymagało profesjonalizmu od początku do końca. Przecież to badania archeologiczne. Należy je prowadzić metodycznie, skrupulatnie, z należytą starannością. To nie jakaś tam zabawa na plaży.

Przypomniała sobie krótkie spotkanie z Tamem i pierwszy raz ogarnęły ją wątpliwości. W co się wpakowała?

Wtedy Dugan powiedział coś, co spowodowało, że krew odpłynęła jej z twarzy.

- Rozchmurz się, Weroniko. Zobaczysz, że będziemy się dobrze bawić.

Wcale nie chciała się dobrze bawić. Chciała jak najszybciej wykonać robotę. A widząc, jak się do niej szczyrzy, była już pewna, że popełniła wielki błąd.

On ma zamiar się bawić!

Czyjej się to podoba, czy nie.

O rany!

Rozdział 5

Butch Wilson nie wyglądał na faceta igrającego z własnym życiem, ale pozory mogą mylić. Powoli wkraczał w wiek średni, po pamiętnych, buntowniczych latach sześćdziesiątych pozostał mu jedynie siwy kucyk. Mówił spokojnym, cichym głosem, nie zachęcającym do szukania z nim zaczepki. Niczego nie musiał udowadniać. Z tego, co opowiadał kiedyś przy tequili, Dugan wywnioskował, że Butch zna więcej skutecznych sposobów na uśmiercenie człowieka, niż on mógł sobie wyobrazić.

Tuż przed startem Weronika rozłożyła mapy i pokazała rejon, który ją interesował.

- Skąd wiesz, że to właśnie tu? - zapytał Dugan.

- Drew sporządził symulację komputerową opartą na relacji świadka. Zakładam, że świadek wskazał właściwe miejsce katastrofy. Jeśli się nie mylę, to właśnie ten rejon.

Dugan przytaknął, choć nie był całkiem przekonany. Za dużo w tym gdybania. Ale, do diabła, przecież to jej forsa.

- W porządku - powiedział Butch. - Możemy lecieć.

- Tylko żadnego kręcenia beczek - uprzedził Dugan, sadowiąc się obok niego. Weronika wolała usiąść z tyłu, żeby mieć pod ręką swój GPS. Praktycznie był niepotrzebny, ponieważ Butch miał identyczne urządzenie na tablicy rozdzielczej.

- Niczego takiego nie planuję... - odpowiedział Butch z niezmaconym spokojem.

- Żadnego pikowania, wrywania w górę... Prosto i spokojnie. Butch roześmiał się, a Weronika spojrzała na nich pytająco. Dugan odwrócił się do niej.

- Powiedziałem mu, żeby nie popisywał się cyrkowymi sztuczkami.
- Dziękuję.

Nałożyła słuchawki, które podał jej Butch.

- Jak mnie słyszysz? - zapytał przez mikrofon.
- Może być. Nie idealnie, ale może być.

Widząc jej twarz, Dugan odniósł wrażenie, że wcale nie słyszy dobrze. Czyż mogło być inaczej? Słuchawki nie pomogą jej dosłyszeć spółgłosek lepiej niż własny aparat. Już sobie wyobraził swój kark, zeszywniały od ciągłego odwracania w tej przyciasnej awionetce.

- Boże - powiedział do mikrofonu, nie dbając, czy ktoś go słyszy - czuję się jak sardynka w puszcze. - Nikt się nie odezwał.

- No to ruszamy. - Butch włączył starter i dwa silniki zaczęły pracować. Parę minut później kołowali na pas.

W skrytości ducha tę część lotu Dugan lubił najbardziej, kiedy samolot wzbija się w powietrze. Rzecz jasna czułby się dużo lepiej, gdyby to on siedział za sterami.

Po kilku minutach byli już nad zieloną wodą, przyjmując kurs na Marquesas.

- Jednak znacznie przyjemniej jest żeglować - Dugan nie mógł powstrzymać się od komentarza.

- Po prostu jesteś przyzwyczajony chodzić po ziemi - odpowiedział Butch. - Masz ołów w nogach.

Miał chęć na kąśliwą ripostę, ale zrezygnował. Po części zgadzał się z nim. Rozwód z Jana rzeczywiście podciął mu skrzydła. Teraz, po czasie, rozumiał, że był zbyt młody, żeby wyjść z tego obronną ręką.

Ale czy to dobrze, że człowiek mądrzeje z wiekiem? I tak większość tych, których lubił, wciąż miała w sobie coś z dziecka.

Zerknął przez ramię na Weronikę, która w skupieniu wyglądała przez

okno.

- Jeszcze nie dolecieliśmy? - zapytał przez mikrofon.

Pokręciła głową i nic nie odpowiedziała. Pewnie w ogóle go nie zrozumiała, pomyślał. Pewnie w ogóle go nie słuchała.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że siedzi jak na szpilkach i myśli tylko o jednym - czy uda im się coś zobaczyć?

Ku swemu zaskoczeniu sam również poczuł narastającą ciekawość.

A jeżeli rzeczywiście dostrzegą na dnie coś niezwykłego? Jeżeli zobaczą prostą linię koralowca, świadczącą, że wyrósł na czymś sztucznym? Często się z tym spotykał, kiedy w młodych, szalonych latach nurkował wśród raf. Wraki, na które wtedy natrafiał, nie były specjalnie interesujące, jednak tym razem może być inaczej. Całkiem inaczej.

Woda nie była tak przejrzysta jak dziesięć lat temu. Zmąciły ją ścieki z plantacji trzciny cukrowej, rozsianych po całym Everglades.

Mętna czy nie, z tej wysokości widzieli dno i to zaczynało się Duganowi podobać.

- Widzicie? - odezwał się. - To jakaś sieć.

- Aha - potwierdził Butch. - Nigdy nie zrozumiem tych, którzy uwielbiają wysokie loty. Stamtąd nie można dojrzeć żadnych zatopionych rzechów.

Z samolotu widział znacznie większy obszar dna. Z poziomu łodzi przeszkadzały odbicia zaciemniające wodę. Całkiem nieźle.

- Przypominają mi się czasy, kiedy szmuglowałem narkotyki - zauważył Butch. - Latanie pod radarem.

Dugan miał nadzieję, że Weronika go nie słyszała. Nie spodobałoby się jej.

- Czemu właściwie z tyra skończyłeś?

- Włączyli się Kolumbijczycy. Przedtem to był ot, taki przyjemny biznes na małą skalę. A oni poszli na całość. To nie dla mnie, dziękuję.

Po godzinie Weronika odezwała się po raz pierwszy.

- Spójrzcie! Po lewej. Widzicie?

Butch odwrócił głowę, również Dugan próbował coś dostrzec ponad jego ramieniem. Butch, choć słowny z natury, od razu zapomniał, że obiecał lecieć równo i spokojnie. Jednym ruchem położył samolot na skrzydło.

Dugan przełknął ślinę.

- Gdzie? - spytał.

W odpowiedzi Weronika wskazała palcem. Wyteżył wzrok, starając się coś dojrzeć. Bez skutku.

- Gdzie? - spytał Butch. - Podaj kierunek.

- Na dziesiątej - podpowiedział Dugan.

- No to sprawdźmy.

Zmienił kurs, porzucając całkowicie przyjętą dotychczas siatkę poszukiwań. Weronika niemal przykleiła twarz do szyby.

Wreszcie Dugan to zauważył. Długie i wąskie. Jakby wybrzuszenie mułu. Górka z piasku. Tyle że... tyle że z jednej strony tworzyła zbyt prostą linię.

- Może - powiedział. - Może...

Weronika zajęta była sprawdzaniem GPS-u i nanoszeniem współrzędnych na papier.

- Widziałeś? - zapytał Butch.

- Taak - odpowiedział Dugan. - Wracajmy na naszą siatkę. Jednakże podczas dalszego lotu niczego więcej nie wypatrzyli. Kiedy wysiadali z awionetki, Weronika wyglądała na zmęczoną. Dugan instynktownie wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Chętnie skorzystała.

- Naprawdę chcesz po południu znów lecieć? - spytał Butch.

Dugan zauważył, że zwrócił się do niego, a nie do Weroniki, jakby to on był tutaj szefem. Poczul się trochę niezręcznie. Wyobraził sobie, jak to musiało irytować Weronikę.

Spojrzał na nią. Napotkał jej pytający wzrok.

- Nadal chcesz polecieć po południu?

- Tak. Będzie wtedy inne światło.

- Dobry pomysł. - Popatrzył na Butcha, ale nie powtórzył, co mu odpowiedziała. Facet powinien, do cholery, słuchać poleceń głuchej kobiety. Zwłaszcza, że mu płaci.

- Zgoda. W takim razie o trzeciej - odezwał się Butch.

Weronika skinęła i poszła prosto do samochodu. Dugan już miał pójść za nią, ale zatrzymał się i zwrócił do Butcha.

- Ją pytaj, jakie ma plany.

- Nie bardzo może mnie zrozumieć.

- Zrozumie, jeśli będziesz na nią patrzył, kiedy mówisz. Od teraz, jak masz jakieś pytania, zwracaj się do niej.

Butch uniósł rękę.

- Dobra już, dobra....

Powłócząc nogami, skierował się w stronę hangaru.

O Jezu, westchnął Dugan. Weronika może jest głucha, może i uparta, ale z pewnością, do diabła, nie jest głupia.

Mamrocząc pod nosem, podszedł do samochodu, gdzie na niego czekała. Potargana, w bawełnianym kombinezonie, też wygląda wystrzałowo, pomyślał z irytacją. Co go właściwie, do cholery, obchodzi, jak traktuje ją jakiś palant. To w końcu jej problem.

Otworzył szeroko drzwi, żeby się trochę przewietrzyło, po czym wsiadł, uruchomił silnik i włączył klimatyzator. Do diabła, co on tu właściwie robi? Prawie cały czas upał. Cholerne tropikalne podmuchy. Żeby raz, chociaż raz poczuć chłód. Czuł, że jego całe jankeskie ciało zaczyna wyć. Jak za każdym razem, kiedy miał ochotę na odrobinę zimy, niech to szlag...

I dlaczego, do diabła, jest tak cholernie wkurzony?

Weronika wsiadła i zamknęła drzwi. Zatrzasnął swoje. Klimatyzator wciąż

dmuchał ciepłym powietrzem, ale przynajmniej było to suche ciepłe powietrze.

Miał zamiar podrzucić ją do domu i umówić się na drugą trzydzieści.

Ale jakoś przypadkiem przejechał obok i znaleźli się na jego parkingu przy Zielonych Wodach.

Zobaczył, jak mu się przygląda tymi zwięzonymi oczami. Nic dziwnego, zachowywał się jak kretyn, mamrotał do siebie i brał zakręty jak szaleniec.

- Strasznie mi gorąco - odezwał się w końcu. Nie była to cała prawda. Wcale nie. Nawet te parę minut na gorącej płycie lotniska nie usprawiedliwiała takiego zachowania.

- Chodźmy na lunch - zaproponował. - Musimy porozmawiać.

- Potrzebuję trochę ciszy - odpowiedziała.

Już otworzył usta, kiedy dotarło do niego, jak dziwnie zabrzmiały te słowa wypowiedziane przez osobę głuchą. Potrzebowała ciszy? Czyżby nie miała jej już dosyć?

- Co masz na myśli?

- Jestem strasznie zmęczona tym całym hałasem w samolocie. Chciałabym wyjąć słuchawki i przez chwilę niczego nie słuchać.

- Och. - Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi, ale miał wrażenie, że nie każdemu to wyjaśnia. - Jasne. Wiesz co, zdejmij słuchawki i pójdziemy na lunch. Ja nie będę się odzywał, a potem założysz je znowu i pogadamy.

- Pogadamy? O czym? - zdziwiła się.

- O niczym specjalnym. Mam po prostu ochotę pogadać.

Popatrzyła w bok - pewnie się zastanawiała - ale pierwszy raz uświadomił sobie, jak wysoki mur stawia w ten sposób między nimi. Nie była wtedy w stanie zrozumieć ani słowa, nie było więc sensu w ogóle się odzywać.

Pragnął jej dotknąć, żeby znów na niego spojrzała, ale nie miał do tego prawa. Musiał po prostu czekać, aż zdecyduje się wrócić. To jeszcze bardziej pogłębiało jego frustrację.

Wreszcie spojrzała. Może dlatego, że tak długo trwał w bezruchu i nie odzywał się. A może powróciła skądś, gdzie krążyła myślami.

- Dobrze, chętnie pójde na lunch. A słuchawki zdejmę później. Chyba powinnam się przyzwyczać do tego zgiełku.

- Jak sobie życzysz.

Przeszli ulicą kawałek dalej, do restauracji, w której już byli. Z jakiegoś powodu teraz było tu dużo spokojniej. Usiedli przy stoliku w rogu, z dala od innych.

- No i jak? - zapytał. Uśmiechnęła się.

- Nieźle. Przepraszam, ale cały ten hałas w samolocie, zakłócenia w radiu... moje słuchawki jeszcze to potęgowały... bardzo mnie to zmęczyło. To całkiem inaczej, niż kiedy słyszałam. Inaczej... Może dlatego, że większość dźwięków była w zakresie, w którym słyszę; wydawały się naprawdę głośne.

- Myślałem, że są aparaty, które pracują na określonych częstotliwościach.

- Owszem. Ale nie są doskonałe. Tak jak mój.

Spuściła wzrok, trochę zakłopotana, aż poczuł chęć, by ją objąć. Uff. Kiepski pomysł. Zbyt niebezpieczny. Sam Bóg wie, Jana dobrze go uczuliła, żeby nie ufał kobietom.

- Cóż, jak poczujesz, że masz już dość, nie krępuj się i zdejmuj słuchawki. Nie musisz prosić mnie o pozwolenie - dodał szybko, widząc jak zmienia się wyraz jej twarzy. - Chcę, żebyś wiedziała, że mi to nie przeszkadza. Uprzedź mnie tylko, żebym nie kłapał szczęką bez potrzeby.

Znów się lekko uśmiechnęła, a on poczuł nagle, że jego irytacja gdzieś odpłynęła.

Zaczęli studiować menu. Ostatecznie Weronika zamówiła pieczoną flądę, a on hamburgera.

Po pewnym czasie odprężyła się, a napięcie znikło z jej twarzy. Dopiero widząc tę przemianę, dotarło do niego, jak bardzo stresował ją hałas. Siedział

cicho, nie chcąc zakłócać jej spokoju.

Kiedy podano lunch, wyglądała już znacznie lepiej.

- O czym chciałeś porozmawiać?

- Czy ludzie traktują cię czasem, jakbyś była głupia? - Pytanie wyrwało mu się samo, jakby nurtowało go od dawna.

Wyglądała na zaskoczoną, ale po chwili domyśliła się, o co mu chodzi.

- Dlatego, że jestem głucha? Skinął głową.

- No cóż... Tak. Wielu. Pewnie nie zwracałabym na to uwagi, gdybym była głucha od urodzenia.

- A nie jesteś? - Na chwilę zaniemówił z wrażenia.- Więc jak to się stało?

- Miałam wypadek samochodowy, jakiś rok temu.

Nie wiedział, co powiedzieć. „Bardzo mi przykro” - wydawało się banalne i bez sensu.

- To straszne. Naprawdę straszne - wykrztusił w końcu.

- Bywają straszniejsze rzeczy.

- Jak na kogoś, kto tak niedawno stracił słuch, radzisz sobie całkiem nieźle. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Zabrzmiało to prawie, jak komplement.

- Miałam naprawdę silną motywację - odparła nieco zażenowana.

- Musi być denerwujące, jeśli ludzie nagle zaczynają cię inaczej traktować.

- I jest. Nawet trochę ich usprawiedliwiam. Nie twierdzę, że nigdy mnie to nie denerwuje, ale im się chyba wydaje, że nie jestem w stanie zrozumieć, co mówią.

Albo myślą, że jeśli ma kłopoty ze słuchem, to musi być głupia. Butch też oczekiwał decyzji od niego, przypomniał sobie. Z drugiej strony, znał mężczyzn, którzy nigdy nie słuchali poleceń kobiet, głuchych czy nie. Butch jednak powinien być mądrzejszy. Wie przecież, kto mu płaci.

- Ja bym chyba zwariował - stwierdził.

- Ja też nie jestem zachwycona.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Dugana znowu zaczęło nurtować, czy nie za bardzo się angażuje w to, co ona myśli i czuje. Powinien traktować ją jak zwykłą klientkę, a jej problemy zostawić na boku, chyba że dotyczyłyby kontraktu. Cała reszta to nie jego sprawa.

Dlaczego więc nie jest w stanie tak zrobić? Skarcił się w myśli i przeszedł do rzeczy.

- Kiedy dostarczą sprzęt?

- Słucham?

- Sprzęt. Do poszukiwań. Kiedy przyjdzie?

- Większość już mamy. Wykrywacze metalu będą jutro.

- A konkretnie czym będziemy dysponować?

- Już ci mówiłam. Wykrywaczami metalu, magnetometrem i paroma podwodnymi kamerami. Ty masz wyposażenie do nurkowania, tak?

- Taak, mam. Nie mówiłaś jeszcze, jaki jest twój plan... Myślę, że zaoszczędzimy mnóstwo czasu, jeżeli nie będziemy codziennie wracać do portu, a wypłyniemy od razu na parę dni.

- Na trzy, cztery dni?

- Tak. Mam kabinę, w której możesz spać. - Nagle przyszło mu do głowy, że Weronika może czuć się niepewnie na łodzi sama z dwoma facetami. Jego też nie zachwycał ten pomysł. Ale jak to inaczej zorganizować? Jej ojciec już zapowiedział, że nie popłynie. - Twój ojciec płynie z nami? Mogę mu odstąpić swoją kabinę, my z Tamem będziemy spać na kojach.

- Na czym?

- Na rozkładanych kojach na dziobie statku. No więc, co z ojcem?

- Nie czuje się zbyt dobrze.

- Będzie sobie siedział na leżaku i podziwiał widoki... Cała robota należy do nas.

- Zapytam go jeszcze raz.

Nagle przeprosiła, mówiąc, że idzie zdjąć aparat. Patrząc, jak zmierza do toalety, zastanawiał się, co powiedział nie tak jak trzeba. Miał wrażenie, że wykręciła się od dalszej rozmowy wcale nie z powodu hałasu. Musiało się to wiązać z ojcem.

Ale miał to gdzieś - przecież obiecał sobie. Absolutnie, zdecydowanie miał to gdzieś.

Emilio Zaragosa uprzyjemniał sobie czas w oranżerii, oświetlonej popołudniowym słońcem. Przechadzał się między krzewami róż, które traktował jak własne dzieci i podśpiewywał cicho, bo wierzył, że rośliny lubią muzykę.

Jego duma i radość właśnie miała rozkwitnąć. Kwiat o różowych płatkach ze złotymi obrzeżami, zamierzał nazwać imieniem swojej pierwszej wnuczki - Emilii Marii. Pąk był jeszcze mały, ale złote krawędzie już widoczne - cieniutkie, żółte żyłki na brzegach płatków. Tak, to on wyhodował tę różę. Nie była dziełem przypadku.

Z poczuciem triumfu wpatrywał się w pąk, myśląc, czy zaprezentować różę na najbliższej wystawie. A może jeszcze przez jakiś czas zachować ją wyłącznie dla siebie. Emilio uwielbiał tajemnice, oczywiście dopóki tylko on je znał.

W nagłym przyływie wspaniałomyślności postanowił ściąć kilka żółtych róż i wręczyć żonie, by upiększyła stół do kolacji. Zazwyczaj czekał ze ścinaniem kwiatów, aż zaczną przekwitać. Wolał podziwiać je na krzewach, gdzie kwitły w tempie zgodnym z naturą. Dzisiaj jednak wybrał kilka dopiero co rozchylonych pąków. Żona bardzo lubiła świeżo zakwitające róże, bardziej podziwiała zapowiedź ich doskonałości niż spełnienie.

Czasami myślał, jak bardzo się od siebie różnią. Elena nigdy nie dała mu poznać się do końca. Kochał jej serce i duszę, i był pewny, że z wzajemnością, lecz w sprawach innych niż rodzina rzadko się ze sobą zgadzali. Nawet lubił dzielące ich różnice - może dlatego, że Elena zawsze mu ustępowała, gdy chodziło o sprawy istotne. W innych z chęcią zdawał się na nią.

To oczywiste, że muszą mieć odmienne poglądy. Eleny nie wychowywała ulica. Pochodziła z wyższych sfer, a kiedy się poznali, studiowała na uniwersytecie. Była lepiej wykształcona, lecz napawało go to dumą. Kobieta, która mogła wybrać każdego mężczyznę, wybrała właśnie jego, prostego chłopaka z ulicy. Owszem, kiedy ją spotkał, powodziło mu się już całkiem nieźle, ale nie sądził, by to zaważyło na jej decyzji.

A jeżeli po części tak było, to tylko dlatego, iż podobnie jak on uważała, że ich dzieciom i wnukom nigdy nie może niczego zabraknąć.

Myśli o Elenie zawsze wywoływały uśmiech na jego twarzy. Tak było i teraz, kiedy ścinał delikatne gałązki i wkładał do wazonu. Na pewno będzie zadowolona.

W tym momencie do oranżerii wkroczyła Emilia, trzaskając, jak zwykle, drzwiami. Miała osiem lat, raczej kroczyła, niż chodziła, jej długie, ciemne włosy falowały przy każdym kroku.

- *Abuelol* - powiedziała. - Dziadku?
- Tak, moje dziecko?
- Babcia prosiła, żeby ci powiedzieć, że przyszedł senior Gallegos.
- Naprawdę? Poproś go tutaj, dobrze?
- Dobrze, dziadku.
- Zaczekaj jeszcze chwilkę. - Obciął ostatnią łodyżkę i włożył do wazonu.
- Zanieś je babci ode mnie. Tylko nieś ostrożnie.

Emilia rozpromieniła się, dumna z takiego ważnego zadania. Delikatnie objęła wazon i bardzo powoli poszła w kierunku domu.

Patrzył za nią, myśląc - jak czynił to codziennie wiele razy - że Bóg zaiste go pobłogosławił. Winien mu był za to wielką wdzięczność.

Pięć minut później zjawił się Luis Gallegos. Nie znosił gorącej cieplarni, skarżąc się, że przyprawia go o klaustrofobię, ale Emilio ignorował jego narzekania. Skoro już znalazł się w towarzystwie Emilia, który robił właśnie to, co robił, musiał jakoś przeżyć. I dotąd mu się udawało.

Luis zawsze kojarzył się Emiliowi z modliszką, chociaż nie był szczególnie wysoki, ani też nie miał zbyt długich kończyn. Owszem, był raczej szczupły w porównaniu z masywnym Emiliem, ale w żadnym wypadku chudy. To raczej sposób jego poruszania się przywodził na myśl modliszkę. Coś w jego ruchach i ciągłym poruszaniu szczęką.

- Spójrz na tę różę, Luis.

Ociekający potem, posłusznie pochylił się nad kwiatem.

- Niezwykła - powiedział, bardziej dlatego, że tego od niego oczekiwano niż z przekonania.

- Ta róża uczyni mnie sławnym, nawet kiedy wszystko inne, czego dokonałem w życiu, zostanie dawno zapomniane. Sprawি, że imię mojej wnuczki pozostanie nieśmiertelne.

Luis wydał głos, który miał świadczyć, że był pod wrażeniem.

- Zdumiewająca, prawda? - Emilio pieścił aksamitne płatki. - To proste dzieło natury będzie tak samo nieśmiertelne jak całe złoto i dzieła sztuki, o które tak zabiegamy.

- Jest... ach... prześliczna. - Luis czuł, że powinien powiedzieć coś w tym rodzaju.

Emilio stłumił westchnienie i popatrzył na swego pracownika.

- Sądzę, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

- Tak. Tak! - Luis spojrzał na niego, jakby właśnie sobie o tym przypomniiał. Ale Emilio znał go dobrze. Luis może nie miał pojęcia o różach i

roślinach, lecz nie był głupi.

- No więc?

- Key West. Mam wiadomości. Archeolog wynajęła dzisiaj samolot i latała nisko nad wodą na północnym zachodzie. Nie udało mi się ustalić dokładnych współrzędnych, ani czy coś wykryli.

Tym razem Emilio nie stłumił westchnienia.

- Dlaczego?

- Wiedzą o tym tylko trzy osoby. Żadna z nich nie chce mówić.

- Musimy znaleźć na to sposób. Potrzebne mi dokładniejsze informacje.

- Słyszałem, że wynajęła nurka i łódź.

- Dobrze. A może tym razem zająłbyś się tym osobiście? Człowiek z Key West, który ci o tym mówił, nie jest chyba zbyt dobry w zbieraniu informacji.

- Ja? - Luis nie wydawał się zachwycony propozycją wyjazdu z kraju, zwłaszcza że w Stanach czekał na niego nakaz aresztowania.

- Spokojnie - powiedział Emilio - przygotujemy ci papiery. Nikt nie będzie wiedział, kim jesteś.

- Skąd pewność, że zechcą rozmawiać ze mną?

- Wiem, że potrafisz nakłonić któregoś z nurków do rozmowy. Oczywiście za odpowiednią zapłatą.

Luisowi zajaśniały oczy. W kupowaniu informacji był naprawdę dobry.

- Więc... - Emilio znów pochylił się nad różami. - Jedź i spróbuj jakoś wciągnąć tego nurka na naszą listę płac.

- Jakoś?

- Za wszelką cenę - odparł twardo Emilio. - I chcę codziennie mieć raport, co ta kobieta zdołała ustalić. Codziennie.

Za wszelką cenę. Emilio nie mówił często takich słów. A kiedy już mówił, znaczyły dokładnie to, co myślał. Bez żadnych niedomówień. Luis to wiedział.

- A jeśli mi się nie uda?

- Zaaranżuj wypadek, a wtedy podsuniemy im naszego nurka. Zresztą, po co ja się martwię. Szczegóły zostawiam tobie. Ale chcę informacji, codziennie.

Po paru minutach Luis wyszedł z oranżerii, oddychając z ulgą. Doskonale rozumiał Emilia. Zrozumiał też coś innego, niezależnie od tego, czy Emilio domyślał się, czy też nie. Przecież zbieranie informacji to jego specjalność. Gdyby udało mu się znaleźć coś na szefa, to by dopiero był numer.

Emilio Zaragosa jakoś wyjątkowo interesował się tą sprawą.

Tu nie chodzi tylko o dzieła sztuki i złoto. Chodzi o coś więcej.

Luis koniecznie chciał wiedzieć, co to jest. Taka informacja mogła okazać się bardzo cenna. Bardzo.

Zwłaszcza że dotyczyła szefa.

Rozdział 6

Kiedy Weronika wróciła do domu, Orin siedział na sofie z książką w ręku. Nogi miał przykryte kocem, mimo że w pokoju było bardzo ciepło. Przywitał ją uśmiechem i odłożył książkę.

- Jak poszło? - zapytał.
- Znaleźliśmy kilka możliwych miejsc. Spojrzał przenikliwym wzrokiem.
- Ale liczyłaś na coś więcej.
- Wiemy, że statek się rozbił. Po trzystu latach niewiele z niego pozostało.
- Pewnie nie - zgodził się.

Przeszła obok niego i udała się do swojej sypialni. Tu - z dala od klimatyzatora - było jeszcze cieplej i jeszcze duszniej. Szybko przebrała się w przewiewne, białe szorty i ciemnoniebieską koszulkę polo.

Powinna przygotować kolację, lecz myślami była wciąż w samolocie.

Tak, nie udało jej się wypatrzeć tego, na co liczyła. Opowieści o zauważonych z powietrza wrakach rozbudziły zbyt duże nadzieje. Była jednak realistką. Nieraz widziała, jak archeolodzy kierowali się jedynie opowieściami z dawnych czasów - i nie znajdowali niczego. Wiedziała, jakie to żmudne i powolne zajęcia. Wiedziała, że mogą upłynąć lata, nim znajdą „Alcantarę”.

Mimo to czuła się rozczarowana.

Nie chciała okazywać swego rozczarowania ojcu. Było dla niej oczywiste, że nie pochwalał poszukiwań, ponieważ kiedyś prowadziła je matka. Przecież inaczej napomknęłby o tym w ciągu tych wszystkich minionych lat...

Zatrzymała się na chwilę w łazience, żeby odświeżyć twarz zimną wodą, po czym poszła zajrzeć do lodówki. Ku jej zaskoczeniu ojciec właśnie zamykał frontowe drzwi, a w rękach trzymał pudło z pizzą.

- Miałem ochotę na pizzę - powiedział. - I wiedziałem, że nie będziesz i

miała głowy do gotowania.

- Dzięki. - Rozczarowana czy też nie, nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

Pomogła rozłożyć talerze, serwetki i napoje, po czym usiedli na stołkach przy barku. Nie mówił wiele. Zauważyła, jak mało ostatnio ze sobą rozmawiali.

Kiedy pierwszy raz opowiedział jej o masce, rozmawiali o tym prawie na okrągło. Radziła się go, dyskutowali, a Weronika ćwiczyła umiejętność czytania z warg. Od pewnego momentu, gdzieś od miesiąca, ich rozmowy stawały się coraz krótsze. Nie tylko dlatego, że był wyczerpany intensywną kuracją.

Wyraźnie starał się schodzić jej z drogi. Dlaczegoż by nie, skoro ona postępowała tak samo.

Poczuła ukłucie żalu. Spojrzała na niego, zastanawiając się, dlaczego sobie to robią. Dlaczego nie może mu wybaczyć? Dlaczego czuje do niego tyle złości?

Patrzyła, jak je. Jego ruchy były powolne i ociężałe. Przeróżające, jak bardzo się zmienił przez ostatni rok. Był wychudzony i słaby, piękne szpakowate włosy zastąpił biały meszek. Postarzał się o kilkanaście lat.

Nagle zapragnęła porozmawiać z nim szczerze, wyznać mu całą prawdę, podzielić się rozczarowaniem.

- Masz rację, jestem zawiedziona, że nie udało nam się odkryć czegoś więcej.

Spojrzał znad talerza.

- Wyobrażam sobie. Brałem to pod uwagę - odparł ze spokojem.

- Tyle, że ja bardzo na to liczyłam.

- To oczywiste, jesteśmy tylko ludźmi. Ciągłe łudzimy się nadzieją na szczęśliwy przypadek.

Tak dobrze ją rozumiał.

Przecież zawsze był taki, uświadomiła sobie. Cierpliwy, rozumiejący. Przepaść między nimi to jej dzieło, to ona nie potrafiła go zrozumieć.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie mówiłeś, tato?

Milczał przez chwilę, w końcu odłożył widelec. Była pewna, że zamówił pizzę, żeby nie musiała gotować, a nie dlatego, że miał na nią ochotę.

- Ponieważ - zaczął i pochylił głowę tak, że nic nie rozumiała.

- Tato, musisz patrzeć na mnie, kiedy mówisz. - Próbowала nie okazać zniecierpliwienia, nie wiedziała jednak, czy jej się to udało. Ileż razy już mu to powtarzała? Ile razy gubiła się w rozmowie tylko dlatego, że ludzie nie patrzyli na nią. U ojca to ją irytowało. Gdy chodziło o innych, czuła się zakłopotana i najchętniej posłałaby ich do diabła.

Podniósł głowę i uśmiechnął się do niej blado.

- Przepraszam. Zapominam o wszystkim, kiedy myślę o twojej matce. Była taka piękna i... tak ogarnięta tą swoją pasją. Przypominasz mi ją.

- A co w tym złego? Dzięki pasji można wiele zdziałać.

- Możliwe. Ale można też posunąć się za daleko.

- Za daleko? - nie była pewna, czy dobrze zrozumiała jego słowa. Miała za sobą wyjątkowo męczący dzień i teraz czuła jak ogarnia ją zniechęcenie. Nie wiedziała już, czy wycofać się do swego świata milczenia, czy nadal próbować wydobyć od ojca skrywaną tajemnicę.

- Za daleko - powtórzył. - Można posunąć się za daleko.

- W jakim sensie?

- Twoja matka... ona... - zawahał się i popatrzył w przestrzeń. Nie spuszczała wzroku z jego policzków, chcąc się upewnić, że nie ściszył głosu. Po chwili znowu skierował twarz w jej stronę.

- Twoja matka posunęła się za daleko. W pewnym sensie straciłem ją jeszcze zanim zginęła.

Weronika wyczuła smutek w jego głosie.

Ogarnął ją przyływ współczucia. Wiedziała, jak to jest, kiedy ktoś, kogo kochasz, znajdzie się nagle poza zasięgiem twoich uczuć. Larry dał jej tego gorzką lekcję.

- W każdym razie - kontynuował Orin łamiącym się głosem - była w stanie myśleć wyłącznie o tym. Tak ją to pochłonęło, że przekroczyła granice rozsądku. Zaczęła być dla mnie jak widmo, krążący po domu duch. Kiedy się pobraliśmy, interesowała się moją pracą, podobnie jak ja jej, ale z biegiem czasu... wszystko przestało się liczyć, z wyjątkiem maski.

- To mogło być interesujące znalezisko.

- Owszem, mogło być. Ale jej fascynacja przekroczyła wszelkie granice.

- Dlaczego?

Pokręcił głową i przez sekundę myślała, że nie odpowie. Tak bardzo pragnęła poznać prawdziwy powód jego milczenia przez tyle lat. Wstrzymała oddech.

- Ponieważ - wyrzucił z siebie - była potomkiem Juana Bernala Vasquez y Maria.

Konkwistadora! Serce Weroniki załomotało.

- Nie miałam pojęcia.

- Nie chciałem tego rozgłaszać - powiedział Orin z nutą drwiny. - Ale to prawda. Ty również wywodzisz się z Vasquezów. Dziewczynka, z którą przed trzystu laty Vasquez pieszo przemierzył Florydę, była twoją prapraprababką.

Oznaczało to, że ona także pochodziła od kapłanki wymarłego, bezimiennego plemienia.

Nagle zrozumiała pasję matki i jej obsesję. Serce Weroniki trzepotało niemiłosiernie, oddychała szybko.

- Jestem potomkiem w prostej linii?

- Tak, dokument przechodził z pokolenia na pokolenie. W końcu stał się własnością twojej matki. To nie wszystko. Twoja matka była... była w błędzie.

- W błędzie? Czy to błąd szukać tak bezcennego dzieła sztuki?

- Nie chodziło tylko o poszukiwania. To by mi nie przeszkadzało. Ją ogarnęła obsesja na punkcie swojego pochodzenia. Wmówiła sobie, że maska należy jej się z racji urodzenia.

- A to nieprawda?

- Oczywiście że nie! Nie po tylu latach, gdy ci, którzy ją wykonali, dawno zniknęli z powierzchni ziemi. A także dlatego, że... - nagle urwał.

- Że co? Mów dalej, tato. Jego twarz posmutniała, siedzieli w milczeniu nad stygnącą pizzą.

W pokoju słychać było tylko monotony szum klimatyzatora.

- Tato? - Widziała, jak westchnął, choć tego nie słyszała. Chciało jej się wycić ze złości. - Tato!

- Utwierdziła się w przekonaniu, że skoro jest jedynym żyjącym potomkiem zaginionej cywilizacji, ma do spełnienia świętą misję.

Świętą misję.

Teraz rozumiała, dlaczego ojciec tak długo trzymał to w sekrecie. Uważał, że żoną owładnęła nie tyle obsesja, co urojenia. Bał się, że gdy córka usłyszy tę historię, ulegnie temu samemu szaleństwu.

Weronika podniosła się i poszła do swojego pokoju, gdzie natychmiast zdjęła słuchawki.

Rozmowa bardzo ją poruszyła.

Wciąż była zła na ojca, że tyle lat ukrywał to przed nią. Smutek pogłębiała jeszcze świadomość, że rodziców dzieliła olbrzymia przepaść. Współczuła ojcu. Ale było jej też żal matki, która nie znajdowała u niego zrozumienia.

Drażnił ją stosunek ojca do całej sprawy. Matka miała rację - maska należała się jej. Może to nie było racjonalne podejście. W każdym razie nie w dzisiejszych czasach. Weronika zdawała sobie z tego sprawę. Relikty przeszłości przechowywane są w muzeach, a nie w prywatnych zbiorach. Ale

faktem jest, że maska, jak i dokument były dziedzictwem matki. Miała przynajmniej prawo chcieć ją odnaleźć.

I mieć obsesję na tym tle.

Ale do jakiego stopnia? W pełnej ciszy roztrząsała to przez długie godziny. Jedno tylko było pewne - ojciec uważał matkę za opętaną.

Na pewno miał swoje powody. Znała parę osób, które tak poświęciły się jakiejś idei, że całkowicie odcięły się od świata. Dla kogoś, kto patrzył z boku, byli szaleńcami.

Bolało ją, że ojciec tak myślał o matce.

Zawsze uważała, że byli szczęśliwym małżeństwem, dwojgiem archeologów, których łączyła nie tylko wzajemna miłość, lecz także zainteresowania i praca. Wygląda na to, że się myliła.

Przyszło jej na myśl, że dopiero śmierć matki tak zmieniła ojca. Smutek i żal mogły rzucić cień na jego wspomnienia.

Ojciec sugerował, że Renata została zamordowana. Choć Weronika w to nie wierzyła, przeszył ją dreszcz. Nie było przecież żadnego powodu, by ktoś chciał ją zabić. O ile wie, matka nie bardzo się orientowała, gdzie szukać maski. Co innego ona, Weronika. Oczywiście zakładając, że wyciągnęła słuszne wnioski z dostępnych danych. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że matka szukała nie tam, gdzie trzeba. Czuła się niemal winna, że jej własne ustalenia były zupełnie inne. Zbyt wiele jednak poczyniła przygotowań, by zaczynać wszystko od początku.

Czas ją gonił. Musiała udowodnić, że Renata nie była szalona. Musiała odnaleźć maskę i zrehabilitować matkę.

I zrobić to, zanim ojciec umrze.

Dugan postanowił wyskoczyć na drinka. Po męczącym dniu w towarzystwie Weroniki poczuł nieodpartą chęć na szklanekę czegoś mocniejszego. Niech tam, może być coś słabszego. Tak naprawdę chciał po prostu znaleźć się wśród ludzi, którzy umieją cieszyć się życiem. Kobieta, z którą spędził dzień, najwidoczniej tego nie potrafiła.

No cóż, może nie jestem wobec niej całkiem sprawiedliwy, pomyślał, sadowiąc się na stołku w jednym z licznych barów przy Duvall Street i zamawiając piwo. Była głucha. Co gorsza, dopiero od roku. Gdyby to jemu się przydarzyło, na pewno nie byłby łatwy we współżyciu. Mógłby nawet czasami zachowywać się jak skończony drań. A przecież ją życie doświadczyło jeszcze bardziej. Miała poważnie chorego ojca. Na pewno ciężko to znosiła i nie miała -jak sądził - wielu powodów, żeby się uśmiechać.

Biorąc to wszystko pod uwagę, mógł okazać jej trochę więcej sympatii. A przy tym była taka naiwna z tymi swoimi poszukiwaniami... Miał ochotę wziąć ją za rękę, uspokoić i zapytać, czy nie ma dość problemów, by dokładać sobie jeszcze jeden.

Ta kobieta to klasyczny typ, prędzej czy później doprowadzi się do zawału. Przypominała mu ludzi, z którymi pracował na Wall Street. Harowali po osiemnaście godzin na dobę, w pracy jedli, pili i spali, w trakcie przyjęć sprawdzali notowania, nigdy nie odkładali telefonu lub pagera dalej niż na piętnaście centymetrów, a ich rozmowy ograniczały się do opcji, wahań kursów, kupowania i sprzedawania.

Czasami nie mógł uwierzyć, że przez parę lat był jednym z nich. Dlatego zachowanie Weroniki tak go irytowało.

Kiedy dziesięć lat temu uciekał do Key West, o wielu sprawach nie myślał racjonalnie. Jana naprawdę go wtedy zraniła. Pamiętał dzień, kiedy powiedział jej, że właśnie wylali go z pracy za odmowę zainwestowania pieniędzy klienta w wątpliwy interes, w który zresztą mocno zaangażowany był jeden z

głównych wspólników firmy. Nazwała go wówczas życiową oferą i dodała, że jego najlepszy przyjaciel jest w łóżku o niebo lepszy niż on.

Poczuł się wówczas, jakby ktoś wbił mu nóż w serce.

Bez słowa spakował rzeczy i wyniósł się. Wsiadł do swojego mercedesa i pojechał przed siebie. Zatrzymał się dopiero w Old Town. Tam sprzedał samochód, wynajął obskurny pokój i zaczął pić na umór. Sześć dni później ocknął się już jako zupełnie inny człowiek. Od tego czasu nie zdarzyło mu się przeholować. Poprzysiągł też sobie, że nie wróci do niczego, co wiązałoby się z przeszłością. Nie przejmował się zmarnowaną karierą. Postanowił za to korzystać z życia, ile się da. Kiedy patrzył na Weronikę, widział w niej swoje lustrzane odbicie. Ale ona jeszcze nie rozumiała, że należy używać życia. I może nigdy nie zrozumie. Cholera, zdaje się, że zaczyna mieć bzika na jej punkcie.

Może też potrzebowałaby sześciodniowej alkoholowej terapii, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co boli. Taak. No jasne. Wciąż żyje przeszłością. Do głębi zraniona.

Myśli te cały czas kołatały mu się w głowie, choć wcale tego nie chciał. Świat pełen jest zranionych dusz, można je znaleźć na każdej ulicy. Dlaczego ona miałaby się wyróżniać? Tak jednak było i to wywoływało jego niepokój. Postanowił przecież - na Boga! - że nigdy więcej nie zwiąże się z żadną kobietą. I kropka.

Z ponurych myśli wyrwał go głos barmana.

- Jakiś facet chce wynająć nurka.
- Powiedz mu, żeby poszukał gdzie indziej. Jestem już zajęty.
- Jak sobie chcesz... Ha.

Przez ostatnie dziesięć lat sam był dla siebie panem, chociaż nie zawsze mu to wychodziło. A teraz, jak kretyn, zgodził się przez trzy miesiące moczyć w wodzie. Paranoja!

Na stolku obok usiadł jakiś facet i z południowoamerykańskim akcentem zamówił koniak. Dugan poczuł na sobie jego wzrok.

- Cześć - odezwał się odruchowo.

- Cześć - odpowiedział tamten. Skinieniem głowy podziękował barmanowi za koniak, po czym zwrócił się do Dugana. - Jesteś Dugan Gallagher, tak?

- Tak. - Chryste, to ten, który szuka nurka. Lepiej było się nie przyznawać.

- Tak myślałem. Pracujesz dla tej archeolog?

- Co z tego?

- Pytam z ciekawości. - Uśmiechnął się. - Nazywam się Luis Cortes. Jestem z Wenezueli i zajmuję się trochę archeologią.

- Jaki ten świat mały...

- Czasami. - Sączył dalej swój koniak. - Mogę postawić ci drinka?

- Już mam, dzięki. - Zastanawiał się, skąd wie o Weronice. Powiedziała, że chce wszystko utrzymać w tajemnicy, a on nikomu poza Tamem nie powiedział słowa. Butch też nie należy do gadatliwych. Więc może to Weronika? Mało prawdopodobne.

Cortes uśmiechał się, ale nie był to szczery uśmiech.

- Takie szukanie skarbów musi być ekscytujące, nie?

- Kto ci powiedział, że ona szuka skarbów? Wzruszył ramionami.

- Ktoś tak myśli.

- To za dużo myśli.

Cortes nie dawał za wygraną.

- Ja też się interesuję wrakami. Może potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Słuchaj, nie wiem o czym mówisz. Mamy w planie pozegłować trochę i to wszystko.

- Mhm. W porządku.

Dugan już miał nadzieję, że go spławił, Cortes jednak siedział nadal, sącząc koniak. Dugan zaczął czuć się nieswojo.

Może jest przewrażliwiony?

A może ktoś w biurze przypadkiem usłyszał rozmowę z Coleridge'ami, albo Ginny lub Tam się wygadali? Na tej cholernej wyspie trudniej zachować sekret niż butelkę whisky. Zresztą wie pewnie tylko tyle, że Weronika wynajęła u niego łódź. Chyba że Tam chlapnął ozorem...

- Mieszkaś tutaj? - zwrócił się do Cortesa.

- Nie. - Zamówił następny koniak. - Przyjechałem na wakacje.

- To skąd wiesz, czym się zajmuję?

- Już ci mówiłem, też jestem archeologiem. Trzymam rękę na pulsie, tak to chyba mówicie? Wiesz, te zezwolenia, jakie wydają władze.

- Aha. - Jego słowa brzmiały całkiem niewinnie. Dugan poczuł ulgę. - Nie ma dość wraków w twoim sąsiedztwie?

- W sąsiedztwie?

- W twoich okolicach. U wybrzeży Wenezueli.

- Jasne, że są. - Cortes uśmiechnął się. - Stąd moje zainteresowania.

Interesują mnie wszystkie wraki.

Ale dlaczego właśnie ten, pomyślał Dugan.

- Takie ogólne zainteresowania?

- Tak. Usłyszałem o tym przypadku i postanowiłem zapytać. Zwykła ciekawość, nic więcej.

- Cóż, jeśli jesteś ciekawy, musisz pogadać z kimś innym. Ja nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ta kobieta chce tylko spędzić urlop na wodzie.

Duganowi zdawało się, że zauważył u Cortesa lekkie zniecierpliwienie, ale zniknęło tak szybko, że nie był pewien.

- No dobra - powiedział po chwili Wenezuelczyk. - Dajmy temu spokój.

- Naprawdę?

- Jasne. Jestem na urlopie. A jeśli ktoś znajdzie coś ciekawego, przeczytam o tym w gazetach.

- Na pewno.

Cortes dopił swój koniak, skinął na pożegnanie i wyszedł z baru. Nic się nie stało, powiedział do siebie Dugan. To pewnie tylko kolega Weroniki po fachu. Nie pytał o nic szczególnego ani za bardzo nie naciskał. Rzeczywiście wyglądało to na zwykłą ciekawość. A zezwolenie Weronika też uzyskała przecież formalną drogą.

Coś go jednak zaintrygowało.

Z jednej strony wszystko chciała utrzymać w sekrecie, z drugiej - oficjalnie wystąpiła o zezwolenie, a więc ujawniła swoje zamiary. To znaczyło, że jakiś Tom, Dick czy Harry bez przeszkód mogli je poznać.

Dlaczego więc tak jej zależy na tajemnicy? Czego ona, do diabła, szuka? Czegoś, co jest ważniejsze niż ta złota maska sprzed trzystu lat? Gdyby rzeczywiście jej szukała, bezpieczniej by było ogłosić to publicznie. Im więcej ludzi by o tym wiedziało, tym trudniej byłoby komuś wykręcić jej jakiś numer.

Ale dlaczego, cholera, ktoś miałby to robić? Nie ma się czym przejmować, ten ciekawski zadał po prostu kilka pytań.

Zamówił następne piwo i pociągnął łyk. Nagle stracił ochotę i na piwo, i na bar, i na wszystko dookoła.

Po co on w ogóle zaprzęta sobie tym głowę? Z powodu Weroniki Coleridge? A jeśli to ona chce komuś wykręcić numer?

Rzucił parę monet na ladę, wstał i wyszedł z baru. Ulica tętniła nocnym życiem, tłum zapelniał chodniki i przelewał się na jezdnię. Nieliczne samochody poruszały się w zwolnionym tempie, żeby przypadkiem kogoś nie zabić.

Cała ta tajemnicza historia przestała go obchodzić. Szedł bez celu, pozwalając nieść się falującemu tłumowi. Zewsząd dochodziła muzyka, pomieszana ze śmiechem i rozmowami. W powietrzu czuło się atmosferę zabawy i radości, ale on tak już do tego przywykł, że nie robiło to na nim

wrażenia.

Znowu powrócił myślami do tych nieszczęsnych poszukiwań. A jeżeli ten facet z baru nie miał złych zamiarów, jeżeli to Weronika coś kombinowała? Chciała utrzymać wszystko w tajemnicy, bo planowała coś nielegalnego... Na przykład sprzedać skarb? Zgodnie z obecnym prawem, to państwo miało prawo pierwokupu wszystkich cenniejszych znalezisk. Może ten Cortes pracuje dla władz stanowych i próbuje wysondować, co ona planuje?

No nie, to już prawdziwa paranoja. Chyba wypił za dużo piwa. Stanowczo za dużo. Zaczynał zachowywać się jak maniak wszędzie węszący podstęp.

Półtorej godziny później natknął się na Tama i dołączył do jego towarzystwa. Kiedy wreszcie o pierwszej w nocy dotarł do domu, był już przekonany, że najmądrzejszym wyjściem będzie zlekceważenie całej sprawy. Weronika nie występowałaby o oficjalne zezwolenie, gdyby miała nieuczciwe zamiary, a Cortes - no cóż, to pewnie zwykły ciekawski turysta.

Może i tak.

Luis Cortes, znany też jako Luis Gallegos, wykonał po wyjściu z baru dwa telefony. Pierwszy - do Wenezueli, do Emilia.

- Jeszcze nic nie mam - zameldował. - Muszę sprawdzić parę tropów. Przeciągłe westchnienie i szcęk sekatora. Musi być w cieplarni, pomyślał Luis, szczęśliwy, że jest po drugiej stronie Karaibów.

- Dobrze - odparł Emilio. - Ale oczekuję działania, Luis, działania. Nie chcę być skazany tylko na domysły.

- Pracuję nad tym.

Kiedy odwiesił słuchawkę, poczuł w ustach nieprzyjemny smak. Strach? Nie. Bezwiednie przygryzł wargę do krwi. Nie obawiał się Emilia. Przynajmniej na razie.

Przerażało go jednak to, co zamierzał zrobić. Gdyby Emilio się dowiedział... Lepiej o tym nie myśleć. Przecież tylko on jest jego informatorem. O swoim kolejnym kroku nie zamierzał wspominać.

Wystukał następny numer. Zdobył go sobie tylko znanymi ścieżkami parę miesięcy wcześniej, gdy usłyszał, że Weronika Coleridge zaczęła ubiegać się o zezwolenie. Miejscowy urzędnik sprzedał mu numer telefonu do kogoś, kto gotów był sownie zapłacić za sygnał o rozpoczęciu poszukiwań „Alcantary”.

Luis dał urzędnikowi nawet więcej, niż ten chciał, byle tylko milczał i nie przekazywał go innym.

Trzymał ten numer, czekając na odpowiednią okazję. Najpierw zamierzał posłużyć się nim, żeby wyciągnąć dodatkową forszę od Emilia. Teraz jednak postanowił zadziałać na własną rękę.

W słuchawce usłyszał sygnał i po chwili beznamiętny głos automatu oznajmił: „Proszę zostawić wiadomość”.

Więc zostawił wiadomość.

- Mam informacje o „La Nuestra Sefiora de Alcantara”. Jeśli jest pan zainteresowany, zostawiam numer pagera. Oddzwonię za pięć minut. - Pager kupił tego ranka i Emilio nic o nim nie wiedział.

Gra się zaczęła.

Spodziewał się, że wprawi go w dobry humor. Stał jednak obok budki telefonicznej, cały zlany potem, bynajmniej nie z powodu gorącej, parnej nocy.

Wolałby wiedzieć więcej o człowieku, do którego właśnie zadzwonił. A tak zrobił krok w nieznaną.

Świadomość tego przyprawiła go o ból żołądka. Czy nie otworzył przypadkiem puszkę Pandory?

Rozdział 7

- Jesteś na kacu - powiedziała zjadliwie Weronika. Była to ostatnia rzecz, jaką Dugan chciał usłyszeć. W głowie czuł dudnienie pneumatycznego młota. Oparł ręce na biodrach i z trudem przełknął ślinę.

- I co z tego? - odparł zaczepnie.

Zapowiadał się piękny dzień. Łódź kołysała się łagodnie. Na bezchmurnym niebie wschodziło słońce, wiał spokojny, lekki wiatr, woda była czysta jak kryształ.

Gdyby nie ona, byłoby cudownie, pomyślał. Patrzyła na niego ostro, stając naprzeciwko na lśniącym drewnianym pokładzie „Mandoliny”. Najwyraźniej nie ruszał się dość szybko jak na wymagania jej królewskiej wysokości.

- Co z tego? - powtórzyła. - Pracujesz dla mnie! I chyba mam coś do powiedzenia na temat twojego stanu! Mieliśmy załadować sprzęt, żeby po południu wypłynąć. Jak to zamierzasz zrobić, skoro chwiejesz się na nogach?

- Nie chwieję się na nogach. Po prostu boli mnie głowa. Kobieto, weź coś na uspokojenie. Wszystko będzie na czas.

- O to właśnie mi chodzi.

Wrzeszczała na niego, a w nim wzbierała wściekłość. Próbował sobie tłumaczyć, że zawsze mówiła głośno z powodu głuchoty, ale w tym momencie chyba w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy.

Ale ponieważ krzyczała nadal, a on nie pozostawał dłużny, obawiał się, że za chwilę zaczną gromadzić się gapie. Odwrócił się więc i poszedł w drugi koniec łodzi.

„Mandolina” była pięknym dwumasztowcem, długim na piętnaście metrów, o wspaniałej sylwetce. Kadłub miała z włókna szklanego, ale pokład, relingi i inne elementy wykonane były z ręcznie polerowanego drewna

tekowego i mahoni, co dodawało jej wdzięku i elegancji. Wymagały ogromnej dbałości, ale dla Dugana czyszczenie i lakierowanie były prawdziwą przyjemnością. Więcej czasu poświęcał na konserwację łodzi niż samo żeglowanie i wcale mu to nie przeszkadzało.

To było jego królestwo, raj, miejsce nieomal święte. A ta kobieta profanuje je teraz swoim zrzędzeniem. Miał ochotę posłać ją do diabła.

- Gdzie jest drugi nurek? - spytała. - Nie powinien ci pomagać? Dugan nawet nie zamierzał odpowiedzieć, bo musiałby spojrzeć jej w twarz. Nie miał na to najmniejszej ochoty. Wpatrywał się w ujście zatoki, udając, że jest sam na sam ze wschodem słońca.

Weronika nie miała jednak zamiaru zostawić go w spokoju. Usłyszał za plecami kroki i poczuł, że trąca go w ramię.

- Spójrz na mnie - powiedziała.

Nie miał ochoty słuchać niczyich poleceń.

Wtedy przypomniał sobie, że jest głucha. W jej głosie wyczuł nutę paniki, prawie niezauważalną, ale jednak. Była zdenerwowana, że całkowicie ją lekceważy.

Spojrzał na nią niechętnie.

- Tam pojawi się, kiedy będzie trzeba.

- To w ten sposób prowadzi się interesy?

- Jeśli ci się nie podoba, wynajmij kogoś innego.

- Słucham?

Próbując nie zaciskać ze złości zębów, powtórzył wolno i wyraźnie:

- Powiedziałem, że jeśli nie odpowiada ci styl mojej pracy, zatrudnij kogoś innego.

- Chyba jesteś niepoważny.

- Jestem zupełnie poważny. Wynajęłaś mnie do konkretnej roboty. Robię to po swojemu. A jeżeli już o tym mówimy, chcesz pouczać mnie także, jak

mam nurkować?

Zamrugła raptownie i Dugan nie wiedział, czy zrozumiała. Niewiele go to obeszło. Młot pneumatyczny wciąż próbował wybić mu dziurę między oczami, a coraz ostrzejsze słońce jeszcze pogarszało jego stan.

Weronika wciągnęła głęboko powietrze. Jej drżący oddech przełamał jego otepiałość i pobudził ciekawość.

- Nie mam zamiaru być zależna od pijaka - odezwała się cicho. - Nie pozwolę, żeby pijak znów rujnował mi życie.

W głowie zabręczał mu ostrzegawczy dzwonek, potęgując jego niedolę. To było coś więcej niż zwykły protest i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wykrztusił w końcu

- Nie piję, kiedy nurkuję. Nigdy.

- Przecież dzisiaj masz nurkować.

- Wcale nie. Dzisiaj planuję poukładać sprzęt i zapasy, wypłynąć i przyjrzeć się obszarowi, który wytyczyłaś. Prawdopodobieństwo, że się zamoczymy, jest bliskie zeru, co najwyżej opryskają nas trochę fale. - Ta myśl poprawiła mu nieco nastrój.

Ale nie jej. Widział, że ona wprost kipi z niecierpliwości.

- Nie mamy czasu do stracenia.

- Kto tu mówi o stracie czasu? Tyle że dzisiaj nie nurkujemy, zgoda? Tam powinien lada chwila tu być.

Miał nadzieję.

Kiedy po północy się rozstawali, Tam był w dużo gorszym stanie niż on i nie miał bynajmniej zamiaru wracać. Dugan nawet nie był pewien, czy Tam w ogóle dotarł do domu.

Spojrzał na zegarek. Było jeszcze wcześniej i mieli mnóstwo czasu. Zresztą nie mówił Tamowi, że ma się zjawić o świcie.

Zerknął na Weronikę, jej twarz wyrażała powątpiewanie.

- Zaraz tu będzie - powtórzył.
- W porządku.

Młot pneumatyczny w głowie znów dał o sobie znać. Dugan miał wszystkiego dość. Zostawił Weronikę i zszedł pod pokład. Kręcił się po kambuzie, dopóki nie znalazł fiolki z ibuprofenem; wysypał na rękę trzy tabletki i popił wodą. To mu na pewno pomoże, zawsze pomagało. Dlaczego od dziesięciu lat, od tamtej sześciodniówki, nigdy się nie upił, zastanowił się. Już go to nie bawiło, a obiecał sobie przecież, że będzie czerpał z życia same przyjemności. Chyba dlatego.

Odwrócił się i spostrzegł, że Weronika stoi w drzwiach i przygląda mu się podejrzliwie.

- Zaraz dojdę do siebie - rzucił szorstko.
- No, myślę.

Nienawidził jej.

Nienawidził do tego stopnia, że chętnie by ją zamordował. Na Boga, niech tylko nie trzyma w ten sposób rąk, bo od razu rzucają mu się w oczy jej niesamowicie kształtne piersi. Na dodatek te szorty podkreślające zgrabne długie nogi. Zawsze miał fioła na punkcie długich nóg.

- Lepiej załóż coś na siebie - powiedział z rozdrażnieniem - bo zamienisz się w spieczoną skwarę.

- W co?

- Dostaniesz porażenia słonecznego! - Najchętniej by na nią wrzasnął, lecz ugryzł się w język, zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, ale nie zawsze cię rozumiem - odrzekła kwaśno. - Nie musisz na mnie krzyczeć.

- Niby dlaczego? Ty cały czas na mnie krzyczysz.

Chciał poderżnąć sobie gardło. Wyrwać język z korzeniami. Bo jak tylko to powiedział, jej twarz poszarzała, a oczy, dotąd pełne irytacji, ukazały głęboko

zranioną duszę.

Odwróciła się bez słowa i poszła na górę.

O cholera!

Stał nieruchomo, z wyjąłowionym mózgiem, próbując wymyślić, jak ją przeprosić.

Z zamyślenia wyrwał go łomot na pokładzie i ochryple wołanie Tama:

- Hej kapitanie, można na pokład?

Dugan wszedł na schodki i wystawił głowę. Przed nosem miał jego marynarski worek, lecz on sam stał na nabrzeżu. Weronika siedziała na ławeczce ze skrzyżowanymi ramionami i patrzyła na Tama.

Dugan wolałby uniknąć jego widoku. Miał przekrwione oczy, był blady i ledwo trzymał się na nogach.

- Chryste, Tam, ależ się spiłeś!

- Wcale nie, do cholery - odpowiedział, próbując złapać równowagę. - Jestem trzeźwy. No, prawie... Od dwóch godzin nie piłem.

- Zdołasz wdrapać się na pokład?

- Jasne. Tylko powiedz tej łajbie, żeby się nie kołysała. Tam wskoczył bez trudu, lekko się zachwiał.

- On jest pijany - stwierdziła Weronika. Dugan nie chciał kolejnej sprzeczki, więc milczał. Tam przeszył ją wzrokiem.

- Powiedziałem, że nie jestem pijany.

- Co on mówi? - spytała.

- Mówi, że nie jest pijany. Tam zmrużył oczy.

- Po co to echo? Już to mówiłem.

- Zamknij się - odrzekł Dugan. - Może pomógłbyś mi przy załadunku?

- Jasne. Po to tu jestem, nie? Daj mi tylko godzinę.

- Co on mówi? - znów spytała Weronika.

- Że idzie na dół zrobić sobie kawy i zdrzemnąć się. My tymczasem

pojedziemy do sklepu.

- Do sklepu?

- Dlaczego ona tak krzyczy? - zapytał Tam. Dugan zignorował go i odpowiedział Weronice.

- Do sklepu. Chyba chcesz jeść przez najbliższe cztery dni?

Zanim znów wybuchła, na co niewątpliwie się zanosilo, chwycił ją za ramię, zmusił do zejścia z łodzi i pociągnął do samochodu.

- Przestań mnie ciągnąć.

- Dobrze, dobrze. - Pragnął, żeby jak najszybciej znaleźć się w samochodzie, z włączoną klimatyzacją i zamkniętymi szybami, zanim Weronika zacznie od nowa wrzeszczeć. Inaczej przez następne pięć lat będą kpili z niego, że jakaś baba wydzierała się na niego przy nabrzeżu. Mowy nie ma. Do wieczora całe miasto by o tym mówiło.

Włączył silnik i czekał, aż powietrze zaczęło ich ochładzać.

- Ten człowiek jest pijany - znów zaczęła. - Nie jestem głupia.

- Szybko wytrzeźwieje. Ma wprawę.

- I co ja mam myśleć? Zatrudniłam dwóch ludzi do prostej roboty i już pierwszego dnia jeden jest pijany, a drugi na kacu.

- Słuchaj, przystopuj trochę, dobrze? Twój głos świdruje mój biedny mózg jak zgrzytające wiertło.

- Obiecuję, to się nie powtórzy - dodał po chwili.

- To w ogóle nie powinno się zdarzyć.

- No wiesz, to taka stara żeglarska tradycja. Musisz się napić przed wyruszeniem w rejs.

- Biorąc pod uwagę, że będziemy wypływać co pięć, sześć dni, to może stać się prawdziwą zmorą.

- Więcej się nie powtórzy. Trzy miesiące to tak jakby jeden rejs. Jej mina wyrażała niedowierzenie.

- A twój przyjaciel?

- O niego się nie martw. Jak będziemy się zabierać do nurkowania, nie tknie butelki. Nawet o tym nie pomyśli.

Brwi miała ściągnięte, jakby z trudem nadażała za słowami, ale wreszcie, ku jego wielkiej uldze, opadła na oparcie ciężko wzdychając.

- Lepiej niech się to więcej nie zdarzy.

- Na pewno nie. - Miał taką nadzieję. Co do siebie był pewien. Niestety, za Tama nie mógł ręczyć na sto procent. Najwyżej na dziewięćdziesiąt pięć. No, dziewięćdziesiąt. Osiemdziesiąt? Cholera, w ogóle nie był go pewien. Trudno.

Wrzucił bieg i ruszył w kierunku Publiksa, supermarketu we wschodniej części wyspy. Zazwyczaj wolał robić zakupy w Old Town, w Waterfrontie. Ale biorąc pod uwagę, że specjalizował się w importowanych makaronach, zdrowej żywności i drogich sokach, teraz postanowił zaopatrzyć kambuz w zwykłym supermarkecie.

Poza tym Publix był trochę dalej. A zależało mu na choćby paru dodatkowych minutach, ponieważ każda z nich przybliżała Tama do wytrzeźwienia.

W milczeniu jechali ulicą North Roosevelt w kierunku centrum handlowego. Był spory ruch, gdyż biedni miejscowi przekupnie jechali już na spotkanie nowego dnia i nowej fali turystów.

Zatrzymał się na parkingu blisko wejścia, zaciągnął hamulec, ale silnik pozostawił na chodzie. Spojrzał na Weronikę.

Uparcie patrzyła przed siebie i raczej nie wyglądała na szczęśliwą. W uszach miała słuchawki, wyobraził sobie jak bardzo to musi być niewygodne. Nie mógł sobie wybaczyć, że zachował się jak ostatni cham, mówiąc, że krzyczy. To był naprawdę cios poniżej pasa.

Dotknął jej, próbując nie zauważać ani jedwabistej skóry ramienia, ani też tego, że odruchowo się skuliła. Podniosła wzrok.

- Chciałbym, żebyś zdecydowała, co ci kupić do jedzenia na parę dni. Nam wystarczy chleb, paczkowana wędlina i musztarda.

Przytaknęła bez słowa.

I wtedy bez zastanowienia dodał:

- Coś dziwnego wydarzyło się tej nocy.

- Co powiedziałaś?

Uzmysłowił sobie, że patrzył w drugą stronę. Za często mu się to zdarza.

Uświadomił sobie też, że zaczęła mówić spokojniej.

- Powiedziałem, że coś dziwnego wydarzyło się tej nocy.

- Co takiego?

- Mówi ci coś nazwisko Luis Cortes? Pokręciła głową, ściągając brwi.

- Jak?

Pochylił się ku niej, starając się nie zwracać uwagi, jak przyjemnie pachnie, i wyciągnął ze schowka pióro i notes. Na kartce napisał nazwisko i podał jej.

- Luis Cortes - powtórzył. - Znasz go?

- Nie, kto to jest?

- Sam się nad tym zastanawiam. Powiedział, że jest z Wenezueli.

Na jej twarzy znów pojawił się wyraz niepewności, więc ponownie sięgnął po kartkę. Widocznie wciąż miała trudności z czytaniem z warg, zwłaszcza kiedy nie mogła złapać kontekstu.

Przyjechał z Wenezueli. Mówi, że jest archeologiem - nabazgrał.

- Nie znam go - zaprzeczyła i oddała mu kartkę. - Dlaczego pytasz?

- Spotkałem go ostatniej nocy. Pytał o ciebie.

- O mnie? - Odwróciła się, a Dugan pomyślał, że znów zamyka się przed nim.

- Co chciał wiedzieć? - zapytała po chwili.

- Nie pytał o nic szczególnego. Wspomniał, czym się zajmujesz, że

dostałaś zezwolenie na poszukiwania i że jego też interesują wraki.

Weronika skinęła powoli głową. Przez chwilę milczała, wpatrując się we własne dłonie.

Po jakiejś minucie odezwała się.

- Co o tym sądzisz?

- O nim? - Wzruszył ramionami. - Trochę mnie to zaniepokoiło, ale pytał raczej ogólnikowo.

Westchnęła i skierowała wzrok za okno. Nie patrząc na niego, zaczęła mówić.

- Moja matka też szukała maski. Wypadła za burtę i utonęła.

- I? - Nie wiedział, czy go dosłyszała, bo twarz wciąż miała odwróconą.

- Koroner stwierdził, że to był wypadek, że uderzyła się w głowę i utonęła.

- Mogło tak być.

- Mój ojciec podejrzewa, że to było morderstwo.

Te proste słowa wstrząsnęły Duganem.

Przyjrzał się jej, a potem spojrzał przez szybę, jakby próbując przekonać samego siebie, że siedzi w samochodzie, na suchym lądzie, przed supermarketem w piękny, zwyczajny dzień w Key West. Nie chciał jej wierzyć.

- Myśli, że ktoś ją zabił?

Nie odpowiedziała, pewnie nie rozumiała, co mówi, gdyż był od niej odwrócony.

Zaczęła ogarniać go złość.

Popatrzył jej prosto w twarz, w szeroko otwarte niebieskie oczy. Nieruchome, prawie nieobecne. Nie podobało mu się to. Wszystko zaczynało się w nim burzyć, jakby trafiła go seria piłeczek pingpongowych wystrzelonych z armaty.

- Nie powiedziałaś, że to może być niebezpieczne! - Zabrzmiało strasznie głupio, bo nurkowanie i przeszukiwanie wraków zawsze było niebezpieczne,

nawet jeśli nie mieszała się w to jacyś dranie.

- Bo nie jest.
- Twoja matka została zamordowana!
- Tego nie powiedziałam.

Nie wierzył własnym uszom. Kac mu jakimś cudem minął, pewnie pod wpływem wściekłości.

- Słuchaj, może ty jesteś taka głupia, żeby nadstawiać karku dla kawałka złota, ale na pewno nie ja! Ja spadam. Od zaraz.

Czekał na jej reakcję, ale ona tylko patrzyła tymi swoimi szeroko otwartymi oczami. Kłębiły się w nim na przemian złość i zniechęcenie. Chciał za wszelką cenę przerwać tę nieznośną sytuację.

- Znajdź sobie kogoś innego, moja pani - oświadczył. - Nie mam zamiaru brać na głowę twoich kłopotów. - Sięgnął ręką, żeby zwolnić hamulec.

Powstrzymał go dotyk jej dłoni. Delikatny, lecz dziwnie elektryzujący. Wolno odwrócił głowę.

- Moja matka nie została zamordowana. Koroner nie miał na to żadnych dowodów.

- Więc po co mi to powiedziałaś?

- Bo wspomniałaś o Luisie Cortesie.

- I przyszło ci do głowy, że ojciec mógł mieć rację? Skinęła głową.

- Dugan, to było tak dawno. Nawet jeśli ojciec ma rację, trudno przypuszczać, by po dwudziestu pięciu latach sytuacja się powtórzyła.

Może i tak. Ale życie go nauczyło, że historia lubi się powtarzać.

- Tego nikt nie wie.

- Co mówisz?

- Nie podoba mi się to. Z tego, co mówiłaś, maska jest wyjątkowo cenna.

- Jedynie z archeologicznego punktu widzenia. Samo złoto nie jest aż tyle warte.

- To samo można powiedzieć o Van Goghu. Jest cenny tylko jako dzieło sztuki. Poza tym to tylko mieszanina farb na płótnie.

Zauważył, że nie zaprzeczyła. Nie poczuł się przez to lepiej.

- Więc rezygnujesz?- zapytała w końcu.

- Nie. - Nie mógł zrezygnować, ponieważ nie mógłby później spojrzeć sobie w twarz. Bóg wie, kto by jej się trafił na jego miejsce. Było oczywiście na wyspie sporo uczciwych firm i nurków, ale byli też oszuści. Niektórzy całkiem pozbawieni skrupułów.

Rany boskie, czy zawsze musi być takim błędnym rycerzem? Zawsze przez to pakował się w kłopoty.

- Jeszcze coś - powiedział. - Dlaczego chcesz to trzymać w tajemnicy? Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby więcej osób znało twoje zamiary?

- Nie. Wiem jak to jest. Zaraz zjawiłaby się horda poszukiwaczy, chcących za wszelką cenę nas ubiec.

Może i miała rację. Bez trudu mógłby wskazać parę osób, które nie oparłyby się pokusie.

- Dobrze, już dobrze. Ale wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Ty kierujesz poszukiwaniami, a ja kieruję resztą. Ty dokładnie wiesz, czego i gdzie szukać, ale założę się, że nie masz zielonego pojęcia...

- Nie masz czego? - przerwała.

- Założę się, że nie znasz się na żeglowaniu i nurkowaniu.

- Nie bardzo - przyznała.

- Więc zostaw to mnie. W przeciwnym wypadku, nim minie tydzień, na pokładzie poleje się krew.

Nie wiedział, czy zrozumiała ostatnie słowa. Chyba nie, bo wyciągnęła rękę.

- Zgoda - powiedziała.

Chciał wierzyć, że dotrzyma słowa, ale wątpił w to. Poznał jej charakter,

była uparta, bez skrupułów dążyła do celu i zawsze miała coś do powiedzenia.

Kiedy weszli razem do sklepu, myśli Weroniki krążyły wokół Dugana Gallaghery.

Zdanie zmieniał częściej niż inni mężczyźni, których znała. Był za to bardziej bezpośredni. Mówił to, co myślał, wydawał się niezdolny do obłudy i kręactwa. Był po prostu sobą.

Na pewno to są zalety, ale niełatwo będzie z nim pracować. Wciąż była na niego zła o tego porannego kaca. Kiedy przechodzili obok półek z piwem obawiała się, że zechce kupić parę zgrzewek. Ale nawet nie spojrzał na nie. Widocznie nie rzucał słów na wiatr. Złapała się na tym, że porównuje go z Lanym, który uważał, że jedno - dwa piwka po pracy, a zgrzewka w sobotę to jego święte prawo.

Zabawne, że nie zwracała na to uwagi przed wypadkiem. W ogóle się nad tym nie zastanawiała. Dopiero od pamiętnej nocy sam zapach piwa przyprawiał ją o mdłości.

Wspólnie wybrali jedzenie na następne cztery dni. Mnóstwo konserw i paczkowanej żywności, trochę produktów do lodówki.

- To niewielka lodówka-wyjaśnił.

Żałowała, że nie mogą kupić sałatek, bo konserw miała już dosyć. Ale przywykła do takiego jedzenia podczas wykopalisk i wiedziała, że to wytrzyma. Dlaczego jednak uważała, że na łodzi będzie jej łatwiej niż w odległych rejonach Jukatany?

Dugan kupił dużo więcej niż trzy osoby mogłyby zjeść w ciągu paru dni. Patrzyła na piętrzący się stos puszek i butelek, w końcu nie wytrzymała.

- Nie zjemy przecież tego wszystkiego.

- Wiem, że nie. Ale doświadczenie nauczyło mnie, żeby nie wypływać bez dodatkowego prowiantu. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

To głupie, że o tym nie pomyślała. Wypłyną przecież na pełne morze i

choć kręci się tam wiele statków, zawsze istnieje ryzyko, że nikt ich nie zauważy. To nie to samo co podróż po autostradzie.

Dorzuciła jeszcze trzy puszki swoich ulubionych gruszek bartletek. A dlaczego nie? I tak to ona płaci.

Kiedy wrócili na łódź, Tam spał mocno wyciągnięty na pokładowej ławce.

- Dostanie porażenia - zauważyła Weronika, obawiając się dalszych komplikacji.

- Nic mu nie będzie. Ma skórę jak galwanizowana stal.

Trwało parę sekund, nim go zrozumiała, po czym zaśmiała się z przymusem.

- Taak? Chyba jednak da zarobić dermatologowi.

Spodobał mu się jej dowcip. Zmrużył ciemne oczy i błysnął zębami. Weronika spostrzegła, że jest atrakcyjny, zwłaszcza kiedy się uśmiechał. Wytrącona z równowagi cofnęła się o krok, jakby chcąc uciec od tego, co nagle poczuła.

- Chodź, rozpakujemy zakupy. Potem pokażę ci parę rzeczy na łodzi, na wszelki wypadek.

- Na co? - Boże, jak nienawidziła prosić ludzi o powtórzenie. To takie poniżające. Denerwujące. Za każdym razem była pewna, że robi to o jeden raz za dużo, że musi to ich męczyć i drażnić.

Z zasady więc unikała ludzi. Dugan zwrócił do niej twarz.

- Chodź ze mną - powtórzył, tym razem nieco wolniej. - Poukładamy zakupy na półkach.

Kiwnęła głową. Zrozumiała tylko „poukładamy”, reszty się domyśliła.

- Chciałbym też pokazać ci parę podstawowych zasad sterowania. Gdyby coś się stało i musiałabyś pomóc.

- Dobrze.

Uśmiechnął się, jakby zadowolony, że go zrozumiała, a ona poczuła się

nagle jak pierwszoklasistka, która dostała pierwszą piątkę. A jeśli źle odczytała jego uśmiech? Boże, dlaczego stała się taka podejrzliwa, nawet niewinnym słowom lub gestom przypisywała złe intencje. Zaczynała sobie uświadamiać, że zawsze przybiera pozycję obronną.

Zeszła za nim do kambuza i rozpakowywała torby, podczas gdy on pokazywał jej, gdzie co ma leżeć. Potem wspięli się do zabudowanej sterówki.

- Zupełnie jak w samolocie.

- Aha. Później, kiedy wypłyniemy, pokażę ci w praktyce, jak się steruje łodzią, dobrze?

- W ogóle się na tym nie znam. - Na samą myśl, że musiałaby sterować, ogarniało ją przerażenie. Od czasu, gdy straciła słuch, tylu rzeczy się bała i nie czuła się w nowych sytuacjach tak pewnie jak kiedyś.

Podniósł palec do góry.

- Dasz sobie radę. Pokażę ci, co powinnaś wiedzieć. Oczywiście, ja będę sterował. Ale jeśli coś się wydarzy?

- Co się może wydarzyć? - Nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że może się znaleźć sama w łodzi na otwartym morzu. - Dugan... jeśli będę musiała sterować, bo coś się stanie... Nawet nie będę wiedziała, jak trafić do portu.

Poruszył ustami. Chyba westchnął, ale nie mogła go usłyszeć.

- Pokażę ci wszystko, co trzeba. Jesteś bystra. Musisz wiedzieć, jak w razie czego o siebie zadbać.

Kiwnęła głową, postanowiła nie zważać na wszystkie te dziecinne lęki. Były śladami jej niedawnych przeżyć. Rok temu z entuzjazmem podjęłaby takie wyzwanie. Dobrze o tym wiedziała. Teraz nie lubiła zmian.

- Tu jest radio - wskazał i spojrzał na nią. - A tu awaryjna radiolatarnia. Naciśniesz przycisk... - zawiesił głos -...i automatycznie będzie wysyłała sygnał SOS, dopóki nie wysiądą akumulatory.

Nachyliła się i spojrzała na przycisk.

- W porządku.

Wskazał palcem następny guzik. Pospiesznie spojrzała na niego, żeby zrozumieć, co mówi.

- Tym się włącza i wyłącza radio. Możesz nastawić je na odbiór, żeby wszystko słyszeć przez głośniki, albo...

- Nie będą mi potrzebne - przerwała i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. - Nie będę go używała.

- W porządku. Masz rację. Pomyślałem, że będziesz mogła wysłać wiadomość, a nie słuchać odpowiedzi... Ale jasne... Przepraszam. Pamiętaj tylko o radiolatarni.

- Dobrze. A co z żeglowaniem i żaglami? Nie mam o tym pojęcia.

- Nie musisz. Łódź ma silnik. Kiedy będziemy wypływać z portu, zobaczysz, jak się z nim obchodzić.

Silnik. Z ulgą pomyślała, że z tym sobie poradzi, chociaż znów poczuła narastającą nieznośną gorycz, bo pomyślała o swoim nieszczęściu.

Miała już dość rozpamiętywania krzywd. Głęboko w sercu wiedziała, że nigdy już nie będzie tak jak niegdyś. Musi nauczyć się z tym żyć.

Wiedziała, ale wciąż było jej bardzo ciężko. Jej jedna połowa pragnęła amknąć się w skorupie żalu i pozostać w niej na zawsze. Druga zaś, ta bardziej - jak sama sądziła - dojrzała, podpowiadała, że postępując w ten sposób, okalecza się jeszcze bardziej.

Instynktownie położyła dłoń na brzuchu, czując dojmującą pustkę. Dzięki temu, że nie słyszała, przynajmniej to uczucie mogła wyciszyć.

Dugan delikatnie ujął jej rękę. Dotyk jego dłoni był ciepły, dodawał otuchy. Weronika czuła, jak topnieje lód w jej sercu. Podniosła na niego wzrok.

- Już ci trochę lepiej? - zapytał. Skinęła głową, prostując ramiona.

- Będzie dobrze.

W tym momencie z pokładu dobiegł głośny łomot. Odwrócili się i ujrzeli Tama, zagląającego do kokpitu.

- Cześć - powiedział, po czym mówił dalej. Wąsy skutecznie zakrywały mu usta, więc nie zrozumiała ani słowa. Spojrzała na Dugana.

- Pyta, czy już pora zaczynać załadunek?

Weronika przytaknęła i szybko cofnęła dłoń z jego ręki. Nie może pozwalać sobie na żadne chwile słabości. To tylko zwykłe dotknięcie, a omal nie chwyciła się go jak tonący brzytwy.

- Najwyższy czas - stwierdziła.

Tym razem, zamiast irytacji, na twarzy Dugana pojawił się uśmiech.

- No to zaczynajmy.

Praca, powiedziała Weronika do siebie. Musi skoncentrować się na pracy. Teraz nic więcej się nie liczyło. I nie zamierzała tego zmieniać.

Rozdział 8

Luis Cortes pojawił się w chwili, kiedy kończyli załadunek. Ostatnim urządzeniem, jakie wnieśli na pokład, był magnetometr. Dugan chciał najpierw poukładać cały sprzęt, a dopiero na końcu zdecydować, gdzie ustawić magnetometr i komputer.

Zaczęli załadunek wczesnym popołudniem. Zgromadzili dość butli ze sprężonym powietrzem, żeby wystarczyło na parę zanurzeń dziennie. Musiał znaleźć sposób, jak je zamocować; dotąd tego nie robił, zazwyczaj nie nurkował z „Mandoliny”. Wykrywacze metalu umieścił w ładowni.

- Na ogół to spokojne wody - wyjaśnił Weronice. - Łatwe do żeglugi, ale nigdy nie wiadomo. Nagły podmuch wiatru w czasie sztormu mógłby narozrabiać.

Przytaknęła, choć uważała to za lekką przesadę. Wydawało jej się, że wystarczy wrzucić wszystko na pokład jak do bagażnika samochodu.

Dugan jednak nie miał zamiaru ryzykować. Kiedyś tak zrobił i wiedział, że nie popełni drugi raz tego błędu.

Parę lat temu morze nauczyło go, jak ważne jest zabezpieczenie sprzętu - jako dowód mógł pokazać parę blizn na ciele.

Postanowił ustawić magnetometr na stole w mesie. Było to czarne pudełko, wielkości połowy komputera, z licznymi kabelkami i czujnikami. Dzięki niemu wykryją nawet najmniejsze odchylenia pola magnetycznego spowodowane obecnością żelaza, na przykład okrętowego działka.

Przytwierdził pudełko do stołu, myśląc, że przydałby się dodatkowy blat. Mogą wprawdzie jeść na stojąco, ale Weronika musi mieć miejsce do pracy. Niestety, na łodzi nie przewidziano pomieszczeń biurowych.

O jej laptopa się nie martwił. Była dość przewidująca, żeby zabrać zasilacz;

mógł pracować na prądzie stałym dwunastu woltów. Gdyby za bardzo huśtało, włoży go do schowka. Zastanawiał się tylko, do czego będzie jej potrzebny.

- Zamiast nanosić wskazania magnetometru na mapę, od razu zapiszę je na dysku.

- Całkiem nieźle. - Przynajmniej nie będzie musiał podłączać jakiejś wymyślnej drukarki.

I właśnie wtedy, kiedy skończyli ustawiać sprzęt i przeszli do dyskusji o lunchu, usłyszeli wołanie z nabrzeża.

- Hola

Dugan wychylił głowę przez właz i natychmiast ją cofnął.

- O Chryste! - wymamrotał.

- Co się stało? - spytała Weronika.

- To Luis Cortes, gość, o którym ci opowiadałem.

- Och. - Myślała gorączkowo.

Facet był natarczywy. Nie wyglądało to na zwykłą ciekawość. Duganowi wprawdzie wydawał się podejrzany, ale może Dugan nie wysiłał się zbytnio, żeby go spławić i zbyt szybko uznał sprawę za załatwioną. Z mężczyznami często tak bywa.

- Wyjdę i porozmawiam z nim. - Nim zdążyła pomyśleć, co robi, była już na pokładzie. Teraz obchodziło ją tylko to, że jakiś facet próbuje wścibiać nos w jej sprawę.

Był szczupły, niezbyt wysoki, wyglądał na wychudzonego. Dziwnie poruszał szczęką.

- Szuka pan czegoś? - zapytała.

Odpowiedział, a ona z nagłym skurczem żołądka uprzytomniła sobie, że nie jest w stanie go zrozumieć. Samogłoski, które słyszała, w żaden sposób nie współgrały z ruchami jego ust.

Stała z łomoczącym sercem, sparalizowana swoją ułomnością, po raz

kolejny uświadamiając sobie, jak jest bezradna i odgradzona od świata.

Dugan sprawił, że przez chwilę o tym zapomniała. Tak łatwo odczytywała jego słowa, a kiedy miała trudności, nie krępowała się mu o tym powiedzieć. Ile razy będzie prosiła tego obcego faceta o powtórzenie, upokorzona i bezradna?

Oczy jej zapłonęły, gdy zobaczyła Dugana. On doskonale rozumiał jej problem, pomyślała z goryczą. Czuła się obnażona. Odarta ze wszystkiego. Nienawidząc całego świata, odwróciła się i zbiegła po schodkach, mijając zaskoczony Tama, który właśnie gasił pragnienie sokiem pomarańczowym. Powiedział coś, co zabrzmiało jak pytanie.

Jego też nie mogła zrozumieć, ponieważ usta przysłaniały mu wąsy. Nie zatrzymując się, minęła go i zniknęła w kabinie, którą przygotował jej Dugan. Rzuciła się na koję, przyciskając obiema rękami poduszkę do twarzy, próbując za wszelką cenę zwalczyć narastającą rozpacz.

Po jakimś czasie dobiegły ją odgłosy krzątania i warkot zapuszczanego silnika. Poczowała lekkie szarpnięcie. Płynęli.

Dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Nie odpowiedziała, ale jej milczenie na nic się nie zdało. Ktoś obok niej usiadł. Podniosła głowę.

To był Dugan. Wyciągnął rękę i zaskoczona poczuła, że gładzi ją po włosach. Ogarnęła ją dziwna tęsknota. Zagryzła wargi, aby nie poddać się jego czułości.

- Powiedziałem mu, żeby się wynosił - odezwał się Dugan. - Że jesteś tu na wakacjach i bawisz się w szukanie skarbów.

Skinęła głową, ale gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wydusić słowa.

- Pewna jesteś, że twój tata nie chciał z nami popłynąć?

- Wciąż jest słaby po chemii. To by go jeszcze bardziej wyczerpało - odpowiedziała z trudem.

- Nie słyszeć to cholerne uczucie, prawda?

Tak ją zaskoczył, że nie była w stanie dłużej powstrzymać

nagromadzonych emocji. Rozpłakała się.

- O rany! - Przez chwilę był bliski paniki. A potem, ku jej zdumieniu, pochylił się, uniósł ją i przytulił.

Łzy paliły policzki, udreka ścisnęła gardło, aż wreszcie padły urywane, gorzkie słowa.

- Tak mi źle, jestem taka osamotniona. - Dłoń Weroniki kurczowo zacisnęła się na jego koszulce. - Tak mi źle.

Powiedział coś, lecz nie patrzyła na niego. Nie zwracała na niego uwagi. Całe nagromadzone cierpienie znalazło wreszcie ujście.

- Przez całe moje cholerne życie byłam taka samotna! A teraz jestem głucha i bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie mogłam nawet porozmawiać z tym człowiekiem! Nie mogłam z nim porozmawiać, Dugan. Nie wiedziałam, co mówi. Jeszcze rok temu bez problemu rozmawiałabym z nim po hiszpańsku albo po angielsku. A teraz... teraz nic nie potrafiłam odczytać z jego warg. I nie słyszałam go. Nie jestem w stanie zrobić najprostszej rzeczy na ziemi - rozmawiać z drugim człowiekiem!

Głos Dugana, dudniący w piersiach, brzmiał uspokajająco. Ale nie dbała o to, co mówił. To było nieważne.

- Mój ojciec umiera, moja kariera jest skończona..., jak teraz będę uczyć? I... i... miałam męża, kochałam go, ale nie mógł znieść, że nie słyszę... - łkała.

Dalsze słowa uwięzły jej w gardle. Jakże nienawidziła tego swojego tonu. Mimo całego bólu miała dość uzalania się nad sobą. Było oczywiste, że nigdy już nie będzie z kimś blisko, gdyż utraciła zdolność rozmawiania. Przyjaciele unikali jej, jakby skrępowani tym, że nie słyszy. Ojciec... ojciec pewnie umrze, zanim ona odnajdzie maskę. Matki nie miała, prawie jej nie pamięta... a ojciec zniszczył nawet tę resztkę wspomnień, sugerując, że tak naprawdę kobieta, którą znała z jego opowiadań i która dała jej życie, nigdy nie istniała.

Wszystko to, co ją zraniło, wszystko, co budziło gniew, co poszło w

niepamięć, kiedy przez ostatnie pół roku szykowałą się do wyprawy, nagle wezbrało. Musiała dać temu upust.

Płakała jeszcze przez chwilę. Teraz z kolei nie mogła sobie darować tej chwili słabości i za wszelką cenę chciała się uspokoić. Wyszarpnęła się z objęć Dugana, bojąc się, że zostanie w nich na zawsze. Opadła na plecy i wbiła wzrok w sufit.

Dugan posiedział przy niej jeszcze jakiś czas. Ujął jej dłoń, ale wyrwała ją. W końcu wypowiedział jej imię i spojrzała na niego.

- Jak na kogoś, kto nie słyszy dopiero od roku, radzisz sobie naprawdę wspaniale. Może tylko powinnaś częściej popłakać.

- Słucham?

Nie powtórzył. Domyślał się, że go zrozumiała.

- Tam jest przy sterze. Umyj twarz i chodź na pokład. Mamy przepiękny dzień na żeglowanie. Szkoda każdej chwili.

Podniósł się i wyszedł, zostawiając ją w niepewności. Co on teraz o niej pomyśli? Zdecydowała wreszcie, że nie będzie sobie zaprzętać tym głowy. Był przecież tylko właścicielem łodzi, którą wynajęła.

Jednak w głębi duszy czuła, że sama się okłamuje.

Osamotniona.

Słowo to kołatało się Duganowi w głowie przez całe popołudnie. Weronika pojawiła się na pokładzie, przysiadła na ławce, patrzyła na wodę i wysepki, które mijali. Kiedy wypłynęli na otwarte wody, Dugan wyłączył silnik i razem z Tamem wciągnęli spinaker. Żagiel złapał wiatr i silnym szarpnięciem poniosł ich naprzód; po chwili płynęli już spokojnie przy lekkiej bryzie.

Boże, jak kochał tak żeglować!

Osamotniona. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Chyba tak naprawdę wcale się nie zastanawiał. Rzeczywiście, była osamotniona i to w

sposób, o którym nigdy nie pomyślał. Ale przecież z nim porozumiewała się bez trudności. Nie przypuszczał, że z innymi mogło być inaczej. Dzisiaj ukazała mu się cała prawda. Nie rozumiała Tama, nie rozumiała Cortesa i pewnie setki innych ludzi. Ludzi, których spotykała każdego dnia.

Nawet zwykła rozmowa z kasjerem mogła obfitować w przykre niespodzianki. A jeśli mówiąc, spojrział akurat w dół? Ile razy dziennie musiała tłumaczyć, że jest głucha i prosić o powtórzenie? Ile razy dziennie źle kogoś zrozumiała i patrzono na nią z politowaniem, jak na kogoś niespełna rozumu?

Codziennie życie dawało jej odczuć, że jest nieprzystosowana.

Nie chciał o tym rozmyślać, lecz kiedy odrywał wzrok od rozślonecznionej wody i patrzył na Weronikę siedzącą ze skrzyżowanymi na ramionach rękami, wciąż do tego powracał.

Żeby przerwać te jałowe rozważania, skoncentrował się na Luisie Cortesie.

- Powinniśmy sprawdzić tego faceta - odezwał się do Tama.
- Jakiego faceta?
- Tego, który przyszedł, kiedy mieliśmy odpływać. Cortesa.
- Czemu? Był po prostu ciekawy.
- Już drugi raz próbował wywęszyć, co robimy.
- Aha. - Tom pogładził wąsy. - W porządku. Kiedy wrócimy, spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Co się dzieje z Weroniką?

- Jest głucha.

- Głucha? To wiele wyjaśnia. Ale ciebie słyszy dobrze.

- Czyta z ruchu warg.

- Aha, najwidoczniej nie może czytać z moich.

- Musisz patrzeć prosto na nią, kiedy z nią rozmawiasz.

- Spokojnie, w porządku. Postaram się pamiętać.

To cały Tam, skonstatował Dugan. Wszystko spływa po nim jak woda po i kacze. Zazdrościł mu. Też by tak chciał. To w końcu jej problemy, nie jego.

Wciąż jednak nie dawały mu spokoju. Zwłaszcza to, co wyznała. Nie dość, że była głucha, że musiała się martwić o pracę, to jeszcze porzucił ją mąż. Facet jest mniej wart niż szczurze gówno.

Ale to nie moje zmartwienie, powtórzył sobie po raz dziesiąty. Bez skutku, wciąż jednak myślał o tym wszystkim, co przeszła Weronika, i nie przestawał odczuwać bólu. Mógłby gołymi rękami udusić tego dupka, za którego wyszła. Miał chęć potrząsnąć całym światem, żeby dał jej wreszcie trochę odetchnąć. Boże... jej ojciec, mąż, jej słuch i jeszcze praca... Nikt by tyle nie zniósł w tak krótkim czasie.

Jak, do diabła, ona to wszystko wytrzymuje?

Prosto z portu Luis pojechał z powrotem do Old Town. Znalezienie tu miejsca do parkowania było, jak zwykle, niełatwe, ale jakoś mu się udało. Przemierzał ulice, nie zwracając uwagi na sklepy, bary, restauracje.

Czekał, po prostu czekał. W Old Town czuł się dużo lepiej niż gdzie indziej na Key West. W końcu jednak zmęczenie upałem wzięło górę i wszedł do restauracji, gdzie zamówił owoce morza i butelkę tecate.

Zaczynał się denerwować. Emilio oczekuje od niego informacji. Jak dotąd, nie miał się czym pochwalić. Wybrał się po południu do portu, żeby ustalić, z kim pracuje Weronika Coleridge, i zorientować się, do kogo poza Gallagherem mógłby jeszcze uderzyć. Obawiał się, że Emiliowi nie spodoba się zółwie tempo. Wiedział już o Tamie Ansonie, lecz póki nie trzymał go mocno w garści, nie mógł spełnić rozkazów Emilia. A ten bywał niekiedy bardzo niecierpliwy.

Czuł się winny wobec szefa, dlatego nie chciał do niego dzwonić.

Podświadomie wierzył, że ten człowiek ma dar jasnowidzenia. Sam się sobie dziwił, jak mógł tak ryzykować i dzwonić do konkurencji. Ale zaczął już grę, miał do tego święte prawo, i zadzwonił do *El Desconocido*. Nieznanego mu Numeru Jeden.

Ale jeśli Emilio naprawdę czytał w myślach, jak wierzył Luis, to jego święte prawo byłoby nic nie warte i znalazłby się w prawdziwych opałach.

Luis po prostu nie nadawał się na podwójnego agenta. Mimo silnego strumienia powietrza z wirującego nad głową wiatraka oblał się zimnym potem.

Ay Dios, co mu przychodzi do głowy?

Krewetki, świeżutkie jak zawsze, nagle nabrały smaku trocin. Odłożył widelec, dając kelnerowi znak, by przyniósł następną tectę.

Musi wziąć się w karby i powiedzieć sobie jasno, dlaczego się zdecydował. Co chce uzyskać. Praca dla Emilia to oczywiście dobra robota. Szef nieźle płacił, no i można było zwiedzić kawał świata. Jednak Luis nie mógł znieść, że musi być na każde jego zawołanie.

I zawsze, kiedy Emilio wzywał go do oranżerii, wiedząc jak bardzo on tego nie znosi, uświadamiał sobie, że szef traktuje go jak zwykłego służącego.

Miał większe aspiracje. Jeśli ta maska była tak ważna dla Emilia, musiała być naprawdę wiele warta. *El Desconocido* na pewno będzie skłonny zapłacić dużo więcej niż Emilio, który płaci tylko za informacje.

Poczułby się wtedy jak prawdziwy pan. Kupiłby piękny dom - może nie tak luksusowy jak Emilia, ale nie był przecież zachłanny - i nie musiałby stawać na baczność przed szefem. Może nawet i żona poczułaby się znów szczęśliwa.

Na wspomnienie o Rosie zmarszczył brwi. Przez ostatnie lata wciąż skarży się na samotność. Luis nie przejmował się zbyt jej narzekaniami. Czyż nie wystarczy, że dawał jej pieniądze? W końcu były to niemałe sumy; nie zarobiłby ich, pracując jak przeciętny człowiek. Jednak niezadowolenie żony nie poprawiało mu humoru, a ona doskonale to wyczuwała.

Gdyby był naprawdę bogaty i pracował tylko dla przyjemności, życie na pewno byłoby piękniejsze. O tym właśnie cały czas marzył: mieć własną willę, zadowoloną żonę, być panem samego siebie, jak prawdziwy mężczyzna. Myśli te sprawiły, że znów spojrzał z apetytem na krewetki i gdy tylko na stoliku pojawiła się nowa butelka piwa, wrócił do jedzenia. Będzie dobrze, powiedział do siebie. Emilio nic nie odkryje, bo wcale nie potrafi czytać w myślach. To tylko głupie zabobony.

El Desconocido też nigdy nie dowie się, kim on jest. Tak to zaaranżuje, że pozostanie człowiekiem anonimowym, nawet przy odbiorze pieniędzy.

Wiele nauczył się od Emilia, miał już nawet otwarte konto w banku. Beknął z zadowolenia - tak mu się przynajmniej zdawało, choć miał niejasne podejrzenie, że to może nerwowa reakcja żołądka - odsunął talerz na bok i sięgnął po piwo. Życie jest piękne, pomyślał, a zanosi się, że będzie jeszcze piękniejsze. Musi być. Przecież w pełni na to zasłużył. Dopił tecate i uregulował rachunek, zastanawiając się, dokąd teraz pójść. Kiedy wyjeżdżał do Key West, nawet się cieszył, ale teraz okazało się, że nie ma tu nic ciekawego. Było to miejsce bardziej dla zakochanych par niż samotnych mężczyzn w interesach, chyba że mieli ochotę na większe pijaństwo.

Westchnął i rozejrzał się po Duvall Street. Nie miał zamiaru kupować żadnych T-shirtów ani innych rzeczy rozłożonych na wystawach. Zdecydował w końcu, że wróci do hotelu i będzie po prostu czekał. Oto na co mu przyszło, pomyślał zirytowany. W ostatnich dniach nie robił nic innego, tylko czekał.

Był już niedaleko hotelu, kiedy zabrzączał pager. Znudzenie raptownie przysło. Serce zaczęło mu walić mocniej, a dłonie zwilgotniały. Nadeszła chwila prawdy.

Spocony wpadł do hotelu i niecierpliwie przyciskał guzik windy. Wydawało mu się, że minęła wieczność, nim kabina zjechała na dół, nim rozsunęły się drzwi i wyszła gromadka roześmianych, krótko ostrzyżonych

kobiet. Pociągnął nosem z dezaprobatą, ale nawet nie zwróciły na niego uwagi. Wszedł i nacisnął przycisk, lecz zamykające się drzwi przytrzymała męska dłoń. Musiał jeszcze poczekać, aż wsiądzie para w średnim wieku i portier z ośmioma walizami. Rozmawiali po francusku, wyraźnie podekscytowani. Na piątym piętrze Luis wysiadł z ulgą.

Wsunął kartę magnetyczną do zamka, ale widocznie nie dość dokładnie, gdyż zielone światelko nie zapaliło się. Spróbował jeszcze raz i wreszcie znalazł się w chłodnym, przyjemnie pachnącym pokoju.

Odczytał numer z pagera i wystukał go na telefonie stojącym na szafce nocnej obok łóżka.

Cały był zlany potem, a po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz, kiedy w słuchawce odezwał się przyciszony głos.

- Zadzwoń za piętnaście minut. - Akcent brzmiał obco.

Luis trzy razy odgrywał wiadomość, musiał upewnić się, że wybrał właściwy numer. I za każdym razem, słysząc obcy szept, jakby z piekielnych otchłani, czuł na plecach lodowaty dreszcz.

Zerknął na zegarek - zostały mu jeszcze trzy minuty.

Nagle ogarnął go strach, nie powinien tego robić. To byłby największy błąd w życiu. Emilio wszystko odkryje i urwie mu głowę.

A El Desconocido? Nic o tym człowieku nie wie. Może być jeszcze gorszy niż Emilio, który w interesach postępował po dżentelmeńsku, póki mu się ktoś nie naraził. Ten nieznajomy mógł być bezwzględny, bez żadnych hamulców. A jeśli wykorzysta go do zdobycia maski, a potem zabije? Słyszał o takich przypadkach. Musi bardzo uważać, nie zostawiać żadnych śladów. Dlatego kupił pager.

Właśnie w tym momencie, z nagłym skurczem żołądka, Luis zrozumiał swój błąd. Kupił go, płacąc własną kartą kredytową. To był jedyny sposób, aby go od razu uaktywnić. Na formularzu podał co prawda fałszywe nazwisko i

adres, ale nie pomyślał o karcie. Co będzie, jeśli *El Desconocido* wyśledzi go?

I nawet nie zasięgnął języka o tym diable, z którym zamierzał paktować - kolejny błąd. Usiadł na krawędzi łóżka i zastanawiał się, co teraz zrobić.

Nie wolno mi dzwonić, zdecydował. Za żadne pieniądze nie warto wikłać się w interesy z człowiekiem, który może okazać się bardzo groźny.

Ale ze mnie głupiec, zezłościł się w końcu. Wyobraża sobie jakiegoś diabła z piekła rodem, a to może być zwykły człowiek, jak Emilio. Wpłaci mu za przysługę pieniądze na konto, a on ich nie tknie, póki się nie upewni, że jest bezpieczny.

A jeśli tamten zdobędzie numer jego karty kredytowej? Luis z trudem przełknął ślinę. Powinien natychmiast po telefonie zgłosić jej kradzież. Będzie mógł wtedy powiedzieć, że nie ma pojęcia, kto kupił pager na jego kartę. Swoje ślady zatrze tak dokładnie, że nikt go nie wytropi.

Poczuł ulgę i sięgnął po słuchawkę. Teraz. Wystukał numer i uzyskał połączenie. Jeden sygnał, drugi...

- Słucham? - odezwał się cichy głos.

Luis nie mógł wydusić słowa, język przykleił mu się do podniebienia. Wreszcie odchrząknął i zapytał.

- Czy to pan jest zainteresowany „Alcantarą”?

- Tak.

- Jak bardzo?

- A co masz do zaoferowania?

Luis zawahał się, nie wiedział ile ujawnić.

- Mam wtyczkę na łodzi, która właśnie poszukuje „Alcantary”. - Trochę przesadził, ale naprawi to zaraz po powrocie „Mandoliny” do portu.

- Więc?

Najwidoczniej to mu nie wystarczało.

- Będzie dostarczała mi informacji.

- Rozumiem. - Długa cisza. - A ty czego ode mnie oczekujesz? Luis nie miał kłopotu z odpowiedzią.

- Pieniądzy. Mój pracodawca płaci mi za informacje, ponieważ interesuje się... hmmm... pewnym dziełem sztuki znajdującym się na zatopionym statku. Myślę, że pan zaoferuje mi więcej.

Dobiegł go prawie bezgłośny śmiech.

- Widzę, że jest pan godny zaufania.
- Jak najbardziej. - Policzki Luisa zapłonęły ze złości.
- Wobec tego, kto zapłaci najwięcej?
- Właśnie.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Luis znów poczuł się jak w saunie, po twarzy spłynęła mu strużka potu. Czyżby coś spaprał?

- Pracujesz dla Emilia Zaragosa, tak? - usłyszał w końcu.

Jakby zamienił się w słup soli. Nie był w stanie poruszyć się ani odezwać.

- Nie obawiaj się. Nie mam zamiaru cię wydać. Maski warta jest dla mnie mnóstwo pieniędzy. Dobrze zapłacę, kiedy ją dostarczysz. Czekam na dalsze informacje. Nagrywaj je pod ten sam numer.

Połączenie zostało przerwane.

Luis siedział dłuższą chwilę bez ruchu. Był pewien, że rozmawiał z samym diabłem.

Ay, Dios, co ja zrobiłem?

Rozdział 9

- Ale nuda - burknął Tam niby do siebie.

Już trzy dni pływali w tę i z powrotem po obszarze wytyczonym przez Weronikę i jak dotąd bez rezultatu. Tam zazwyczaj opalał się na dziobie i czytał jakiś tani kryminał. Dugan przesiadywał długie godziny w kokpicie, utrzymując łódź na kursie, bliski popadnięcia w obłąd. Lubił żeglować, owszem, ale w konkretnym celu.

Teraz Tam stał na rufie, żując kanapkę z masłem orzechowym. Weronika zmarszczyła brwi i spojrzała na niego.

- Co powiedziałaś?

- Że to nudne. - Zwrócił ku niej twarz. Popatrzyła na Dugana.

- Powiedział, że to nudne.

- Chryste - odezwał się Tam. - Tłumaczysz z angielskiego na angielski?

- Co on powiedział?

Dugan stłumił westchnienie, obiecał sobie, że nie będzie się irytował w takich sytuacjach. W końcu to nie była wina Weroniki. Spojrzał na nią.

- Dlaczego nie czytasz z ruchu warg Tama? Zaczerwieniła się.

- Ma wąsy.

Ręka Tama powędrowała do bujnie zarośniętej twarzy.

- Nie.

- Co nie? - Dugan spojrzał z ukosa.

- Nie mam zamiaru ich obcinać.

- W takim razie przyzwyczaj się, że będę tłumaczył z angielskiego na angielski.

Tam odwrócił się do Weroniki.

- Przepraszam – powiedziała.

- Przecież nic na to nie poradzisz. - Wzruszył ramionami. Weronika spojrzała na Dugana.

- Powiedział, że nic na to nie poradzisz.

- Nie, nie poradzę - odparła i odwróciła się do nich plecami.

Dugan zaczynał mieć dość jej zachowania. Było takie dziecinne. Jednak za każdym razem współczuł jej aż do bólu. Od kiedy wypowiedziała pamiętne słowo „osamotniona”, rozumiał, jak wiele się kryje za jej gestami.

Na pewno była i samotna, i pozostawiona sama sobie. On też był sam i wcale się nie skarżył. Ale osamotnienie było czymś innym. Poznał je dobrze, odczuwał je całymi miesiącami po tym, jak Jana wysadziła ich małżeństwo w powietrze. Weronika traktowała je jednak jak sposób na życie. Co gorsza, wydawała się wciąż powiększać krąg pustki wokół siebie, jakby nie potrafiła już robić nic więcej. Gdyby chodziło o kogoś innego, mógłby sądzić, że pragnie samotności, ale przecież widział jej łzy.

Nie miał najmniejszego pojęcia, jak jej pomóc i czy w ogóle powinien się starać. W końcu był dla niej tylko facetem, którego wynajęła do pracy na łodzi i do nurkowania.

Odwrócił się, nie chcąc dłużej wpatrywać się w jej plecy, skoro przyjęła tak defensywną i bezbronną zarazem postawę.

I wtedy zobaczył chmury.

- O cholera! - zaklął.

- Co? - spytał Tam. - O kurde! - dodał po chwili. Weronika, słysząc ich głosy, obróciła się.

- Co się stało? - Najwyraźniej wyczuła ton ich głosów.

Dugan wskazał na zachód. Na horyzoncie wyraźnie rysowała się czarna linia szkwału. Wkrótce mogła przysłonić słońce, chociaż była na tyle daleko, że na razie nic nie mąciło wody.

- Ojej! - przestraszyła się Weronika na widok ciemnych chmur z

zielonawymi wybrzuszeniami. - Nie wygląda to dobrze.

- Na pewno nie. - Dugan nie przywiązywał wielkiej wagi do pogody. W tym rejonie było na ogół spokojnie, aż do znudzenia. Słońce, lekki wietrzyk, i tak dzień w dzień. Stracił czujność.

- Ktoś powinien dać mi kopa w tyłek.

- No pewnie - stwierdził Tam, choć ani mu to było w głowie.

Nieoczekiwany śmiech Weroniki skłonił ich do działania.

- Lepiej pójdę i posłucham prognozy pogody.

- Po co, mogę ci od razu powiedzieć, co się szykuje.

Dugan pokręcił głową. Chciał wiedzieć więcej. Chciał wiedzieć jak silny będzie wiatr, jak wysokie będą fale i w jakim kierunku przesuwa się szkwał. Ot, takie drobne szczegóły.

Z radia jednak nie dowiedział się niczego. Najwidoczniej mała lokalna burza, wywołana przez starcie ciepłego powietrza od morza z zimnym frontem z północy. Nie było się czego obawiać.

Z drugiej strony...

Wystawił głowę z kokpitu i zawołał do Tama.

- W radiu nic nie ma! Pewnie zaczyna się dopiero tworzyć.

- Ale tworzy się szybko, kapitanie. - Tam wskazał głową na zachód. -

Musimy brać nogi za pas.

Dugan był tego samego zdania. Chmury gęstniały w zawrotnym tempie, widać było już pierwsze grzywy fal.

- Rusz się, Tam. Wciągamy żagiel i spieszymy.

Weronika wciąż stała nieruchomo, wpatrzona w chmury. Nie wyglądała na zaniepokojoną, raczej na podekscytowaną. Jej niebieskie oczy się skrzyły, w kącikach ust pojawił się uśmiech. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że na tej niewielkiej łodzi nie mają szans wygrać z żywiołem.

Jej uśmiech znikł, gdy zobaczyła Tama stawiającego żagle.

- Co ty robisz?

- Płyniemy do domu - odpowiedział za niego Dugan.

- Mieliliśmy wracać dopiero jutro.

- Wrócimy dzień wcześniej i przeczekamy sztorm. Nadrobimy to, nie ma obawy. - Odwrócił się i zaczął pomagać Tamowi.

Spodobało mu się, gdy poczuł, jak żagiel złapał wiatr i „Mandolina” pomknęła naprzód. Naprawdę to lubił. Dawno już nie miał swojego maleństwa pod pełnymi żaglami i nie pozwalał mu frunąć z maksymalną prędkością.

Kiedy stanął za sterem, w kokpicie pojawiła się Weronika. Tam został na górze, blisko dziobu, rozkoszując się pędem żaglowca.

- Nie chcę wracać - powiedziała do Dugana. - Jesteśmy tak blisko miejsca, w którym dostrzegliśmy coś z samolotu.

- Jeśli to, co zauważyłaś, jest szczątkiem statku i leży tu od trzystu lat, to na pewno będzie i pojutrze.

- Nic nie rozumiesz.

Zmusił się do spojrzenia na nią, tak by odczytała jego słowa.

- Doskonale rozumiem. Widzę, że masz prawdziwą obsesję. Wrócimy tutaj pojutrze, na pewno nie będzie za późno.

- Dlaczego nie możemy przeczekać burzy tutaj?

- Ponieważ nie musimy. A ponieważ nie musimy, nie ma powodu, żebyśmy wszyscy nadstawiali karku, żeby sobie coś udowodnić.

- Myślałam, że lubisz ryzyko.

- Kobieto - zaczął ostro - nigdy nie byłem ryzykantem. Wolę korzystać z rozumu. A teraz najrozsądniej jest płynąć prosto do portu. Nie masz pojęcia, co może się stać z taką łupiną, kiedy rozpęta się piekło.

Zanim zdążył jej wszystko wytłumaczyć, odczuła to na własnej skórze. Chociaż pędzili z szybkością ponad dwudziestu pięciu węzłów, burza była szybsza i po chwili poczuli jej oddech na plecach. Słońce pociemniało, dookoła

beładnie piętrzyły się fale. „Mandolina” skakała po grzbietach.

Weronika wciąż stała obok w sterówce, a Tam zszedł na dół, mówiąc coś o lepszym świetle do czytania. Dugan był zadowolony. Łódź mknęła jak strzała, co więcej, Weronika wreszcie zamilkła.

Żagle głośno łopotały, fale rozbijały się o dziób, w oddali słyhać było pierwsze grzmoty.

Wyścig stawał się dramatyczny. Na płytszych wodach wiatr bardzo szybko wypiętrzał fale. Dugan zerknął na Weronikę i zobaczył, że się uśmiecha, a oczy błyszczą jej nienaturalnie. Najwyraźniej była zafascynowana.

Zdumiał się.

Dała się poznać jako kobieta skryta i drażliwa. Zadziwiające, że teraz się nie bała, choć płynęli prosto w paszczę lwa. Uśmiechnął się zadowolony, że sprawia jej to przyjemność i że dzieli ją razem z nią.

W tym momencie w rufę uderzyła potężna fala. Uniosła łódź i przechyliła na sterburtę. Dziób ostro poszedł w górę, potem opadł gwałtownie, niemal wyrzucając ich z foteli. Na chwilę stracił kontrolę nad sterem, a „Mandolina” przechyliła się niebezpiecznie na lewą burtę. Ledwo złapał równowagę, chwytając się ściany kokpitu. Kątem oka zobaczył roześmianą Weronikę kurczowo trzymającą się konsoli.

- To lepsze niż wesołe miasteczko! - krzyknęła rozpromieniona.

- Co tu się dzieje, do diabła? - W luku ukazała się głowa Tama.

- Fala - odpowiedział Dugan.

- Nie chrzań, Sherlocku. - Tam przewrócił oczami.

Dugan zdecydował się zmienić kurs. Kiedy morze rozhušta się na dobre i atakuje od rufy, lepiej nie próbować wygrać z wiatrem. Musiał skierować dziób pod fale, zanim przewrócą łódź. To oznaczało pełny zwrot. Tymczasem fale napierały i z każdym uderzeniem kołysało ich coraz mocniej.

- Tam?

- Co?

- Wyrzuć dryfkotwę. Będzie hamowała łódź jak spadochron i pomoże wykonać zwrot. To łatwiejsze niż walczyć ze sterem.

-A niech to.

Woda chwilami przelewała się przez burłę, uznał więc, że najwyższy czas zrefować któryś z żagli. Zwrócił się do Weroniki.

- Muszę zająć się żaglami.

- Dobrze.

- Przejmij na chwilę ster.

- Co takiego?

Wzjął ją za ramię. Poddała się niechętnie, czując, że będzie musiała zrobić coś, o czym nie ma pojęcia.

- Utrzymuj ster po prawej. O tak. Jej twarz wyrażała wątpliwości, ale skinęła głową.

- W porządku.

- Musimy obrócić się pod fale, inaczej będzie nami rzucało. Kiedy zobaczysz, że idziemy prosto, cofnij ster z powrotem. Zrozumiałas?

Potaknęła, a on nie czekał na ewentualne pytania.

Poczuł, że dryfkotwa spełniła zadanie. Wyraźnie zwolnili, łódź przyspieszyła zwrot. Fale wściekle atakowały burty.

Zamachał do Tama i razem zaczęli opuszczać żagle. Było dokładnie tak, jak tłumaczył wcześniej Weronice - nie miał zamiaru niepotrzebnie ryzykować. Łatwiej będzie sterować łodzią z włączonym silnikiem i zwiniętymi żaglami.

Burza nie była bardzo gwałtowna, jednak cały czas miał się na baczności. Łódź wciąż jeszcze nie wykonała pełnego zwrotu i kiedy większa fala uderzała o burłę, trudno mu było utrzymać się na nogach. Ale dryfkotwa wreszcie ich obróciła i w końcu ustawili się dziobem do fal.

„Mandolina” uspokoiła się. Najwidoczniej Weronika stanęła na wysokości

zadania. Dugan odetchnął z ulgą- skomplikowany manewr wykonali bez zarzutu. Jedna z tych fal mogła z łatwością wywrócić ich dnem do góry. Chyba niebiosa mi sprzyjały, pomyślał.

Nie na długo. Po chwili runęły na niego strugi deszczu. Doszczętnie przemoczony, pobiegł do kokpitu i ujął ster.

Widzialność spadła niemal do zera. Teraz utrzymywał kierunek, polegając wyłącznie na dryfkotwie.

Gorzej już być nie powinno, uznał. Wprawdzie sytuacja nie była dobra, ale łódź na pewno wytrzyma, zwłaszcza z takimi doświadczonymi żeglarzami na pokładzie. Owszem, było dotąd parę trudnych momentów, na przykład kiedy rufa całkowicie wynurzała się z wody i „Mandolina” nie reagowała na ster, ale pomogła dryfkotwa.

To był diabelnie fajny rejs.

Ulewa ustała nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znow widział morze i szarozielone podbrzusza chmur. Niebo przeszywały różowobiałe błyskawice. Olśniewające zjawisko. Kilka smug uderzyło prosto w wodę. Ależ to piękne!

Rozejrzał się za Weroniką, ciekawy, czy wciąż jest taka zachwycona, lecz ona zniknęła. Nie zauważył, żeby schodziła na dół. Na moment serce mu zamarło. Gdzie się podziała?

Obejrzał się i zobaczył ją na rufie, ze wzrokiem utkwionym w chmury i wyrzuconymi do góry rękoma wyglądała jak w transie. Czy ona zwariowała? Przecież wałą pioruny.

Krzyknął, ale go nie usłyszała. Stała tak, z rozwianymi czarnymi włosami, śmiejąc się burzy prosto w twarz. Przynajmniej tak mu się wydawało, choć wśród huku fal i grzmotów niewiele mógł usłyszeć.

Najwyraźniej szuka śmierci.

- Tam! Tam, chodź tutaj.

Po paru sekundach pojawiła się głowa Tama.

- Co takiego?

- Przejmij ster, dobrze?

- Jasne, czemu nie. Ale czytam właśnie... - Głos mu zamarł, kiedy wszedł wyżej i ujrzał Weronikę. - Co ona wyczynia, do diabła?

- Chyba oszalała.

- To jeszcze nie powód. - Zatrzasnął luk i chwycił za koło. - Leć i szybko ją stamtąd ściągnij.

Dugan odwrócił się i zamarł. Weronikę otaczała świetlista, bladoniebieska aureola. Widział już podobne zjawisko - wokół masztów na statkach w czasie sztormu. Odruchowo spojrzął do góry. Na masztach aureoli nie było.

O Boże, zaraz walnie w nią piorun. Nie znajdował innego wyjaśnienia. Ta myśl zdopingowała go do działania. Wyskoczył ze sterówki i rzucił się w jej kierunku po mokrym pokładzie. Nie zwracał uwagi na bryzgającą spod nóg wodę, myślał tylko o jednym.

Już miał ją chwycić, gdy uprzytomnił sobie, że może go porazić. Wciąż widział wokół niej niebieską otoczkę.

Ale nie mógł tak jej zostawić. Jednym ruchem pochwycił Weronikę i uniósł w górę, po czym zaniósł do kokpitu.

- Co ty, do diabła wyprawiasz?! - krzyknęła, kiedy postawił ją na nogi.

- Ratuję ci życie. Cała świeciłaś na niebiesko. Jeszcze chwila i walnąłby w ciebie piorun.

Zaprzeczyła ruchem głowy, zła i roztrzęsiona.

- Burza nic by mi nie zrobiła. - Odwróciła się, odsunęła luk i zeszła na dół po schodkach.

Dugan spojrzął na Tama, który narysował wskazującym palcem kółko na czole.

- Wariatka - stwierdził. - Prawdziwa wariatka.

Nie, pomyślał Dugan, chyba on zwariował. Cholera, za każdy razem, gdy chce zrobić dobry uczynek, wpada w tarapaty. Ze złością przypomniał sobie Janę. Dziwne, że wydarzenia tak odległe wciąż bolały jak świeża rana.

Odwrócił się od Tama, nie chcąc, by odczytał jego myśli, i wbił wzrok w fale i kłębiące się chmury. Powinienem już się nauczyć, pomyślał z goryczą. Powinienem wiedzieć, że ludzie czasami nie chcą, żeby ich ratować i nie okazują później wdzięczności.

Tak właśnie było z Jana.

Ją także uratował, tyle że od prawdziwej biedy. Była sierotą. Pracowała jako kelnerka w taniej kafejce przy zarządzie portu, zarabiała nędzne grosze, a jej napiwki stanowiły pięcio- i dziesięciocentówki. Marzyła o tym, żeby się uczyć, ale nawet pożyczki i stypendium nie wystarczyłyby na szkołę i utrzymanie.

No więc ożenił się z nią, po krótkich zalotach. Płacił za jej naukę i dzięki niemu zasmakowała wystawnego życia. Nigdy nie okazała mu wdzięczności, a co więcej, nie miała skrupułów, żeby pójść do łóżka z jego najlepszym przyjacielem. Za którego, zresztą, później wyszła i została niepracującą żoną z własnym ferrari i domem letniskowym w Hamptons. Nie mieli dzieci, co go specjalnie nie dziwiło. Ani Jana, ani Mel nie byli ludźmi, którzy w swych planach uwzględnialiby dzieci. Jak mógł być taki głupi! Żył w wyimaginowanym świecie, snując wizje szczęśliwej rodziny z gromadką dzieci, kiedy Jana ukończy już szkołę. Ha ha ha!

Teraz jest mądrzejszy, choć najwidoczniej jeszcze nie tak mądry, jak mu się zdawało. Rzucił się jak głupi, by ratować Weronikę, a ona odpłaciła mu wyłącznie złością. Faktycznie ten cały ich cholerny układ opierał się na jego mylnym przekonaniu, że powinien ją ochraniać. Tak jakby to był jego obowiązek.

Był na siebie zły i wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek uda mu się chodzić z

podniesioną głową. Ludzie są najszcześliwsi, kiedy mogą sami marnować sobie życie i nie chcą, by ktoś im się wtrącał, nawet z najlepszymi intencjami. Powinien już o tym wiedzieć.

Westchnął, jakby chciał wypuścić z siebie rozżalenie i gniew, i skoncentrował się na sztormie. Tam z pomocą dryfkotwy utrzymywał łódź dziobem do fal. W oddali widział szary woal deszczu, który wydawał się przesuwac na wschód. Zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwa burza.

Zdawał sobie sprawę, że Weronika jest na niego zła, ale czemu miałby się tym przejmować? Przejmował się jednak, głupiec! Odwrócił się do Tama.

- Idę na chwilę na dół.

- Nie ma problemu, szefie. Ale jak ją zobaczysz, powiedz, że zachowała się jak kretyńska. To, że jest głucha, nie znaczy, że może głupio postępować.

Ma rację, pomyślał Dugan, otwierając luk. Całkowitą rację. Nie mógł się jednak zgodzić, że zachowanie Weroniki wynikało wyłącznie z głupoty. Wciąż miał przed oczami wyraz jej twarzy, kiedy tak stała na rufie, jakby trzymała burzę w objęciach.

Ale może to on tracił poczucie rzeczywistości? Może tropikalne słońce wypaliło mu szare komórki? Trzymała burzę w objęciach? Człowieku, zejdz na ziemię.

Spodziewał się, że Weronika zaszyje się w swej kajucie. Ściśle mówiac, w jego kajucie. Znów ten przyływ rycerskości! Powinien ją zatrzymać dla siebie, a jej przydzielić rozkładaną koję obok Tama. Nauczyłoby ją to czegoś. Czego? Prawdę mówiac, nie wiedział. Może by jej się odechciało szwendać tutaj przez trzy miesiące.

Zastał ją w mesie, wpatrywała się w faliste linie na monitorze, chyba odczyt magnetometru. Łodzią wciąż mocno rzucało, zrezygnował więc z kawy i sięgnął po plastikowy pojemnik z wodą. Usiadł naprzeciwko niej.

- Coś ciekawego? - zapytał.

Nie patrzyła na niego, więc pewnie nie słyszała dokładnie, co powiedział, ale mogłaby chociaż spojrzeć. Nie zrobiła tego. Uparcie wpatrywała się w ekran. Jak na kogoś, kto tak niedawno stracił słuch, doskonale umiała wykorzystywać swoją ułomność. Mógł oczywiście ją dotknąć, by zwrócić na niego uwagę, ale nie miał zamiaru się płaszczyć.

No to się pobawimy, postanowił.

- Nie sądzę - odezwał się normalnym tonem. - Nie wydaje mi się, żebyś coś wcześniej przeoczyła. - Czekał na jej reakcję, ale ona nie odrywała wzroku od ekranu. Zastanawiał się, co by tu jeszcze dorzucić. Miał nadzieję, że jeśli będzie mówił dość długo, to ona wreszcie zareaguje.

I wtedy zauważył, że w uszach nie ma słuchawek. Ależ z niego sukinsyn. Jak, do diabła, mógł tak ją osądzić?

Popijał swoją wodę, skupiając uwagę na przechyłach żaglowca i jednocześnie próbował zgłębić tajemnicę tej kobiety, umyślnie odgradzonej od świata kurtyną ciszy.

Po cholere w ogóle się nad tym zastanawia. Powinien natychmiast ostentacyjnie wstać i posłać ją do diabła. Podświadomie jednak czuł, że postępuje właściwie, mimo że tak demonstracyjnie odcięła się od niego, zdejmując aparat.

Dlaczego nie pozostawi jej samej sobie? Znowu odezwał się w nim ten cholerny rycerski duch. Nie mógł jej tak zostawić. To nie w jego stylu. Nie mógł przecież dopuścić, by uderzył w nią piorun, nawet jeśli tego pragnęła.

Ta ostatnia myśl była tak absurdalna, że omal nie parsknął śmiechem. No nie, na pewno tego nie chciała. Jej chodziło zupełnie o coś innego. Chyba rzeczywiście chciała sobie udowodnić, że burza nie wyrządzi jej krzywdy.

Na chwilę przymknął oczy, wsłuchując się w odgłosy łodzi, czując jak się zapada i znów unosi na falach, rozpoznając nawet najcichsze skrzypnięcie. Wszystko było w porządku. Przynajmniej z łodzią. Znów przypomniał sobie

Weronikę, stojącą na pokładzie z uniesionymi ramionami, jakby chciała objąć całe niebo. Jej uszczęśliwioną, zachwyconą twarz i błękitną poświatę wokół niej.

Niepomny swego postanowienia lekko dotknął jej ręki. Spojrzała nieufnie.

- Powiedz mi coś więcej o tej masce.

- Nie słyszę, co mówisz. Palcem pokazał na swoje ucho.

Westchnęła, sięgnęła po leżące obok pudełko i włożyła słuchawki.

Niebieskie oczy patrzyły na niego wyzywająco.

- Co chcesz? - zapytała.

- Co ty właściwie tam robiłaś? - Starał się mówić spokojnie, bez nerwów.

- Chciałam poczuć burzę. - Wzruszyła ramionami.

- Poczuć burzę? Skinęła głową.

- Wiesz, dlaczego tak gwałtownie ściągnąłem cię stamtąd?

- Nie.

- Ponieważ cała świeciłaś na niebiesko. W każdej chwili mógł porazić cię piorun.

Nie odpowiedziała, spojrzała na monitor. Czekał cierpliwie, nie wiedząc, czy oznacza to ponowne zamknięcie się w sobie.

Wreszcie odezwała się.

- Nie uderzyłby we mnie. Burza nie zrobiłaby mi tego.

- Boże, ty oszalałaś. - Aż go zamurowało.

- Wcale nie.

- No tak, masz rację. To ja oszalałem. Narażając własne życie leczę, żeby uratować kobietę naładowaną elektrycznością, a ta, zamiast mi podziękować, wygaduje, że burza nic jej nie robi. Rzeczywiście, to chyba ja zwariowałem.

Nie miał pojęcia, ile zrozumiała z jego perory, ale znów patrzyła tymi swoimi błękitnymi oczami. Wyglądała jak... jak nawiedzona. Nieoczekiwanie chwyciła go za rękę.

- Ty nic nie rozumiesz. Burza była... ona była... Cała ją czułam. Była częścią mnie.

- No tak, z pewnością była. Szczególnie ta błękitna część, ta bardziej świecąca.

- Nie. - Westchnęła i na jej twarzy pojawiło się zniechęcenie, które oglądał już zbyt często. Zaczynał mieć tego dosyć. Stracił nadzieję, że kiedykolwiek znajdą wspólny język. I to nie z powodu jej głuchoty. Po prostu wygląda na to, że pochodzą z dwóch całkowicie różnych planet.

Weronika nie przestawała mówić.

- To było... Och, Dugan, to było wspaniałe. Całą sobą czułam tę burzę. Czułam jej siłę... To było jak... jak.....- Przez moment nie mogła znaleźć słów, wreszcie wyrzuciła z siebie. - To było to, co ty czujesz, kiedy płyniesz łodzią.

Umilkł, wiedział już, co miała na myśli. Zaskoczyło go, że tak sprytnie uderzyła w jego słaby punkt.

Ta łódź też była jego częścią, częścią jego duszy. Chociaż tak rzadko udawało mu się wypływać na „Mandolinie”, nigdy nie czuł takiej pełni życia jak wtedy, gdy razem mknęli ponad falami z żaglami pełnymi wiatru. Szum żagli i skrzypienie olinowania odczuwał jak bicie swego drugiego serca. A kiedy stał za sterem, tworzyli z łodzią jedną całość.

Weronika to wyczuła; musiał przyznać, że była bardzo spostrzegawcza. Powiedziała, że czuła się tak samo podczas burzy.

- Wydawało ci się, że jesteś częścią burzy? Przytaknęła, uśmiechając się trochę zawstydzona.

- Czułam, że mogłabym ogarnąć błyskawice ramionami.

- Prawie to zrobiłaś.

Nie miał już żadnych argumentów. Jeśli w ogóle przedtem je miał. Teraz, kiedy tak to przedstawiła, uznał, że postąpił głupio, zabierając ją z pokładu. To tak, jakby ktoś na siłę chciał wyciągnąć go ze sterówki.

- Mimo to uważam, że mogło ci się stać coś złego. - Odezwał się po chwili.

- Tobie też może się coś stać, kiedy płyniesz łodzią.

- Ale to nie to samo, co uderzenie pioruna.

- Nie? - Odwróciła głowę, patrząc przed siebie, jakby dostrzegła coś, czego on nigdy nie zobaczy.

- Czy mówiłam ci już, że wywodzę się w prostej linii od kapłanki, która płynęła „Alcantarą”?

Poczuł przyspieszone bicie serca. Zaczyna się wywoływanie duchów, pomyślał. Lekko klepnął ją w rękę, żeby spojrzała na niego.

- Co ty chcesz mi powiedzieć?

- To, co powiedziałam. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy stałam tak podczas burzy, czułam się jak... miałam uczucie wewnętrznego spokoju, jakiego dawno nie zaznałam. Czułam się... jakbym była w domu. Wśród bliskich.

Tego było za wiele. Czyżby naprawdę miała się za następczynię kapłanki? Z drugiej strony....

- A swoją drogą, jak twoi przodkowie zdołali się uratować?

- Konkwistador, o którym ci mówiłam, miał córkę. Oboje zdołali dotrzeć do brzegu, a następnie do St. Augustine. Pochodzę z żeńskiej linii tego rodu.

Nie wiedział, co powiedzieć. Tylko jedno przyszło mu do głowy.

- To znaczy, że gdyby to plemię ocalało, byłabyś teraz ich kapłanką?

- Nie wiem. To bez znaczenia. Ale zastanawiam się, czy... czy to, że w moich żyłach płynie ich krew, nie sprawia, że odczuwam dziwne pokrewieństwo z burzą.

- Czy zawsze odczuwałaś takie, powiedzmy, uniesienie podczas burzy?

- Nie nazwałabym tego uniesieniem. Ale zawsze lubiłam burze. Czułam się wtedy... tak dobrze.

- Hmm.

Nieoczekiwanie na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie.

- Nie da się ukryć.

- Może po prostu lubię burze i niepotrzebnie doszukuję się jakichś niezwykłych powiązań.

- Pewnie tak - powiedział, lecz jednocześnie coś dziwnego kazało mu uwierzyć, że wcale tak nie jest. - Dlatego tak bardzo chcesz odnaleźć maskę?

- Częściowo tak, ale głównie dlatego, że matka szukała jej przez całe życie. Jestem jej to winna.

- Chyba cię rozumiem. Tylko mam jedną prośbę.

- Jaka?

- Nie próbuj więcej bratać się z burzą z pokładu mojej łodzi. Towarzystwo ubezpieczeniowe dostałoby szału.

Ku jego zdumieniu Weronika roześmiała się.

Może więc nie jest taka szalona? Jakoś z nią wytrzyma.

Ale tylko przez parę miesięcy.

Rozdział 10

Pierwszą osobą, która zeszła w porcie z „Mandoliny”, był Tam. Luis widział, jak zeskakuje z pokładu z workiem na ramieniu i mimo deszczu oraz zapadających ciemności kieruje się w stronę Old Town.

Stał po drugiej stronie ulicy w księgarni i obserwował port, udając, że przegląda książki. Postanowił zaproponować Tamowi podwiezienie.

Pięć minut później jechał wzdłuż Truman Avenue, kilka metrów za Tamem. Zgodnie z lokalnym zwyczajem zwolnił, uchylił szybę.

- Może podwieźć?!-krzyknął. Tam pochylił się i spojrzał na niego.

- Z chęcią. Czy to przypadkiem nie ty byłeś na nabrzeżu, gdy odbijaliśmy?

- Faktycznie. - Luis nie zaprzeczył. - Zobaczyłem cię, jak schodzisz na ląd.

Tamowi to wystarczyło. Skwapliwie wrzucił worek na tylne siedzenie i usadowił się obok kierowcy.

- Właśnie jechałem na drinka. - Dotąd szło gładko, więc Luis zdecydował się iść na całość, bez owijania w bawełnę. - Przyłączysz się? Mam dla ciebie propozycję.

- Jeśli potrzebujesz nurka, to na razie jestem zajęty. Luis pokręcił głową.

- Coś łatwiejszego i za lepsze pieniądze.

- Brzmi zachęcająco. Dobra, jedźmy na drinka.

Idzie zbyt łatwo, pomyślał Luis. Albo ten facet jest głupi, albo wodzi mnie za nos. Postanowił, że będzie działał ostrożnie.

Nie rozgadując się zbyt wiele, dotarli do serca Old Town. Pozwolił Tamowi wybrać bar, jeden z tych bez stolików, jedynie ze stołkami przy ladzie, szeroko otwarty na ulicę.

Luis zamówił tecate. Tam, myśląc, że zanoszą się na większe pieniądze, zażyczył sobie chivasa. No jasne, pomyślał Luis, to nie on będzie płacił.

- Jak się udała wycieczka?
- Nudna. Cały czas czytałem książkę. Nie było nic do roboty.
- Też nie znoszę nudy. - Luis wpadł mu w słowo.
- Zgodziłem się, bo myślałem, że trochę ponurkuje.
- I dlaczego nie nurkowałeś?

Już miał odpowiedzieć, ale nagle się rozmyślił. Pociągnął spory łyk chivasa i westchnął z lubością.

- Diabło mi tego brakowało. - Po czym zwrócił się do Luisa: - Coś ty taki ciekawy?

- Jestem archeologiem. Wiem, że panna Coleridge poszukuje hiszpańskiego wraku. Interesuje mnie to.

- Hmm. - Tam przyglądził węż. - A nie chodzi ci przypadkiem o złoto, co?

- A po co mi ono, i tak bym go stąd nie wywiózł. Bardziej zależy mi, żeby zobaczyć słynny wrak.

- To chyba będziesz musiał cholernie długo czekać, ponieważ my nie trafiliśmy na żaden ślad. To będzie chyba moja najgorsza robota w życiu.

Luis pokiwał współczująco głową. Był dobry w udawaniu współczucia, zdolności te przydały mu się wiele razy podczas współpracy z Emiliem.

- Na dłuższą metę rzeczywiście może być nudne.
- Tego się właśnie obawiam. Ale robota to robota.
- Zresztą bierzesz za to forszę. Tam nagle poczuł się nieswojo.
- W zasadzie tak.

Luis znów pokiwał głową i pociągnął łyk piwa, żeby Tam nie pomyślał, że go przypiera do muru.

- Zawsze chciałem robić to, co panna Coleridge. Ale nie stać mnie na to.
- To rzeczywiście kosztuje - zgodził się Tam i zamówił znów chivasa.

Idzie nieźle, stwierdził Luis. Im więcej whisky, tym łatwiej rozwiązuje się

język. Trzeba trochę poczekać, niech zamówi następną kolejkę. Chociaż nie, będzie krążył koło tematu, nie naciskając. Tak będzie bardziej naturalnie.

- Już w dzieciństwie o tym marzyłem. Znaleźć statek pełen skarbów. Później chciałem zostać piratem, ale kiedy dorosłem, zamarzyła mi się sława archeologa.

- Taaak? - Tam spojrział z zainteresowaniem. - Ja też chciałem zostać piratem.

- Ech, dziecinne marzenia... - Luis uśmiechnął się blado.

- Taaak. - Tam roześmiał się i pokręcił głową. - Niestety, ja z tego nic nie będę miał, człowieku. Władze dobrałyby mi się do tyłka. - Uśmiech zgasł mu na twarzy. - Ale czego właściwie ode mnie chcesz?

- Tylko informacji. Chciałbym wiedzieć, jak idą poszukiwania i co znaleźliście. Nic więcej.

- Niby z ciekawości?

- Z czystej ciekawości.

- I chcesz za to zapłacić?

- Zgadza się, dobrze zapłacę. Tam odsunął szklaneczkę.

- Zapomnij o tym - powiedział lodowatym tonem. - Coś kręcisz. Ja nie sprzedaję swoich przyjaciół.

Luis błyskawicznym ruchem węża zacisnął palce na przedramieniu Tama. Jak na tak niepozornego człowieka był nadzwyczaj silny.

- Powiem ci coś, przyjacielu - zniżył groźnie głos. - Potrzebuję informacji. To wszystko, czego chcę. Informacji. Płacę za nie.

- Nie.

- No cóż, będę zmuszony umieścić kogoś innego na pokładzie.

- Nie będzie tam dla niego miejsca. Potrzeba tylko dwóch nurków, a ja jestem jednym z nich.

- Nie zrozumiałeś mnie. - Luis pokręcił głową. - Potrafię zrobić miejsce na

łodzi dla swojego nurka.

Tam pobladł.

- Ale tylko informacje - wykrztusił po chwili.

- Oczywiście. Nic więcej. Chcę po prostu wiedzieć, a co z tym zrobię to już nie twoja sprawa. Twoim przyjaciołom nic nie grozi.

Tam skinął głową, krótko i pośpiesznie.

- No, niech będzie - powiedział w końcu. - Niech będzie.

- A więc doszliśmy do porozumienia. - Luis uśmiechnął się, wyciągnął z kieszeni rolkę banknotów i położył przed Tamem. - Twoja zaliczka.

Tam wziął pieniądze i wsunął do kieszeni. Tak jak podejrzewał Luis, lubił łatwy zarobek.

- W porządku, zrobię to.

- Jasne, że zrobisz, przecież to drobiazg.

- Taaak - westchnął Tam. A po następnej kolejce chivasa wyglądał na człowieka, który ubił naprawdę dobry interes.

Teraz chciał już się stąd wyrwać, a Luis go nie zatrzymywał. Tam obiecał dzwonić na jego pager, za każdym razem, kiedy zawiną do portu. Wszystko poszło dobrze, czekały go jeszcze tylko dwa telefony.

Pierwszy wykonał do Emilia.

Długo czekał, zanim ktoś podniósł słuchawkę. Emilio często kazał mu czekać. Tak jakby oglądał na wideo *Szklaną pułapkę* i nie chcąc przerywać sobie pasjonującej akcji liczył, że telefon odbierze żona. Rozmowa i tak była na rachunek Emilia.

Wreszcie w słuchawce usłyszał jego głos.

- *Digame*. Opowiadaj.

- Jeden z nurków zgodził się udzielać informacji. Jak dotąd nic nie znaleźli.

- Mogą szukać jeszcze kilka lat - odparł filozoficznie Emilio -jestem

cierpliwy.

Ale Luis nie miał tyle cierpliwości. Nie chciałby utkwic na resztę życia w tym zapomnianym przez Boga miasteczku, spotykać się wyłącznie z Tamem Ansonem i czekać na odnalezienie wraku. To gorsze niż dożywocie.

Emilio wyraźnie wyczuł jego niezadowolenie, a Luis jeszcze raz się przekonał, że potrafi czytać jego myśli.

- Nie będzie tak źle - powiedział ciepło. - Nie musisz tam być cały czas.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. Ten twój człowiek może do ciebie dzwonić, a raz na jakiś czas pojedziesz do Key West i spotkasz się z nim.

- Dziękuję. - Przyszłość Luisa nabrała jaśniejszych barw.

- Nie jestem przecież potworem bez serca.

Teraz pozostał mu jeszcze telefon do *El Desconocido*.

Trochę się obawiał, bo nie wiedział, co zrobi, jeśli ten każe mu zostać w Key West. Jak to wytłumaczy Emiliowi?

Na szczęście na razie nie musiał się przejmować. Bezbarwny głos automatycznej sekretarki odpowiedział: „Proszę zostawić wiadomość.” Tak więc przekazał ją, nie informując, kiedy znów zadzwoni ani jakie ma plany. Przecież *El Desconocido* chciał tylko wiedzieć, czy odnaleziono statek.

Luis odwiesił słuchawkę. Uznał, że interes może się udać. Będzie się kontaktował tylko przez telefon, a pokaźna suma wpłynie na jego anonimowe konto.

Tak, to się uda. Emilio o niczym się nie dowie i nikt nie odkryje, kto maczał w tym palce. Życie jest piękne. Postanowił uraczyć się najdroższym posiłkiem w Key West.

W przeciwieństwie do Tama, który zeskoczył z łodzi, jakby uciekał z

więzienia, Weronika została, żeby pomóc Duganowi posprzątać, opróżnić z resztek lodówkę, pozamykać luki i rozciągnąć brezent. Nim skończyli, deszcz przemoczył ich do suchej nitki.

- Może chciałabyś pojechać do mnie, wysuszyć się? - Dugan sam nie pojmował, co kazało mu zapytać.

Oczy jej się zaokrągliły ze zdziwienia, przez chwilę milczała.

- Słucham? - spytała w końcu.

W pierwszej chwili pożałował tego nagłego odruchu, ale zaraz przyszło mu do głowy, że świetnie go zrozumiała, tylko chciała zyskać na czasie. Powtórzył więc brzemienne w skutki słowa.

- Czy chcesz pojechać do mnie wysuszyć się? Przygotuję coś do zjedzenia.

Od kiedy zwierzyła się, jak jest samotna i co czuła podczas burzy, był nią zafascynowany. Był jak ćma lecąca do światła, gotów na samozniszczenie, lecz nic nie mógł na to poradzić.

Po chwili wahania Weronika zgodziła się. Był zdziwiony, że nie szukała pretekstu do odmowy. Może zmęczyła ją samotność i pragnęła z kimś pobyc.

Nie był do końca przekonany, czy on sam tego chciał, ale było już za późno. Załadowali bagaże do furgonetki i ruszyli w stronę domu. Deszcz powoli ustawał. Wieczór był ponury i szybko zapadała noc. Z ulicy skręcił na podjazd, wystarczająco długi i szeroki, by samochód nie blokował chodnika. Skuter Tama stał na swoim miejscu, co zresztą nic nie oznaczało. W oknach na górze było ciemno. Dugan przyjął to z wyraźną ulgą. Nie miał ochoty się z nim teraz widzieć.

- Nareszcie w domu - powiedział, kiedy wprowadził ją do środka i zapalił światła.

Na błyszczącej, drewnianej podłodze, pociemniałej od upływu czasu, porozkładane były dywaniki. Pokój wypełniały stare meble; niektóre stały tu od lat, inne dokupił na wyprzedaży. Wszystko sprawiało wrażenie, że dom jest

zamieszkany od pokoleń.

Nie było to dzieło architekta wnętrz, nie skorzystał z jego usług. Wiedział, że Jana by tego nie pochwaliła, a był czas, że wszystko, co robił, rozpatrywał pod tym właśnie kątem.

Weronika stała w progu i rozglądała się niepewnie. Pochwycił jej wzrok.

- Łazienka jest tam - wskazał ręką. - Nie krępuj się. Weź prysznic i przebierz się. Zrobić ci kawy?

- Bardzo proszę.

- Zaraz zaparzę. - Odczekał, aż zniknęła za drzwiami, po czym poszedł do kuchni.

Kuchnia była jedynym miejscem, gdzie widać było dwudziesty wiek. Wszystkie urządzenia były nowoczesne - zmywarka do naczyń, rozdrabniacz odpadków oraz inne kuchenne gadzety, poczynając od ekspresu do kawy, a kończąc na maszynce do makaronu. Używał każdego z nich.

Dzbanek z kawą już czekał, kiedy zjawiła się Weronika. Przebrała się w białe szorty i luźną czerwoną bluzkę z długimi, podwiniętymi rękawami.

Ciemne włosy, jeszcze wciąż wilgotne, spięła w koński ogon, który podkreślał w nich siwe pasemko.

Poruszył go jej widok, ale stłumił emocje.

- Kawy? - spytał, podając jej kubek. W ciągu ostatnich dni zauważył, że pije tylko czarną.

- Dziękuję. - Odsunęła krzesło przy okrągłym dębowym stole w rogu kuchni i usiadła, rozglądając się z zainteresowaniem.

- Co za kontrast. Stare meble i nowoczesne urządzenia. Uśmiechnął się, siadając naprzeciwko.

- To jedyne miejsce, gdzie mam pełny komfort.

- No i w łazience. - Odwzajemniła uśmiech.

Miała rację, łazienka była równie nowoczesna jak kuchnia... z wyjątkiem

wanny. Była wielka, staroświecka, na zakrzywionych nóżkach. Za żadną cenę nie rozstałby się z nią, bo tylko w niej mógł się swobodnie wyciągnąć.

- Jak ci się tu podoba?

- Przyjemnie. Czuje się domową atmosferę.

O to mu chodziło. Jak na powtórnego kawalera bardzo się starał stworzyć prawdziwy dom.

- Gotujesz?

- Czasami.

Uniosła z podziwem brwi.

- Kiedy chcę się rozerwać, a biurowa robota nie pozwala mi wypłynąć na morze, urządzam w domu wielkie żarcie.

- Co urządzasz? Powtórzył, tym razem wolniej.

- I co z tym dalej robisz? - Spojrzała na jego płaski brzuch.

- Szybko znika. Dzwonię do Tama i jeszcze paru przyjaciół. Za chwilę dom jest pełen ludzi. Jemy i bawimy się.

Spojrzała z takim żalem, że aż ścisnęło mu się serce.

- Nie chodziłaś nigdy na przyjęcia?

Przysiagłby, że go zrozumiała, ale miał wrażenie, że wolałaby się do tego nie przyznawać. Jednakże odpowiedziała.

- Nie.

- Dlaczego?

- Chyba z braku czasu. - Wzruszyła ramionami.

- Daj spokój, przecież nie pracowałaś aż tak ciężko.

Tym razem przemilczała i wiedział, że nie odpowie. Co się z nią dzieje?

Wygodnie rozparty w fotelu popijał kawę. Właściwie powinien się przebrać. Zrobiło mu się trochę chłodno w wilgotnym ubraniu, przy włączonej klimatyzacji. Nie chciał jednak w tym momencie zostawiać Weroniki samej. Czuł, że walczy ze sobą, chce mu coś wyznać, ale jeszcze nie jest gotowa.

Czyż nie obiecywał sobie Bóg wie ile razy, że nie będzie bawił się w błędnego rycerza? Po diabła tutaj siedzi i czeka, aż ona zacznie wylewać swoje żale?

- Idę się przebrać. - Uzmysłowił sobie, że nie patrzyła na niego. Szybko spojrzała i zapytała:

- Słucham?

- Idę się przebrać.

- Dobrze.

Wstał i skierował się do sypialni. Jak ona wytrzymuje z tą głuchotą? A inni? Wciąż muszą jej powtarzać. Nagle go olśniło... jemu to przecież nie przeszkadza. Zdążył już się przyzwycząić.

Boże broń. Nie ma mowy. Życie dostarczyło mu już zbyt wielu kłopotów. Nie potrzebuje żadnych innych.

Ściągnął ubranie i powiesił na stojaku, żeby wyschło. Specjalnie w tym celu go kupił. W tropikalnym klimacie ubranie po zdjęciu przeważnie jest wilgotne. Już po pierwszym tygodniu w Key West poznał co to pleśń.

Przebrał się w dzinsy, żółte polo i wrócił do kuchni. Weronika siedziała bez ruchu, zgarbiona nad kubkiem i wpatrywała się w kawę jak w kryształową kulę.

- Wróżysz z fusów?

Nawet na niego nie spojrzała. Zauważył, że wyjęła z uszu słuchawki. Obok leżał futerał.

Świetnie. Wygląda na to, że będą siedzieć i wpatrywać się w siebie. Dotknął jej ramienia. Drgnęła nerwowo i zwróciła twarz w jego stronę.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Słyszysz mnie? Pokręciła głową i wskazała na uszy.

- Wyjęłam słuchawki. Podał jej futerał.

- Włóż je, trudno bez nich rozmawiać.

Zdawał sobie sprawę, że go nie rozumie, przypuszczalnie w ogóle nie słyszy jego głosu. Ale był przyzwyczajony do gadania i nie potrafił tak nagle przestać.

Zrozumiała jednak o co mu chodzi. Miała minę upartego, krnąbrnego dziecka. Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Wyglądała naprawdę słodko.

W końcu sięgnęła po etui i ze złością założyła aparat.

- Dziękuję.

Rzuciła mu niechętne spojrzenie.

- Czemu ci one przeszkadzają? - zapytał. - Przecież tu jest cicho.

- Nosłam je cały dzień. Bołą mnie już uszy.

- Przykro mi.

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Przecież nie możemy rozmawiać, kiedy mnie nie słyszysz.

- A o czym mamy rozmawiać?

Dobre pytanie. Był na nie przygotowany.

- Czy zaprosiłbym cię tutaj, gdybym nie chciał pogadać?

- Może i tak.

Szczeka mu opadła. Chyba nie myślała, że... nie spodziewała się... Diabli nadali! Skoro tak sądziła, to po cholere z nim przyjechała?

- Czuję się urażony - rzekł ostro.

- Co?

- Urażony i znieważony - podkreślił, uderzając się w pierś.

- Przepraszam - wzruszyła ramionami.

Odsunął krzesło i usiadł okrakiem naprzeciw niej. Wciąż był na nią zły.

- Z jakimi ty facetami miałeś do czynienia?

- Co?

Zanim powtórzył pytanie, oklapł jak pęknięty balon. Jakimi facetami? W ogóle co za bzdurne pytanie. Dobrze wiedział, że przerażająca większość to

właśnie tacy faceci. Przejechał ręką po twarzy, jakby ścierając gniew i rozdrażnienie. Ta kobieta doprowadza go do szaleństwa szybciej niż wszystkie inne, które znał. Niedobrze.

- Zaczniemy od nowa.

- Co mamy zacząć?

- Naszą rozmowę.

- Aha. - Znów wzruszyła ramionami. Ten gest zaczynał doprowadzać go do szału. Jakby to, co mówił, nie miało żadnego znaczenia, jakby był jej całkowicie obojętny. Dlaczego tak się przejmował? Nie chciał teraz tego roztrząsać.

- Droga pani, jak na kogoś, kto skarży się na samotność, robisz wszystko, żeby trzymać ludzi na dystans.

Zrozumiała. Mógł to wyczytać w jej oczach. Najpierw pociemniały z bólu, po czym zapłonęły. Skoczyła na równe nogi, skrzyżowała ramiona na barkach i zaczęła nerwowo przemierzać kuchnię.

- Co ty o mnie wiesz!

Nie zamierzał odpowiadać. Nawet na niego nie patrzyła. Wyraźnie nie miała ochoty go słuchać.

- Jeżeli nadal będziesz próbował wykorzystywać chwile mojej słabości, nie będziemy więcej razem pracować.

Chciał, żeby tak się stało. Naprawdę chciał. Jednak kołaczące się w nim resztki współczucia nie pozwalały tak łatwo rezygnować. Czekał. W końcu zaczęła mówić.

- Całe życie byłam samotna. Od dzieciństwa. Znajdowałam sobie w szkole przyjaciółki, ale latem musiałam wyjeżdżać na wykopaliska. Kiedy wracałam jesienią, moje przyjaciółki miały już inne przyjaciółki. Zresztą często zmieniałam szkoły, bo ojciec obejmował posady na różnych uniwersytetach.

Znów wzruszyła ramionami, lecz tym razem skierowała ten gest wyłącznie

do siebie.

- Oczywiście to nic wielkiego. W sumie miałam bogatsze dzieciństwo niż inne dzieci. Zwiedzałam miejsca, o których inni mogli tylko marzyć, kiedy dorastałam, sama zaczęłam pracować przy wykopaliskach i piekielnie dużo się nauczyłam. Spojrzała na niego.

- Teraz wolę być sama, odpowiada mi to. A ten jedyny raz, kiedy pozwoliłam komuś zbliżyć się do mnie, okazał się największym błędem w życiu.

Poczuł nagle nieodpartą chęć, by podejść do niej i przytulić, gdyż w głębi duszy był przekonany, że nadrabia miną, a w jej słowach nie było krzty prawdy.

- Nauczyłam się wielu rzeczy. Nauczyłam się być samodzielna, liczyć tylko na siebie w każdej sytuacji. I sama troszczyć się o siebie. - Najwyraźniej bardzo się starała, żeby brzmiało to przekonująco.

Skinął głową, niepewny czy ją w ogóle obchodzi, co on o tym myśli. Był skołowany tymi wynurzeniami pełnymi dumy. Jednego był pewien, współczuł jej całym sercem.

- W każdym razie, kiedy mówiłam, że jestem osamotniona, miałam na myśli, że jestem głucha. Stąd moje kłopoty w kontaktach z ludźmi.

Guzik prawda, pomyślał. Jeśli naprawdę tak jest, to ja jestem chińskim cesarzem. Miał chęć jej powiedzieć, by wzięła się do roboty i przestała się zadreczać, ale nie zrobił tego. Nurtowało go podejrzenie, że ona rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

Czekała, w nadziei, że coś odpowie. Sęk w tym, że nie umiał kłamać na zawołanie, a gdyby powiedział co myśli, pewnie by się pokłócili.

- Kim był ten człowiek, któremu pozwoliłaś się do siebie zbliżyć?

- Jaki człowiek?

- Ten, który cię skrzywdził.

Odwróciła się tyłem, co znów roznieciło w nim iskrę gniewu.

Niejednokrotnie już go ignorowano, ale za szczególnie lekceważące uważał ostentacyjne odwracanie się plecami. Z trudem powstrzymał się, żeby nie odwrócić jej siłą.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedziała.

- Mój mąż. - Powtórzyła to, co już usłyszał wcześniej. - Mój były mąż. Zostawił mnie, kiedy straciłam słuch. Mówił, że nie może tego znieść.

Chyba nie powiedziała mu wszystkiego. Żaden porządny facet by tak nie postąpił. Widocznie był niewart funta kłaków. Dugan nie rozumiał, jak taka kobieta mogła się związać z jakimś draniem?

- I co jeszcze się wydarzyło? - zapytał, chociaż wiedział, że odwrócona, nie może go zrozumieć. Sam dźwięk jego głosu spowodował jednak, że się odwróciła i nie musiał jej dotykać.

Doszedł do wniosku, że powinien unikać ciągłego dotykania i to wcale nie dlatego, żeby jej nie urazić, ale dlatego, że zaczynało mu to sprawiać przyjemność.

- Słucham? - zapytała.

- Co jeszcze się wydarzyło? Nie chodziło tylko o to, że straciłaś słuch, prawda?

Twarz jej pociemniała.

- To nie twoja sprawa.

- Nie? No cóż, jesteś tutaj, mieszasz się po kuchni, mówisz, że w ogóle cię nie rozumiem. A przecież wcześniej płakałaś i mówiłaś, że czujesz się opuszczona, że ktoś cię zranił i że to był największy błąd w twoim życiu. Więc skoro zaszliśmy tak daleko, dlaczego nie powiesz mi całej prawdy? Wtedy przymknę się i zostawię cię w twojej wieży z kości słoniowej.

Nie miał pojęcia, czy zrozumiała chociaż jedną dziesiątą. Sam zresztą też zaczął się gubić. Bardzo chciał poznać całą jej historię, nie tylko te strzępy, które mu rzucała.

- Nie pleć o jakiejś wieży z kości słoniowej! Jestem głucha! Straciłam przez to męża. Nie mógł wytrzymać, chociaż to przez niego...

Urwała raptownie i znów się odwróciła.

Dłużej nie zastanawiał się. Podniósł się i podszedł do niej. Chwylił za ramiona i zmusił, żeby na niego spojrzała. Cała zeszywniała.

- Chcę już iść.

- Nie, nie pozwolę ci, zanim mi nie odpowiesz. To przez męża straciłaś słuch? Co takiego zrobił? Powiedz mi, Weroniko.

Nie była w stanie dłużej powstrzymać emocji.

- Chcesz wiedzieć? To właściwie nie była jego wina. Wypił parę piw, ale to ten drugi kierowca spowodował wypadek. Dlatego straciłam słuch i dziecko.

Odepchnęła go i wybiegła.

Po chwili usłyszał trzask frontowych drzwi.

Chciał biec za nią. Była roztrzęsiona i nie panowała nad sobą. Ale deszcz przestał padać, a ona mieszkała zaledwie parę przecznic dalej. Zresztą był przekonany, że miała go na dzisiaj dość. Pozostał więc na miejscu.

Teraz przynajmniej orientował się, co przeszła, gdyż i on przeszedł podobną drogę i pamiętał, jak czasem inni działali mu na nerwy.

Żałował, że zmusił ją do zwierzeń, i to wcale nie dlatego, że sprawiły mu ból. Raczej dlatego, że zaczął uważać ją za bratnią duszę.

Rozdział 11

Orin nie czuł się dobrze. Wprawdzie przekonywał Weronikę, że jego stan się poprawia i remisja na pewno się utrzymuje, lecz ona nie bardzo w to wierzyła. W ciągu dwóch miesięcy, jakie upłynęły od przyjazdu do Key West, wyraźnie się postarzał.

- To kwestia wieku - wmawiał jej. - Naprawdę. Nic złego się ze mną nie dzieje.

- Powinieneś wrócić do Tampy na badania.

- Pojadę w przyszłym miesiącu. To już niedługo. Naprawdę wszystko w porządku.

Nie wierzyła mu. Za każdym razem, gdy wyruszała „Mandoliną” w kilkudniowy rejs, drżała ze strachu, czy jeszcze go zobaczy. Tego ranka znów mieli wypłynąć i jak zwykle zaczęła przeżywać wszystko od nowa.

Magnetometr już wcześniej zarejestrował pewne anomalie. Dugan z Tamem wielokrotnie nurkowali, przeczesując wielkie połacie dna wykrywaczami metalu. Nic. Żadnego śladu, tylko trochę śmieci i zardzewiała śruba okrętowa.

Dni mijały monotonnie, nudziła się. Oni przynajmniej mieli zajęcie. Tam, z natury gadatliwy, każdy wieczór starał się zamienić w zabawę, ona tymczasem za nic nie mogła go zrozumieć i czuła się nieswojo. Czasami Tam wygrywał na organkach szanty i inne znane kawałki, które udawało jej się rozpoznać. Czasami śpiewał Dugan.

Nie miała odwagi przyłączyć się do nich, ale z przyjemnością słuchała. Były też wieczory, kiedy wyjmowała słuchawki i pogrążała się w ciszy. Dugan nigdy nie zrobił na ten temat uwagi, jak gdyby nie miał nic przeciwko temu, że odgradza się kurtyną ciszy. Od chwili, kiedy opowiedziała mu o sobie, czuła, że

się oddalił, że przestał ją przyjaźnie traktować. Stali się dla siebie całkowicie obcy, mimo że widywali się codziennie i sporo rozmawiali - ale wyłącznie o pracy.

Wmawiała sobie, że to nic takiego, w końcu był tylko wynajętym pracownikiem. Ale mijały właśnie trzy miesiące, a ona nie wiedziała, czy zdoła go przekonać do przedłużenia kontraktu. Tam zaczął wprawdzie napomykać o kończącej się robocie, ale Dugan nie powiedział ani słowa.

I jeszcze ojciec... Widziała jego podkrążone oczy i bladą, pergaminową twarz. Naprawdę był chory.

- Zabieram cię do Tamy - oświadczyła. - Musisz zobaczyć się ze swoim lekarzem i zrobić tomografię.

Pokręcił głową.

- Wszystko jest w porządku, to tylko ta pogoda. A poza tym nie możesz przerwać poszukiwań. Musisz udowodnić, że się myliłem, nim będzie za późno.

Rzucił jej to prosto w oczy. Była zszokowana. Przez tyle miesięcy nie wspominali o dzielącej ich różnicy zdań.

- Co się z tobą dzieje? - spytała twardo. - Twoje zdrowie jest ważniejsze niż poszukiwania.

- Jeśli już o to chodzi - powiedział łagodnie - to najważniejszy jest dla mnie twój stan, ważniejszy od mojego zdrowia.

- Ze mną wszystko w porządku.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Wzruszył ramionami. - Jesteś na mnie zła, chodzisz podminowana i głęboko wierzysz, że popełniłem śmiertelny grzech, nie wspominając o masce i o poszukiwaniach twojej matki. Nie bierzesz pod uwagę, że zrobiłem to dla twojego dobra.

- Co mogło być dobrego w kłamstwach? Czy ty się jej wstydziłeś? Tato, do cholery, przecież nie była prostytutką. Była archeologiem, szukała zaginionego dzieła sztuki.

- Nie wstydzilem się jej. Nigdy, przenigdy. Uważałem, że ma obsesję, ale to się zdarza w naszym zawodzie. A miała jeszcze dodatkowe powody - była spokrewniona z ostatnią kapłanką plemienia. Wszystko to rozumiałem.

- Czego w takim razie nie rozumiałeś?

- Wszystko rozumiałem. Już ci tłumaczyłem. Nie chciałem o tym mówić, bo bałem się o ciebie. Wiedziałem, jak cię to pochłonie. Bałem się, że może cię spotkać to samo co matkę.

Pokręciła ze złością głową.

- Przecież to był wypadek.

- Mam swoje zdanie, dowody nie były jednoznaczne. Ale minęło tyle lat, czy teraz ma to jakieś znaczenie? Przecież to, co opowiadałem o niej, było prawdą.

- Tato, zataiłeś to, co najważniejsze - poszukiwania. One stały się jej całym życiem. Okłamałeś mnie, a nie znoszę, kiedy ktoś kłamie. Lany też kłamał, kiedy mówił, że mnie kocha. Nienawidzę kłamców.

- Nigdy cię nie okłamałem.

- Ale nie powiedziałeś wszystkiego.

- To nie to samo.

Wiedziała, że ta dyskusja do niczego nie prowadzi. On miał swoje racje, ona swoje. Nie mogła nawet dobrać właściwych słów, by wytłumaczyć, jak bardzo zraniły ją jego „niedomówienia” przez te wszystkie lata. Jak bardzo czuła się zdradzona tym brakiem zaufania.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że pasję matki uważał za bezsensowną. Nazywał to obsesją, ale myślał „szaleństwo”.

- Uważałeś, że maska nie istnieje, tak? Podniósł brwi, które już zaczynały odrastać.

- Nie wątpiłem w to, że istnieje.

- To dlaczego uważałeś, że traci czas? Że oszukuje samą siebie?

- Nigdy tak nie mówiłem.
- Ale każdym słowem to sugerowałaś. Co się za tym kryje, tato?

Westchnął i odwrócił wzrok, wbijając go w zalany słońcem ogród. Mijały minuty. Weronika czuła rosnące zniecierpliwienie, zaczynała wątpić, czy ojciec w ogóle kiedykolwiek powie jej prawdę i przestanie traktować jak dziecko wymagające opieki.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak nagle poczuł potrzebę chronienia jej. Nie był taki troskliwy nawet wtedy, gdy była dzieckiem. Podczas kolejnych wypraw archeologicznych poznała wiele ciemnych stron życia, zwłaszcza w małych, ubogich miasteczkach, w kantynach i barach całego świata, gdzie ojciec z kolegami wpadali na drinki. Miała dwanaście lat, kiedy próbowano ją zgwałcić.

Na szczęście jakaś Meksykanka usłyszała jej krzyki i przybiegła z *metate* do gniecenia kukurydzy i walnęła napastnika w głowę. Kiedyś okradziono ją na bazarze, była świadkiem burd i walk na noże, a co to jest prostytutka wiedziała już w wieku ośmiu lat. Przed czym więc chciał ją chronić? W końcu Orin odwrócił się.

- Wiem, że nie byłem najlepszym ojcem, nie miałaś ze mną łatwego życia. Ale twoje pretensje nie powinny rzutować na naszą rozmowę. Porozmawiajmy jak profesjoniści, jak koledzy.

- Nie możemy rozmawiać tak o matce.
- Oczywiście, że nie, ale nie mówię teraz o matce. Mówię o różnicy zdań, jaka nas dzieliła w sprawach zawodowych.

Wyraźnie zmienił taktykę, pomyślała Weronika. Ciekawość jednak wzięła górę i zapomniała przez chwilę o złości.

- O jakiej różnicy zdań?
- Uwierzyła słowom Bernala, że maska została zabrana na „Alcantarę”. A ja nie. Pomyśl tylko, czy plemię pozwoliłoby, żeby zabrano im tak cenny

przedmiot kultu? Wierzyli, że maska chroni przed niszczycielską siłą huraganów. Nie oddaliby jej, nawet gdyby tego chciała najwyższa kapłanka.

- Jeśli nie poszła na dno razem ze statkiem, to co się z nią stało? - spytała, chociaż odpowiedź narzucała się sama.

Orin powiedział za nią.

- Pochłonął ją ocean, gdy huragan zatopił wyspę.

Była to jedyna kwestia, której nie rozważała podczas przygotowań. Nawet jeśli nie zgadzała się z wnioskami matki co do miejsca zatonięcia „Alcantary”, nie wątpiła, iż maska znajdowała się na pokładzie.

Możliwość, że jej tam nie było, przyprawiła ją o skurcz żołądka.

- Czemu wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

- Chwytałem się wszystkiego, żeby cię wyrwać z fotela, żebyś znów zaczęła żyć... Byłem gotów kłamać, oszukiwać i kraść, byle tylko cię odzyskać.

- I robiłeś to?

- Czy kłamałem? Nie - pokręcił głową - ale nie dzieliłem się z tobą wątpliwościami.

Dotarło do niej, jak podstępnie nią manipulował, ale czy mogła mieć mu to za złe? Była smutna i przygnębiona. Siedziała nieruchomo przez kilka minut. Powinna się zabić, kiedy odszedł Lany. Po co żyć, po co ta cała szarpanina? Ojciec wyrwał ją z depresji, a teraz odbierał to, co stało się sensem jej życia?

Oczy zaszyły jej łzami, kiedy znów na niego spojrzała.

- Dlaczego w końcu mi to powiedziałaś?

- Ponieważ chciałaś wiedzieć, co naprawdę myślę o poszukiwaniach matki. Teraz już wiesz. Nasz spór dotyczył wyłącznie spraw zawodowych.

To musiało być coś więcej, niż jej powiedział. On wciąż podejrzewa, że matka została zamordowana i boi się, żeby jej nie spotkało to samo.

Przymknęła oczy.

Chciała przez chwilę być sama ze swoimi myślami i podejść do sprawy bez

emocji. Może on ma rację? Czy tubylcy pozwoliliby kapłance zabrać maskę do Hiszpanii? Czy kapłanka zostawiłaby ich na łasce losu? Czy uczyniłaby to swemu ludowi?

Tak mało było o nim wiadomo, o jego życiu i wierzeniach. Cała wiedza o masce Matki Burz i wyspiarzach pochodziła z zapisków Bernala. Może zmyślał, a może po prostu nie znał całej prawdy...

Ale jaki mógłby mieć powód, żeby oszukiwać? Sztorm przecież zniszczył statek. Co by zyskał pisząc, że była tam maska? Absolutnie nic.

Mógł skłamać o tym, jak znalazła się na statku. Może jego żona, kapłanka, wcale nie chciała opuszczać wyspy? Może zmusił ją do tego, a sam zabrał maskę jako trofeum? Nie wiadomo przecież, jakim człowiekiem był Bernal.

Wciąż nie mogła sobie wyobrazić, co mógłby zyskać, utrzymując fałszywie, że maska znajdowała się na pokładzie.

Otworzyła oczy, spostrzegła, że ojciec patrzy na nią.

- Bernal nie kłamał - powiedziała. - Maska była na „Alcantarze”. Jak się tam znalazła, to osobna sprawa, ale nie miał najmniejszego powodu kłamać.

- Może masz rację. Więc zamierzasz szukać dalej?

- Tak.

- W takim razie bądź bardzo, bardzo ostrożna. Tym, co robisz, interesuje się więcej ludzi, niż myślisz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Moi koledzy wiedzą już o twojej wyprawie. Są przecieki w środowisku. Wygląda na to, że wszyscy zaczynają się tym interesować. To może stać się dla ciebie niebezpieczne.

- To tylko plotki. Nikomu o niczym nie mówiłam. A ty? Zaprzeczył.

- To nie ma znaczenia. Ktoś jednak wie. Krążą pogłoski. Większość tych, z którymi się kontaktowałem, kręci głową z niedowierzaniem, a ja nie zamierzam wyprowadzać ich z błędu. Fakt pozostaje faktem - ludzie się tym

interesują.

Jako archeolog przyzwyczajona była do zainteresowania kolegów prowadzonymi przez nią badaniami. Zazwyczaj to jej nie przeszkadzało, ale tym razem... tym razem poczuła się niepewnie.

Na dnie morza leżało przypuszczalnie dziesięć milionów dolarów w sztabkach złota. Nie bujała aż tak bardzo w obłokach, by nie zdawać sobie sprawy, jaką to stanowiło pokusę. Ona nie dbała o złoto. Chciała tylko maskę. To była jej maska. Jej dziedzictwo. I nawet jeśli by przekazała ją do muzeum chciała potrzymać ją w rękach, poczuć więź z przodkami nieżyjącymi od trzystu lat. A także z własną matką.

- Ja chcę tylko odnaleźć maskę. Nie interesuje mnie, co się stanie ze złotem. Mogą wziąć je sobie władze.

- Z pewnością postarają się o to - powiedział Orin z ironią. - A maska, moje dziecko... przecież zdajesz sobie sprawę, że jest warta nie mniej niż złoto. Może nawet więcej.

Nie, o tym nie pomyślała i zrobiło jej się głupio. Była archeologiem, dzieła sztuki były dla niej źródłem wiedzy o kulturze danej epoki. Uważała, że miejsce maski jest w muzeum. Nie brała pod uwagę kolekcjonerów, których jedyną namiętnością było posiadanie rzadkiego i pięknego okazu. Maska na pewno takim była.

- Nie mam się czym przejmować, dopóki jej nie znajdę. I tak nikt o tym nie będzie wiedział, poza mną, Tamem i Duganem. Oni nic nie powiedzą. - Uzmysłowała sobie nagle, jak bardzo zaufała Duganowi. Nawet przy tych napiętych stosunkach między nimi była pewna, że dotrzyma słowa, a on z kolei ręczył za Tama.

- Martwię się o ciebie - powtórzył Orin.

- O mnie? Potrafię o siebie zadbać. To ty masz raka. I mam zamiar zabrać cię do Tamy na badania.

- Nie. Zostaniesz tu i będziesz pracować dalej. Jeśli cię to uszczęśliwi, zadzwonię do lekarza i zamówię wizytę. Ale ty tu zostaniesz. Tylko bądź ostrożna, Weroniko. Różne rekiny buszują w tych wodach.

- Co do maski... - zaczął Dugan. Płynęli w kierunku rejonu poszukiwań, Dugan za sterem, Weronika tuż obok. Tam jak zwykle na dziobie, coraz bardziej brązowy, czytał kolejny kryminał. Dzień był wietrzny, morze lekko wzburzone - przechodził właśnie wyżowy front.

Wpatrzona była w wodę w nadziei, że ujrzy delfina. Słyszając głos Dugana, szybko odwróciła głowę.

- Słucham?

- Wspomniałem o masce.

- Och, co takiego?

- A jeśli w ogóle nie istniała?

Wykrzywiła drwiąco usta, zaskoczona, że nie poczuła śladu irytacji. Z jakichś dziwnych przyczyn tego dnia była w dobrym humorze i nie miała ochoty na spory.

- Wspomniano o niej w kilku źródłach. Między innymi w zapiskach jednego z zakonników o chrystianizacji tubylczej ludności.

- Tak więc to nie tylko wiadomość od tego faceta, twojego pra-pra-pra-itede-dziadka?

- Nie. Zresztą dlaczego on miałby zmyślać? - Zadała mu to samo pytanie, które nurtowało ją ubiegłego wieczoru.

- Nie wiem. Żeby wyglądało bardziej dramatycznie? By dodać sobie splendoru? A jeśli jego żona wcale nie była najwyższą kapłanką? Jak tylko się dowiedział, że sztorm zmiotł wyspę z powierzchni morza, wymyślił historyjkę, która dodałaby mu estymy. Może był tylko zwykłym żołnierzem i miał dziecko

z prymitywną wyspiarką.

Tego w ogóle nie brała pod uwagę. Zaczęło jej świtać, że ojciec wiedział, co mówi, kiedy nazwał to obsesją. Przydałaby się jej odrobina obiektywizmu, kiedy zaczęła rozważać całą sprawę przed paroma miesiącami. A ona po prostu przyjęła wersję matki jako własną i jedyne, z czym się nie zgadzała, to lokalizacja wraku.

- To możliwe. - Z trudem przyszło jej wypowiedzieć te słowa. - Będę jednak dalej próbowała. W końcu mam na swoją hipotezę dużo więcej dowodów niż ty.

- Och, nie miałem zamiaru cię zniechęcać. Chciałem tylko spytać, co zrobisz, jeżeli nigdy jej nie znajdziesz?

- To nie będzie jedyny taki przypadek w archeologii, jakoś to przeżyję.

- Ta maska jest chyba dla ciebie ważniejsza niż jakiegokolwiek inne znalezisko. Strasznie ci na niej zależy.

To była prawda, ale nie zamierzała się przyznawać.

- Wcale nie, chcę ją odnaleźć, bo to dzieło jedyne w swoim rodzaju.

- Hmm. - W jego tonie wyczuła powątpiewanie.

Śpiew olinowania, uderzenia fal oraz skowyt wiatru nasiliły się. W kakofonii dźwięków z trudem mogła wychwycić głos Dugana. Wiedziała, że coś mówi, ale dotarło do niej tylko kilka samogłosek.

- Co mówisz? - zapytała.

- Powiedziałem, że mam nadzieję....

Resztę porwał wiatr. Instynktownie się pochyliła, przysuwając ucho bliżej jego ust. Potężne uderzenie fali sprawiło, że zachwiała się i Dugan podtrzymał ją, żeby nie upadła.

Jakby nagle coś się w niej otwarło i zburzyło jej równowagę. Była świadoma, że jest na łodzi, świadoma uderzających fal, kołysania pod stopami. Myślała jednak zupełnie o czym innym. Jak ciepłe są obejmujące ją dłonie, jak

bliskie jego usta. Widziała delikatne, złotawe włoski na jego nogach. Owładnęło ją uczucie stare jak świat, mistyczne doznanie emocjonalnej i seksualnej więzi z mężczyzną. Przedziwne deja vu, ale dużo silniejsze.

Ogarnęła ją panika.

Wyrwała się z jego ramion i odskoczyła do tyłu jak oparzona. Utkwiła wzrok w jego twarzy, przestraszona, że wszystkiego się domyślił.

Zobaczyła jednak wyłącznie nieskrywaną troskę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Głos Dugana stopił się ze skrzypieniem „Mandoliny” i hukami przetaczających się fal.

Miała wrażenie, że łódź i morze były żywymi istotami, a on był ich nieodłączną częścią. Zupełnie jak ona, wtedy podczas burzy.

Zamrugła i odwróciła wzrok, próbując powrócić do rzeczywistości i! otrząsnąć się z tego dziwnego stanu.

- Weroniko? Usłyszała go poprzez świst wiatru w żaglach i monotonne uderzanie fal o kadłub.

Odwróciła się w jego stronę, niepewna, czy znów nie zawładnie ją niechciane uczucie.

Ale świat wyglądał już normalnie.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. Straciłam tylko równowagę. - Zabrzmiało to dwuznacznie.

Dlaczego psychika wciąż płata jej figle, popycha w coś przekraczającego zwykłą rzeczywistość, każe przeżywać wszystko z nienaturalną siłą?

Może ojciec miał rację, może to rzeczywiście obsesja. Zastanawiała się, czy matka podobnie odczuwała więź z czymś, co przeminęło. Jakby właśnie ta więź, na równi z pragnieniem archeologa, by znaleźć niepowtarzalne dzieło sztuki, podsyciała jej poszukiwawczą pasję.

Czyżby miała to we krwi, jak jej antenatka, która dzięki temu stała się

najwyższą kapłanką? Czy to swoista pamięć genetyczna?

Ale co wspólnego ma z tym Dugan? Dlaczego tak silnie odczuła jego obecność, zupełnie jak tę przedziwną moc podczas burzy?

Na żadne z tych pytań nie znajdowała odpowiedzi. Przypuszczała, że to wina słońca. Oślepiło ją, odbijając się od fal, i może uległa hipnozie czy czemuś podobnemu. Kiedyś czytała, że błyski o pewnej częstotliwości potrafią każdego wprowadzić w taki stan. Na pewno tak właśnie było...

Musiała w to uwierzyć. Wszystko inne było nie do przyjęcia.

Dugan coś powiedział, lecz nie patrzyła na niego. Kiedy wreszcie spojrzała, powtórzył.

- Lepiej zejść na trochę na dół. Jest bardzo ostre słońce.

Skinęła głową, zadowolona, że się od niego uwolni. Zadowolona, że pozbędzie się wrażenia, iż morze i wiatr próbują jej coś powiedzieć. Że otrząśnie się z ogarniającego ją szaleństwa.

Po chwili jednak znów go ujrzała. Siedziała w mesie przy komputerze, udając, że zastanawia się nad zawijasami z magnetometru. Przysiadł na ławeczce obok. Niechętnie podniosła wzrok.

- Tam został przy sterze. Będziemy na miejscu za godzinę.

- Dobrze.

- Co się z tobą działo tam na górze?

- Nie rozumiem. - Nie miała zamiaru do niczego się przyznawać.

- Parę minut temu wyglądałaś na lekko wystraszoną. Już chciała powiedzieć, że sobie to wymyślił, ale nie mogła zmusić się do kłamstwa.

- Sama nie wiem, coś w rodzaju dziwnego deja vu.

- To bywa zabawne. - Uśmiechnął się i położył swoją dłoń na jej ręce.

Wiedziała, że powinna ją cofnąć, gdyż sprawiło jej to przyjemność wprost nie do zniesienia. Ale nie cofnęła. - Żeglarze miewają czasami halucynacje, wiesz?

- Naprawdę?

- Jasne. Człowiek zaczyna być znużony, kiedy ciągle widzi tylko fale i niebo, a wtedy zaczyna roztaczać własne wizje. Gdy masz robotę i ludzi wokół siebie, to się na ogół nie zdarza, ale czasami... Wpatrywanie się w przestrzeń przez dłuższy czas sprawia, że mózg przestaje normalnie funkcjonować.

Była mu wdzięczna, że próbuje ją uspokoić, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Nie chciała się przyznać, że jej halucynacje wiązały się z uczuciami, nie z obrazami. A to było znacznie gorsze.

- Kiedyś, podczas długiego rejsu, w czasie największego upału mógłbym przysiąc, że widziałem chłopaka na zielonej desce. Surfował jak szalony i histerycznie chichotał. To nie mogło być realne. Nikt nie mógłby tak surfować, i to w dodatku sto kilometrów od brzegu. A widziałem go tak wyraźnie jak teraz ciebie.

- Na zielonej desce? - Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zielonej jak świeża trawa. To było niesamowite.

- Wyobrażam sobie. - Rozbawił ją ten obrazek, lecz szybko spoważniała, gdy przypomniała sobie własne doznania. - Tyle że ja niczego nie widziałam. Ja tylko... czułam. Jak podczas burzy. Dziwną więź.

- Z czym?

- Z wodą, wiatrem, łodzią. - Nie przyznała się, że również z nim. - Jakby były żywymi stworzeniami.

- Ja to czuję cały czas. To Gaja.

Jakoś nie bardzo wierzyła, że doświadczali tego samego. Jej odczucia były potężniejsze. Były inne.

Najwidoczniej wyczuł jej sceptycyzm, gdyż mocniej chwycił jej rękę i stwierdził:

- Pewnie nie odbierałem tego tak silnie jak ty.

- Sama nie wiem.

Rzucił coś, czego nie zrozumiała.

- Może masz coś we krwi - dodał.

Zadrzała z wrażenia. Powiedział dokładnie to, o czym sama pomyślała już wcześniej.

- Co przez to rozumiesz?

- Pochodzisz od tej kapłanki, tak? Posłuchaj. Jestem w jednej ósmej rdzennym Amerykaninem. Mój dziadek był półkrwi Indianinem Cherokee. Kiedy byłem mały, opowiadał mi mnóstwo historyjek, jak to było, gdy wszystko dookoła żyło prawdziwym życiem. Cała ziemia - planeta, powietrze, oceany-wszystko było częścią żyjącej natury. Starożytni Grecy nazywali ją Gają, dziadek jakoś inaczej, dokładnie nie pamiętam. W każdym razie, kiedy mnie to ogarnia, nie przejmuję się tak bardzo, bo miałem szczęście dorastać obok człowieka, który w to naprawdę wierzył. Z tobą pewnie było inaczej.

Zupełnie inaczej. Wychowywał ją ojciec, dla którego liczyła się tylko nauka. Nie zostawił więc w jej życiu miejsca nawet na odrobinę mistycyzmu.

Nie uważała bynajmniej, że skłonności do mistyki są czymś złym - oczywiście kiedy chodziło o innych. Ona nie mogła sobie pozwolić, by takie, podejście przysłaśniało jej rzeczywistość.

W pewnym stopniu złamała jednak swoje zasady. Ostatniej nocy, podczas rozmowy z ojcem uzmysłowiła sobie, że nie zadała mu paru istotnych pytań, co zrobiłaby z pewnością, gdyby chodziło o jakąś inną wyprawę.

A teraz te dziwne przeżycia - magiczne jednoczenie się z burzą, wiatrem, morzem - co za nedorzeczność. Podobnie jak te pomysły o pamięci genetycznej. Na myśl o tym wszystkim dostawała gęsiej skórki.

- Posłuchaj - powiedział Dugan, przyciągając jej uwagę. - To wcale nie takie głupie. W naszych genach mamy zakodowane swoiste predyspozycje. Dlaczego nie możemy dziedziczyć zdolności odczuwania takich rzeczy?

- Może i tak - powiedziała niechętnie. Ostatnio legło w gruzach tak wiele jej - zdawałoby się - niezachwianych przekonań, że nie chciała utracić

kolejnego. Musiała wierzyć, że świat jest konkretnym obiektywnym bytem, dającym się zmierzyć, poznać i racjonalnie wytłumaczyć. Miała dość jednoczenia się z wiatrem, czy burzą. Chciała stąpać twardo po ziemi.

- Muszę się zdrzemnąć - oznajmiła nagle. - Potrzebuję trochę spokoju. Dugan nie odzywał się, gdy wyjmowała słuchawki i chowała je do futerału. Podniosła się bez słowa i poszła do kabiny.

Wreszcie poczuła się bezpiecznie, jak dziecko, któremu udało się wymknąć z ciemności. Nie słyszała wiatru świszczącego w olinowaniu, huku oceanu ani skrzypienia łodzi prześlizgującej się po falach.

Było cicho. Zaczynała się przyzwyczajać, że cisza oznacza bezpieczeństwo.

Rozdział 12

Luis ponownie przyjechał do Key West zniecierpliwiony, że sprawy nie posuwają się naprzód. Przewertował wiele książek o poszukiwaniach zatopionych statków i trudno mu było uwierzyć, że Weronika Coleridge przez dwa miesiące nie natrafiła na żaden ślad. Tam powiedział mu wszystko o jej przygotowaniach i planach, nawet o tym, że znajomy oceanograf określił w przybliżeniu, gdzie powinna szukać.

Istniała możliwość, że dane, na których oceanograf oparł swe kalkulacje, mogą być błędne. Prawdopodobnie „Alcantara” poszła na dno gdzieś między Marquesas a Key West. Całkiem możliwe, że spoczywała na rafach na południe od Keys, gdzie zatoneło wiele statków. Najwidoczniej tak brzmiała oficjalna wersja hiszpańskich archiwów. O tym także dowiedział się od Tama. Tymczasem Weronika bazowała na zapiskach jedyne go ocalałego pasażera.

O wszystkim poinformował zarówno Emilia Zaragozę, jak i *El Desconocido*. Na tym etapie mógł sobie pozwolić, by przekazywać wiadomości im obu.

Do Key West przygnęła go z powrotem niepewność. Brał pod uwagę, że Tam mógł go okłamywać. O tym, że nic nie znaleźli, musi przekonać się na własne oczy.

Znowu snuł się po gorących, wilgotnych uliczkach, tęsknie wspominając góry rodzinnej Wenezueli, gdzie powietrze było chłodne i suche. Przyjechał, niestety, tego samego dnia, kiedy „Mandolina” wypłynęła ponownie w morze. To oznaczało, że musi uzbroić się w cierpliwość na cztery albo pięć dni, zanim osobiście nie rozmówi się z Tamem.

Czasami prześladował go pech.

Tak było i tego wieczoru, kiedy telefonicznie powiadomił Emilia, że nie udało mu się złapać Tama i następną wiadomość przekaże dopiero za kilka dni.

- Nic się nie stało - odparł Emilio. - Mam przeczucie.

- Przeczucie? - *Por Dios*, nienawidził tych jego prorocत्व. Poczł ostry ucisk w żołądku i palącą zgaę. - Jakie przeczucie, *señor*

- Mam przeczucie, że wkrótce trafią na coś interesującego. Zjawię się tam za tydzień.

Nie! *Mádre de Dios*, przecież i tak ma wystarczająco trudne życie! Musi cały czas czuć na karku jego oddech? W myślach gorączkowo szukał pretekstu, aby odwieść szefa od przyjazdu.

- Po co ten pośpiech? - wykrztusił w końcu. - Przecież jeśli tylko coś znajdą, może pan tu przylecieć w ciągu kilku godzin.

- To prawda, mój wierny Luisie. Tyle że nie zamierzam tam przylatywać. Trudno byłoby pilnować spraw z ładu. Przypłynę na „Conchicie”. Muszę być na miejscu, kiedy odnajdą „Alcantarę”.

To rzeczywiście pech, pomyślał z goryczą, odkładając słuchawkę. Niech szlag trafi Emilia z całą jego cholerną zdolnością przewidywania. Nawet przez chwilę nie wierzył, że Emilio uważa za konieczne osobiście śledzić poszukiwania Weroniki Coleridge. Może z jakichś powodów stracił do niego zaufanie.

Poczł, jakby czyjś wzrok przewiercał mu głowę, obserwował każdy jego ruch. Postanowił się zaszyć w najbliższym barze. Najpierw miał zamiar powiadomić *El Desconocido*, że nie ma nowych wieści, ale rozmyślił się. Nieznajomy Numer Jeden będzie musiał dłużej poczekać na nowy raport. On tymczasem wymyśli, jak się z nim kontaktować, nie budząc podejrzeń Emilia.

Nie mógł uwierzyć, że Emilio go rozszyfrował. Nie, to niemożliwe. Ale coś musiał wyczuć. Może to dlatego, że ostatnio tak usilnie go unikał? Albo z powodu tak skąpych informacji?

Luis ze złością klepnął się w czoło, wchodząc do baru. Z ulgą poczuł chłodną falę powietrza. Czy nie lepiej przez następnych kilka dni nie

wychodzić z hotelu? Zamówić pełną obsługę - Emilia stać na to - i przeczekać, dopóki nie znajdzie sposobu na wyplątanie się z tego labiryntu.

Na razie zażądał teczki i zaczął topić w trunku swe zmartwienia.

I co teraz robić?

Może pozbyć się pagera, zerwać kontakt z *El Desconocido* i zrobić wszystko, żeby nie wpadł na jego trop... Przynajmniej Emilio o niczym się nie dowie. Pozostał jednak problem: *El Desconocido* może odkryć, kim on jest. Luis nie był tak głupi, żeby to całkowicie zlekceważyć.

Zbyt długo pracował dla Emilia, doskonale zdawał sobie sprawę, że skuteczne zatarcie za sobą śladów jest prawie niemożliwe. Jeśli ktoś dobrze szuka, zawsze coś znajdzie.

Swoją kartę kredytową unieważnił dwa miesiące wcześniej, zgłaszając jej kradzież, a potem opłacił gotówką korzystanie z pagera przez sześć miesięcy. Wówczas uważał to za bardzo mądre, ba, nawet rewelacyjne posunięcie. Teraz nie był już taki pewny.

Zaczął się także obawiać, że nie zdoła wiecznie ukrywać przed Emiliem swojej podwójnej gry. Może powinien pogodzić się z tym, że prędzej czy później Emilio wszystko odkryje. Tak więc zamiast zacierać ślady, powinien raczej obmyślić dobry plan ucieczki, by natychmiast zniknąć w razie potrzeby.

Jednakże nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Zwłaszcza że Emilio przyplynie na „Conchicie” i na pewno zechce, by Luis tam był, nie zważając na jego skłonności do choroby morskiej. W końcu, jeśli było mu obojętne, że wilgotne i zatęchłe opary cieplarni przyprawiają Luisa o mdłości, to dlaczego miałby się przejmować jego dolegliwościami na morzu? A jeśli Luis będzie na łodzi -jak zdoła uciec w krytycznym momencie?

Przegrał swoje życie. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Ponownie zanurzyli magnetometr, kierując się bardziej na południowy zachód, w rejon, który również Drew Hunnecut uznał za prawdopodobne miejsce spoczywania wraku. Duganowi nie chciało się wierzyć, by nawet najlepszy oceanograf umiał określić parametry huraganu sprzed trzystu lat, przynajmniej nie na tyle dokładnie, by wiedzieć, gdzie zatonął statek. Uznał jednak, że sugestie Hunnecuta będą dobrym pretekstem do zawężenia obszaru poszukiwań.

Płynęli powoli na silniku, łódź kołysała się łagodnie. Tam wyjął z worka kolejną książkę i wkładając odblaskowe okulary słoneczne, wziął się do czytania. Jego skóra miała już orzechową barwę, a włosy i wąsy prawie całkiem wyblakły od słońca. Dugan, który zazwyczaj przesiadywał w zacienionym kokpicie, także pociemniał od promieni odbijających się od wody. Nawet Weronika, cała wysmarowana ochronnym kremem i spędzająca czas głównie przed komputerem, wyglądała kwitnąco.

Dugan miał serdecznie dość tej nudy. Lubił żeglować, ale nie w ten sposób. Może czas włączyć autopilota i zająć się łowieniem ryb? Przynajmniej robiłby coś pożytecznego.

Pozostał jeszcze niecały miesiąc. Krótkie trzy tygodnie. Potem będzie mogła wynająć łódź od kogoś innego.

W tym momencie silnik zakaszłał i zgasł. Jedno prychnięcie i koniec. Dugan próbował go uruchomić, ale na próżno.

- Niech to cholera - wymamrotał pod nosem. Wskaźnik pokazywał, że paliwa mieli pod dostatkiem.

- Co się stało?! - krzyknął Tam z ławki na rufie.

- Silnik wysiadł.

- Zobaczą co z nim. - Otworzył właz i zniknął w środku.

Dugan przez chwilę pomyślał, czy nie wciągnąć żagla, ale zrezygnował.

Bardziej interesowało go, co się stało z silnikiem. Może to tylko mała usterka, ale nie wykluczał poważniejszej awarii.

Spychało ich na wschód wolno, ale nieubłaganie.

Nie przejął się zbyt - w pobliżu nie było nic, z czym mogliby się zderzyć - i unieruchomił ster. Łodzią co prawda kołysało trochę mocniej, lecz nie był to jeszcze powód do zmartwienia.

Już miał iść pomóc Tamowi, gdy w luku pojawiła się głowa Weroniki.

- Coś się stało?

Spojrzał na nią, żeby odczytała jego słowa.

- Silnik się popsuł.

- Co?

- Popsuł się silnik.

- Dacie radę naprawić?

- Jeszcze nie wiem.

- Ale chyba nie będziemy stać w miejscu? Są przecież żagle.

- Nie, nie będziemy stać.

- To wciągnijcie żagle i szukajmy dalej. Westchnął i przykucnął, żeby być bliżej jej twarzy.

- Najpierw muszę się upewnić, że nie stało się nic poważnego.

- Poważnego?

- Coś, co może być niebezpieczne.

- Och.

- Dugan? - Z tyłu usłyszał głos Tama.

- Taak?

- Pękł przewód paliwowy. Wyprostował się i spojrzał w jego kierunku.

- Dużo wyciekło?

- Nie, zadziałał zawór. Spróbuję to jakoś załatać.

- Dobra. - Znów spojrzał na Weronikę. - Pękł przewód paliwowy. Tam

spróbuje naprawić.

- Jak długo to potrwa?

Dugan nagle poczuł złość. Ta kobieta ciągle ich poganiała, jakby byli roboczymi wołami i miał już tego dość. Chryste, przecież ona prawie się do nich nie odzywa.

Spojrzał jej prosto w twarz.

- Czy, do cholery, obchodzi cię coś więcej niż ta cholerna maska?

Zamrugła i cofnęła trochę głowę.

- Oczywiście, że tak.

- To sprawiaj takie wrażenie przez najbliższe pięć minut. Albo godzinę lub dwie. Jestem już zmęczony szatkowaniem tego samego kawałka oceanu dzień po dniu, szukając czegoś, co prawdopodobnie w ogóle nie istnieje.

- Na pewno istnieje!

- To tylko słowa jakiegoś konkwistadora. Skąd wiesz, że nie wymyślił całej tej bajeczki, żeby ukryć maskę, a potem przetopić ją i żyć w luksusie do końca życia.

Prychnęła lekko i szybko zniknęła w luku.

Krzyżyk na drogę - powiedział w duchu - i poszedł do Tama. Tak naprawdę, to wcale tak nie myślał. Ta kobieta szybciej załazła mu za skórę niż kleszcz w letnie popołudnie. Ale nie chciał znów tego roztrząsać.

Zlikwidowanie przecieku zajęło im ledwie dziesięć minut.

Tam powrócił do swojej książki, a Dugan zszedł na dół powiadomić Weronikę, że mogą płynąć dalej. Zastał ją przyklejoną do monitora, z napięciem na twarzy i zmarszczonymi brwiami.

- Weroniko?

Minęło kilka sekund, nim spojrzała na niego niemal nieobecny wzrokiem.

- Już po kłopotach. Możemy ruszać. Wracamy do ostatniego miejsca.

- Nie!

- Jak to nie?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Tu coś jest... Jakieś odchylenia. Możemy popłynąć trochę dalej?

Poczuł przyspieszone bicie serca.

- Taak, no jasne. Co tam masz?

- Jeszcze nie wiem, ale coś zakłóca pole magnetyczne, gdzieś niedaleko.

Wspiał się z powrotem do sterówki i przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył natychmiast, wszystko grało. Następnie powoli skierował łódź na wschód, gdzie znosił ich wcześniej dryf.

Gdzieś po pięciu minutach usłyszał jej wołanie.

- Stop! Zaczyna zanikać.

Zawołał Tama, żeby był gotów do rzucenia kotwicy. Tam zerwał się szybko, zadowolony, że coś zaczyna się wreszcie dziać. Dugan zawrócił i zatrzymał łódź w połowie drogi między miejscem, w którym wystąpiły anomalie, a punktem, gdzie zaczęły zanikać.

- Rzucaj kotwicę, Tam.

Weronika już biegła po zejściówce na górę, tak podekscytowana i szczęśliwa, jakiej Dugan nigdy nie widział.

- To może być nawet działo - powiedziała. - Odchylenia są duże. Zarzuciła Duganowi ręce na szyję i uściskała go. Zdziwił się, ale było to bardzo miłe. Także uściskał ją, unosząc lekko w powietrze. Roześmiała się, a on doszedł do wniosku, że powinna częściej się śmiać.

Taki z niej poważny, słodki kociak. Ta myśl, która przyszła nie wiadomo skąd, przestraszyła go trochę, więc szybko postawił Weronikę na ziemi.

- Schodzimy zaraz na dno - zaproponował.

- Tak, bardzo proszę.

Zza pleców Dugana wyłonił się Tam.

- Nareszcie, cholera jasna - zaklął z zadowoleniem. - Wreszcie coś się dzieje.

- Co powiedział? - zapytała Weronika.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Na moment spoważniała, potem roześmiała się.

- W porządku, nie chcę wiedzieć.

Dugan i Tam nałożyli piankowe kombinezony i przynieśli sprzęt.

- To pewnie jakaś spluwaczka z dziewiętnastego wieku - mruzczał Tam, wsuwając pletwy i sięgając po butle. - O ile się założysz? Albo jakaś stara wanna, którą ktoś tu wyrzucił.

- Mógłbyś myśleć bardziej pozytywnie?

- Chyba nie.

Dobrze, że Weronika go nie rozumiała. Stała oparta o burtę, wpatrzona w wodę, jakby w nadziei, że jej wzrok przeniknie dziesięciometrową głębinę i odkryje coś, co namierzył magnetometr.

Sprawdził reduktor i poczekał, aż Tam zrobi to samo. Obniżył umieszczoną na rufie platformę i wziął wykrywacz metalu.

- No dobrze - powiedział do Tama. - Ty bierzesz prawą burtę, ja lewą. Trzymamy się długości geograficznej. Zaczynamy czesać bezpośrednio pod łodzią, na długości około stu metrów w tył i w przód, potem przesuwamy się o dziesięć metrów i powtarzamy wszystko. Jeśli niczego nie znajdziemy, kotwimy boje i przywiązujemy linki. Tylko pamiętaj, wszystko robimy z głową.

Tam zaśmiał się. Weronika była wyraźnie zdezorientowana, jakby nie rozumiała słów Dugana. To nic, wyjaśni jej później, jeśli będzie chciała. Poczul nagły przypływ adrenaliny. Nie mógł się doczekać, kiedy zejda na dół i przekonają się, czy rzeczywiście coś tam jest.

Gdyby w to nie wierzył, nigdy by się nie zgodził na udział w wyprawie.

Zmoczył maskę, założył ją, przygryzł ustnik zębami i wszedł do wody. Tuż po nim skoczył Tam.

Boże, jak on nie znosił tego pierwszego kontaktu z wodą. Ale kochał nurkować. Płynął prosto do dna, gdzie był tylko muł i kępy wodorostów.

Wykrywacz metalu był nieco większy od uzi, ale z podobną rękojeścią, zakończony tarczą z podziałką. Wystawał z niego krótki pręt z czujnikiem w kształcie niedużej płytki. Wykrywał metale w promieniu kilkudziesięciu centymetrów.

Widoczność była doskonała, żałował, że nie ma w pobliżu żadnej rafy. Cudownie byłoby cieszyć oczy widokiem ryb i barwami koralowców. Tymczasem musiał się zadowolić krystaliczną wodą i mulistym dnem z porastającymi gdzieniegdzie płachtami wodorostów. Dobre i to. Z drugiej strony jednak szperanie wśród koralowców nie należy do przyjemności.

Minęło dziesięć, piętnaście minut, płynął powoli, cały czas obserwując wskaźnik. Nic, wciąż nic. Zawrócił i popłynął w przeciwnym kierunku. Zaczął się niecierpliwić. Przecież magnetometr nie kłamał. Przyjdzie im chyba przeszukać cały teren, aby to zlokalizować. Będą musieli nieźle się napracować, żeby nic nie przeoczyć. Nie zniechęcało go to, raczej pobudzało wyobraźnię.

Pomyślał nagle, że gdyby odnalazł trzystuletnie działo, byłby to największy triumf w jego życiu.

W tym momencie wskazówka nagle drgnęła. Wczepił palce w muł, żeby się zatrzymać i powoli próbował ustalić miejsce, w którym zadziałał wykrywacz. Znalazł je i sięgnął po nóż.

Zaczął przekopywać dno, lecz już po kilku ruchach woda zmętniała.

Zdołał jednak dostrzec błysk metalu. Kopał głębiej, aż natrafił na monetę oblepioną mułem, a za chwilę następną, i następną. Serce waliło mu jak oszalałe, obawiał się, czy nie za szybko wyczerpie powietrze z butli.

W uszach czuł pulsującą krew.

Nareszcie coś znaleźli.

Weronika pamiętała takie sytuacje, kiedy sekundy i minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność, ale teraz to była prawdziwa udreka. Odliczała w myślach, chodząc nerwowo po pokładzie. Byli pod wodą już pół godziny.

W jednej chwili była pewna sukcesu, w drugiej nie chciała uwierzyć, że mogą trafić na „Alcantarę”. Mimo że tak uparcie nalegała na tę wyprawę, w gruncie rzeczy nie bardzo wierzyła w jej powodzenie. To było tak mało prawdopodobne jak wygrana na loterii - a ona nigdy nie kupowała losów.

Teraz jednak trzymała los w ręku i wbrew wszelkim przeciwnościom parła do przodu. Chwilami uświadamiała sobie, że jej zachowanie nie zawsze jest racjonalne, ale nie miała odwrotu. Zdawała sobie sprawę, że emocje przytłumiły w niej naukowy obiektywizm, lecz za wszelką cenę chciała udowodnić, że matka miała rację.

Teraz przemierzała pokład, niepewna, czy znajdą działo, czy tylko kawałek żelastwa wyrzuconego z jakiegoś statku i zastanawiała się, po co wzięła na siebie tak ogromny ciężar. To, co robiła, zakrawało na obłąd. Przecież normalni ludzie nie wynajmują łodzi i nie znajdują po kilkumiesięcznych poszukiwaniach ściśle określonego trzystuletniego wraku. To się nie zdarza. Oczywiście, mogą znaleźć jakiś wrak. W tych wodach jest ich pełno. Ale ściśle określony? W dodatku przy tak skąpych informacjach? To po prostu niemożliwe.

Jednakże nadzieja jej nie opuszczała. Nawet gdyby nie znaleźli maski, to i tak wydobycie jakiegoś dowodu, że tu spoczywa „Alcantara”, byłoby olbrzymim osiągnięciem. Ale nie przekonałoby ojca, że się mylił.

Przechyliła się za burtę i wyteżyła wzrok, próbując dostrzec pod wodą sylwetki nurków. Poza niewyraźnym zarysem dna niczego nie było widać.

Wciąż nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak chce udowodnić ojcu, że nie miał racji. Dlaczego budziła się w niej dziecięca chęć spojrzenia mu w oczy ze słowami „A nie mówiłam?” Prawdą było, że robiła dokładnie to, przed czym ojciec próbował ją chronić. Czy rzeczywiście miał się czego tak bardzo obawiać? Przecież on sam niejednokrotnie tak postępował.

Chyba że matka istotnie została zamordowana. Ojciec był o tym głęboko przekonany, tymczasem ona w to nie wierzyła. Tego dnia matka podjęła olbrzymie ryzyko, wyprawiając się sama łodzią, żeby nurkować wśród raf. Nie powinna tego robić. Nurkowała bez asysty - to przecież ryzykowne i mogło skończyć się tragicznie. Dlaczego nie wierzyć oświadczeniu koronera, że Renata zapewne przechylała się przez burzę, kiedy uderzyła fala. I wypadła, uderzając się w głowę. To mogło rzeczywiście tak wyglądać. Smutne, że ludzie wciąż giną w tak bezsensowny sposób.

A Orinowi trudno było pogodzić się z faktem, że żona okazała się tak lekkomyślna. Wmówił sobie, że kryła się za tym czyjaś złowroga ręka.

Ponownie wychyliła się z łodzi, nagle zdając sobie sprawę, że postępuje dokładnie tak samo jak matka. Przeszył ją dreszcz. Cofnęła się odruchowo, sięgnęła po kamizelkę ratunkową i nałożyła ją. Matka żyłaby pewnie do dziś, gdyby była choć odrobinę ostrożniejsza.

Na niebie pojawiły się obłoczki, wyglądały jak prażona kukurydza. Przez parę minut zabawiała się w wynajdywanie kształtów zwierząt. Po chwili jednak znowu wpatrywała się w wodę.

Wreszcie któryś się wynurzył. Rozpoznała kasztanowe włosy Dugana, pociemniałe od wody. Znajdował się zaledwie kilka metrów od rufy. Uniósł rękę i pomachał, po czym znów zniknął pod wodą.

Co to miało znaczyć? Czy ma jakieś problemy? Z bijącym sercem rzuciła się w kierunku platformy. Nie wiedziała, co robić. Wyjąć słuchawki i skoczyć do wody? Ma przecież uszkodzone bębienki, a nie wzięła ze sobą zatyczek.

Gdy z nerwów mało nie pofrunęła w powietrze, tuż obok rufy pokazała się głowa Dugana. Wyjął ustnik, po czym chwycił za poręcz i wdrapał się na podest.

- Dzięki Bogu! - wyrwało się jej, nim zdążyła pomyśleć. Dugan ściągnął maskę i spojrzał badawczo.

- Dzięki Bogu?

- Nie wiedziałam, co znaczy to machanie. Przestraszyłam się, że masz jakieś kłopoty.

- Przepraszam. Chciałem się zorientować jak daleko do łodzi. Myślę, że jakieś sześć metrów, tak?

Skinęła głową i cofnęła się trochę, by mógł wejść z platformy na pokład.

- Możesz sprawdzić naszą pozycję na GPS-ie?

Nie wiedziała po co, ale poszła do kokpitu i odczytała współrzędne. Wyjęła z szortów notes i szybko zapisała.

Wróciła, kiedy Dugan zdejmował płetwy. Zdążył już odłożyć butle, szelki i pas z ciężarkami. Kombinezon przylegał do jego ciała jak druga skóra. Złapała się na myśli, że jak na faceta siedzącego cały czas za biurkiem ma cholernie dobrą figurę.

- Co z Tamem? - spytała, ale był zbyt daleko, nie zrozumiałaby odpowiedzi. Wróciła na rufę i usiadła na suchym skrawku ławki. - Co z Tamem? - powtórzyła.

- Pewnie wciąż przeczesuje dno.

- A dlaczego ty przerwałeś?

Przysiadł obok i uśmiechając się zagadkowo, zaczął wycierać ręcznikiem włosy.

Znow powróciła nadzieja i jakieś niejasne przeczucie.

- Dugan, nie dręcz mnie dłużej.

Wzruszył ramionami, odrzucił ręcznik i sięgnął do paska, do którego

przymocowany był spory czarny woreczek. Odczepił go i podał jej.

- Może będzie lepiej, jak otworzysz go na dole.
- Dlaczego?
- Na wszelki wypadek.

Podniosła się i szybko ruszyła w stronę zejściówki, a Dugan za nią. W miesie pozapalał wszystkie światła, podczas gdy Weronika próbowała otworzyć woreczek, ale ze zdenerwowania zasupłała tylko sznurek.

- Pozwól, ja to zrobię - powiedział, uśmiechając się szeroko. Otworzył go i wysypał zawartość na stół.

Wstrzymała oddech. Patrzyła na stosik krążków - niektóre z zielonym lub szarym nalotem, inne pokryte wapiennym osadem. Monety, szumiało jej w głowie.

I wtedy zobaczyła złoto. Wciąż błyszczało, woda morską nie zostawiła na nim żadnych śladów. Drżącą ręką podniosła monetę do światła, żeby odczytać napis.

- O mój Boże! To royal, hiszpańska ośmieskudówka. Boże, wiesz jaka to rzadkość? Na wolnym rynku kosztuje ponad sto tysięcy dolarów.

- Chyba żartujesz. Taki pieniążek? - Dugan opadł na fotel.
- Taki pieniążek. Przypatrywali mu się dłuższą chwilę.
- Aż trudno uwierzyć - odezwał się wreszcie Dugan.

Chociaż nie zrozumiała, bo nie patrzyła na niego, uchwyciła sens słów. Teraz bardziej interesował ją wiek monety. Odwróciła ją.

- Tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt dwa - wyszeptała. - Lata się zgadzają. Twarz Duganowi pojaśniała.

- Może i nie jesteś taka szalona, moja pani. A co powiesz o reszcie? Odłożyła złoty pieniążek na bok i ostrożnie rozdzielała palcem pozostałe.

- Wyglądają na miedziane i srebrne. Sporo warte, ale nie tak dużo. Będę je musiała oczyścić w kwaśnej kąpieli.

- Nie da się tego tu zrobić, prawda?

- Nie wzięłam ze sobą odczynników, bo nie miałam zamiaru mocno naruszać stanowiska.

- To znaczy, że nie chcesz od razu zacząć kopać? Kiwnęła głową.

- Na razie będziemy robili to, co dotąd. Przeszukamy cały rejon. Żeby potem, kiedy będziemy gotowi do wydobywania, móc wszystko udokumentować, opisać, poprowadzić prace tak, by nie zniszczyć...

- Czyli wyprawiliśmy się nie tylko po maskę? - Uniósł brwi.

- Oczywiście, że nie. Naturalnie, że chcę ją odnaleźć, ale to nie znaczy, że zamierzam zrujnować całe stanowisko. Ono ma olbrzymią wartość naukową. Musimy postępować odpowiedzialnie.

Poczuł lekką ulgę.

- Brzmi nieźle, ale mogę coś doradzić?

- Co takiego?

- Tego royala schowałbym gdzieś głęboko i nie wspominał nic Tamowi.

- Nie ufasz mu? - Zesztywniała.

- Właściwie ufam. Ale ten mały pieniążek to cholerna pokusa.

Rzeczywiście, chyba ma rację.

- Jak myślisz, gdzie go schować?

- Najlepiej tam, gdzie trzymasz majtki i staniki - mrugnął porozumiewawczo, a ona poczerwieniała jak burak. - Sam nie wiem. Znajdź jakieś miejsce w kajucie. Zresztą, jeśli mu nic nie powiemy, nie będzie szukał.

Idąc za jego radą, wsunęła monetę do kieszonki na piersi.

- Pozostałe też mają swoją wartość. Mogą być wśród nich srebrne reale...
warte parę tysięcy.

- Może lepiej w ogóle nie mówić, ile są warte.

- Dobrze. Masz rację.

- Im mniej ludzi będzie o tym wiedzieć, tym będziemy bezpieczniejsi.

Znowu wstrzymała oddech i popatrzyła na zmatowiałe krążki. Ojciec ostrzegał ją przed potencjalnym zagrożeniem, lecz dotąd je lekceważyła. Brała już udział w tylu wyprawach i jakoś nikt nie próbował ukraść tego, co znaleźli. Jednak świadomość fortuny w kieszonce i ostrożność Dugana sprawiły, że teraz taka możliwość wydała jej się całkiem realna.

- A jeszcze lepiej, zostaw tylko kilka sztuk, a resztę schowaj. Powiemy Tamowi, że znalazłem jeden albo dwa miedziaki. Nim zaangażujemy więcej ludzi, byłoby dobrze, żeby to się nie rozniosło.

- Po co ta tajemnica, skoro i tak się dowiedzą? Jego wzrok zdawał się przeszywać ją na wylot.

- Ludzie to nasze bezpieczeństwo, dopóki jednak nie będziemy gotowi, żeby ich tu sprowadzić, nie puszczamy pary z ust.

Po plecach przeszły ją ciarki, przypomniała sobie matkę.

- Myślisz, że ktoś mógłby z tego powodu zabić?

- Może i nie. Ale mógłby coś knuć. W każdym razie dopóki nie pojawi się tutaj tuzin łodzi, im mniej o tym mówimy, tym lepiej. Także Tamowi.

W tym momencie usłyszeli na górze rumor.

- To Tam. Zostaw kilka monet, resztę zabierz. Zapytam go, może na coś trafił.

Weronika zrobiła wszystko tak, jak chciał. Jednocześnie przemknęło jej przez myśl, że Dugana ogarnęła paranoja i przesadza z tą ostrożnością. Zresztą dlaczego ma bardziej ufać jemu niż Tamowi?

Kiedy już stała przy schodkach prowadzących na pokład, w luku ukazała się głowa Dugana.

- Tam mówi, że chyba znalazł działo.

Rozdział 13

- Wracam z nim, żeby to sprawdzić. Weronika natychmiast zapomniała o monetach, o paranoi Dugana i możliwym zagrożeniu. Podekscytowana szybko weszła na pokład. Dugan wciągnął już płetwy i wziął butlę. Tam kończył przypinać do szelek swoją, uśmiechnął się do niej i coś powiedział.

- Słucham? - Boże, jak ona tego nienawidziła.

- Mówi, że to nie potrwa długo - pomógł jej Dugan. - Płyniemy prosto do tego miejsca.

- Świetnie. - Posłała Tamowi uśmiech, a on mrugnął do niej i kółkiem z kciuka i wskazującego palca, dał znak, że wszystko idzie świetnie. Może i warto byłoby nauczyć się języka migowego, pomyślała. Wcześniej nie miała zamiaru tego robić, chcąc zachować pozory naturalności. Poza tym odradził jej to psycholog, sugerując, że dorosłym nauka migania sprawia dużą trudność.

Broda i wąsy Tama nie miałyby wtedy żadnego znaczenia. Z drugiej strony on i tak nie zna tego języka. Nie ma rady, pomyślała ze smutkiem, z niektórymi ludźmi nigdy nie będzie w stanie rozmawiać.

Zanim jednak zdążyła całkowicie się rozzalić, Dugan i Tam stanęli na platformie i skoczyli do wody.

Działo.

Czyżby rzeczywiście znaleźli działo?

Znowu wstąpiła w nią nadzieja. Zauważyła, że jak dziecko trzyma zaciśnięte kciuki. Na szczęście.

Łagodne dotychczas fale przybrały na sile, a na niebie delikatne baranki przerodziły się w duże, kłębiaste kumulusy. Będzie padać? Oby nie. Bardzo chciała zostać na pokładzie, żeby nie przeoczyć, kiedy się wynurzą. W głębi duszy przekonana była, że odnaleźli „Alcantarę”.

Gdzieś w pobliżu, parę metrów pod wodą spoczywały od trzystu lat drewniane szczątki statku i jego drogocenny ładunek. Statku, którym płynęli jej przodkowie.

A jeśli - poczuła nagły ucisk w gardle - tu na dnie leżą kości kapłanki? Zaledwie dziesięć metrów niżej... Zdumiewające, jak bardzo to przeżywa.

Równie emocjonalnie podchodzę do całej wyprawy, uświadomiła sobie. Zupełnie inaczej niż do wcześniejszych ekspedycji. Ta miała jednak szczególne znaczenie, gdyż wiązała się z historią rodziny.

To tak, jakby wreszcie zamknęło się koło, biegnące żeńską linią od żyjącej przed wiekami kapłanki aż do niej samej, łącząc w całość minione stulecia. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z nieprawdopodobnego wręcz zbiegu okoliczności - przecież całą wyprawę finansuje z pieniędzy pochodzących ze spadku.

Rodzinną fortuną Bernalów i Escobarów przechodziła z pokolenia na pokolenie, aż wreszcie przypadła w udziale Renacie Coleridge, ich jedynej spadkobierczyni. Teraz stała się własnością jej córki.

Zupełnie, jakby kierowała tym jakaś nadprzyrodzona siła...

Weronika próbowała oderwać się od tych dziwacznych, mistycznych rozważań. Na litość boską, nawet nie wie, czy rzeczywiście odnaleźli „Alcantarę”.

Minęło już dwadzieścia minut. Chmury piętrzyły się, dzień stawał się coraz bardziej mglisty. W końcu zeszła spojrzeć na barometr, ale wskazówka od rana nawet nie drgnęła. Trochę się uspokoiła. Może to tylko lokalne zachmurzenie.

Wreszcie Tam i Dugan wynurzyli się na powierzchnię tuż przy łodzi. Dugan złapał się drabinki, wypluł ustnik i ściągnął maskę.

- To działa! - krzyknął - Na Boga, to naprawdę działa!

Tam również pozbył się ustnika i zawył „ju-huu!", reszty nie dosłyszała.

Dugan wszedł na platformę, potem na pokład. Tam tuż za nim. Zrzucili

ekwipunek, po czym Tam aż podskoczył kilka razy z radości. Dugan roześmiał się i zrobił coś nieoczekiwanego.

Odwrócił się do Weroniki i rozłożył ręce.

Nie zważając na ociekający wodą kombinezon, rzuciła mu się w ramiona. Oboje wybuchnęli śmiechem, chwycił ją i zakręcił dookoła. Wiedziała, że ta chwila, z całą wyrazistością zostanie w jej pamięci na zawsze. Chmury, błękit wody, przebłyski słońca na jej skórze. I otaczające ramiona Dugana.

Tam klaskał w dłonie, tańcząc radosny taniec zwycięstwa.

Dugan postawił ją na ziemi i wyciągnął rękę, żeby przybiła piątkę. Zrobiła to bez namysłu, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Udało nam się. - Dugan przytrzymał jej rękę. - Udało się. Muszę przyznać, że nie wierzyłem, że go znajdziemy.

- Też zaczynałam w to wątpić.

- Myślę, że już wszystko jest jasne. Statek musi leżeć gdzieś tutaj.

- A jak wygląda to działo? Tam coś odpowiedział. Dugan spojrzał na nią.

- Trochę później wybierze się zrobić parę zdjęć. Teraz za bardzo zmaciliśmy wodę przy kopaniu. Chodźmy na dół, naszkicuję ci.

Skinęła głową. Czekwała, aż zdejmie kombinezon. Pod spodem miał kąpielówki, a ona, wciąż radosna, pomyślała, że jest piękny jak rzymski bóg. Wciągnął na siebie trochę za duży podkoszulek - i wrażenie natychmiast przysło.

Odłożył na bok ekwipunek i zeszli pod pokład. Tam został na górze, wciąż w pianie, majstrując przy zaworze nowej butli ze sprężonym powietrzem.

Na dole panował półmrok. Dugan odciągnął białe zasłonki na bulajach i zrobiło się jaśniej. Sięgnął po jej notes i złoty ołówek Crossa.

Weronika usiadła naprzeciwko, niecierpliwie czekając, aż znajdzie czystą kartkę i zacznie szkicować.

- Nie jestem najlepszym artystą na świecie, ale będę się starał.

- No szybciej. Rysuj. - Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Nakreślił długi cylindryczny przedmiot, którego jeden koniec był stosunkowo gruby, a cieńszy częściowo przykryty mułem. Dodał kilka szczegółów, szeroki pierścień u wylotu, a pośrodku wybrzuszenie.

- To musi być działo - stwierdziła z bijącym sercem. Spojrzał na nią, upewniając się, czy widzi jego usta.

- Bez wątpienia.

- Ciekawe, jak wygląda w całości.

- Wygląda na mocno przerdzewiałe, nie ruszałem, żeby nie uszkodzić.

- Jasne, bardzo dobrze zrobiłeś. Są specjalne metody usuwania rdzy, żeby nie zniszczyć powierzchni. Poza tym, nie wiemy, jak mocno jest przeżarte... czasami lekko stukniesz i wszystko się rozpada.

- Nie w tym przypadku. Leży prawie pół metra pod dnem i Tam na pewno uderzył w nie parę razy, nim się dokopał. No więc, co dalej, szefowo? Podnosimy je? Wtedy potrzebny nam będzie dodatkowy sprzęt. Te stare działa ważą na ogół od dwóch do czterech ton.

- Na razie niech tak zostanie. Najpierw musimy skończyć badanie całego terenu i sporządzić mapę przypuszczalnego rozmieszczenia szczątków. Potem wykrywaczami sprawdzimy, czy coś jeszcze zostało.

- A potem?

- Mam zamiar sprawdzić każdy metalowy kawałek, czy pochodzi z „Alcantary”. Jeśli tak, rozpoczniemy wykopywanie.

- Czyli wynajmiemy więcej ludzi i tak dalej?

- Właśnie - przytaknęła. - No i potrzebny będzie statek z profesjonalnym wyposażeniem. To zależy, na co jeszcze trafimy.

- Rozumiem.

- Czyżbyś był rozczarowany?

- Może trochę. - Wzruszył ramionami.

- Dlaczego?

- Dlatego, że... no cóż, może dlatego, że dzisiaj mieliśmy taką cholerną frajdę. - Uśmiechnął się krzywo. - Prawdziwa przygoda. Później na pewno nie będzie tak cudownie, z tym tuzinem nurków, statkiem... Wtedy to będzie już tylko czysty biznes.

Przemawiało przez niego dziecko, widziała to. Lecz ona czuła się podobnie i całkowicie się z nim zgadzała. Byłoby fajnie, gdyby mogli ograniczyć załogę do trzech osób i zachować wszystko w tajemnicy. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, jeśli ma poważnie traktować swoją pracę i zachować naukową wartość stanowiska. Gdyby polowali tylko na skarby, sprawa wyglądałaby inaczej....

- Wiesz, że władze wymagają, żeby prace przebiegały zgodnie z przepisami. Nie wolno nam wykopywać, ot tak sobie, co nam się spodoba. Musimy brać pod uwagę wartość naukową.

- Rozumiem, ale tak jest dużo ciekawiej.

Już chciała się z nim zgodzić, jednak roześmiała się tylko.

- Sama nie wiem... zanudziliśmy się tu prawie na śmierć.

- Na szczęście to się zmieniło, prawda?

- Jesteś pewien, że to żelazo? - Przysunęła do siebie rysunek.

- Tak.

Wpatrywała się w kartkę.

- W takim razie to musiał być statek handlowy. Hiszpańskie okręty wojenne prawie zawsze wyposażone były w działa z brązu. Z tego co wiem, „Alcantara” miała żelazne. Prawdopodobnie zabrała z Vera Cruz ładunek, który przyplłynął z Manili. Tam też zamienili balast na sztabki złota z Peru.

- Mając tyle złota płynęli chyba całą flotyllą?

- Właśnie że nie, i to jest zastanawiające. Towarzyszyły jej, co prawda, dwa statki handlowe, ale według kronik przewoziły tekstylia i przyprawy. Najwyraźniej ten transport złota był czymś niezwykłym. Co więcej, z zapisków

Bernala wynika, że utrzymywano go w tajemnicy. Nikt na „Alcantarze” o nim nie wiedział, dopóki kapitan nie polecił wyrzucić balastu podczas sztormu, żeby odciążyć statek.

- No, no. - Potarł podbródek w zamyśleniu. - Ciekawe, dlaczego zrobiono z tego taką tajemnicę? Może złoto pochodziło z kradzieży?

- Też się nad tym zastanawiałam. Załadowali je cichaczem, więc może to rzeczywiście kontrabanda. O wszystkim się przekonamy, gdy je znajdziemy.

- Niby jak?

- Przemycane towary na ogół nie mają urzędowych pieczęci. Powoli pokiwał głową.

- Ależ to musiała być pokusa. Złoto rabowane w każdym zakątku Ameryki. Czemu taki konkwistador lub zarządca nie chciałby spróbować zagarnąć trochę dla siebie?

- Żeby mieć z tego realną korzyść, musiał dostarczyć je do kraju. A to oznaczało opłacenie wielu osób, chyba że sam nadzorował transport.

- Ciekawe, czy odkryjemy, co jeszcze przewoził twój konkwistador poza maską, żoną i dzieckiem. - Duganowi zabłyśły oczy.

Często o tym myślała.

- Przypuszczam, że nigdy nie poznamy prawdy.

- Wiem, ale... Nie zaszkodzi trochę pofantazjować.

Tam zrobił parę zdjęć pod wodą. Było już późne popołudnie, zdecydowali jednak nie przerywać pracy. Wszyscy troje byli mocno podekscytowani.

Wieczorem, po trzech godzinach dalszych bezowocnych poszukiwań zwinęli sondę magnetometru. Weronika poszła do swojej kabiny i pograżyła się w rozmyślaniach.

Złoty royal, zawinięty w bibułę, leżał spokojnie w jej saszetce pod tamponikami waty. Resztę monet, pokrytych zeskorpiałym mułem, ukryła pod znoszonym kombinezonem w szufladzie obok łóżka.

Kiedy je chowała, przypomniła sobie przestrogi ojca. Dotąd uważała je za mocno przesadzone, ale reakcja Dugana, który nie ufał nawet Tamowi, sprowadziła ją na ziemię.

To, co robili, było rzeczywiście niebezpieczne. Jeśli Dugan sądził, że nawet Tam może ulec pokusie, byłoby głupotą lekceważyć ostrzeżenia ojca. Kobieta i dwóch mężczyzn na niewielkim jachcie to żadna przeszkoda dla ludzi bez skrupułów. Na tych wodach zabija się czasem dla głupiej łodzi, a co dopiero dla złota wartego miliony.

Śmierć matki to najprawdopodobniej był wypadek. Ponieważ Renata niczego nie znalazła, nie było powodu, żeby ją zabijać. Chyba że ktoś chciał przerwać poszukiwania.

Z nią jest inaczej. Chce tylko odnaleźć maskę i udowodnić ojcu, że matka wcale nie była nawiedzona. Do wartości rynkowej skarbu nie przywiązuje wagi.

Podniosła się z koi i otworzyła szufladę, gdzie leżały miedziane i srebrne monety, niektóre pozlepiane ze sobą. Na innych, mimo osadu, można było dostrzec znaki przypominające królewski krzyż i napisy; przypuszczalnie imię panującego króla i rok wybicia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pośpiesznie nakryła pieniądze i zamknęła szufladę.

- Tak?

Rozpoznała głos Dugana.

- Wejdz, proszę.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Poświęcisz mi parę minut?

- Oczywiście. - Usiadła na ławce, on na koi obok.

- Jakie masz najbliższe plany?

- Co masz na myśli?

- Czy chcesz odnaleźć maskę, czy rozpocząć prace na szerszą skalę?

- Czemu o to pytasz? - Zaskoczyło ją to pytanie. Chyba już mu to dzisiaj wytłumaczyła.

- Cóż, kiedy rozmawialiśmy na samym początku, mówiłaś, że chcesz znaleźć wrak. Potem, że chcesz znaleźć maskę. Równie dobrze można szukać igły w stogu siana, więc uznałem pomysł za zwariowany.

- Może i taki jest.

- Daj spokój, wiesz dobrze, że tak jest. Znaleźliśmy wrak. Teraz możesz spędzić całe lata na kopaniu dna i nigdy na nią nie trafić.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Do czego zmierzasz?

- Po prostu chciałbym znać twoje plany. Do dzisiejszego popołudnia byłem pewien, że skoro znaleźliśmy wrak, to porozglądamy się jeszcze trochę za maską i wrócimy do domu. Teraz mówisz, że chcesz zacząć wielkie wykopaliska.

- A co to za różnica? To chyba zrozumiałe, że jeśli znalazłam statek, chcę go wydobyć. Nie widzę problemu.

Prychnął tylko i utkwiał wzrok w swych dłoniach. Czekwała, powtarzając sobie, że to, co mu chodzi po głowie nie wpłynie na jej decyzję. Poczowała jednak nagły przestach. Nie wyobrażała sobie całego przedsięwzięcia bez Dugana.

Ta myśl wstrząsnęła nią.

Uprzytomniła jej, jak bardzo się od niego uzależniła. Czyta z ruchu jego warg bez trudności, nawet łatwiej niż słowa ojca. Dugan stał się jej oparciem, spełniał jej wszystkie życzenia. Podobnie jak ojciec, który wszystko potrafił dla niej zdobyć. Gdyby straciła któregoś z nich, pozostałaby sama w świecie słyszących, wśród ludzi nie dbających o to, że może ich nie rozumieć.

Niepokój zaczął przeradzać się w panikę. Przez te minione tygodnie Dugan bezwiednie otoczył ją bezpiecznym kokonem, w którym jej ułomność przestała mieć większe znaczenie. Przyzwyczaiała się nawet, że nie jest w stanie odczytać

słów Tama, a i on przywykł do tego. Używał więc gestów lub Dugan występował w roli tłumacza.

Gdyby go teraz straciła, wszystko poszłoby na marne. Musiałaby wynająć inną łódź której kapitan bagatelizowałby jej problemy, irytował się, że go nierozumie lub, co gorsza, wykorzystywał jej głuchotę!

Musiałaby radzić sobie z nurkami, załogą i Bog wie z kim jeszcze. Nie miałyby nikogo, kto by wyjaśniał nieuchronne nieporozumienia, kto byłby jej uszami, jak do tej pory Dugan.

Tak bardzo się od niego uzależnić! Nie powinna była dopuścić do tego. Ale świat ciągle ją przerażał. Wciąż nie czuła się pewnie z innymi, nawet przyjaciółmi. Zresztą, większość z nich gdzieś pozikała, a nielicznych, którzy nie odwrócili się od niej, widywała rzadko. Po części była to jej wina. Dugan podniósł wzrok.

- Słuchaj, muszę zajmować się firmą - powiedział wolno. - Nie widzę dla siebie roli w tym wszystkim.

- Naprawdę chcesz się wycofać? - Serce jej zamarło. Nie miała pojęcia jak sobie bez niego poradzi i bardzo pragnęła mu o tym powiedzieć. Lecz nie chciała, by jej kalectwo obligowało go do czegoś. To byłoby jeszcze gorsze niż samotna walka ze światem. Czułaby się wtedy tak upokorzona i pełna winy, że nie mogłaby spojrzeć sobie w twarz.

- Sam nie wiem...-odpowiedział.-Zabawne jak wszystko się zmieniło, prawda?

- Co się zmieniło?

- Moja rola. - Uśmiechnął się z przymusem. - Nie tak to sobie wyobrażałem, kiedy zawieraliśmy umowę.

- Nie? A jak? - Czy powiedzieć mu, jaką przyjemność sprawia jej rozmowa z nim? Nie. Też mógłby poczuć się zobowiązany.

- Nie wiem. Trzy miesiące słońca i morza na szukaniu igły w stogu siana.

Nie było to moje marzenie.

- Więc dlaczego się zgodziłeś?

- Nie chciałem, żebyś trafiła na kogoś pozbawionego skrupułów, kto mógłby cię wykorzystać.

- A co się teraz zmieniło?

- To, że mam firmę i nie mogę w nieskończoność zwałać całej roboty na moją sekretarkę.

- Rób jak uważasz - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- To chyba normalne, prawda? Tyle, że wcale mi się do tego nie spieszy.

- Słucham? - spytała zaskoczona.

- Wcale mi się do tego nie spieszy. Dzisiaj... no cóż, dzisiejszy dzień uprzytomnił mi, jak bardzo ekscytujące może być życie. Ale ty potrzebujesz większego statku...

- A ty musisz wracać do firmy... Pokiwał głową.

- W każdym razie musimy skończyć badanie terenu.

- Na to mogę się zgodzić. - Westchnął i potarł podbródek. - Do diabła, może mógłbym... - reszta jego słów rozplynęła się gdzieś w przestrzeni.

- Słucham? Przepraszam, co powiedziałeś...?

- Ginny. Moja menedżerka, no... właściwie sekretarka. Myślę, że dałaby radę jeszcze trochę pociągnąć interes. O ile oczywiście dostanie podwyżkę.

- I wtedy by się zgodziła?

- Pracowałyby dla mnie nawet za darmo, gdybym ją o to poprosił, ale nie chcę jej wykorzystywać.

W duchu przyznawała mu rację.

- Musiałbym jednak wrócić na chwilę do firmy, uporządkować pewne sprawy, których Ginny beze mnie nie załatwi. To zajmie ze dwa dni.

Weronika gotowa była zgodzić się na wszystko, byle tylko jej nie zostawił.

- Nie widzę problemu – odrzekła.

- Nie będziesz się niecierpliwić?

- Nie, obiecuję. Ja... lubię z tobą pracować. Rozumiem ciebie. -
Zabrzmiało to dwuznacznie, pomyślała. Przez ostatnie tygodnie Dugan był balsamem na jej duszę. Jeśli nawet czasami boczyli się na siebie, zawsze mogła na niego liczyć. Wydawało się, że rozumie jej frustracje, wybuchy złości i nie okazywał zniecierpliwienia, kiedy nie mogła go zrozumieć. Jakby domyślał się, że przeżywa to dużo głębiej niż on.

- No to w porządku. Chętnie zostanę. - Uśmiechnął się szeroko. - Do diabła, chciałbym być tutaj, kiedy zaczną to wszystko wyciągać. To tak, jakby cofnąć się w czasie o trzysta lat.

- To będzie z pewnością niezwykle znalezisko - dodała, chcąc podtrzymać jego entuzjazm. - Na jednym z wraków znaleziono nawet księgę, którą można było odczytać, mimo że setki lat leżała w wodzie. Zresztą zatopione statki są lepszym terenem badań niż stanowiska ziemne.

- Jak to możliwe?

- Ponieważ stanowią idealne obiekty, których nikt nie dotykał przez stulecia. I wszystko, co się na nich znajduje, jest użyteczne i cenne. Na lądzie archeolog zazwyczaj przekopuje pokłady śmieci zostawionych przez ludzi i określa wiek znaleziska zależnie od tego, jak głęboko się ono znajduje. Tu jest inaczej. Zamiast różnych odpadków, rzeczy potłuczonych i niechcianych, znajdujemy przedmioty na ogół w dobrym stanie, których nikt by się nie pozbył. To doskonały materiał do badań.

- Tyle, że pochodzą z dość krótkiego przedziału czasu.

- No tak, jeśli chodzi o ten rejon. Inaczej jest na Morzu Śródziemnym. Tam możesz znaleźć wraki sprzed tysięcy lat. Przewoziły nadzwyczaj cenne ładunki jak na owe czasy, a co więcej, przedmioty codziennego użytku. To tak, jakbyś znalazł wielką fotografię tamtych czasów, na której można zobaczyć, jak ludzie żyli, pracowali, co cenili.

Uśmiechał się. W obawie, że to z niej się śmieje, zamilkła.

- Nie przerywaj - poprosił. - Ta praca to twoja pasja, prawda?

- Chyba tak.

- To bardzo dobrze.

Poczerwieniała z zadowolenia. W nagłym odruchu odwróciła się, otworzyła szufladę i wyciągnęła parę monet. Podała mu kilka.

- Kiedy im się przypatrywałam, przyszło mi na myśl, że być może trzymali je w rękach moi przodkowie. - Delikatnie obracała pieniążek w palcach. - Aż ciarki mi chodzą po plecach.

Dugan wziął jedną i oglądał dokładnie.

- To rzeczywiście skłania do myślenia. Patrząc dzisiaj na działo, sam się zastanawiałem, ile portów odwiedziło, ile sztormów przetrwało, zanim spoczęło tutaj na dnie. Myślałem też o marynarzach, którzy wierzyli, że działa obronią ich przed piratami. Ależ to musiały być szalone czasy. - Roześmiał się. - Ja sam jestem trochę szalony. Prowadząc firmę, oklapłem i zapomniałem, że zawsze lubiłem przygody.

- Naprawdę?

- Słowo daję - powiedział, oddając jej monety.

- Więc jak to się stało, że zająłeś się biznesem?

- Czasami życie płata figle. Nie miałem takiego zamiaru, kiedy przyjechałem do Key West.

- A jaki?

- Chciałem zostać plażowym obibokiem, zawsze na rauszu.

- Myślałam, że żartowałeś, kiedy o tym mówiłeś.

- Wcale nie. - W jego ciemnych oczach zamigotały iskierki. - Weź pod uwagę, że miałem wtedy zaledwie dwadzieścia sześć lat.

- Ach, to wszystko tłumaczy... Ale skąd takie postanowienie?

- No cóż, miałem wtedy cholernie zły dzień. - Wyglądał na zakłopotanego.

- Tylko jeden?
- Czasem jeden wystarczy na całe życie.
- A co się takiego stało? Usłyszała jak westchnął, przeciągle i ciężko.

Przez dobrą minutę wpatrywał się w podłogę. Po chwili, jakby przypomniał sobie o niej, podniósł głowę.

- W ciągu dwóch godzin straciłem i żonę, i pracę.
- To straszne!

Wzruszył ramionami, jakby to była drobnostka, ale Weronika nie uwierzyła. Boleśnie przeżyła własne problemy, dlatego była przekonana, że został bardziej zraniony, niż chciał się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

- Jak do tego doszło? - Już miała przed oczami jakiś okropny wypadek.
- Wylali mnie z pracy, bo miałem drobne skrupuły. No dobrze, to były wielkie skrupuły. Pamiętaj, że skrupuły nie wychodzą człowiekowi na dobre.
- Mogą się obrócić przeciwko tobie? - Powiedziała niepewna, czy dobrze zrozumiała.

- I to jak. Przysiągłem sobie, że już nigdy, ale... wiesz, jak to bywa. Czasami pojawiają się znieenacka.

- Możesz mówić jaśniej?
- Zajmowałem się sprawami funduszu wspólnych inwestycji, skupiającego drobnych inwestorów. Takie tam małe sumki, na przykład oszczędności całego życia pewnej starszej pani w De Moines. Grosze w świecie wielkich finansów, ale po to są właśnie te towarzystwa. Mój szef, dobrze ustawiony na rynku elektronicznym, nalegał, abym zainwestował poważną część mojego funduszu w pewną firmę, obiecując duże zyski. Na papierze wyglądało to nawet nieźle, ale wahałem się, bo firma była dość młoda. Wiesz, trzeba być ostrożnym, kiedy decyduje się o pieniądzach starszych pań.

- Wyobrażam sobie. Ja bym była.

- Taaak. - Ściągnął usta. - Tak więc wciąż byłem niezdecydowany, a szef naciskał. Wreszcie dotarło do mnie, że musi być powód tego nalegania. Odkryłem, że posiada znaczne udziały w tej firmie. Gdybym zakupił tyle akcji, ile sugerował, ich cena poszłaby w górę, a on nieźle by się wzbogacił. I wtedy mógłby się wycofać, sprzedając wszystkie akcje mojemu funduszowi. W każdym razie sprawa śmierdziała na odległość i definitywnie odmówiłem.

- Dobrze zrobiłeś.

- Taaak. - Skrzywił się lekko. - Ale na moje nieszczęście oskarżyłem go o brak etyki. On, oczywiście, przedstawił wszystko w innym świetle, oświadczając, że polecał tylko rynek, który darzył zaufaniem. Na dowód pomachał mi przed nosem swoimi akcjami, mówiąc, że nie kupowałby ich, gdyby nie były cholernie dobrą inwestycją.

Weronika milczała.

- Znalazłem się w niezłych opałach i w efekcie wyrzucili mnie. Wszystko zgodnie z przepisami. Nieważne, że firma zwinęła się trzy tygodnie później. Kiedy usłyszałem o tym, w pierwszej chwili chciałem zrobić wielki szum, nawet podać ich do sądu, ale doszedłem do wniosku, że to tylko dodatkowe kłopoty i strata czasu. Samo moje zwolnienie wywołało wystarczający smrodek, by szef zaprzestał nacisków i żadna z moich starszych pań nie ucierpiała.

- Dzięki Bogu i za to. - Weronika była wyraźnie wzburzona. Zdziwiła ją własna reakcja - od dawna nie obchodził ją nikt poza nią samą. Poczula ulgę. To chyba oznaka, że nie zmarnowała jeszcze całkowicie życia.

- No cóż - mówił powoli - czas kończyć tę ponurą opowieść. Wróciłem do domu, opowiedziałem o wszystkim żonie, a ona nawymyślała mi od głupców i kretyńców. Nie liczyłem wszystkich inwektyw, jakie popłynęły pod moim adresem, ale było ich tyle, że mogły wypełnić olimpijski basen. Wściekła się. Nie pozostałem dłużny. Poczulem się... może to zabrzmie głupio... poczułem się

zdradzony. Jakby pieniądze, które zarabiałem, były dla niej ważniejsze niż ja.

- Tak mi przykro... - Bezwiednie chwyciła go za rękę i uścisnęła.

- I tak miałem szczęście. Co by było, gdybyśmy już mieli dzieci? Nie mógłbym wtedy wszystkiego rzucić i zostać plażowym obibokiem.

- Naprawdę? Zrobiłeś to?

- Zrobiłem. - Zaśmiał się krótko. - W młodzięcym porywie, tak to nazwijmy. Zostawiłem jej wszystko, z wyjątkiem samochodu - mercedesa; widzisz, nie straciłem tak całkiem rozumu. Spakowałem rzeczy, przyjechałem tutaj, sprzedałem wóz i przez tydzień nie trzeźwiałem. Zamarła.

Chciała cofnąć rękę, ale nie pozwolił jej.

- To pijaństwo nieomal mnie zabiło - powiedział. - Teraz prawie nie piję. Miałem wspaniałe pomysły - pałętać się bez celu, pracować tylko w razie konieczności, spędzać czas na plaży lub na łódce. Ale... szybko mi się to znudziło.

- Czyżby? - Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak było. Dziwnym przypadkiem trafiłem na Tama, który miał kłopoty ze swoją firmą...

- Jakie kłopoty?

- Hmm.... - zawahał się i spojrzał na nią nieco rozbawiony. - Lenistwo. Ma zwyczaj pracować zrywami i lubi szybkie pieniądze. Prowadzenie firmy trochę go przerastało. Zacząłem mu pomagać, w końcu odkupiłem interes.

- I tak skończyły się twoje beztroskie dni.

- Och, to był kiepski pomysł. Nie cierpię być mokry. Popatrzyła na niego i zaczęła się śmiać.

- Co cię tak rozbawiło?

- To, że nie cierpisz być mokry. Czy to żart?

- Ani trochę. Pewnie w poprzednim wcieleniu byłem kotem. Jak trzeba, to wchodzę do wody, ale zdecydowanie nie znoszę być mokry.

- Przecież prowadzisz nurkowy biznes.

- No i co z tego?

- Masz także łódź.

- A kto powiedział, że wszystko muszę robić z sensem? Zresztą na łodzi tak bardzo się znowu nie moczę.

- Chyba, że nurkujesz.

- Tego już się nie da uniknąć. A nurkować bardzo lubię.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu, miała tylko nadzieję, że się na nią nie obrazi. Zabawne - nie znosił być mokry, a dookoła była tylko woda, zawsze nurkował, kiedy zachodziła potrzeba.... Chociaż właściwie nigdy nie widziała, żeby skakał z burty ot tak, popływać sobie, jak robił to wieczorami Tam. Wolał krótki prysznic na pokładzie.

- Nie rozumiem. - Nie mogła złapać tchu, a brzuch zaczynał ją boleć ze śmiechu. - Dugan... przecież całe swoje życie związałeś z wodą.

- Wiem. Myślę, że to moja karma.

Znów parsknęła śmiechem, a on razem z nią. Zapomniała już, jak dobrze jest się śmiać... Poczula się wspaniale, zapragnęła, by trwało to bez końca. Jednak po paru chwilach w swym głosie usłyszała nutki hysterii - śmiała się już zbyt długo i gwałtownie.

Dugan pociągnął ją za rękę, aż znalazła się obok niego, na koi. W jednej chwili ucichła i spojrzała na niego z wyrzutem, jakby to on wyzwolił w niej tak niepohamowaną reakcję. W dodatku pod powiekami poczuła łzy, które pojawiły się bez żadnego powodu. Co się z nią dzieje?

- Tak dobrze słyszeć, kiedy się śmiejesz. - Nie spodziewała się takiej czułości w jego głosie. - Powinnaś to robić częściej. Ale nie w taki sposób, Weroniko. Nie tak jak przed chwilą....

Co miał na myśli? Czy zorientował się, że była bliska hysterii? Zanim zdołała sobie odpowiedzieć, zaskoczona poczuła jego pocałunki.

Rozdział 14

To miał być tylko delikatny pocałunek. Uspokajające, czułe muśnięcie. Kiedy usłyszał jej zabarwiony histerią śmiech zrozumiał, co się za tym kryje - wszystkie nagromadzone uczucia, które tak długo w sobie tłumila. Już od momentu, gdy powiedziała, w jaki sposób straciła męża i nienarodzone dziecko, instynkt podpowiadał mu, by miał się na baczności. Tak łatwo było się wplątać w związek z tą rozbitą, samotną kobietą.

Znał swoje słabe punkty. Był podatny na zmysłowe przyjemności - do diabła, po prostu lubił seks. Od czasów Jany pilnował się jednak, by go nie łączyć ze sprawami serca. Pozwalał sobie na seksualne przygody, ale tylko kiedy był pewien, że na tym wszystko się skończy. Jeśli chodzi o Weronikę, to kiedy ją zobaczył, w głowie zapaliło mu się ostrzegawcze światło. I wszystko, co robiła, aby go zirytować, przyjmował z zadowoleniem, bo wznosiło między nimi coraz wyższą barierę.

Potem, gdy powiedziała mu o mężu i dziecku, jego obronny mur kruszył się szybciej, niż mógł go odbudować. Próbował więc trzymać się od niej z daleka.

Aż do tego momentu. Coś w nim pękło, dłużej nie mógł zaprzeczać, że Weronika go interesuje. Interesuje i pociąga, Zabójcze połączenie.

Myślał, że będzie to krótki pocałunek. Jak chwilowe zanurzenie w wodzie. Chciał ją pocieszyć, ale nie zamierzał posuwać się dalej. W żadnym wypadku.

Ale kiedy ich usta spotkały się, efekt był piorunujący. Bezwolnie przeskoczył barierę i znalazł się po drugiej stronie. Sprawił to aksamitny dotyk jej warg i łagodny szept urywanego oddechu.

Czuł, że się opiera, że nie chce, by ją całował. Miał jeszcze szansę, żeby się wycofać, ale już podjął wyzwanie i nie potrafił zrezygnować. Teraz chciał

tylko, żeby odwzajemniła jego pocałunek.

Delikatnie pogładził nagie ramię Weroniki. Bardzo delikatnie, jakby to było muśnięcie motyla. Poczuł, jak przeszedł ją dreszcz.

- Nie... - wyszeptała. - Lecz jej usta przywarły mocniej i przytuliła się do niego całym ciałem, poddając się całkowicie. Osiągnął, co chciał. Odwzajemniła pocałunek.

Głodni siebie całowali się namiętnie, ich języki poznawały się, a jego umysłem owładnęły pytania, które zagłuszał w sobie przez ostatnie dwa miesiące. Jak gładka jest jej skóra? Jaki ma smak? Czy drży i napina się przy każdym dotyku? Czy jej piersi są miękkie, czy sprężyste, reagują szybko czy wolno.....

Nie zastanawiał się, łaknął odpowiedzi.

Jeszcze raz przesunął ręką po jej ramieniu, ledwie dotykając delikatnego, złotego meszku. Znow poczuł, jak zadrżała. Była równie spragniona jego pieścizot, jak on jej, uzmysłowił sobie.

Oplotła ramionami jego głowę, on objął ją w talii i osunęli się na koję, spijając słodycz swych ust, jakby odnaleźli długo poszukiwaną oazę na pustyni. Jej podniecający, kobiecy zapach sprawił, że poczuł ból w lędźwiach. Przesunął dłoń w kierunku jej pośladków i przyciągnął ją, by poczuć napięty brzuch. Za szybko, za ostro. Gdzieś w zakamarkach świadomości usłyszał ostrzegawczy sygnał. Nie zważał na to. Kiedy trzymał ją w ramionach, było tak, jakby słyszał wabiący śpiew syreny. Nie mógł się oprzeć.

Oderwał wreszcie usta, łapiąc oddech. Nim zdążył uspokoić zmysły, naparła na niego biodrami, jakby prosząc, by nie przerywał. Oczy miała zamknięte, nabrzmiałe wargi z trudem chwytaly powietrze.

Położył się na niej, przywierając całym ciałem, i poczuł ogarniające go uniesienie, gdy rozsunęła uda, chcąc mieć go jak najbliżej. Chwyciła za ramiona i przyciągnęła do siebie.

Okrywał pocałunkami jej ciało, tak jedwabiste, jak się spodziewał. Tętnica dziko pulsowała na jej szyi; pocałował to miejsce, wywołując cichy jęk rozkoszy. Jego ręce, jakby żyjąc własnym życiem, wślizgnęły się pod trykot i znalazły jej piersi. Cieniutki staniczek nie stanowił żadnej przeszkody dla pieszczot; wreszcie przekonał się, jakie były miękkie i pełne. Poczul jej sutki, nabrzmiałe pod dotykiem palców.

Jej biodra wygięły się ku niemu, potęgując u Dugana przyływ radosnego uniesienia. Naciskał na nią coraz mocniej, nie zważając na ubrania dzielące ich ciała. Z każdym ruchem jego bioder unosiła na spotkanie swoje.

Pragnienie zawładnęło nim całkowicie, gorąca krew pulsowała w żyłach, zagłuszając resztki rozsądku.

Odpiął stanik i zaczął ssać sutek w rytm ruchu jej bioder. Wydała cichy przeszywający okrzyk. Jej biodra poruszały się coraz szybciej, a dłonie wpiły się w jego ramiona. Był bliski eksplozji. Jej namiętność była zaraźliwa, pociągała go za sobą na sam szczyt.

I nagle poczul jak cała napięta, ostatnim szarpnięciem bioder osiągnęła rozkosz. W tej samej chwili on również znalazł się na szczycie fali i po chwili runął w dół. Upadek nie bolał. Ale kiedy umysł powoli budził się, poczul się nieswojo. Może i był do pewnego stopnia plażowym obibokiem, jednak dotąd sądził, że przez lata trochę wydorósł. Tymczasem zachował się jak szesnastolatek na tylnym siedzeniu samochodu tatusia. Chryste!

Wiele by dał, żeby wymazać ostatnie dziesięć minut z pamięci. Amnezja byłaby najlepszym rozwiązaniem, pod warunkiem, że dotknęłyby ich oboje.

Zmusił się do otwarcia oczu i zerknął na nią. Usta miała wciąż rozchylone, oddychała ciężko... zresztą nie przyglądał się zbyt dokładnie. W nagłym przypiływie czułości, opuścił podkoszulek, przykrywając jej piersi. Zsunął się na bok, a ponieważ amnezja nie nadchodziła, wziął ją w ramiona.

Nie był idealnym kochankiem - Jana dobrze mu to uprzytomniła - ale od

dawna wiedział, że najgorszy grzech, jaki mógł teraz popełnić, to zasnąć, wyjść albo zapalić papierosa. Obejmij ją. To wszystko, co musisz zrobić. Obejmij ją.

Dziękował opatrności, że w pobliżu nie ma żadnego ostrego narzędzia. Miał wrażenie, że gdy tylko Weronika dojdzie do siebie, będzie chciała poderżnąć mu gardło.

To był wystarczający powód, by nie zadawać się z ładnymi kobietami. Nie oskarżał jej, że straciła rozsądek, w końcu wolno jej. To on zachował się jak zwierzak w okresie godowym i wykorzystał moment, kiedy należało być tylko uprzejmym. Nic więcej. A skoro miał zamiar zachować się jak osioł, to mógł wybrać kogoś innego, a nie właśnie ją, kroczącą przez życie wąską i prostą ścieżką. Do diabła, gdyby powiedziała mu, że w noc poślubną była dziewicą, też by uwierzył.

Leżeli nieruchomo, mijały minuty, jego niepokój narastał. Czyżby zastanawiała się, jak najboleśniej mu dopiec? Czyżby było jej tak wstyd, że nie chciała nawet na niego spojrzeć? Ta druga możliwość martwiła go bardziej. Nienawidziłby siebie, gdyby tak było.

Poruszyła się nieznacznie i coś zamruczała. Niepewnie spojrzął i napotkał jej senny wzrok. Uśmiechnęła się lekko.

- Mmm - wymamrotała cicho. - Było miło.

Miło? Miło!?! Nie, tego się nie spodziewał. Zupełnie go zamurowało i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Uniosła głowę i pocałowała go w policzek. Osłupiał całkowicie. Zaczęła go ogarniać panika. Powinien zmykać stąd natychmiast. Jeszcze trochę i wpakuje się w coś, czego przysiągł unikać przez resztę życia. W poważny związek uczuciowy, jak kiedyś z Jana.

Żałował, że ją dotknął, że odkrył jej drugą twarz. Za fasadą szorstkości, determinacji i przygnębienia kryła się zmysłowa, nie kryjąca swych potrzeb kobieta. Któż nie byłby skrepowany tym, do czego dochodzi między

mężczyzną a kobietą. Przyzwoita kobieta, a zarazem kochanka bez zahamowań? To przecież nie może iść w parze. Znalazł się na ruchomych piaskach.

Chciał się wycofać, ale jak miał to zrobić? Nie był na tyle bezwzględny, by po prostu podnieść się i wyjść, jakby to, co się wydarzyło między nimi, było zwykłym spotkaniem przy kawie. Widział po Janie, jak wrażliwe potrafią być kobiety, kiedy dochodzi do zbliżenia. A nie chciał zranić Weroniki. Jednak dalsze tkwienie tutaj nie wyszłoby mu na dobre. Jej też nie, gdyż mogłaby mylnie uznać to interludium do czegoś poważniejszego, niż było w rzeczywistości. Lecz przede wszystkim chciał się otrząsnąć z tych rozważań. W końcu, nie znajdując lepszego rozwiązania, cmoknął ją w czoło.

- Muszę pójść na górę i zobaczyć, co się dzieje.

Nim zdążyła zareagować i zanim powiedział coś, co wpędziłoby go w dalsze kłopoty, wysunął spod niej ramię, wstał i wyszedł.

Nie obejrzał się. Nie chciał dostrzec cienia zawodu w jej fantastycznych niebieskich oczach. Nie chciał niczego pamiętać.

Tam stał oparty o reling i palił papierosa. Był jedyną osobą, jaką znał, która popalała tylko od czasu do czasu.

- Jak ty tak możesz? - spytał go, chcąc przestać myśleć o Weronice.

- Co mogę?

- Wypalać papierosa raz na kilka tygodni?

- Ach to. - Zaśmiał się i wyrzucił niedopałek za burtę. - Czasami mi nawet smakuje. I daje mi kopa. Gdybym palił codziennie, nic bym nie czuł i szybko wypluł płuca.

- Ale ludzi to wciąga.

- Mnie nie. Mnie tam nic nie wciągnie. - Tam wzruszył ramionami. Dugan dyplomatycznie nie spytał, jakim to innym pokusom Tam nie ulega. Tam

odwrócił się, oparł biodro o poręcz i spojrział na Dugana.

- Dlaczego tak wcześnie dzisiaj skończyłeś?

- Co?

- Nurkowanie. Byłeś już na górze, kiedy wypłynąłem, żeby powiedzieć wam o armacie.

- Aaa. - Jak mu odpowiedzieć i jednocześnie nie kłamać? Brzydził się kłamstwem. - Znalazłem miedziaka. - Przypomniał sobie o monecie, którą niedawno się bawił. - Była tak skorodowana, że trudno coś powiedzieć.

- Używali wtedy miedziaków?

- Najwidoczniej tak. Weronika powiedziała, że najpierw trzeba ją oczyścić specjalnym preparatem, żeby coś odczytać. Ale działało - szybko zmienił temat - działało to dopiero coś!

- No. - Tam się roześmiał. - Człowieku, sam nie wierzyłem, kiedy zacząłem to odkopywać. Słowo daję, myślałem, że to jakiś śmieć. Zgubiona śruba od łodzi albo stara skrzynka wędkarska. Mówię ci, Dugan, byłem pewien, że szukamy wiatru w polu.

- Ja też.

- Odrzuciłem trochę mułu i najpierw myślałem, że to najwyżej trzydziestoletni grat. Osłupiałem, jak zobaczyłem stare żelastwo. Myślałem, że mi serce wyskoczy. Miałem przecucie, co to jest. Czułem to. - Pokręcił głową, skrzyżował ręce i zapatrzył się w morze. Światło księżyca odbijało się w wodzie, tworząc srebrzystą ścieżkę na wschód.

- Niesamowite, prawda?

- Niesamowite? - Tam spojrział na niego. - Człowieku, znaleźliśmy garniec złota na pustyni.

Ciarki przeszły Duganowi po plecach.

- Możemy już nic więcej nie znaleźć. I niewykluczone, że to wcale nie „Alcantara”.

- Nie rozumiesz? Samo to działo to garniec złota na pustyni. Mieliliśmy cholerne szczęście.

- To prawda. - Dugan uspokoił się nieco.

- O rany, aż mi się w głowie zakręciło. - Znowu się roześmiał. - Dawno nie miałem takiej frajdy.

Jeśli o to chodzi, Dugan przyznawał mu rację. Czuł się tak, jakby ostatnie dziesięć lat spędził w próżni. Chociaż wmawiał sobie, że robił to, co chciał, faktem było, że czekał na właściwy moment. Na jaki? Nie wiedział. Odpowiedź przyszła dzisiaj. Kiedy znaleźli monety i działo. Właśnie na to czekał. Żeby już więcej nie musiał szukać żadnych skarbów.

Tam wyciągnął paczkę papierosów z kieszonki na piersi i znów zapalił.

- Świątuję - powiedział, jakby się usprawiedliwiał. - Pewnie jutro wrócimy do nudnego szukania metr po metrze. Ale mówię ci, Dugan, teraz już nie będę się tak spieszył, przynajmniej póki mamy szansę znów na coś trafić.

Obaj zarazili się bakcylem poszukiwania skarbów, pomyślał Dugan. Zachowywali się teraz podobnie jak Weronika. Tam miał rację. Od tego rzeczywiście mogło zakręcić się w głowie.

Trzy dni później, kiedy wpływali do portu, wszyscy troje byli dumni jak pawie. Mielili już oznakowany prostokątny obszar dna, gdzie magnetometr wykazywał anomalie. Tu zaczną ponownie nurkować po powrocie. Plan działania był przygotowany.

Tam szybko udał się do domu, żeby przekazać informacje na pager Luisa.

Luis czuł pod stopami rozżarzone węgle. Emilio mógł zjawić się w każdej chwili i zniweczyć wszystkie jego plany. Co gorsza, dni mijały i coraz bardziej był przekonany, że Emilio przejrzał go na wylot.

Pozostawał jeszcze *El Desconocido*. Nie mógł go rozszyfrować i obawiał

się go coraz bardziej. Od wielu dni nie przekazał mu żadnej informacji i to doprowadzało go niemal do obłędu. Na pewno był śledzony. Znali go.

To, że on nie wiedział, kim jest ten człowiek, tylko potęgowało strach przed czyhającym na niego zagrożeniem.

Rosa, żona Luisa, zawsze wytykała mu, że jest przesądny. Jakby ona nie była. W każdym pokoju stawiała krucyfiksy, dzięki niej kwitła produkcja świec wotywnych, rzucała szczyptę soli za siebie, gdy coś rozlała, i odpukiwała w drewno, nie chcąc kusić losu. Luis pogardliwie odnosił się do tych głupot, ona zaś kpiała, kiedy traktował Emilia jak wcielenie szatana.

Ale ona nie знаła Zaragosa. Ten człowiek wiedział wszystko. Potrafił czytać w myślach. I trudno uwierzyć, by *El Desconocido* nie był co najmniej tak samo przebiegły. Wyobraźnia podpowiadała Luisowi wszystko co najgorsze. Niebezpieczeństwo zdawało się wyzierać z każdego kąta, niewyraźne i mroczne. A wszystko dlatego, że próbował oszukać Emilia. Gdy odezwał się pager, Luis uznał, że jest już trupem. Oblał się potem. Kto mógłby do niego dzwonić? Nie miał odwagi spojrzeć na wyświetlacz. Czy to *El Desconocido* z wymówkami? A może Emilio chce powiedzieć, że gra jest skończona?

Wreszcie powlókł się w drugi koniec pokoju i podniósł pager.

To był Tam.

Poczuł taką ulgę, że urządzenie wypadło mu z ręki. Tam. Wreszcie będzie miał jakąś informację, by ułagodzić Emilia. A także przekazać ją *Desconocido* i udowodnić, że dotrzymuje obietnicy.

W gruncie rzeczy nie zawarł z nim żadnej umowy, przypomniał sobie. Do niczego się nie zobowiązywał, a i ten człowiek nie stawiał żadnych żądań. Zapewnił tylko, że dobrze zapłaci za maskę.

Uznał więc, że wcale nie zdradził Emilia.

Poczuł się dużo lepiej i wykręcił numer Tama.

- Musimy się spotkać - odezwał się Tam. - Mam coś.

Serce zabiło mu mocniej, jego obawy przysły, ustępując miejsca podnieceniu. Wymienił nazwę knajpki, umówili się za piętnaście minut.

Kiedy odłożył słuchawkę zauważył, że zdenerwowanie ustąpiło całkowicie. Jego obawy to czysta fantazja. Wzięły się z bezczynności, to wszystko. Dowie się, co ma dla niego Tam, a potem zdecyduje, co z tym zrobić.

Wyszedł z hotelu i szybkim krokiem udał się w kierunku baru położonego na tyłach Duvall Street. W tym ustronnym miejscu będą mogli swobodnie porozmawiać, bez obawy, że dostrzeże ich ktoś z ulicy.

Było upalne późne popołudnie, gęstniała rzesza turystów spragnionych wieczornych zabaw. Z jednej strony czuł ogarniający go lęk, że ktoś z łatwością może go śledzić w takim tłumie, z drugiej zaś czuł się bezpieczniej, przekonany, że nikt nie odważy się go zaatakować.

Wszedł do chłodnego baru i natychmiast poczuł się nieswojo. Przyzwyczajone do słońca oczy niewiele mogły dostrzec. Tutaj każdy mógł się na niego zaczaić. Nawet sam *El Desconocido*.

Nie bądź głupi, pomyślał, i skierował się do małego stolika w głębi. Było tu luźno, bo większość klientów wolała siedzieć przy oknach, obserwując ulicę. Trochę trwało, nim zamówił tecate, po czym rozsiadł się wygodnie i czekał.

Poczuł się bezpieczniej. Za plecami miał ścianę, w dodatku każdego, kto wchodził do środka, miał na oku. Nawet Emilio nie byłby w stanie go zaskoczyć, gdyby niespodziewanie się zjawił.

Przyszło mu na myśl, że nie nadaje się na podwójnego agenta. Nie ma do tego zacięcia, tak jak i do hazardu. Jest zbyt ostrożny.

Ale zaraz przypomniał sobie, o jaką stawkę chodzi. Emilio zapłaci mu jedynie za wykonaną pracę, a *El Desconocido* zapłaci miliony. To warte ryzyka. O ile wcześniej z tych nerwów nie dostanie ataku serca.

Tam spóźnił się parę minut, nie tyle jednak, by Luis zaczął się niepokoić. Niewątpliwie tecate - ostatnio trochę za dużo pił - pomogła mu się odprężyć.

Kiedy wszedł Tam, głowa Luisa podskakiwała rytmicznie w takt reggae płynącego z głośników.

Zamówił podwójną szkocką z lodem i przyniósł ją do stolika. Przesunął krzesło, by także siedzieć plecami do ściany.

- Boisz się, że ktoś cię zobaczy? - spytał Luis, który miał podobne obawy.

- Znam połowę ludzi w tym cholernym mieście i nie chcę, żeby ktoś nas podsłuchał.

- Przy tej muzyce to prawie niemożliwe. - To był jeden z powodów, dla którego wybrał to miejsce.

- Chyba tak.

- Więc masz coś dla mnie?

- Uhm. - Tam jednym haustem wypił połowę swojej whisky i odetchnął z lubością.

- Znaleźliście „Alcantarę”?

- Może tak, a może nie. Znaleźliśmy działo. Na razie nie wiadomo skąd pochodzi. W każdym razie oznaczyliśmy miejsca według wskazań magnetometru. Będziemy dalej szukać.

Luis nie chciał się przyznać, że nie ma pojęcia co to magnetometr, ale pokiwał ze zrozumieniem.

- Czyli wrak tam jest. Tam wzruszył ramionami.

- Gdybym to wiedział, cholera. Nikt nie wie na pewno. Jedyne co wiemy, to że pod spodem jest jakieś żelastwo. Będziemy nurkować i wszystko zbadamy. To może być i wrak. „Alcantara” albo jakaś inna starzyzna.

- I to wszystko, co znaleźliście? - Miał wrażenie, że Tam nie powiedział mu wszystkiego.

- To wszystko. - Tam przypatrywał mu się zwięzionymi oczami. - Człowieku, coś taki szybki? Nieraz mijają lata, zanim znajdzie się wrak. Działo to działo. I tak mieliśmy dużo szczęścia.

- Ale ta Coleridge uważa, że to „Alcantara”?
- Ma nadzieję. A my to nie?

Tam zgarnął pieniądze, całe pięćset dolarów, opróżnił szklanekę i wyszedł, zostawiając Luisa w ciemnym kącie.

To wszystko było za mało konkretne jak na jego gust. Całkowicie. Chciał, żeby coś zaczęło się dziać.

Jednakże nie miał pomysłu, jak to przyspieszyć.

Czterdzieści minut później dzwonił do Emilia. Szef był w pogodnym nastroju, rozkoszując się żeglowaniem po Karaibach.

- Jak tu pięknie, Luis. Szkoda, że cię tu nie ma.

Luis dziękował wszystkim bogom wszechświata, że go tam nie ma. Dużo łatwiej rozmawiało mu się z Emilio przez telefon, a poza tym na „Conchicie” na pewno dostałby choroby morskiej.

- Mam nowiny - powiedział, czując nagle suchość w ustach.

- Tak? Jakie? - Emilio nie ukrywał podniecenia.

- Znaleźli działo.

- Działo?

- Właśnie, działo. Nie są pewni, czy pochodzi z „Alcantary”, ale mój informator mówi, że wytyczyli obszar do nurkowania. Używali magneto.

- Magnetometru, Luis - sprostował Emilio, dużo bardziej obeznany z archeologią. - Fascynujące. Jeśli oznaczyli teren, to pewnie znaleźli wrak.

- Tak, ale nie są pewni jaki.

- To nie ma znaczenia. Będę na miejscu, kiedy się do niego zabiorą. To wszystko, co mnie interesuje.

Tego właśnie Luis obawiał się najbardziej. Że będzie czuł oddech Emilia na karku, kiedy znajdą maskę.

Przez następną godzinę rozmyślał, czy zadzwonić do *El Desconocido*; ostatecznie zdecydował, że to zrobi. Skoro już zaczął igrać z ogniem, nie wolno

mu nagle przestać, bo może przypadkowo spłonąć. Postanowił, że temu przekaże coś więcej, coś, co pozwoli mu się zabezpieczyć.

Zostawił wiadomość, a po dwudziestu minutach nieznajomy oddzwonił do hotelu.

- Podobno masz informacje.

- Tak, mam. Znaleźli działo i wyznaczyli teren poszukiwań. Myślą, że odnaleźli wrak.

- Wspaniale. Coś jeszcze?

Luis wahał się, czy powiedzieć więcej.

- Kiedy przybywa twój pracodawca? - Te słowa uderzyły go, jak grom z jasnego nieba. Skąd on wie, że Emilio się tu wybiera?

- No.., niedługo.

- Bądź ze mną w kontakcie. - Usłyszał ciche kliknięcie i *El Desconocido* rozłączył się.

Zawarłem pakt z diabłem, uświadomił sobie Luis.

Rozdział 15

Pokład „Mandoliny” zarzucony był drobnymi skarbami wydartymi morzu: monetami, narzędziami, a nawet żelaznym osprzętem statku. Najcenniejszym znaleziskiem była waza z dynastii Ming, która nie doznała nawet najmniejszego uszczerbku podczas swej podróży na dno.

- Musiała być zapakowana w trociny lub coś w tym rodzaju - powiedziała Weronika do Dugana, delikatnie ścierając z niej wilgotny, gęsty muł. - W ciągu tych lat woda zniszczyła skrzynię i materiał ochronny, ale waza pozostała nietknięta.

- Niesamowite. - To właśnie on ją znalazł i uśmiech zadowolenia nie schodził mu z twarzy. - To ona, prawda? To „Alcantara”?

- Tak sędzę. Przewoziła skarby ze Wschodu. Muszę sprawdzić, czy ta waza jest w dokumentacji. O ile pamiętam, było tam kilka takich naczyń.

Zdziwił się, że ta informacja mogła przetrwać stulecia. Weronika opowiedziała mu więc o archiwach dotyczących Indii Zachodnich, przechowywanych w Sewilli, o tym, że skrupulatnie odnotowywano niemal każdy drobiazg na statku. Oczywiście wszystko, co stanowiło ładunek, a nie młotki czy talerze używane przez załogę.

Przetrząsali razem z Tamem dno, zaznaczając miejsca, gdzie znajdowały się skarby, dostarczając na powierzchnię tylko pojedyncze okazy.

- Więc już wiemy, że to statek handlowy. - Weronika przycupnęła na piętach. - Wiemy też, że był załadowany towarami przywiezionymi z Manili. Jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent, że znaleźliśmy „Alcantarę”.

Kucnął obok.

- I co dalej?

- Zabierzemy to wszystko na ląd, wynajmiemy większą łódź, paru dodatkowych nurków i ruszymy pełną parą.

- A co z maską? - wyrwało mu się. Po jej twarzy przebiegł cień.

- Jeśli ją znajdziemy, to nasze szczęście.

Od pamiętnego tete-a-tete w jej kabinie zachowywali wobec siebie ostrożny dystans. Nagle cholernie go to zirytowało. Postanowił zmienić tę sytuację.

- Jak czuje się ojciec?

- Nie wiem. Pojechał do Tampy na badania.

- Martwisz się o niego - stwierdził.

- Chyba tak... - Odebrała to jak pytanie.

- Chyba? - Nie bardzo rozumiał. Wzruszyła ramionami.

Duganowi wiele można było zarzucić, ale bardzo kochał swoich rodziców, mimo że widywał ich przeciętnie raz w roku. Nigdy jednak nie powiedziała, że „chyba” się martwi, gdyby jedno z nich miało raka, a w dodatku było w takim stanie jak Orin Coleridge.

- Co wy macie do siebie? - spytał.

Jakby go nie słyszała. A przecież słyszała na pewno, bo miała w uszach aparat. Może nie bardzo go zrozumiała, bo odwróciła twarz, ale też na pewno nie chciała na ten temat rozmawiać.

Zaczynało go męczyć takie traktowanie. Była arogancka.

Klepnął ją w ramię, spojrzała na niego.

- To, że nie słyszysz - zaczął poważnie - to jeszcze nie powód do takiego zachowania. Nie powinnaś tego wykorzystywać.

W jej oczach pojawił się gniew.

- A kim ty jesteś, żeby mnie pouczać, jak mam się zachowywać? - wyrzuciła jednym tchem.

- Drugim człowiekiem. Do cholery, Weroniko, jeśli nie chcesz o czymś

rozmawiać, powiedz mi. Jak ty byś się czuła, gdybym to ja się odwracał?

- Kto cię upoważnił, żeby w ten sposób... ty... ty... degeneracie! -Z pełną premedytacją pokazała mu plecy i skupiła się na czyszczeniu wazy.

Doprowadziła go do skrajnej wściekłości. Atak jest najlepszą formą obrony, pomyślał. Niestety, nie w jego stylu. Ostatni raz użył siły, kiedy miał trzynaście lat. Jesse Calisto na długie tygodnie zmienił mu życie w piekło, poszturchiwał go i ośmieszał. Pewnego dnia, ku własnemu zaskoczeniu, Dugan walnął go pięścią w twarz, aż rozkrwawił mu wargę. Musiał zostać za karę po lekcjach, ale opłaciło się. Od tego czasu nikt nie ośmielił się go tknąć.

Oczywiście nie miał zamiaru dać Weronice podobnej nauczki, ale z olbrzymią przyjemnością chwyciłby ją za ramiona i potrząsnął, aż zagrzechotałaby ząbkami.

Przez chwilę patrzył na nią, po czym podszedł, chwycił wazę i postawił za sobą, zmuszając do spojrzenia.

- Oddaj! Możesz ją uszkodzić.

- Oddam, kiedy skończymy rozmowę.

- Już skończyliśmy.

- Nie wydaje mi się. Nie podoba mi się, kiedy nagle się odwracasz. To jest niegrzeczne i dziecinne. Zasluguję chyba na odrobinę szacunku.

- Przestań mi prawić morały!

Mówiła dużo głośniej niż zwykle. Dobrze, że byli na morzu, gdzie nikt ich nie słyszy. Tam wciąż przebywał pod wodą.

- Czy powiedziałem ci już, że jesteś jędza?

- I co z tego?

- Chryste, zadałem ci tylko pytanie. Mogłaś mi po prostu powiedzieć: „Dugan, nie chcę o tym rozmawiać, bo to nie twoja sprawa”. Nie masz prawa odwracać się do mnie tyłem i traktować mnie jak powietrze. Mówiąc szczerze, moja pani, mam już dość takiego zachowania, kiedy tylko coś ci się nie podoba.

- A ty jesteś lepszy?
- Może i jestem degenerat, ale, do cholery, nie traktuję ludzi z góry.
- A niby co robisz teraz?

Diabelnie dobre pytanie. Był w ślepym zaułku. Zaczął się śmiać. Powaga Weroniki nie trwała dłużej niż kilka sekund. Spozrzegł, że kąci jej ust lekko się unoszą i chwilę później również wybuchnęła śmiechem.

- Zgoda - powiedział, gdy już złapał oddech. Oddał jej wazę. - Umówmy się - ja ci nie będę prawić morałów, a ty nie będziesz odwracać się do mnie plecami.

- Wolałbyś, żebym powiedziała „spadaj”?

Zaskoczyła go. Przykucnął przed nią i powoli odpowiedział.

- Tak, wolałbym. Przynajmniej nie czułbym się całkowicie zlekceważony, wyrzucony poza orbitę twojego świata. Kiedy odwraca się słyszająca osoba, możesz w dalszym ciągu się z nią sprzeczać.

- Zawsze musisz mieć ostatnie słowo? Znów się roześmiał.

- Powiedzmy... Ale w tym przypadku nie chodzi o to. Każdy, kto by się tak zachowywał, postępowałby nie fair. Dużo bardziej jednak boli mnie, kiedy ty to robisz. To stawia między nami mur.

Pokiwała głową, myśląc o tym, co powiedział. Docenił to. Przecież lubił Weronikę. Nie była złym człowiekiem, po prostu miała trochę problemów... ze sobą. A któż ich, do diabła, nie ma. Wie, że czasami doprowadzał ją do ostateczności swoim luzackim stylem, lecz nie potrafi się wszystkim przejmować. Jednakże przy tej kobiecie wkurzał się dużo szybciej niż kiedykolwiek.

Wpatrywała się w wazę, machinalnie ścierając ślady mułu.

- To „Alcantara” - powiedziała. - Jestem pewna.

Prawie to wyszeptała. Nie był pewien, czy mówi do niego, więc nic nie odpowiedział.

Uniosła głowę i spojrzała przenikliwie.

- Znajdę tę maskę, Dugan... Myślałem, że powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam. Znajdę ją. Ojciec mówi, że czuje się lepiej, ale ja wiem, że tak nie jest. Okłamuje mnie. Muszę ją znaleźć, zanim umrze.

- Dlaczego?

- Udowodnię mu, że matka wiedziała, co robi, że miała rację. Dopiero pół roku temu powiedział mi o wszystkim. Do tego czasu trzymał to w tajemnicy. Chociaż wiele o niej opowiadał, tak naprawdę w ogóle jej nie znałam. Do diabła, nawet nie wiem, co robiła na łodzi, kiedy zginęła.

- O rany, założę się, że musiałaś być zła.

- No pewnie. Wciąż jeszcze jestem, chociaż... już trochę mi przeszło. Ciągle jednak czuję się oszukana. Nie wiem, jak to dokładnie określić. Jakby coś zmuszało mnie, żeby zrehabilitować matkę w jego oczach.

- Chyba to rozumiem. - Zaczęły go już boleć kolana. Wstał i pomógł jej się podnieść. - Ale to się może okazać niemożliwe.

- Wiem o tym! - W jej głosie zabrzmiała rezygnacja.

- Weronika...

- Czy ty tego nie rozumiesz? - Wyciągnęła do niego ręce, oczy miała pełne łez. - Nie rozumiesz, jak to boli? Nie znałam swojej matki, a teraz tracę ojca... Wszystko, co mogę zrobić, to znaleźć maskę, zanim będzie za późno. O Boże, niech to się już skończy!

Trzymał ją za ręce, więc nie mogła się odwrócić. Tym jednym błagalnym wołaniem ukazała mu całe swoje cierpienie. Była w pułapce i nic nie mogła na to poradzić. Mogła tylko... Współczuł jej z całego serca.

- Musimy się spieszyć - powiedziała, uwalniając ręce i ocierając łzy. - Nie mamy wiele czasu...

- Jeśli będziemy działać w pośpiechu... Jesteś przecież archeologiem, dobrze wiesz, do czego prowadzą chaotyczne poszukiwania. Możesz zniszczyć

swoją karierę.

Kiwnęła głową niecierpliwie, jej oczy znów się zaszkliły.

- Muszę ją odnaleźć, Dugan. I to szybko.

Jest trochę nielogiczna, lecz emocje rzadko idą w parze z rozumem, pomyślał. Czowała, że coś ją ponagla i pogania, a rozsądek nic tu nie znaczył. Wiedziała, że z każdym dniem zostaje jej coraz mniej czasu.

Nie był przyzwyczajony do takiego działania. Chociaż jego też zafascynowało znalezisko, umiał zdobyć się na cierpliwość. Jeśli poszukiwania mają zająć dwadzieścia lat, niech i tak będzie. Sama wyprawa sprawiała mu przyjemność.

Ale to nie jego ojciec umierał i to nie on chciał coś udowodnić. Podejrzewał, że Weronika nie bardzo zdaje sobie sprawę, dlaczego podchodzi do tego aż tak emocjonalnie. Miał przeczucie, że w gruncie rzeczy bardziej chodzi o nią samą niż o matkę. Chce udowodnić, że jest równie dobra w swoim zawodzie, a może nawet lepsza.

W zamyśleniu spojrział ponad jej głową na bezkres turkusowej wody zlewający się z niebem. Nigdy nie czuł potrzeby udowadniania komuś czegokolwiek, co nie oznaczało, że tego nie rozumiał.

Weronika... Podejrzewał, że śmierć matki pozbawiła ją czegoś więcej niż macierzyńskiej miłości. Być może ojciec przez te wszystkie lata, kiedy ciągnął ją za sobą po świecie, wytworzył w niej poczucie winy, że nie była matką. A może ona sama zrujnowała sobie życie, próbując zastąpić ją ojcu. Czy nie dlatego właśnie została archeologiem?

Orin nie chciał, by jej czegoś brakowało. Cierpiał z powodu śmierci żony, a Weronika, na swój dziecięcy sposób, tłumaczyła sobie, że to ona nie spełnia jego wymagań. Ciągle czuła się winna, ponieważ nie była w stanie postępować jak dorosła osoba - archeolog, gospodyni domowa, kucharka i Bóg wie kto jeszcze. Mogło tak być.

To musi tkwić w niej gdzieś głęboko, a on przecież nie jest psychologiem. Skąd ma wiedzieć, czy jego rozumowanie idzie właściwym torem?

- O czym myślisz? - spytała.

- Próbuję sobie wyobrazić, jak szukać maski, nie dewastując terenu, żebyś mogła jeszcze pokazać się w środowisku.

- To trudniejsze, niż się wydaje. - Starła się uśmiechnąć, z trudem powstrzymując łzy.

- Tak już w życiu bywa. Co nie znaczy, że jest niemożliwe.

Była tak blisko, a on, głupi, przyciągnął ją jeszcze bliżej. No cóż, może nie tak całkiem głupi. Zaświtało mu w przyćmionym umyśle, że między nim a Weroniką istnieje jakaś nić, a raczej siła, która przyciąga go do niej, i nic na to nie poradzi. Uświadomił sobie, że od chwili, kiedy wziął ją w ramiona, wciąż pragnie znów poczuć jej bliskość.

Przytulił ją, obiecując sobie jednocześnie, że nie posunie się dalej. Ogarnęło go uczucie niewypowiedzianego szczęścia. Nie zdążył nawet dobrze poczuć jej piersi i ust, gdy tuż obok łodzi z pluskiem wynurzyła się głowa Tama.

W jednej chwili puścił Weronikę i cofnął się. Spojrzała na niego pytająco, po czym obróciła się.

- Och - westchnęła rozczarowana.

Wolałby, żeby nie była taka rozczarowana. Byłoby mu dużo łatwiej, gdyby nie lgnęła do niego tak bardzo, jak on do niej. Gdyby wzbraniała się trochę, mówiła, że nie pasują do siebie. Nawet gdyby miała mu za złe ten wieczór w kajucie. A ona zachowywała się jak kotka przy misce śmietanki.

Tymczasem nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby - utrzymując odpowiedni dystans - rzucała mu od czasu do czasu... powiedzmy, głodne spojrzenia. Nic w tym złego... Tyle, że widziałyby w nich także własne pragnienia.

Diabli nadali!

Dzięki Bogu, że zjawił się Tam, który zdążył już wejść na platformę, zsunąć maskę i zapać.

Weronika spojrzała na Dugana.

- Co powiedział?
- Coś w rodzaju „kukuryku”.

Chyba nie zrozumiała, więc powtórzył. Roześmiała się. Przestań, rozkazał jej w duchu. Kiedy się śmiała, zawsze miał ochotę ją całować.

- Ju-huu! - Z okrzykiem radości Tam odczepił woreczek od paska. - Chodźcie zobaczyć.

Szarpnął rzepy, sięgnął do środka i wydobyl złoty krzyż, długi na dziesięć centymetrów, wysadzany szmaragdami.

Weronika wstrzymała oddech. Dugan patrzył w zachwycie. Krzyż skrzył się w słońcu pierwszy raz od trzystu lat; wydawał się płonąć.

- Czyż nie jest piękny? - Tam ostrożnie podał go Weronice, ujęła go drżącą ręką.

- Fantastyczny - powiedziała z namaszczeniem. - Fantastyczny i jak precyzyjnie wykonany.

Takiego klejnotu nie uświadczysz w żadnym sklepie z biżuterią, pomyślał Dugan. Złote druciki splecione były na kształt wymyślnych pagórków, w których osadzone były szmaragdy. Szmaragdy... same tylko kamienie warte były fortunę.

Drżącymi rękoma Weronika odwróciła krzyż. Druga strona była płaska.

Znów wstrzymała oddech.

- Tu jest jakaś inskrypcja. Boże, tu jest jakaś inskrypcja!
- Co tam jest napisane? - Tam, wciąż ociekający wodą, zaglądał jej przez ramię.

- Jest trochę zatarta, trudno... - Wyteżała wzrok, ocieniając krzyżyk ręką,

żeby nie oślepiało jej odbijające się od złota słońce.

- To chyba... Felipe... Carlos... - Głos jej się załamał i spojrzała na Dugana.- Felipe Carlos Lorca. To kapitan „Alcantary”.

Do Dugana nie docierały okrzyki radości Tama. Nie odrywał oczu od krzyża. Zaparło mu dech w piersi. Po chwili wolno podniósł wzrok na Weronikę. Patrzyła na skarb z takim samym nabożnym skupieniem.

Delikatnie wziął krzyż do ręki. Pomyślał o człowieku, który nosił go na piersi i który nie zawahał się wyrzucić za burtę złota, by ratować swój statek. O człowieku, który spotkał się ze Stwórcą w tych właśnie wodach. Czy miał krzyż na szyi, kiedy tonął? A może ścisnął go w dłoni, modląc się żarliwie o ocalenie?

Chciał podzielić się z Weroniką swoimi myślami. Wiedział, że ona czuje to samo. Nie tak jak Tam, dla którego liczyło się tylko bogactwo i przygoda.

Wtedy jednak zobaczył coś ponad jej głową. Znieruchomiał.

- Mamy towarzystwo.

Tam zamilkł natychmiast. Na horyzoncie majaczył wielki, biały jacht.

- Jacyś turyści - powiedział.

- Co? - zapytała Weronika. Odwróciła się i zobaczyła łódź.

- Tam, mógłbyś mi oddać przysługę? - poprosił Dugan.

- Jasne, co takiego?

- Przebierz się szybko i odnieś sprzęt. Weroniko, zgarnij to wszystko z pokładu i schowaj na dole.

Tam zmarszczył brwi.

- Po co? Ktoś sobie wypłynął na spacer.

- Zrób, co powiedziałem - uciął krótko Dugan. - Cholera, nie chcemy żadnych pytań, rozumiesz? Prawdopodobnie nie zwrócą na nas uwagi. Ale jeśli podpłyną w przyjacielskich zamiarach, nie chcę opowiadać, co robimy. Jasne?

- Jasne, jasne. - Tam zdejmował już kombinezon.

Weronika chwyciła Dugana za ramię. Kiedy na nią spojrział, zapytała:

- Chyba nie myślisz, że coś nam grozi?

- Nie sędzę, ale stąd nie zadzwonisz pod 911. Lepiej dmuchać na zimne.

Jeśli podpłyną bliżej, mamy wyglądać, jakbyśmy łowili ryby. Za cholerę nie chcę nikomu wyjaśniać, co na pokładzie robi waza z dynastii Ming.

Wziął wazę, zaniósł na dół i umieścił w schowku między zapasowymi kocami. Weronika poszła w jego ślady. Monety i młotek schowała w szafce w swojej kabinie. Potem przyszła kolej na skorodowane naczynia kuchenne. Co do krzyża... Dugan wepchnął go do podręcznej torby ze skarpetkami. Zauważył, że Weronika uśmiechnęła się na ten widok.

Piętnaście minut później wszyscy troje siedzieli na pokładzie, udając, że łowią ryby. Nie zdążyli pochować butli z powietrzem, ale ich obecność łatwo było wyjaśnić. Musieli tylko położyć na widoku kuszę. Są tu dla przyjemności. Polują i nurkują...

Jacht był coraz bliżej, teraz mogli podziwiać go w całej okazałości.

- Jakiś bogaty facet - zauważył Tam. - Założę się, że ma co najmniej sześćoosobową załogę.

- Być może.

Weronika siedziała na brezentowym foteliku, sącząc napój.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieć taką wielką łódź. Jaki to sens?

Dugan częściowo podzielał jej opinię.

- Ja nie widzę problemu - wtrącił Tam. - Pełny luksus, taki w tym sens. Masz swój własny pływający hotel, płyniesz dokąd chcesz, nie musisz stykać się z całą tą niedomytą hałastrą, póki nie przybijesz gdzieś do brzegu.

Dugan powtórzył jego słowa Weronice, która pokiwała głową.

- Może i tak... Jednak według mnie jest w tym coś grzesznego.

Nie mógł powstrzymać śmiechu. Spojrzała na niego zdziwiona, ale jakby tego nie zauważył.

- Co ma do tego grzech? Facet jest bogaty i zrobił sobie wakacje na wodzie. Czy to coś bardziej grzesznego niż rejs liniowcem? Albo wycieczka do Disneylandu?

- Sama nie wiem. Może dlatego, że nie korzysta z niego cały czas. Wydał furę pieniędzy na coś, co przydaje mu się parę tygodni w roku.

- Faktycznie wygląda to na lekką rozrzutność. Ale to tak jak z samochodem, którym jeździ się raz w tygodniu.

- Nie całkiem. Samochód się przydaje.

Znowu się zaśmiał - w tym przypadku była zbyt purytańska.

- A skąd wiesz, że on nie przeznaczą co roku dużych pieniędzy na dobroczynne cele?

- Może to robi. Ale mógłby dołożyć jeszcze parę milionów, gdyby nie kupił tego jachtu.

- Daj spokój, nie chciałybyś mieć takiej łodzi? Swoją dezaprobatę zamieniła w uśmiech.

- Oczywiście, że bym chciała.

- Więc to zazdrość? - Obaj z Tamem się roześmieli.

- Pewnie, że tak, ale twoja łódź bardziej mi się podoba. Duganowi też. Był bardzo przywiązany do swojej „Mandoliny”. To była kochana łódź, nie wyobrażał sobie innej. Była w sam raz dla jednego mężczyzny. Albo dla jednej pary.

O Boże, skąd mu się wzięła ta ostatnia myśl? Nie wiedział i nie chciał się zastanawiać. Zamiast tego skupił uwagę na jachcie.

- Chyba robią zwrot - zauważył po kilku minutach.

- Zawracają? - spytała Weronika.

- Albo tylko zwalniają. Mam nadzieję, że zawracają.

- To po co zwalniają?

- Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

Czuł, że patrzy na niego, lecz odwrócił głowę. Nie chciał, by z jego oczu wyczytała niepokój i niepewność.

- Tam?
- Co?
- Zajmij się wędką. Popraw ją trochę. Idę na dół po broń.
- Chyba to dobry pomysł, kapitanie.

To prawda, czasami przepływające łodzie przyjaźnie zwalniają, nie zdarza się to jednak często. Weronika chciała pójść za nim, ale machnął ręką, by została na miejscu.

- Nie idź za mną. Udawajmy, że się opalamy i łowimy ryby. Nie pokazujmy po sobie zdenerwowania.

- Denerwujesz się, prawda?
- Może troszkę.

Spojrzała mu prosto w twarz, skinęła głową i wygodnie rozparła się w fotelu.

Na dole Dugan otworzył szufladę, gdzie trzymał dziewięćmilimetrowego glocka. Nigdy dotąd go nie potrzebował, ale na tych wodach nie wolno żeglować bez żadnego zabezpieczenia. Przynajmniej, jeśli masz głowę na karku. Zdarza się - na szczęście rzadko - że ktoś próbuje odebrać ci łódź na pełnym morzu. A jak wcześniej powiedział, tutaj nie ma skąd zadzwonić pod 911. Glock leżał w nieprzemakalnej torbie. Dugan wziął ją i wszedł z powrotem na pokład. Położył torbę na ławce obok siebie, otwartą, by mógł szybko wyciągnąć broń.

- Oni zwalniają, Dugan - powiedział Tam.
- Widzę. - Wciąż jeszcze byli poza zasięgiem głosu, ale zbliżali się. -Nie podoba mi się to.
- Mnie też nie.

Dugan sięgnął do podręcznej lodówki po napój i otworzył puszkę. Tam

wyciągnął żyłkę i założył na haczyk świeżą przynętę. Weronika nerwowo bębniła palcami.

- Zatrzymali się - stwierdził po chwili Tam.

- Na to wygląda.

Dugan przymrużył oczy, chcąc dostrzec jakieś szczegóły, ale odległość między nimi wciąż była zbyt duża. Nie wybrali najlepszego miejsca na rzucenie kotwicy. Chyba, że mieli jakieś kłopoty.

- Przynieść lornetkę? - zapytał Tam.

- Na razie nie.

- O czym rozmawiacie? - spytała Weronika. Dugan odwrócił się do niej.

- Łódź zatrzymała się i myślimy, czy nie przyjrzeć im się przez lornetkę.

Powiedziałem, że jeszcze poczekamy.

- Na co? - znów zapytała. - Powinniśmy wziąć lornetkę, chyba że wszyscy popadliśmy w paranoję.

Trafiła w sedno.

- Dlaczego zresztą mielibyśmy popaść w paranoję? To tylko łódź i wcale się nie zbliża.

- No wiesz - zaczął Dugan - łatwo można dostać paranoi, kiedy się siedzi na dziesięciu milionach w złotych sztawkach, nie mówiąc już o reszcie skarbów.

- Już dobrze - ustąpiła Weronika, a Dugan, przyniósł lornetkę ze sterówki i skierował na morze.

- „La Conchita” - przeczytał napis na burcie. - Wenezuelczyk. Kątem oka dostrzegł, jak Tam drgnął. Opuścił lornetkę i spojrzał na przyjaciela.

- Znasz tę łódź? Tam pokręcił głową.

- Nigdy w życiu jej nie widziałem.

Ale Duganowi nie umknęło, że Tam zbyt szybko odwrócił wzrok. Pod czaszką coś nieprzyjemnie go zakłuło.

- Jesteś pewien?

- Jasne, że tak.

- Czy moglibyście uprzejmie powiedzieć mi, o czym mówicie? - wtrąciła Weronika.

- To łódź z Wenezueli - objaśnił Dugan. - Pytałem właśnie Tama, czy coś o niej wie. - Spojrzał ponownie na jacht, ale nie zauważył nic szczególnego. Ktoś opalał się na pokładzie.

Odłożył lornetkę i wrócił na swoje miejsce. Nagle coś mu się przypomniało.

- Pamiętasz tego faceta, który się kręcił po nabrzeżu i wypytywał nas, co robimy?

- Jakiego faceta? - spytał Tam.

- Tego z hiszpańskim akcentem. Luis czy coś takiego. Czy on nie był z Wenezueli?

Tam nic nie odpowiedział. Weronika mocno zacisnęła wargi.

A Dugan poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Wiedział już, że to nie przypadek.

Rozdział 16

- Myślę, że powinniśmy wrócić do nurkowania - powiedziała Weronika. Siedzieli na pokładzie już ponad godzinę i czas zaczął im się dłużyć. Jacht nie podpływał bliżej, prawdę mówiąc stał w miejscu. Od czasu do czasu Dugan spoglądał na niego przez lornetkę, ale na pokładzie nic się nie działo.

- Nie - odpowiedział.

- Czemu nie? - Tam odwrócił się zajęty nawijaniem żyłki na kołowrotek. - Przecież nic nie robią.

- Właśnie dlatego. Nic nie robią. Gdyby mieli jakieś problemy z silnikiem, powinni się już z nim uporać albo wezwać pomoc. - Wskazał na radio w kokpicie. - Dotychczas nic nie słyszałem.

Tam westchnął. Weronika, która tylko częściowo rozumiała ich rozmowę, wierciła się w fotelu zirytowana.

- To śmieszne. Jeżeli też postanowili łowić tu ryby? Możemy tak beczynnie czekać całymi dniami.

Dugan zwrócił do niej twarz.

- Tak Ci się strasznie spieszy do tej maski, że chcesz nadstawić karku?

- Nie widzę tu żadnego ryzyka! To co, że trochę ponurkujemy. Będzie wyglądało tak samo normalnie jak łowienie ryb. Przecież nie mogą wiedzieć, co tu robimy.

- Nie byłbym tego taki pewien. Ten Luis, czy jak mu tam, orientował się, po co płyniemy. Możliwe, że ktoś z ukrycia obserwuje każdy nasz ruch. Kiedy zaczniemy wyciągać coś ciekawego na powierzchnię, dowiedzą się dokładnie wszystkiego.

Weronika zaklęła cicho, ale dłużej nie nalegała.

- Schodzę na dół. Od tego słońca rozboleła mnie głowa.

W kabinie zdjęła aparat i masowała uszy, rozcierając ślady po słuchawkach.

O ból głowy przyprawiło ją słońce, ten obcy jacht, no i Dugan. Szczególnie Dugan. Po tym, co niedawno zaszło między nimi w tej kajucie, nie mogła uwierzyć, że tak łatwo znów zaczął traktować ją jak zwykłą klientkę. Najwyraźniej żałował tego, co zrobił.

Swoich uczuć nie potrafiła jednoznacznie określić. Z jednej strony przekonała się, że jej zmysły wciąż były żywe, w co już zwątpiła. Była atrakcyjna dla mężczyzny, budziła pożądanie.

Z drugiej zaś, wcale nie była pewna, czy jest się z czego cieszyć. Po historii z Larrym obiecała sobie, że nie pozwoli facetowi podejść bliżej niż na trzy metry. Cóż, najwyraźniej o tym zapomniała.

Ale to nic, że Dugan znalazł się blisko. Bardziej martwił ją dystans, jaki później utrzymywał. Trapiła się, że po tak intymnych przeżyciach był zdolny w jednej chwili odsunąć się od niej i pozostawić samej sobie.

Kładąc się na koi, z całej siły walnęła pięścią w poduszkę, po czym przewróciła na wznak i utkwiała wzrok w suficie. Jak nazywa się sufit na łodzi?- pomyślała. Zawsze miała kłopoty z terminologią, ale nie to było teraz najważniejsze.

Dugan irytował ją tą swoją obojętnością i rezerwą. Im usilniej sobie tłumaczyła, że nie warto się przejmować, że tak jest lepiej i bezpieczniej, tym bardziej się zadręczała.

A wszystko dlatego, że namiętność, jaka w niej wybuchła, działała jak kokaina. Słodka i otumaniająca, zawładnęła nią całkowicie. Dzięki niej czuła, że żyje, stała się obiektem pożądania... Nie doświadczyła tego, odkąd porzucił ją Larry. Chciała znów przeżywać, chciała sprawdzić, czy rzeczywiście się przebudziła, czy to tylko iluzja.

Wiedziała, że może utracić wewnętrzny spokój osiągnięty z takim trudem i narazić się, że ktoś ją skrzywdzi. Nigdy więcej nie chciała czuć się tak, jak wtedy, gdy odszedł Larry, a jedynym sposobem było unikanie mężczyzn. Wszystkich mężczyzn. Każdego mężczyzny.

Dlaczego więc tak to przeżywa?

Zła na samą siebie, nie mogąc się uporać z zamętem w głowie, powróciła myślami do łodzi, zakotwiczonej pół mili dalej. Nie zrezygnuje z poszukiwań tylko dlatego, że jakiś nadziany bubek wybrał sobie to miejsce na odpoczynek. Chyba Dugan nie zamierza odwlekać prac w nieskończoność?

Co robić? Spakować się i płynąć do domu? Niemożliwe. Ma robotę do skończenia. Nie zostawi gotowego stanowiska na pastwę przygodnych poszukiwaczy skarbów. Nie ma mowy.

Wciąż jednak powracała myślami do Dugana. Jej ciało nie mogło zapomnieć. Na wspomnienie jego szybkiego, urywanego oddechu oblała ją fala gorąca i poczuła ciepło między udami.

To nie ma sensu.

Dalsze rozpamiętywanie nie przyniesie nic dobrego, pomyślała. Podniosła się z koi, założyła aparat i wyszła na pokład.

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Tam wciąż siedział z wędką przy burcie, Dugan rozwalony na ławce popijał z puszki colę, łódź wciąż tkwiła w miejscu.

- Nic nowego - odezwał się Dugan.

- Widzę. I co teraz? Podnosimy kotwicę i wracamy do domu? To byłoby głupie. Gdyby rzeczywiście wiedzieli, co robimy, podpłynęliby i próbowali odebrać nam skarby. Wracajmy do pracy.

Dugan usiadł.

- Na razie nie.

- Ile to jeszcze będzie trwało?

- Dopóki nie powiem.

- A kto płaci za wyprawę? - Oparła ręce na biodrach.

- Ty. Ale to, że mnie wynajęłaś, nie oznacza, że będę postępował jak szaleniec.

- Słuchaj, gdyby ci ludzie mieli złe zamiary, już dawno przystąpiliby do działania, nie uważasz? Próbowaliby podpuścić, porozmawiać, może zastraszyć nas... Tymczasem siedzą i nie robią nic. Prawdopodobnie robią to samo, co my. Łowią ryby.

- Jakoś nie widzę żadnych wędek. Weroniko, oni naprawdę wiedzą, po co tu jesteśmy. Może chcą nas mieć na oku, póki nie znajdziemy czegoś naprawdę cennego. Albo chcą dokładnie ustalić, ile nas jest i czy ktoś nam pomaga.

- Ale przecież nie powiedzieliśmy nikomu, że coś znaleźliśmy! Może wiedzą, że szukamy, ale nie mogą wiedzieć, że coś znaleźliśmy.

- I niech tak zostanie.

- Jak długo?

- Ile będzie trzeba.

Tam mruknął coś z dezaprobatą i zwinął żyłkę. Odłożył wędkę z trzaskiem i zniknął na dole.

Weronika popatrzyła za nim, po czym zapytała Dugana

- Co go ugryzło?

- Powiedział, że ma już dość naszych kłótni. Tłumiąc westchnienie, usiadła w swoim foteliku.

- Słuchaj, Dugan, nie dajmy im paraliżować naszej pracy.

- Jeszcze trochę.

- Mógłbyś być bardziej precyzyjny?

- Niestety nie. Wykorzystaj tę okazję i zabaw się w beztróską turystkę. Zrelaksuj się, Weroniko.

- Zrelaksuj się. - Wydęła wargi z niezadowolenia. - On mówi, żebym się

zrelaksowała! Moje całe życie wisi na włosku, a ja mam się zrelaksować.

- Właśnie. Ciesz się słońcem, wiatrem, pięknym dniem. Przeczekamy ich. Jeśli coś kombinują, a my nie będziemy nic robić, w końcu odkryją karty.

- Kiedy?

Wzruszył ramionami.

Przez chwilę się nie odzywała. Pomimo zdenerwowania zaczęła ogarniać ją senność. Przeszawiła fotel tyłem do słońca. Przydałoby się trochę cienia, ale musiałaby się przenieść do kokpitu.

- Moglibyśmy ruszyć się z miejsca - powiedziała

- Ruszyć?

- No pewnie. Na inne stanowisko.

- Hmm. - Zdawał się rozważać. - I zobaczyć, czy popłyną za nami?

- Tak. Zresztą już rano mieliśmy taki zamiar.

Wolno pokiwał głową. Podniósł lornetkę do oczu i skierował na łódź.

- Oho...

- Coś się stało? Spojrzał na Weronikę.

- Płynie w naszym kierunku motorówka.

Odwróciła się, zmrużyła oczy i dostrzegła białą plamkę na wodzie.

- Czy to źle?

Kiedy znów na niego spojrzała, zapytał:

- Czy ja jestem jasnowidzem? Tam? Tam, podnieś tyłek i chodź tutaj. Z dołu dało się słyszeć stłumioną odpowiedź i na zejściówce stanął Tam.

- Co jest?... Och! - Osłonił ręką oczy i patrzył w kierunku szybko zbliżającej się motorówki. Dodał coś jeszcze.

- Co takiego? - dopytywała się Weronika. Nagle zaczęło ją drażnić, że nie słyszy, bardziej niż przez ostatnie tygodnie, kiedy Dugan był jej tarczą przed światem.

- Tam pytał, czy poprosili przez radio o zgodę na podpłynięcie. Nie prosili.

- To źle?

- Na ogół tak się na morzu nie postępuje. - Sięgnął do torby po glocka i sprawdził, czy jest załadowany.

- Po co to? - spytała.

- Na wszelki wypadek.

Weronikę ogarnął przejmujący chłód. Słońce wciąż jasno świeciło, odbijając się w wodzie setkami diamentów, ona jednak nie czuła skwaru. Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Próbowała sobie tłumaczyć, że Dugan przesadza, ale sama w to nie wierzyła. Złapała się, że myśli o tym, jak zginęła matka, i o podejrzeniach ojca. Czy to odbyło się właśnie w ten sposób? Ktoś podpłynął motorówką, z przyjacielskim wyrazem twarzy wszedł na pokład i może nawet pogawędził z nią przez parę minut, zanim uderzył w głowę?

Podświadomie przysunęła się do Dugana. Miał pistolet i przez to poczuła się bezpieczniej. Przygarnął ją do siebie ramieniem.

Motorówka podpłynęła do „Mandoliny”.

Był w niej tylko jeden mężczyzna w uniformie wzorowanym na marynarski mundur.

Krzyknął coś, czego Weronika nie odczytała. Słyszała odpowiadającego Dugana, ale nie zrozumiała go, bo za późno oderwała wzrok od motorówki.

Jej głuchota okrywała ją szczelnie jak peleryna, odcinając od reszty świata. Wtedy pojawił się strach, taki sam, jaki zawładnął nią w pierwszych miesiącach po wypadku. Przeniknął wszystkie tkanki, uświadamiając, jaka jest bezradna wśród słyszących. Ten człowiek mógł nieść ze sobą każde niebezpieczeństwo, a ona nawet by o tym nie wiedziała.

Wpadła w panikę, zaczynało ją mdlić, miała wrażenie, że za chwilę runie w otchłań. Ich usta poruszały się, słyszała dobiegające dźwięki, ale wszystko, co do niej docierało, to tylko bezładna mieszanina samogłosek w różnych

tonacjach. Nie brzmiała niepokojąco, zauważyła. Dugan, tuż obok, otaczający ją ramieniem, nie wydawał się zdenerwowany. Był nawet mniej spięty niż przed minutą. Może więc niebezpieczeństwo zrodziło się tylko w jej wyobraźni, dlatego że nie rozumiała słów? Panika ustąpiła nieco, strach jednak pozostał. Jak zdoła przejść przez życie pełne niespodzianek? Teraz jeszcze mogła liczyć na Dugana. Ale co się z nią stanie, kiedy nie będzie go miała obok siebie?

Jak teraz by sobie poradziła? Nie byłaby w stanie zrozumieć tego faceta. A tłumaczyć, że nie słyszy... to tak, jakby się obnażała. Mógłby wykorzystać jej słabość. Miała tego pełną świadomość.

Usłyszała odgłos zapuszczanego silnika i zobaczyła, jak motorówka zawraca i kieruje się w stronę jachtu. Spojrzała na Dugana i zaczęła ciągnąć go za koszulkę, jak małe dziecko domagające się uwagi.

- Zostaliśmy zaproszeni na kolację - objaśnił.

Tam wyrzucił coś z siebie jednym tchem. Oboje odwrócili się. Dugan cofnął ramię, a ona poczuła, jakby straciła jedyne oparcie.

Odezwał się do Tama, który odpowiedział coś podniesionym głosem.

- Chryste Panie! - wybuchnął.

Domyśliła się słów, po złości w głosie i samogłoskach. Cofnęła się, wytrącona z równowagi.

- Co się stało?

- Chodźmy na dół - powiedział, patrząc na nią. - Nie wiem, co mogą stamtąd wypatrzeć, ale nie chcę stwarzać im dodatkowej okazji.

- Do czego?

- Zejdźmy na dół. Ty też, Tam.

Zeszli do mesy i usiedli przy stole. Weronika widziała ich twarze, nadal jednak nie była w stanie zrozumieć Tama.

- Dlaczego nie zgolisz wąsów? Odrosną przecież. A tak w ogóle cię nie rozumiem.

Pokręcił głową, osłaniając je obronnym gestem.

- Weroniko. - Dugan zwrócił na siebie jej uwagę. Spojrzała.

- Co tu się dzieje?

- Zostaliśmy zaproszeni na jacht.

- To już wiem.

- Tam mówi, że nie powinniśmy iść.

- Dlaczego? - Popatrzyła na Tama.

- Weroniko. - Dugan ponownie przyciągnął jej wzrok. - Tam mówi....

mówi.... Pamiętasz tego faceta w porcie, który nas wypytywał? Tego Luisa?

Skinęła głową.

- Czy on jest na tej łodzi? - Poczwała na plecach ciarki. - Jest tam?

- Nie wiem. Ale Tam powiedział, że facet zapłacił mu za informacje.

Weronika poczuła, jakby coś eksplodowało w jej mózgu i przez parę sekund miała w głowie absolutną pustkę. Robiło jej się na przemian zimno i gorąco. Wzbierał w niej gniew, chciało jej się krzyczeć. Kiedy odzyskała równowagę, spojrzała na Tama i wycodziła przez zęby.

- Sprzedałeś informacje o tym, co robimy? Pokiwał głową. Potem coś szybko powiedział.

- Ten facet mu zagroził, że jeśli mu o nas nie powie, zaaranżuje wypadek i będziemy zmuszeni zatrudnić innego nurka.

Weronika nie wierzyła własnym uszom. Jej umysł buntował się, nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Myślała, że żartują, ale z ich twarzy wyczytała, że to prawda.

- O Boże - wyszeptwała. - O Boże, a ja ci ufałam. Dugan zapewniał, że można ci ufać. - Zaczęła wzbierać w niej nienawiść. Znowu zdradzona! Przez mężczyznę. Oczywiście. Powinna wiedzieć, że nie można ufać żadnemu. Nigdy. Pod żadnym względem.

- Ja też mu ufałem - odezwał się Dugan. - Najchętniej obciałbym mu łeb i

nakarmił rekiny. Ale to wbrew prawu. No tak. - Przesunął ręką po twarzy. - Biorąc pod uwagę, że facet już raz groził „wypadkiem”, Tam mówi, że źle zrobimy, jeśli tam popłyniemy.

- Ale nie wiemy nawet, czy oni mają coś wspólnego z tym draniem, z którym kombinował Tam.

Tam gwałtownie zaprotestował, ale Dugan kazał mu się zamknąć.

- Mówi, że nic nie knuł, nie chciał tylko, żeby połamali mu nogi.

- No tak... siła wyższa - powiedziała z sarkazmem Weronika. - A co z nami? Do północy wszystkim nam mogą połamać nogi dzięki tobie i twojemu długiemu jęzorowi. Dlaczego nie powiedziałaś mnie albo Duganowi, co się święci?

Odpowiedział coś ze złością.

- Bał się, że go zabiją - przetłumaczył Dugan.

- Boże wszechmogący! - Nie wiedziała już co powiedzieć. - A teraz nie mamy bandziorów na karku? Cudownie, cholera jasna!

Nie mogła dłużej oddychać tym samym powietrzem, co Tam. Wstała i poszła do swojej kabiny, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Co, do diabła, teraz robić?

Jeżeli Tamowi grozili już na samym początku poszukiwań, to co teraz, kiedy znalazła wrak? Miliony dolarów w złocie, które zresztą w ogóle ją nie obchodziły, dla nich na pewno były wystarczającym powodem do morderstwa.

Ale czy mordercy zapraszaliby ich na kolację? To możliwe, odpowiedziała sobie po krótkim namyśle. Tam łatwiej będzie ich zabić. Albo zatrują jedzenie.

Złapała się na tym, że posunęła się za daleko, w swych domysłach doszła już do absurdu. Nie mieli przecież żadnego dowodu, że ci ludzie z jachtu nie są zwykłymi, bogatymi turystami, pragnącymi urozmaicić sobie czas kolacją w nowym towarzystwie. Może są ekscentryczni, ale niegroźni...

Nie bardzo w to wierzyła. Nie w tej sytuacji, kiedy dziesięć metrów poniżej spoczywa skarb.

Rozległo się pukanie.

- Proszę - odezwała się niechętnie. Wszedł Dugan, zamykając za sobą drzwi.

- Zastanawiam się, czy nie płynąć zaraz do Key West i nie wyrzucić Tama.

- Co nam to da? Najgorsze już się stało. Co ten Luis wie?

- To, że znaleźliśmy działo i kilka monet.

Pokiwała głową i wskazała ręką jakby w kierunku łodzi.

- A tydzień później ćwierć mili od nas mamy zakotwiczony jacht. Zbieg okoliczności?

Dugan zaprzeczył.

Już miał usiąść na brzegu koi, ale rozmyślił się i wybrał krzesło. Weronika usiadła na koi.

- Myślałem, czy nie wezwać straży przybrzeżnej, ale są dwa problemy.

- Jakie?

- Po pierwsze, nie mamy, jak na razie, żadnych kłopotów. Co im powiem? Że jakaś nieznana łódź zakotwiczyła milę od nas i właściciele zaprosili nas na kolację? Wtedy na pewno błyskawicznie przyłyną.

- A jeśli powiesz im, co tu robimy?

- I to jest drugi problem. Jeśli uruchomię radio, tamci mogą wszystko usłyszeć. A jeżeli rzeczywiście mają złe zamiary, nie liczymy, że straż zdąży na czas.

Bolała ją głowa, kark zeszywniał od napięcia.

- A może to zwykli, całkiem niewinni wycieczkowicze?

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- Mnie też nie. To co zrobimy?

- Moglibyśmy zaryzykować ucieczkę, ale nie sądzę, żeby nam się udało.

Sądząc po wyglądzie, łódź ma naprawdę potężne silniki. Dopadną nas bardzo szybko... - urwał. - Nie, to nie jest mądry pomysł.

- Poza tym, jeśli opuścimy stanowisko, mogą zacząć je plądrować i całkiem je zdewastują. - Dłonie Weroniki same zacisnęły się w pięści. - Zrzuńnią wszystko.

- Też tak myślę. Cóż, widzę tylko jedno rozwiązanie.

- Jakie?

Spojrzał zrezygnowany.

- Ty i Tam zostaniecie tutaj. W razie czego on poprowadzi łódź i dowiezie was do portu. Ja wybiorę się na kolację i powiem, że zachorowaliście. Zobaczą, co z tego wyniknie.

- Nie. - Mimo woli chwyciła go za ramię. - Nie, Dugan. Jeśli coś szykują, nie możesz być sam.

- Ktoś musi iść. - Wzruszył ramionami. - Do diabła, przecież nie pošlę Tama, bo mu nie ufam. A nie możemy pójść wszyscy, bo tylko ułatwilibyśmy im zadanie.

Nie określił, jakie właściwie zadanie, a ona wolała nie pytać. I tak miała zbyt bujną wyobraźnię.

- W takim razie ja idę. W końcu to moja wyprawa. Nie chcę, żebyś dla mnie ryzykował.

Patrzył na nią. Nie powiedział słowa, tylko patrzył. Wiedziała, o czym myśli. Jest głucha. Nie może tam iść i normalnie rozmawiać.

Jej złość i strach gdzieś zniknęły, pojawiła się desperacja. Przez ostatnich kilka miesięcy żyła w świecie iluzji. Potrafiła zrobić wszystko, ale głównie dzięki Duganowi. Teraz jednak, w krytycznej sytuacji, była bezradna, bo głucha.

Czarna chmura, która odpłynęła, kiedy ojciec obudził w niej zainteresowanie opowieścią o masce, otoczyła ją na nowo. Była kaleką.

Inwalidką. Była nieporadna. Ktoś inny musiał zamiast niej stawiać czoło kłopotom, gdyż ona nie potrafiła najprostszej rzeczy - rozmawiać z nieznanym człowiekiem.

Może by i zrozumiała ludzi na jachcie, gdyby nie ten ich akcent. Gdyby nie mieli wąsów i mówiąc patrzyli prosto na nią. Ale Dugan nie był pewny, czy da sobie radę.

Sama też nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

- Muszę to przemyśleć - powiedziała. Czowała ogarniającą ją apatię. Odwróciła się od Dugana, położyła na koi i zwinęła w kłębek.

I po co to wszystko, rozmyślała. Powinna zostać w domu, w swoim fotelu na biegunach, i patrzeć, jak za oknem zmieniają się pory roku. Chciała dokonać najważniejszej rzeczy w życiu, a okazało się, że nie może stawić czoła niebezpieczeństwu, ponieważ nie słyszy.

Instynktownie przycisnęła rękę do brzucha, gdzie kiedyś nosiła dziecko. Do tego też się nie nadawała. Tak jak i do małżeństwa. Ponosiła klęskę za klęską.

Powinna zdjąć słuchawki i wyrzucić je za burtę. Na nic się nie przydają, a tylko wciąż ją drażnią. Teraz - bo słyszy każdy ruch Dugana. Na pokładzie - wiatr czasami wieje tak mocno, że zagłusza wszystkie inne dźwięki. I nie są wystarczająco dobre, by mogła rozmawiać z nieznanym.

Wstrętne, plastikowe koreczki, które od razu zdradzały jej ułomność.

Odwróciła się na plecy, wyszarpnęła słuchawki z uszu; zacisnęła je w dłoni. Zanim zdążyła się zamachnąć, Dugan przytrzymał jej rękę. Otworzyła oczy i spojrzała. Pokręcił głową, po czym delikatnie otworzył jej dłoń, wziął aparat i odłożył na stół.

Zdumiona zobaczyła, że układa się obok niej na koi i czule ją obejmuje. Szeptał coś, czego nie rozumiała, nie słyszała nawet, ale to było nieistotne. Liczyło się tylko to, że ją obejmuje. Delikatnie cesał palcami jej splątane

włosy i masował skórę głowy. Napięcie, uciskające czaszkę, powoli ustępowało.

Dugan mówił na pewno, że wszystko będzie dobrze, ale mu nie wierzyła.

Nie była w stanie. Jak mogła uwierzyć, skoro wiedziała, że nic nie przywróci jej słuchu? Już nigdy nie wyrwie się z kręgu niemożności, oddzielona od innych ludzi, niezdolna do robienia tych wszystkich rzeczy, które wydają się naturalne.

Nie, nigdy już nie będzie dobrze.

Nie wiedzieć kiedy łzy same zaczęły płynąć. Płacz sprawił, że wreszcie poczuła się lepiej. Nie ma sensu rozczulać się nad sobą w obliczu niebezpieczeństwa, nieważne czy słyszy, czy nie. Spojrzała Duganowi w oczy.

- Nikt nie pójdzie na kolację. Uniósł pytająco brwi.

- Nie możemy się spotkać na ich terenie. Niech oni przyjdą do nas. - Starła się mówić wyraźnie, lecz dla niej samej słowa brzmiały jak głos odległej trąbki, dochodzący z drugiego końca wielkiego budynku.

Przytaknął i podniósł rękę na znak, że się zgadza. Zrozumiał ją, przyznawał rację, a co najważniejsze, mówił do niej, nie prosząc, by założyła słuchawki.

Coś w niej pękło i łzy znów popłynęły strumieniem. Przyłgnęła do niego twarzą. Choć nie mogły nic zmienić, te łzy i jego objęcia przyniosły jej niewypowiedzianą ulgę.

Nareszcie komuś nie przeszkadzało to, że nie słyszy. Wreszcie u kogoś znalazła zrozumienie i pociechę.

Komuś zależało na niej do tego stopnia, że nie zawahał się przekroczyć bariery odgradzającej ją od świata. Świadomość tego dawała jej poczucie bezpieczeństwa. I nawet jeśli była to iluzja, chwyciła się jej.

Może to ostatnie bezpieczne chwile?

Rozdział 17

Słońce było coraz niżej, zerwał się zachodni wiatr, pędzący z prędkością co najmniej piętnastu węzłów. Fale uderzały o „Mandolinę” i obróciły ją tak, że „Conchita” znalazła się na godzinie dziesiątej. Dugan wołał nie spuszczać oka z jachtu, ale Weronika nieustannie się kręciła.

- Co się dzieje? - zapytał w końcu.

- Wiatr gwizdże mi w aparacie. Próbuje się tak ustawić, żeby go nie słyszeć.

Był poruszony jej szczerością. Rzadko dzieliła się swoimi problemami. Zdecydował, że nic po sobie nie da poznać. Nie chciał, by znów straciła panowanie nad sobą. Obserwował jacht.

- Jak myślisz, co teraz zrobią? - spytała.

- Nie mam zielonego.

- Co?

Odwrócił się do niej i powtórzył. Pokręciła głową.

- Przepraszam, ale ten wiatr cię zagłusza.

- Zaraz wrócę. - Zszedł na dół i wziął tabliczkę do pisania, której używał pod wodą. Usiadł obok niej i napisał „nie mam zielonego”.

Weronika zdziwiła się.

- Myślałam, że się mówi „nie mam zielonego pojęcia”. Starł i napisał: „To taki skrót myślowy”.

Teraz zrozumiała. Na szczęście nie miała zamiaru robić mu wykładu na temat poprawności językowej. Niemniej, po dzisiejszym popołudniu, spodziewał się nowych kłopotów. Przypomniawszy jej, że była głucha, czym doprowadził ją do płaczu, a w dodatku nie potrafił się powstrzymać, żeby jej nie przytulić. Taak, szykowały się kłopoty.

Bardziej jednak absorbował go teraz jacht. Zastanawiał się, czy właściciel nie szykuje im dużo większych kłopotów. Z Weroniką sobie poradzi. Co do bandziorów - tego nie był pewien.

Pół godziny po tym, jak powinni pojawić się na kolacji, od łodzi znów oderwała się motorówka.

- Płyną - powiedział całkiem niepotrzebnie. - Tam?

Tam stał na dziobie mocząc wędkę, zajęty własnymi myślami.

- Będziemy mieli towarzystwo. Po czyjej jesteś stronie?

- Oczywiście że po twojej. Słuchaj, ci faceci grozili mi, są niebezpieczni.

- Tylko nie próbuj grać na dwie strony.

- Nie będę, przysięgam.

Dugan chciałby naprawdę w to wierzyć.

Łódka była coraz bliżej. Czuł rosnące napięcie Weroniki, powstrzymał się jednak, by wziąć ją za rękę. Nie teraz. Do diabła, nie pora na sentymenty. Sięgnął do torby, by sprawdzić, czy glock leży na miejscu.

Słońce zaczęło malować obłoki na kolor purpury. Nic się nie mogło równać z zachodem słońca w tropikach.

Ponownie wziął tabliczkę i napisał: „Usiądź tak, by widzieć moją twarz”.

- Dlaczego?

„Jeśli będą kłopoty, wyczytasz to z mojej twarzy. Będziesz też wiedziała, co mówię”.

Skinęła głową i przesiadła się z ławki na fotelik.

Motorówka była na tyle blisko, że Dugan bez lornetki mógł dostrzec, że siedzi w niej więcej niż jedna osoba. Było ich trzech. Nie wygląda to na atak, uspokoił się. Coś mu jednak przyszło do głowy i podniósł lornetkę.

Byli bez broni. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jeśli więc nie chowali pistoletów pod koszulą lub z tyłu, spotkanie nie powinno być niebezpieczne. O ile oczywiście nie mieli gdzieś ukrytych uzi czy czegoś w tym rodzaju. Cholera.

To wcale nie było pocieszające.

Kiedy przybili do burty, zobaczył dwóch osobników wyglądających na marynarzy i niskiego człowieczka w koszuli w krzykliwe, tropikalne wzory. Miał siwe włosy i okrągłą, życzliwą twarz. Może byłem w błędzie, pomyślał Dugan.

Niski człowiek spojrzał na niego.

- *Con su permiso!*

Dugan wahał się, czy pozwolić im wejść na pokład. Facet pytał grzecznie, a prowadzenie rozmowy z odległości półtora metra, z dwóch łodzi podskakujących na falach jak kolejka górską, byłoby trochę śmieszne.

- Tylko ty? - zapytał. - *Solamente usted!*

- Tylko ja - odpowiedział po angielsku, z wyraźnie obcym akcentem.

Cóż, rozważał Dugan, jeśli on wejdzie na pokład, to mało prawdopodobne, że ci na dole otworzą ogień. Jego ostrożność wydawała się przesadna, ale brał wszystko pod uwagę. Musiał dmuchać na zimne.

Tam stał na dziobie, obserwując bacznie, co się dzieje. Przypuszczalnie miał pod ręką i raketnicę, i kuszę do polowania na ryby.

- Zgoda - powiedział Dugan do niskiego. Rozwinął trap i przerzucił go przez burtę. Mężczyzna wdrapał się po nim ze zwinnością sportowca, jakby robił to codziennie. Stanął na pokładzie „Mandoliny”, poprawił ubranie i przyjaźnie się uśmiechnął.

- Nazywam się Emilio Zaragosa.

- Dugan Gallagher. A to moi przyjaciele, Tam Anson i Weronika Coleridge.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Emilio z lekkim ukłonem. - Zaniepokoiłem się, że nie przyjęliście zaproszenia na kolację.

- Trochę nam dokuczała morska choroba.

- Naprawdę? Zupełnie nie wyglądacie... blado.

- Właśnie zaczęło nam przechodzić. Doceniamy pana troskę, ale zbieramy się, żeby odpłynąć.

- Naprawdę? - Emilio usadowił się na linii motorówki, na ławce między Duganem a burtą. To dobry znak, uznał Dugan. Najwidoczniej nie mieli zamiaru użyć broni. Usiadł twarzą do Emilia. Weronika pozostała w swoim foteliku, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Przepraszam - zaczął Dugan - czemu zakłóca pan nam spokój? Zaproszenie było przejawem gościnności, ale naprzykrzanie się to przesada.

- Przepraszam, niepokoiłem się o was.

- Powiedzmy. - W głosie Dugana zabrzmiała ironia. Emilio westchnął.

- Panie Gallagher, czy zamierza pan sprawiać trudności, czy załatwimy sprawę jak cywilizowani ludzie?

- Jaką sprawę?

- Sprawę „La Nuestra Señora de Alcantara”.

Weronika najwyraźniej zrozumiała, gdyż nerwowo wciągnęła powietrze. Dugan miał nadzieję, że Emilio tego nie usłyszał. Przy tak dużym wietrze i falach sam ledwo to zauważył.

- A co to takiego? - zapytał bezbarwnie, udając, że nic nie wie.

- Po co tak krążyć? - odpowiedział Emilio. - Obaj wiemy, po co tu jesteście. Obaj wiemy o statku.

- Obaj?

- Po co te gierki, panie Gallagher? - Emilio pokręcił głową. - Szkoda naszego czasu.

- To prawda - przytaknął Dugan. - Czego więc pan chce?

- Uczestniczyć w poszukiwaniach.

- No proszę. W jakim zakresie? Ma pan doświadczenie?

- Przywiozłem ze sobą nurków. Ja im płacę.

- I co pan z tego będzie miał?

- Radość odkrywania.

Taak, na pewno... pomyślał Dugan.

- Ależ pan jest wspaniałomyślny. Emilio wyglądał na zmieszanego.

- To nie to, po prostu zawsze o tym marzyłem.

- No cóż, myślę, że pan rozumie, że pani Coleridge zatrudnia tylko wykwalifikowanych ludzi. Poszukiwacze skarbów łatwo mogliby zdewastować stanowisko i zniweczyć całą jego naukową wartość. Przykro mi, jeśli pana rozczarowałem.

Emilio oparł ręce na udach i spojrzał w górę, jakby prosząc niebiosa o cierpliwość.

- Chyba nie wyraziłem się zbyt jasno. Ja już się zdecydowałem, że będę wam pomagał.

- Naprawdę?

- Naprawdę. To będzie z korzyścią dla obu stron.

- Z jaką korzyścią?

- Pokryję koszty dodatkowych nurków. Prace posuną się szybciej.

- Nie jestem pewien, czy pośpiech jest tu wskazany.

Emilio zmarszczył brwi, a Dugan bacznie mu się przyglądał. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Zimny, przenikliwy wzrok kłócił się z jowialnym wyrazem twarzy. Ten człowiek wyraźnie nie lubił, by mu się sprzeciwiać. Co teraz?

- No dobrze - powiedział Emilio. - Powiem wam, jak to widzę. Zabierajcie się stąd, a ja przystępuję do poszukiwań. Jeśli nie zrobicie tego do rana, staranuję łódź. Wszystko co po was zostanie to trochę pływających szczątków. Czy wyraziłem się jasno?

- Bardzo jasno. Muszę to przedyskutować z panną Coleridge.

- O czym tu dyskutować?

- Czy odpłyniemy, czy wolimy być staranowani. Emilio uniósł brwi, jakby

nie wierzył własnym uszom.

- Ja nie żartuję.

- Ani ja. A teraz mógłby pan łaskawie wynieść się z naszej łodzi?

- Zaczekaj - odezwała się nagle Weronika, zaskakując ich obu.

Natychmiast na nią spojrzeli. Dugan chciał jej dać znak, żeby się nie odzywała, ale nie zwracała na niego uwagi.

- Chodzi panu o złoto? - zapytała Emilia. Nie odpowiedział. - Może pan je wziąć. Może pan wziąć całe złoto. Ja chcę tylko jeden przedmiot. Jeśli zostawi mi pan to, czego chcę, reszta należy do pana.

- Jak mnie pani powstrzyma przed zabranie tego, co będę chciał? Spojrzała na Dugana, który domyślił się, że nie zrozumiała Wenezuelczyka. Powtórzył więc jego słowa.

- Dlaczego pan po mnie powtarza? - przerwał Emilio.

- Panna Coleridge nie słyszy.

- Ach. - Spojrzał na nią, posyłając czarujący uśmiech. - Jakie to smutne.

- Wcale nie smutne - powiedziała ostro. - Irytujące. Chce pan wiedzieć, jak zamierzam pana powstrzymać?

- Tak, słucham.

- To proste. Jesteśmy na przybrzeżnych wodach Stanów Zjednoczonych. Są regularnie patrolowane. To ja mam zezwolenie na prowadzenie wykopalisk, nie pan. Jeśli nie będzie mnie tutaj, kiedy zjawi się straż przybrzeżna, zatrzymają pana. Jestem panu potrzebna. Wszyscy jesteśmy potrzebni, jeśli chce pan cokolwiek wydobyć.

- Nie boję się waszej straży. Dugan przetłumaczył. Weronika utkwiała wzrok w Emiliu.

- Zacznie pan, kiedy wycelują w pana lufy karabinów. A jeśli zniknę, każdy się domyśli, co mi się stało. Radzę więc zostawić nas w spokoju.

Wenezuelczyk powoli pokiwał głową.

- Może to i racja.

Dugan nie wiedział, czy zrozumiała, ale nie popatrzyła pytająco.

- Chcę tylko jednego przedmiotu - powtórzyła. - Resztę może pan zabrać.

- Przemyślę to. - Emilio skinął głową. - Wrócimy do tego jutro rano.

Podniósł się, zasalutował z wyraźną drwiną i zszedł po trapie do motorówki. Po chwili był w drodze na swój jacht.

Dugan spojrzał na Weronikę, była blada i cała się trzęsła. Cokolwiek zmusiło ją, żeby przeciwstawić się Emiliowi, zniknęło.

- Tam, ty sukinsynu! - krzyknął w kierunku dziobu.

Tam obrócił się do niego i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć „co mogłem poradzić?”

Dugan ukląkł przed Weroniką, ujmując jej lodowate ręce.

- Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała. Oswobodziła dłonie i sięgnęła do uszu, żeby wyciągnąć słuchawki.

- Boże, ten wiatr przewierci mi uszy na wylot. Dłużej nie wytrzymam. Zrozumiałam zaledwie kilka słów z tego, co mówiłeś, tak świszczają.

- Jak na kogoś, kto nie słyszy, poradziłaś sobie fantastycznie. Niebieskie oczy, błyszczące jak szafiry, napotkały jego spojrzenie.

- Przepraszam, nie słyszę. Jeśli chcesz porozmawiać, zejźmy na dół.

Oczywiście, że chciał z nią porozmawiać, ale najpierw musiał zrobić coś innego. Otoczyć ją ramieniem i przytulić. Poczuł całą jej kruchość, poczuł jak drży. Kiedy po chwili odwzajemniła uścisk, był wniebowzięty.

Dobrze, że Tam miał trochę rozumu i trzymał się z daleka, bo gotów był go udusić. Gdyby im powiedział na samym początku, w co się wpakował, na pewno by znaleźli jakieś rozwiązanie. Teraz, na pełnym morzu, byli zdani tylko na siebie. Sytuacja nie do pozadroszczenia.

Weronika wciąż się trzęsła. Zeszli na dół, gdzie zabrał się do parzenia

kawy. I tak żadne z nich nie będzie w stanie zmrużyć oka tej nocy. Kiedy usiadł koło niej przy stole, z powrotem założyła aparat.

- Co rozumiałaś z tego wszystkiego?

- Niewiele, chyba próbował nas zastraszyć. Mówił coś o staranowaniu, tak?

- Taak, o to chodziło. Ogólnie mówiąc, chce przejąć poszukiwania.

- Stąd te wszystkie groźby...

- Chyba tak. - Siedzieli w ciszy, popijając kawę, wsłuchując się w skrzypienie łodzi kołyszącej się na falach.

- Co teraz? - zapytała Weronika.

- Najlepiej by było podnieść kotwicę i spieprzać. Obawiam się jednak, że to zauważą.

- Dogonią nas?

- Prawdopodobnie. Mój silnik nie jest tak mocny jak jego, ale gdybym postawił żagiel, płynęlibyśmy szybciej. Tyle że musielibyśmy halsować, a oni płynęliby prosto. Taak, mogliby nas staranować. Z drugiej strony, dałoby nam to większą swobodę manewru. Hmm. - Rozwazał wszystkie aspekty ewentualnej ucieczki.

- Zapomnij o tym - powiedziała Weronika. - Nie mam zamiaru porzucać stanowiska.

- Czyś ty oszalała?

- Może, wszystko mi jedno. Nie pozwolę im teraz wszystkiego odebrać.

- Kobieto, straciłaś rozum! Nic nie jest warte więcej niż nasze życie.

- Może dla ciebie.

Doszedł do wniosku, że to chyba on postradał zmysły. Zgodnie z własną filozofią życiową miał traktować rejs jak czystą przyjemność. A teraz wplątał się w cały ten pieprznik. Powinien stanowczo powiedzieć nie, zamiast ruszać na pomoc damulce w opałach. I to w opałach na własne życzenie, a co więcej kąpiącej pod sobą jeszcze głębszy dołek.

Miał nadzieję, że zostało jej jeszcze w mózgu kilka szarych komórek.

Tylko jak je obudzić?

- Słuchaj, Weroniko, może ty chcesz ryzykować głową dla maski, ale ja z pewnością nie. Tam też nie.

Mocno zacisnęła usta. Oczy jej wyrażały coś więcej - udrękę.

- W porządku - powiedziała. - Zawieź mnie do tego faceta. Będę z nim pracować, a wy zabierajcie się do domu.

O rany, chyba już całkowicie zszikowała.

- Nie bądź śmieszna. On nie ma zamiaru pozostawić kogokolwiek z nas przy życiu. Żebyśmy później wszystko opowiedzieli? Pozwoli na to? Dziwię się, że do tej pory nie wrzucił nas do wody.

- To nie jest morderca, co najwyżej złodziej.

- Dobrze by było. Ale jeżeli to nie morderca, to dlaczego groził, że nas staranuje? Nie, on po prostu uznał, że póki żyjemy, nikt nie podniesie wrzawy. A jeśli nie wrócimy do portu zgodnie z planem, to wcześniej czy później ktoś zacznie nas szukać. Pokrzyżowałoby mu to szyki.

- No właśnie. - W jej oczach znów błysnęły iskierki. - Właśnie dlatego chcę się z nim dogadać. Jesteśmy mu potrzebni, przynajmniej przez jakiś czas. Jesteśmy bezpieczni, dopóki będziemy z nim współpracować.

- To znaczy?

- Może uda się znaleźć maskę.

- Pieprzyć tę cholerną maskę! Zamrugła i cofnęła się odruchowo.

- Dasz mi skończyć? Może ją znajdziemy, a w najgorszym razie zyskamy na czasie, żeby się z tego wyplątać. Musimy pójść na współpracę.

Siedział bębniąc palcami, w głowie miał mętlik. Dyskusja z Weroniką do niczego nie prowadziła. Ona widziała tylko jeden cel - odnaleźć maskę. On musiał myśleć szerzej: jak uratować swoją głowę i - czy jej się to podobało, czy nie - jej głowę również. Głowa Tama go nie obchodziła.

Szukając jakichś wskazówek, punktów zaczepienia, pomysłów, a nawet iskierki nadziei, powtarzał sobie w myślach całą rozmowę z Emiliem.

- Wiesz co - odezwał się nagle do Weroniki. - On zaczął od tego, że chce nam pomóc w poszukiwaniach.

- No i co?

- To, że kiedy powiedziałaś, że nie chcesz jego pomocy, bo trzeba to robić fachowo, oświadczył, że albo natychmiast stąd odpłyniemy i zostawimy mu wolne pole, albo nas staranuje.

- Chciał się nas pozbyć?

- Tego właśnie nie rozumiem. Przecież moglibyśmy wrócić z uzbrojoną obstawą i przepędzić go. O co więc mu chodzi?

- Sądzę, że szantażem chce nas nakłonić do współpracy. Co - jak mu to zresztą powiedziałam - byłoby dla niego ewidentną korzyścią. Mam zezwolenia, a on nie. Mam kontrakt na te wody ze stanem Floryda. Nikt poza mną nie może wydobyć wraku.

- A on się tym przejmuje? Akurat!

- Będzie musiał, kiedy pojawi się tu straż przybrzeżna i stwierdzi, że facet działa nielegalnie. Przecież w ciągu jednej nocy nie wydobędzie skarbów. To zajmie miesiące, może lata. Potrzebuje nas.

- Cóż, trochę mnie uspokoiłaś - powiedział z sarkazmem. - Wygląda na to, że możemy liczyć na trochę oddechu przez następne tygodnie.

Zignorowała jego ton.

- Dopóki nie wejdziemy mu w drogę. Mam wrażenie, że potrafi być naprawdę okrutny.

- Nie żartuj. No dobrze, rano dogadamy się z nim. Powiesz mu, że przystajemy na jego pomoc. Powiesz mu, że nawet ja się zgadzam. A co potem? Pozwoli nam płynąć co parę dni do portu po zaopatrzenie? Wątpię. Ja naprawdę nie wyobrażam sobie żadnej współpracy. Przecież on chce nas zabić.

Weronika zmarszczyła brwi, wodząc palcem po krawędzi kubka.

- Pozwoli nam wrócić do miasta. Musi. Powiem, że mój ojciec postawi wszystkich na nogi, jeśli się nie pojawię w terminie. Pewnie tylko da nam kogoś do towarzystwa.

- Jakoś tego nie widzę. Nie zostawi cię przecież sam na sam z ojcem, a jeśli już mnie pytasz, to Orinowi wydałoby się bardzo podejrzane, gdyby jakiś typek nie odstępował cię nawet na krok. Już byłoby prościej, gdybyś zniknęła.

- Sama nie wiem. - Oparła czoło na dłoni i przymknęła oczy. - Jestem zmęczona, wszystko mi się płacze. Musi być przecież jakieś wyjście.

Nie odpowiedział. Z zamkniętymi oczami i tak by go nie zrozumiała. Wbrew zdrowemu rozsądkowi położył rękę na jej ramieniu.

Dziwne, nie zależało mu już, żeby przechytryć Emilia, ale żeby ocalić im życie. Jeszcze dziesięć minut temu przysięgłby, że jest gotów podnieść kotwicę i uciekać do domu tak szybko, jak się da. Teraz próbował wymyślić sposób, by jednocześnie ocalić życie i zostać tutaj.

Weronika.

Chciał zrobić to dla niej. Zwariował na jej punkcie. Gdyby miał choć resztki rozumu, związałby ją, zakneblował i zwiewał na łeb na szyję, ryzykując, że ich rozwałą.

Ona chciała jednak zostać i gdyby zrobił coś wbrew niej, dostałaby szału.

Nie chciał, żeby była na niego wściekła. Boże, ależ ta kobieta rozmiękczyła mu mózg. Dla własnego dobra powinien uciec jak najszybciej, zanim to, co ma w głowie, zamieni się w zwykły kisiel.

Nie było jednak gdzie się schronić, problem Emilia pozostawał nierozwiązany, a Weronika wyraźnie nie miała zamiaru rozplątać się w powietrzu. Nie mógł na to nic poradzić. Lecz zamiast trzymać się od niej w bezpiecznej odległości, objął ją, przyciągnął do siebie i mocno przytulił.

Jakoś z tego wybrną. Muszą.

- Do cholery! - wybuchnął Tam. - Mam tyle samo do stracenia co wy. Myślisz, że teraz, kiedy już tu są, będę im jeszcze do czegoś potrzebny?

Dugan spojrział na Weronikę, zastanawiając się, czy zrozumiała. Nie patrzyła jednak na niego.

- I uważasz, że teraz powinienem ci ufać? - spytał.

- Nie wiem, czy to odpowiednie słowo. Ale uwierz, że tak samo chcę wyjść z tego żywy, jak i wy. Współpraca z nimi nic mi nie pomoże, bo już im się na nic nie przydam. Teraz wszystko mogą zrobić sami, beze mnie.

- Tak... Ale możesz zdradzić im nasze zamiary. Tam zagryzł wargi, aż całe zbieleły.

- Tak samo chcę stąd uciec, jak wy. Nigdy bym im nic nie powiedział, gdyby mi nie grozili.

- Taaak? A co byś zrobił, gdyby cię teraz postraszyli połamaniem nóg, jeśli nie powtórzysz im wszystkiego, o czym mówimy?

- To co innego.

- Jak to? - Dugan pochylił się ku niemu.

- Oni chcieli tylko informacji. Wielki mi problem! Na rany Chrystusa, Dugan, każdy w Key West bez trudu mógłby się dowiedzieć, co tu robimy. Utrzymać sekret w tym mieście, to jak utrzymać w sitku wodę. Czy to taki wielki problem, że powiedziałem im o znalezisku?

- Okazało się jednak, że to wielki problem, nie? Nie pomyślałeś, co oni zrobią, jak się dowiedzą? Jeśli ci grozili tylko dlatego, że nie chciałeś ich informować, to co teraz, kiedy wiedzą, że znaleźliśmy działo? Myślisz, że pogratulują nam, włożą baletki i zatańczą na naszą cześć *Jezioro łabędzie* ?

Tam podniósł rękę do góry.

- Już dobrze. Nie pomyślałem o tym. Już taki jestem. Zawsze mi to powtarzałeś, odkąd przejąłeś interes. Nie jestem największym prorokiem na

świecie.

- To mało powiedziane.

- Taaa, trudno... - Rozprostował ramiona i pokręcił głową, jakby zeszywniał mu kark. - A jednak teraz to co innego. Są tutaj i straszą, że rozbiją nam łódź. Nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić komukolwiek z nas. Człowieku, teraz to zupełnie co innego. Absolutnie.

Może i tak. Może Tam był na tyle sprytny, że zorientował się, że Emilio i jego kumple nie mają zamiaru go osłaniać. Z drugiej strony, co by to zmieniło? Dugan niełatwo zawierzał komuś, na kim już raz się zawiódł.

- Nie wiem, Tam.

- Przysięgam, chcę tylko pomóc. Nam wszystkim. Postąpiłem podle, wiem. Ale dostałem nauczkę.

To możliwe. Tam nie był głupi, ale po prostu nie umiał patrzeć dalej niż na czubek własnego nosa.

- Słuchaj - odezwał się znowu Tam. - Zawrzyjmy układ. Zrobię wszystko, co mi powiesz, bez żadnych pytań. Obiecuję. Zgoda?

- Nic innego mi nie pozostaje - niechętnie przystał Dugan. - No więc... weźmiesz pierwszą wachtę? Obudzisz mnie natychmiast, kiedy zauważysz coś podejrzanego?

- Oczywiście, wiesz, że tak. Nie dam tym draniom zbliżyć się do „Mandoliny” nawet na sto metrów.

Dugan postanowił, że będą czuwać przez całą noc. Nie powiedział jeszcze o tym Weronice - nie wiedział, co z ich rozmowy do niej dotarło - ale czuł, że nawet na minutę nie wolno im przysnąć. Jeżeli Emilio Zaragosa rzeczywiście chce ich sprzątnąć, środek nocy najlepiej się do tego nadaje. Nikt nie zobaczy, nikt nie zacznie ich szukać przed świtem. Jeśli w ogóle ktoś się nimi zainteresuje, bo dopiero za trzy dni powinni zawinąć do portu.

- Rzygać się chce - powiedział do siebie, ale Weronika widocznie

zrozumiała, bo pokiwała głową.

- No dobrze Tam, obejmujesz pierwszą wachtę. Obudź mnie o drugiej. -
Zabrzmiało to całkiem naturalnie, chociaż nie wierzył, że choć przez chwilę
zdoła się zdrzemnąć.

- W porządku. - Tam wspiął się na pokład i zasunął luk, zostawiając ich
samiych.

- Będziemy trzymać wachtę - wyjaśnił Dugan Weronice. - Zmienię go o
drugiej.

- Domyśliłam się.

- A więc kładź się spać i o nic się nie martw. Pokręciła wolno głową.

- Nie chcę spać i nie chcę iść do łóżka sama.

Nie wiedział, czy rzeczywiście miała na myśli to, co usłyszał. To chyba
nieprawdopodobne. Po prostu nie chce być sama.

- Świetnie - odparł. - Ja też nie jestem śpiący. Możemy tu posiedzieć i
zagrać w karty.

Jęknęła zawiedziona.

- Co się stało?

- Nic innego nie możesz wymyślić, tylko karty?

Jej spojrzenie powiedziało mu wszystko. Poczul w ustach suchość.

- Teraz? - zapytał. - Kiedy śmierć zagląda nam w oczy?

- Czy to nie najlepszy czas? Jutro rano będziemy martwi, a ty chcesz grać
w karty?

Jedno z nich na pewno straciło rozum, ale nie był pewien kto. To, co
powiedziała, zabrzmiało trochę perwersyjnie. Ale co tam... Do diabła, nie zdąży
wpakować się w kłopoty, skoro rano już nie będzie żył. A jeśli zdołają się
uratować?

- Dlaczego? - zapytał. Musiał wiedzieć dlaczego. Wzruszyła ramionami.

- Bo wciąż myślę, jak by to było, gdybyśmy nie mieli na sobie ubrań. Bo

mi się podobasz. Bo nie chcę, do diabła, spędzić najbliższych ośmiu godzin, wariując ze zdenerwowania.

- Więc mam być... tabletką na uspokojenie?

Pewnie by się roześmiała, pomyślał, gdyby nie była tak spięta, ale w jej oczach malował się smutek. Nie roześmiała się i tylko potrząsnęła głową.

Nie chciał wiedzieć, co ma na myśli. A niech tam... będzie tą tabletką na uspokojenie, tak nawet bezpieczniej, dla nich obojga. I niczym więcej. Więcej nic go nie obchodziło.

Nie obchodziło? Myślał tak, póki nie powiedziała do niego drżącym głosem

- Dugan, tak bardzo się boję...

Dlaczego, do cholery, nie powiedziała tego na samym początku? Bez słowa wziął ją za rękę i poprowadził do kajuty. I nagle wydało mu się to najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Nie dopuszczał już do siebie żadnych innych myśli.

Rozdział 18

Dugan włączył mały kinkiet, jedyną lampkę w kajucie. Nie dawał wiele światła, ale to im wystarczało. Półmrok stwarzał odpowiedni nastrój, pasował do tej ucieczki od rzeczywistości, podróży do krainy marzeń, gdzie nie było złych ludzi.

Słyszał przyśpieszony oddech Weroniki. Zastanawiał się, czy i ona słyszy jego. Czy w ogóle coś słyszy, czy wyjmie słuchawki, by nie przeszkadzały jej żadne dźwięki.

Tak zrobiła. Z lekkim żalem patrzył, jak odkłada je na bok, wznosząc między nimi barierę ciszy. Może jednak nie powinien odbierać tego w ten sposób. Może to właśnie aparat był między nimi barierą, potęgował dźwięki, których wolała nie słyszeć, bo mogły ją niepokoić. Albo nie chciała, by coś zakłócało jej własne przeżycia.

Nieważne.

Jednym ruchem ściągnęła bluzkę przez głowę. To mu się w niej podobało, brak udawanego wstydu, fałszywej skromności. Trafił na kobietę, która gotowa była przyjąć pełną odpowiedzialność za to, co robi, która czuła się równa z mężczyzną... to było naprawdę niezwykle. Nigdy się z tym wcześniej nie spotkał. Zwykle chciały, by je namawiać i uwodzić, przynajmniej za pierwszym razem.

Weronika tak bardzo się od nich różniła.

Czy rzeczywiście myślała, że jutro rano mogą być martwi? Miał nadzieję, że nie mówiła tego poważnie, że było to tylko usprawiedliwienie, dla tego, co miało się stać. A jeśli naprawdę tak myślała? Wtedy, o ile uda im się przeżyć, wszystko to zatrze się w pamięci, jakby się w ogóle nie wydarzyło. Zrobiło mu

się smutno. To tak jakby zaproponowała mu inny rodzaj śmierci.

Ręce mu się trzęsły. Nie przyznawał się przed samym sobą, jak bardzo chce się z nią kochać. Przez całe tygodnie odpędzał od siebie to pragnienie, udając, że nie istnieje, nie przyjmując go do wiadomości nawet wówczas, gdy z całą mocą dawało o sobie znać.

Dłużej już nie mógł mu się opierać. Chciał jej. Pragnął jej tak bardzo, jak nikogo dotąd. Całe jego ciało było ociążałe od narastającego pożądania, jak powietrze przed burzą.

Zdjęła szorty i stanęła przed nim tylko w majteczkach i biustonoszu. Patrzyła z obawą, niepewna, czy uda się jej przełamać jego obronną postawę i znaleźć miejsce w jego sercu. Nie odrywała wzroku od jego twarzy. Mógł wyczuć wszystkie emocje, jakie nią targały - nadzieję, tęsknotę, podniecenie i strach. Nie była w stanie ich ukryć, a intensywność jej spojrzenia nie pozwoliła Duganowi wyprzeć się swoich uczuć. I chociaż nie zrzucił nawet kawałka swojego odzienia, czuł się nagi bardziej niż kiedykolwiek.

Zerknął w dół, jakby chciał zdjąć szorty, ale Weronika podeszła, ujęła jego głowę w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jestem tutaj - wyszeptała bezgłośnie, zapraszając go do swojego świata i przybliżyła twarz, by mógł zrozumieć ruchy warg. - Pozwól mi, proszę. Ja to zrobię.

Skinął głową i poczuł, jak cały zatapia się w jej błyszczących oczach, gdy odpinała guzik, potem suwak i zsunęła mu spodenki z bioder. Uwolnił się od nich jednym ruchem. Nie odrywali od siebie wzroku, jej ręce błądziły po jego ciele. Uśmiechnęła się łagodnie i cicho zachichotała.

- Jakie miłe piłeczki.

- Oooh... twoje też - odpowiedział. Mówić takie rzeczy, w takiej chwili, to chyba nie przystoi. Poczuł jednak z nią tak bliską więź, jakiej nie doświadczył z żadną inną kobietą, więź graniczącą z czcią i uwielbieniem.

- Bardzo, bardzo miłe... - dodał, wodząc rękami po jej ciele, jak niewidomy czytający Braille'a.

Pagórki, doliny, zagłębienia, łuki - uczył się ich, zapamiętywał, wszystko to należało do niego. Przy każdym dotknięciu widział reakcję w jej oczach, w jej twarzy - potrafił odczytać z nich wszystko. Czuł jej ciało tak intensywnie, jak żadnej innej kobiety.

Jej ręce odnalazły skraj jego koszulki i podciągnęły do góry. Na samą myśl o tym, że na chwilę straci ją z oczu, poczuł ukłucie w sercu. Tłumaczył sobie, że to tylko moment, sekunda, może mniej. Ale dla niego oznaczało to wieczność. Podniósł ręce, żeby było jej łatwiej.

Zawładnęło nimi to samo uczucie. Ich uniesione do góry ręce splatały się, oczy patrzyły badawczo.

- Tak cię potrzebuję. - Jej usta ledwie się poruszały.

- Ja ciebie też - odpowiedział. Teraz cisza była również jego udziałem. Skrzypienie łodzi, szum morza, szelest zdejmowanej koszulki, wszystko to rozplynęło się gdzieś w przestrzeni. Zatapiał się cały w otchłani jej namiętności, radości, jej pragnienia. Poza nią nie istniało nic. Stała się jego wszechświatem, w którym dźwięki nie miały żadnego znaczenia. Istniało w nim jedynie pełne czułości, oddania i tęsknoty spojrzenie kochanków i nierozzerwalny związek dwóch dusz.

- Jesteś doskonała - wyszeptał bezgłośnie.

Na moment ponownie zgubiła jego spojrzenie. Chwilę temu przysłoniła je koszulka, teraz przeszkadzały łyzy, cisnące się pod powiekami. Nie spodziewała się, że to powie. Jesteś doskonała, tak właśnie powiedział, a blask jego oczu sprawił, że uwierzyła. I wtedy straciła nad sobą kontrolę, a wszystkie jej emocje, skrywane dotąd w najgłębszych zakamarkach duszy, wyzwoliły się ze zdwojoną mocą. Jego czułe, bezgłośnie słowa i świadomość własnych pragnień sprawiły, że oczy zaszyły jej łzami i twarz Dugana rozplynęła się jak we mgle.

Zatrzepotała powiekami, lecz łzy nie ustępowały. Poczła poruszenie jego rąk, wciąż uniesionych do góry, i wiedziała, czego on pragnie. Najpierw jednak chciała widzieć jego oczy. Nie potrafiłaby tego wyjaśnić, ale teraz było to dla niej najważniejsze. Pragnęła ujrzeć głębię jego duszy. I w niej zobaczyć odbicie własnej, takiej jaką on widział.

Przez łzy dostrzegła, jak zbliża się do niej. Jego usta muskały jej powieki i brwi. Pocałunki, tak miękkie, że ledwie je czuła, osuszały łzy. Czuła szorstkość jego policzków, ciepło oddechu na swym uchu. Odchyliła do tyłu głowę i otworzyła oczy. Teraz już wyraźnie zobaczyła to, na czym jej tak zależało. Jego twarz - silną, czułą i szczerą. Tuż przy niej.

W uścisku osunęli się na koję. Jej ręce stawały się coraz śmielsze; lekko drapała go po piersiach, po brzuchu, coraz niżej... Był oślepiiony blaskiem jej oczu i tylko przebiegający po skórze prąd podpowiadał mu, dokąd dotarła i dokąd zmierza.

Wreszcie... czy to już? Jej dotyk był tak subtelny, prawie niewyczuwalny, a tak go pragnął. Musiała to zauważyć, bo z szelmowskim uśmiechem znów go leciutko dotknęła. Potem jeszcze raz. Jego biodra wygięły się w górę, żeby jej dosięgnąć, ale palce Weroniki nadal cierpliwie wykonywały swoje manewry.

Do tych igraszek trzeba dwojga, uzmysłowił sobie, i z równą zręcznością zaczął wędrować po jej ciele. Otworzyła szerzej oczy, kiedy równie delikatnie, koniuszkami palców, zaczął kreślić kółka wokół jej brodawek. Patrzył, jak jej twarz łagodnieje. Wiedział, że pragnęła tego samego co on. Nie chcieli przemykać powiek i skrywać za nimi swych uczuć. Chcieli widzieć wzajemną namiętność, pożądanie i radość.

Nagle w jej spojrzeniu dostrzegł błysk. Czyżby się obawiała, że go rozczaruje, nie odpowie na jego najbardziej intymne pieszczoty? Może to jego wątpliwości, jego niepewność?

Pogładził ją uspokajającym gestem i sam od razu poczuł się pewniej.

Ujął jej dłoń i wolno przesunął wzdłuż brzucha, do samej męskości, twardej i gotowej. Ona zaś przyciągnęła jego rękę do swego łona, wilgotnego z oczekiwania. Była wyraźnie zdumiona reakcją własnego ciała, jakby nieświadoma, że są aż tak daleko. A on wiedział już, że do upragnionego celu nie dotrze samotnie.

- Jesteś doskonała - powtórzyły jego usta.

Delikatne dotknięcia pobudziły go na nowo. Biodra zaczęły łagodnie kołysać się w rytm narastającego podniecenia. Źrenice rozszerzyły się, tworząc czarną, wabiącą głębinę. Zaczęła go całować, a po chwili przerwała i prawie dotknęła jego oczy swoimi.

To było jak pocałunek, który odwzajemnił ustami. Była niesamowita. Wyjątkowa. Nie wyobrażał sobie, że tak pełne zjednoczenie z drugą istotą jest możliwe. A w momencie, kiedy jego pożądanie zaczęło przemieniać się w ból, jej uda rozchyliły się i powoli złączyli swe ciała.

Tworzyli jedność. Byli złączeni w dwójnasób - w jego oczach i w jej łonie. Nie umiałby powiedzieć, co przeżywał bardziej. Czuł jak głęboko w jej wnętrzu mięśnie zaciskają się pieszczotliwie, wciągając go jeszcze głębiej. Delikatność, oto co ich łączyło. Delikatność serc i dusz.

Oczy same zaczęły mu się zamykać. Chciał się zatopić we własnej rozkoszy, dać się jej ponieść. Nie wolno mu było, jeszcze nie. Potrzebowała go, właśnie w tej chwili. Mówiły to jej oczy i jej ciało. On też jej potrzebował. Jej oddania, a także ciała. Wrócił do niej i znowu czuł, jak obejmuje go swoim wnętrzem. Jego biodra na powrót zaczęły rytmicznie unosić się i opadać, coraz wyżej i wyżej, i gdyby tylko przymknął oczy, spadłby w przepaść.

Była jak naelektryzowana. Z trudem łapała powietrze, jakby w pokoju zabrakło tlenu. Każdy ruch ich bioder wyzwalał w niej nową energię. Za chwilę zapadnie w ciemność i da się ponieść nadchodzącej fali.

Zdawał się odpływać gdzieś wzrokiem, ale na sekundę pochwycił jej

spojrzenie.

- Wspaniale...-wyszeptał.

Fala nadeszła, a ona wybiegła jej na spotkanie, z otwartą, nieskrywaną radością. Zobaczył to i poczuł, jak przeszywa go prąd. Czują w środku jego pulsowanie, ich spojrzenia zwały się i znów byli złączeni ciałem, sercem i duszą.

Trwało to całą wieczność. Wciąż i wciąż, aż każdy mięsień stracił moc, a każdy nerw czucie.

I wtedy po raz pierwszy przymknęli oczy i zaczęli się całować.

Doskonałość ma swoją cenę. Dugan wpatrywał się w sufit kajuty, przysłuchując się cichemu oddechowi Weroniki. Za te cudowne chwile, kiedy w miłosnym uniesieniu odnalazł swe miejsce w jej sercu, przyjdzie mu zapłacić.

Musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, jaka będzie ta cena. Według najlepszego scenariusza ona uzna to za przygodę, akt afirmacji życia w obliczu śmierci, i zechce jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

Taak, to całkiem możliwe. Trochę by może zaboląło, zraniłoby jego dumę. Może i ona by się trochę tym przejęła, ale to byłoby do wytrzymania.

Drugi najlepszy scenariusz zakładał, że w ciągu dwudziestu czterech godzin będą martwi.

O rany, co za makabryczne myśli.

Jedno go przerażało naprawdę - że mógł zaangażować się bardziej, niż przypuszczał i że nie był to przelotny romans. Nie przeżyłby ponownego zawodu. Już kiedyś Jana zrobiła z niego ofiarę losu. Nie ma zamiaru jeszcze raz znaleźć się w takiej roli.

Ale to, czego pragniesz i to czym z łaski poczęstuje cię życie, to dwie różne sprawy. Nieraz doświadczył tego na własnej skórze.

Kretyn. Dostyc. Czas pomyśleć o Zaragosie. Mimo wszystko najlepiej by

było, gdyby oboje wybrnęli jakoś z opresji i mieli czas zastanowić się nad tym, co wydarzyło się między nimi.

A śmierć... Nawet, jeśli była nieunikniona, nie miał najmniejszego zamiaru poddawać się bez walki.

Spojrzał na zegarek. Świecąca tarcza pokazywała, że za kilka minut musi zmienić Tama. Na pokładzie będzie mógł wszystko przemyśleć spokojniej, bez rozpraszającej bliskości Weroniki. Bez zapachu miłości, wciąż drażniącego nozdrza. Wiedział, że znów może ogarnąć go pokusa i zatraci się w niej na nowo.

Z całą pewnością to nie jest odpowiednia chwila.

Wstał ostrożnie, ubrał się tak cicho, jak tylko potrafił, po czym przypomniał sobie, że i tak by go nie usłyszała. Myślami powrócił do minionych godzin, kiedy zaprosiła go do swojego świata ciszy, by dzielił z nią jej doznania.

Za wszelką cenę musi porzucić te rozważania, bo inaczej znowu się w coś wpakuje. Może nawet w coś dużo gorszego niż do tej pory.

Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Chociaż nie mogła tego usłyszeć, mogła wyczuć zawirowanie powietrza. Przez ostatnie miesiące przekonał się, jak niezwykle wyczulona była na takie rzeczy.

W mesie zaparzył dzbanek kawy. Nalał ją do dwóch kubków i zabrał ze sobą na pokład. Podał jeden Tamowi, który siedział w brezentowym foteliku z nogami opartymi o ławkę.

- Całkowity spokój - powiedział Tam, biorąc kubek. - Kompletna cisza.

- Uhm. - Dugan usiadł na ławce, oparł łokcie na kolanach, obracając w dłoniach kubek. Różnica temperatur między dniem a nocą nie była większa niż parę stopni, czuł jednak w powietrzu chłód.

- Dziwne, nie? - ciągnął Tam. - Przypomina mi to Keystone Kops. Czy ci faceci w ogóle wiedzą, na co się porywają?

- Podejrzewam, że Emilio nie należy do tych, co sami brudzą sobie ręce.

Na pewno ma ludzi do mokrej roboty.

- A może to zwykły złodziej, który do tej pory nie musiał zabijać.
- Nie wymawiaj tego słowa.
- Dobra, może do tego nie dojdzie. Miejmy nadzieję, pomyślał Dugan.
- A może to tylko problemy z językiem? Może wcale tak nie myślał, kiedy

mówił, że nas staranuje.

- Dałbyś za to głowę?
- Co to, to nie. Dugan łyknął kawy.
- Pokręcone to wszystko - ciągnął Tam. - Oni siedzą tam, my - tutaj.

Ciekawe, jak by nas zatrzymali, gdybyśmy teraz spróbowali odpłynąć?

Dugan rozmyślał nad tym samym. Choć był przekonany, że tamten jacht ma dużo lepsze silniki niż jego łódź, istniała szansa, że jeśli wyrwą z nienacka do przodu, zyskają przewagę.

- Weronika nie chce się stąd ruszać, tak? - zapytał Tam.

- Tak.

- Słyszałem, jak mówiła coś o porzuceniu stanowiska. Pewnie ma rację, wszystko by splądrowali. Ale, Dugan, co jest ważniejsze? My czy ten cholerny wrak?

- Wiem, wiem. - Szczerze mówiąc, dla niego liczyła się teraz tylko Weronika. Gdyby zdecydował się odpłynąć, nigdy by mu nie wybaczyła.

- Czemu pozwalasz jej tak sobą pomiatać? Ona jest szalona. Od razu to zauważyłem. Nabiła sobie głowę poszukiwaniami i nic więcej ją nie obchodzi.

- Cóż, masz trochę racji. Z drugiej strony, przypomnij sobie Tam, jak Zaragosa się zachowywał. Najpierw chciał do nas dołączyć, potem groził staranowaniem, wreszcie niespodziewanie odwrócił się i odpłynął. A może to tylko czcze pogrożki?

- Więc będziemy tu sterczeć, żeby się o tym przekonać?

- Na to wygląda.

- Dlaczego? Na rany Chrystusa, tylko dlatego, że Weronika boi się i o swoje skarby?

- Ma rzeczywiście wiele do stracenia. - Sam się zdziwił, że tak broni jej głupoty. Jeszcze niedawno mówił jej, że jest szalona.

Tam zerwał się z fotela i wymierzył w niego palcem.

- Ty, przyjacielu, dajesz się wodzić za nos kawałkowi cipy. - Po czym zniknął, zamykając z hukiem właz.

Może i tak jest, pomyślał, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. Może to prawda. Faktem jest, że odpłynąć mogliby tylko pod warunkiem, że na „Conchicie” nikt by tego nie zauważył. Podejrzane, że Emilio wydawał się w ogóle nie brać pod uwagę ich ewentualnej ucieczki.

Spojrzał w kierunku jachtu i skonstatował, że od zachodu słońca znacznie się przybliżył. Był od nich nie dalej niż ćwierć mili.

- Podpłynęli bliżej.

Na dźwięk głosu Weroniki drgnął i odwrócił się. Do połowy wysunięta z luku patrzyła w stronę „Conchity”.

- Taak - mruknął, nie wiedząc, czy go słyszy.

- Kto tak trzasnął lukiem? - zapytała.

- Tam. - Do diabła z patrzeniem w oczy.

Weszła na pokład, po czym zamknęła właz i usiadła obok niego.

- I co teraz, kapitanie?

Pierwszy raz tak go nazwała. Czy zrobiła to specjalnie?

- Jestem za tym, żeby jak najszybciej stąd zwiewać. Jutro po południu wrócimy, razem ze strażą przybrzeżną. Przez ten czas niewiele tu popsują.

- Jesteś pewien, że nam się uda?

Nie był. Ani trochę. Ale nie był też pewien, czy chce się przekonać na własnej skórze, że Emilio jest rzeczywiście takim jastrzębiem, na jakiego

wygląda.

- Nie wiem.
- Wydaje się, że nas nie podejrzewa. Inaczej zostawiłby kogoś na straży.
- Prawdopodobnie - zgodził się.
- Z drugiej strony - rozważała - może chce, żebyśmy tak myśleli.

Ciężko westchnął.

- Wiesz co, zaczyna mnie już męczyć to zgadywanie. Rozmowa z tym draniem nie miała sensu. Nie jest głupi, informacje miał już od kilku tygodni. To znaczy, że wszystko wcześniej zaplanował.

- Na to wygląda.
- Cała ta jego popołudniowa wizyta była zwykłą grą na zwłokę.
- Ale po co?
- Żebym to ja wiedział. - To wszystko nie trzymało się kupy. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że coś tu nie gra. Jakby Zaragosa chciał zyskać na czasie.

Tylko po co? Jedyne co uzyskał, to wstrzymanie ich popołudniowych prac. Też mi sukces.

- Musimy sprowadzić pomoc - zdecydował.

Spodziewał się, że Weronika zaprotestuje i będzie się upierała przy swoim. Nie powiedziała jednak ani słowa.

- Posłuchaj - powiedział - popłyniemy jak najszybciej do brzegu i wrócimy tu ze strażą. Przez parę godzin nie zdąży nic zniszczyć.

- Chcesz płynąć natychmiast?

- Tak. Dotrzemy do portu przed wschodem. Koło południa będziemy z powrotem z patrolem.

Skinęła głową.

- Ale... nie sądzisz, że on bierze to pod uwagę?
- Nie wiem, co bierze pod uwagę. Analizując tę bezsensowną rozmowę,

wcale nie jestem pewien, czy przypadkiem nie brak mu piątej klepki. Może jest po prostu dziwakiem.

- Niebezpiecznym dziwakiem.
- To jeszcze jeden powód, żeby zabierać się stąd do diabła.
- Jak uważasz.
- Słucham? - Nie mógł uwierzyć własnym uszom.
- Jak uważasz - powiedziała dobitnie. - Dobrze. Zbieramy się stąd. Żeby nie dać jej okazji do zmiany decyzji, poszedł prosto do sterówki.

Luis doszedł do wniosku, że życie to prawdziwe piekło. Do *El Desconocido* nie dzwonił od tygodnia, odkąd dowiedział się, że Emilio płynie do Key West. Mógł prowadzić podwójną grę, kiedy szef był daleko w Wenezueli, ale teraz... Zaprzestał więc telefonów i pożegnał się z nadzieją na lepsze życie... przynajmniej na jakiś czas.

I tak był wdzięczny Emiliowi, że nie musi mu towarzyszyć. Nienawidził łodzi. Sama myśl o nich przyprawiała go o chorobę morską.

Teraz żałował, że go tam nie ma - na pagerze wyświetlił się numer telefonu *El Desconocido*. A więc nie będzie mu łatwo wygrzebać się z tego bagna.

Nie bardzo miał chęć oddzwaniać. Z drugiej strony, facet chyba wiedział, kim on jest... Co robić? Jak to mówią amerykańscy mafioso? Pokarm dla rybek w cementowych butach?

To wcale nie było wykluczone, myślał, wpatrując się w pager. Ale nie był też przekonany, czy gdyby natychmiast wyjechał do domu, poczułby się choć odrobinę bezpieczniej.

W końcu, cały spocony ze zdenerwowania, udał się do najbliższego automatu. Jestem w potrzasku, powiedział do siebie zdesperowany. Emilio coś wyczuwał, nawet jeśli nie wiedział dokładnie, co Luis zamierza. A nieznajomy

Numer Jeden... on pewnie wiedział wszystko.

Żałował, że w ogóle ten pomysł zaświtał mu kiedyś w głowie. Z trudem wciągnął w płuca wilgotne, nocne powietrze i wystukał numer. Poczł lodowate ciarki na plecach, kiedy usłyszał znany złowieszczy szept.

- Nie mam żadnych nowych informacji - powiedział do słuchawki drżącym głosem.

- Kłamiesz.

Kłamał. I ten człowiek to wiedział.

- Czego właściwie pan ode mnie chce?

- Masz zrobić wszystko, żeby maska Matki Burz nie dostała się w ręce Emilia Zaragosa.

Luis nie mógł wykrztusić słowa.

Maska?

Oni obaj chcą maskę? Och, to fatalnie. Dla niego.

- Nie mogę... Nie wiem... Jak mam to zrobić?

- Znajdź sposób.

- Ale... Dlaczego ta maska jest taka ważna? Tam jest pełno złota...

- Nie interesuje mnie złoto. Chcę maskę.

- Ale dlaczego? - Był bliski płaczu, jakby czuł, że zbliża się kres jego żywota. - Dlaczego?

- Ponieważ należy do mnie. Do mojego ludu. Chcę ją odzyskać.

Po czym Numer Jeden odłożył słuchawkę, zostawiając go w opustoszałym mieście, z perlistym potem na twarzy, trzęsącymi się rękami i kolanami jak z waty.

Należała do niego? Do jego ludu? Teraz dopiero Luis uświadomił sobie, że ma do czynienia z kimś znacznie gorszym niż kryminalista. Z fanatykiem.

Ay, Madre de Dios, co teraz zrobić?

Rozdział 19

Nienawidzę wchodzić do wody - odezwał się Dugan. Tym bardziej w środku nocy. Stał na rufie i wpatrywał się w dół, w atramentową czerń, przeklinając pod nosem.

Kiedy zapuścił silnik i pchnął manetkę, „Mandolina” wyrwała do przodu jak strzała, po czym... raptownie zwolniła i przeszła w dryf, chociaż silnik rzeźił z wysiłku. Nie trzeba było być Einsteinem, żeby stwierdzić, że coś jest nie w porządku.

- Myślisz, że zablokowało śrubę? - spytała Weronika.

Skinął głową ponuro. To już nie miało znaczenia, ster również nie działał. Nigdzie nie odpłyną.

Wyprostował się i odwrócił, by widziała jego usta.

- Sprawdzę to, ale podejrzewam, że uszkodzili łódź. Bezgłośnie powtórzyła za nim „uszkodzili” i otworzyła szeroko oczy.

- To Tam? - wyszeptała.

Nie miał pojęcia. To mógł być on, miał na to mnóstwo czasu podczas wachty.

- Możesz pójść go obudzić?

Zanim Weronika zdążyła zrobić krok, Tam był już w luku.

- Co się dzieje? Odpływamy?

- Pieprzyć to, nic z tego - odpowiedział Dugan. - Śruba wysiadła. - Takiej zdziwionej miny Tam nie zdołałby wyćwiczyć nawet przez milion lat.

- Jakim cudem? - zapytał. - Tutaj nie ma nic, co by się mogło wkręcić.

- Ster też nie działa.

- Jezu Chryste! - Tam usiadł ciężko. - Nie wierzę.

- Ja też nie. Muszę sprawdzić, co się stało. - Zanurzyć się w wodzie.

Czarnej jak smoła. Chryste Panie!

Cóż było robić, rozebrał się do spodenek i założył butlę. Otworzył zawór, poczuł smak stęchłego powietrza, ale był już przyzwyczajony. Z latarką w ręku schodził z platformy coraz niżej, czując, jak zamyka się nad nim chłodna, mroczna tafla wody. Czuł odrywające się od ciała bąbelki powietrza. Tego właśnie nienawidził najbardziej, jakby małe żyjątka pełzały mu po całej skórze.

Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Miał teraz ważniejsze sprawy niż wstręt do nocnej kąpieli.

Po paru sekundach wiedział wszystko. Śruba istotnie była unieruchomiona. Wokół niej owinęło się coś, co przypominało gęstą drucianą siatkę. Usunięcie tej płataniny zajęłoby przynajmniej kilka dni.

Teraz przyszła kolej na ster. Był zaklinowany, a w dodatku uszkodzony. Nigdzie nie odpłyną, na pewno nie w najbliższym czasie.

Odepchnął się nogami i za chwilę wspinał na platformę. Poczuł chłód nocnego powietrza, ale nie zważał na to. Najważniejsze, że nie był już w wodzie. Wyciągnął ustnik, zdjął maskę i rzucił Tamowi na kolana.

- Jezu, dzięki - wymamrotał Tam.
- No i co? - zapytała Weronika. - Co się stało?
- Klasyczny sabotaż. Precyzyjny i skuteczny. Załatwili nas.
- Wezwij straż przybrzeżną.

Spojrzał w kierunku „Conchity” i zobaczył ruch na pokładzie. Spuszczali na wodę motorówkę.

- Nie jestem pewien, czy zdąży zastać nas żywych. Pozostało mu tylko usiąść i czekać.

Weronika nie wierzyła własnym oczom. Była trzecia nad ranem, a w ich kierunku płynęła motorówka. To z pewnością nie wróżyło nic dobrego.

Instynktownie przysunęła się do Dugana i wzięła go za rękę, a on lekko ścisnął jej palce, chcąc dodać otuchy.

Niewiele to pomogło. Uparła się na te bezsensowne poszukiwania, mimo iż ojciec ostrzegał, że jeśli trafi na wrak, może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Nalegała, żeby zostać, chociaż Emilio groził śmiercią, i dopiero teraz, kiedy nie mają odwrotu, dotarła do niej brutalna rzeczywistość.

Była głupia.

Więcej niż głupia. Była wstrętną żoną. Gniewała się na ojca bez istotnego powodu, a teraz może już nie zdąży, by powiedzieć mu, jak bardzo go kocha i że rozumie, dlaczego przez tyle lat ukrywał przed nią historię maski. Przez nią Dugan i Tam mogą stracić życie. Była potworną egoistką.

Nie, więcej niż egoistką. Nakręciła się tak, że straciła zdrowy rozsądek. Gdyby wcześniej zgodziła się, żeby odpłynęli, nie siedzieliby teraz w zepsutej łodzi, czekając, co im przyniesie los.

- No cóż - odezwał się Dugan, patrząc na nią - teraz już wiemy, dlaczego Emilio tak dziwnie się zachowywał. Chciał zyskać na czasie, żeby jego nurek wykonał swoją robotę.

- Wezwij straż - powiedziała. - Zaraz, proszę. Pokręcił głową.

- Gdybyśmy to zrobili, to tak, jakbyśmy podpisali na siebie wyrok śmierci. Teraz musimy zgodzić się na współpracę, póki czegoś nie wymyślę.

Ponownie ścisnął jej rękę. Przytaknęła z rezygnacją. Motorówka, oddalona najwyżej o kilkanaście metrów, zwolniła. W środku siedziało trzech mężczyzn, lecz żaden nie był Emilio Zaragosą.

- Ahoj! - zawołał facet stojący na dziobie, gdy zrównali się z nimi. Dodał coś jeszcze, czego nie zrozumiała. Było zbyt ciemno, nie widziała jego twarzy.

Dugan odpowiedział mu coś, czego również nie wychwyciła. Boże, jak ona nienawidziła takich sytuacji.

- Mamy zaproszenie na „Conchitę” - zwrócił się do niej.

- Nie - sprzeciwiła się, sztywniejąc ze strachu. - Nie.

- Tak - odpowiedział. - Nie mamy wyboru. Czas na negocjacje. W końcu

skinęła głową.

- Muszę wziąć słuchawki. Gdyby...

Odkrzyknął coś temu w łodzi, po czym odwrócił się do niej.

- Idź po nie.

Schodziła na dół, jej mózg pracował w zawrotnym tempie, próbując wymyślić jakiś powód, żeby z nimi nie płynąć. Ale co to zmieni? I tak siedzą tu jak bezbronne kaczki, dziesiątki mil od brzegu. Może na „Conchicie” będą nawet bezpieczniejsi. Emilio pewnie nie zechce brudzić sobie pokładu ich krwią.

Wzięła wodoszczelną saszetkę i włożyła aparat. I tak jedyne, co mogłaby usłyszeć, to hałas silnika i świst wiatru.

Przez chwilę pomyślała o glocku, ale nie zmieściłby się w saszetce. Ubrana była tylko w bluzeczkę i szorty, nie miała więc gdzie go schować.

Co robić? Wyjść na pokład i wycelować w nich pistolet? W ludzi, którzy nie grożą im bronią? Lecz gdyby ona, Dugan lub Tam zaczęli w nich mierzyć, mogłoby to się obrócić przeciwko nim samym. Niech wszystko na razie zostanie jak dotąd, trzeba zachować zdrowy rozsądek.

Otworzyła szufladę, by choć zerknąć na glocka, ale go nie było. Dugan musiał mieć go przy sobie.

Kiedy wróciła na pokład, Tam schodził właśnie do motorówki. Dugan wskazał gestem, że teraz jej kolej. Pomógł jej przejść przez burtę i przytrzymał, dopóki Tam nie chwycił jej wpół i nie posadził na ławeczce. Wsiadł jako ostatni i po chwili oddalali się już od „Mandoliny”.

Zauważyła, że nikt nie odezwał się słowem. Zauważyła też, że ludzie na motorówce byli uzbrojeni. Z otwartych futerałów wзираły pistolety. To wszystko działo się naprawdę. Dziękowała opatrności, że w szufladzie nie było broni. Cóż w tych okolicznościach znaczył jeden mały glock.

Dziesięć minut później znajdowali się już na łodzi Zaragosy, pilnowani

przez uzbrojonych strażników. To rzeczywiście luksusowy jacht, skonstatowała, jeden z tych, jakie pokazują na filmach. Wyściełane fotele, stoliki ze szklanymi blatami, nawet jacuzzi na pokładzie.

Chciała sięgnąć do saszetki, by wyjąć słuchawki, ale Dugan szybkim ruchem przytrzymał jej rękę.

Spojrzała pytająco, lecz on tylko pokręcił głową.

- Dlaczego? Muszę założyć aparat.

Wskazał coś brodą i wtedy zobaczyła wymierzone w siebie dwa pistolety. Widocznie uznali, że chce sięgnąć po broń.

Przeszedł ją dreszcz, na ramionach wystąpiła gęsia skórka, nie cofnęła jednak ręki. Ostentacyjnie wyjęła jedną słuchawkę, pokazała im, po czym włożyła do ucha. To samo zrobiła z drugą.

Dźwięki znów powróciły, ale nie zdało się to na wiele. Słyszała tylko świst wiatru, ruch na pokładzie i nic więcej. Żadnych słów.

Po chwili pojawił się niewysoki mężczyzna. Był podobny do Emilia - miał okrągłą, przyjazną twarz, ale był znacznie pulchniejszy i młodszy. Niestety, nosił wąsy, tak że Weronika nie była w stanie zrozumieć, co mówi.

- Mówi, żebyśmy usiedli i czuli się jak u siebie w domu - wyjaśnił Dugan.- Jego ojciec zaraz przyjdzie.

- Jego ojciec? - A więc to rodzinne przedsięwzięcie. Jakoś jej to nie uspokoiło. - Siedzieć? Kiedy cała jestem w nerwach?

- Nie masz wielkiego wyboru z lufą przy głowie, złotko.

Złotko. Chyba nie bardzo jej się to podobało, ale usiadła w fotelu obitym niebieskim płótnem. Pojawił się steward w nieskazitelnie białej marynarce i zaoferował drinki.

Zupełnie jakby składali towarzyską wizytę. Weronika nie przyjęła drinka, nie poczęstowała się też krakersami z kawiozem.

- Co to? - spytała Dugana. - Nasza ostatnia wieczerza?

Pomimo napięcia dostrzegła w kącikach jego oczu i ust błysk wesołości.

- Spróbuj myśleć pozytywnie - doradził. - To przecież kawior. Wcale nie było jej do śmiechu, kiedy widziała wycelowaną w siebie broń.

- To czysty absurd.

Kiwnął twierdząco, a Tam automatycznie powtórzył jego gest.

Tam - sprawca wszystkich kłopotów. Powinna być na niego wściekła, ale nie mogła wykrzesać z siebie tego uczucia. Bez trudu uwierzyła, że zgodził się na współpracę wyłącznie ze strachu. Zresztą, gdyby go w jakiś sposób wyeliminowano, podstawiono by kogoś innego i byłiby w tej samej sytuacji.

Wreszcie pojawił się Emilio, w jedwabnej marynarce i luźnych spodniach. Przywitał ich wylewnie jakby byli miłymi gośćmi, a nie więźniami. Nie zrozumiała, co powiedział. Obróciła się w stronę Dugana, by obserwując go orientować się w całości wydarzeń.

Dugan pochylił się, wziął ją za rękę i w skrócie objaśniał, o czym mówili.

- A więc - mówił Emilio - wasza łódź jest uszkodzona, tak?

- Ale zabawne. Sprytnie pomyślane - zajmować nas gadaniem, podczas gdy nurek robił swoje.

Emilio rozłożył szeroko ręce.

- A jakże, nie jestem durniem. Czy naprawdę myślałeś, że pozwolę wam płynąć po pomoc?

- Byłem głupi, myślałem, że w końcu kiedyś pozwolisz nam odpłynąć.

- Oczywiście, że pozwolę. Kiedy tylko wykonam swój plan. Nie mam zamiaru nikogo krzywdzić.

Akurat! Dugan prędzej by uwierzył, że zdoła przekopać tunel do Chin. Gdyby Weronika ujawniła, że ten człowiek splądrował ważne archeologiczne znalezisko, zrobiłoby się zamieszanie na skalę międzynarodową. Wcześniej czy później Emilio będzie musiał się ich pozbyć. Nie miał jednak zamiaru zdradzać, że przejrzał jego zamiary. Wolał, aby Emilio wierzył, że chcąc ocalić życie,

będą z nim współpracować.

- Tak więc - ciągnął dalej Emilio - pani Coleridge zaproponowała układ. Jestem zainteresowany. Dlaczego o tym nie porozmawiać?

Dugan spojrzał na Weronikę, lekko ściskając jej palce.

- Chce przedyskutować twoją propozycję.

Skinęła głową i spojrzała na Zaragosę spokojnym wzrokiem, jakby miała nerwy ze stali. Tylko Dugan wiedział, jak bardzo jest spięta - jej ręka była lodowato zimna.

- Moja oferta się nie zmieniła, złoto mnie nie interesuje. Na dnie może leżeć dziesięć - dwadzieścia milionów w sztabkach, dokładnie nie wiem. Może pan zabrać wszystko. Mnie interesują dzieła sztuki, zwłaszcza złota maska.

Emilio powoli kiwał głową.

- Co to za maska?

Dugan powtórzył pytanie, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Emilio zna odpowiedź.

- To jest jedyna pozostałość po wymarłej kulturze, przedmiot religijnego kultu. Dla mnie ma większą wartość niż wszystko inne z „Alcantary”. Jeśli w ogóle tam jest.

- Ma pani wątpliwości? - Emilio lekko się wyprostował. Przytaknęła.

- Mój ojciec dowodzi, że to prawie niemożliwe, aby dobrowolnie pozwolono wywieźć tak cenny przedmiot do Hiszpanii. A według legendy kapłanka wzięła go ze sobą.

Wzruszył ramionami.

- Chyba, że ktoś nie przekazał całej prawdy.

- Być może.

- I panią interesuje tylko maska? Skinęła głową.

- Więc dobiliśmy targu. Będziemy pracować wspólnie. Pani bierze maskę, a ja całą resztę, zgoda?

Znów skinęła głową, lecz Dugan wyczytał z jej twarzy, że czuła się w tej chwili tak, jakby sprzedawała własną duszę.

- Wszystko, co pan zechce.

- Uczciwie postawione. Mogę pani zaufać, że nie zawiadomicie straży?

Weronika zawahała się przez chwilę.

- Tak - odrzekła. Dugan nie wiedział, czy kłamała, czy mówiła prawdę.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Emilio uśmiechnął się. - Widzi pani, mam swojego człowieka w Key West i jeśli przysporzy mi pani kłopotów, to przysporzy ich pani również sobie. Wiem, kim jest pani ojciec i wiem, gdzie go znaleźć.

Dugan poczuł, że sidła się zatrzasnęły. Byli skończeni.

Emilio zaoferował im nocleg na „Conchicie”, lecz wszyscy troje zdecydowanie odmówili, więc motorówka odwiozła ich na „Mandolinę”. Teraz stali w mesie, spoglądając na siebie ponuro.

- Chyba nam wszystkim podskoczyła adrenalina - rzekł w końcu Dugan. - Żebyśmy tylko nie padli z niewyspania.

- Co tu mówić o spaniu - wybuchnęła Weronika. - O Boże, muszę znaleźć sposób, żeby ostrzec ojca. Musi się gdzieś ukryć, zanim wygrzebiemy się z tego bagna.

- On blefował - uspokajał ją Tam. - Jestem pewien, że blefował. Dugan powtórzył to Weronice, po czym spytał:

- Skąd, u diabła, ta pewność?

- Bo jeśli miał na myśli tego Luisa, to mówię wam, facet nie jest z tych, co zabijają.

- Ale wystarczająco cię nastraszył, że poszedłeś na współpracę.

Tam nic nie odpowiedział.

- A może mówił o kimś innym - zastanawiała się głośno Weronika. -Może w Key West ma więcej niż jednego.

- Cudownie. Cudownie, niech to szlag. - Dugan czuł się tak, jakby ktoś położył go na łopatki. Nie znosił bezsilności.

- Muszę coś zrobić, żeby ostrzec ojca. Musi być jakiś sposób. Potem znajdziemy maskę i zabieramy się stąd do diabła.

- No jasne - stwierdził sarkastycznie Dugan. - Odplyniemy w siną dal na zepsutej łodzi.

- Jak chcesz, możesz się poddawać, ale ja nie. Za dużo mam do stracenia. Nie pozwolę, żeby ten człowiek zrobił coś ojcu i nie pozwolę mu zabrać maski. Nieważne za jaką cenę.

Dugan podziwiał jej bojowego ducha bardziej niż rozwagę.

- Spójrzmy na to spokojnie. Pomyślmy logicznie. Mamy dwa problemy i zamiast składać buńczuczne oświadczenia, musimy się zastanowić. Po pierwsze, trzeba ostrzec Orina, żeby zniknął z pola widzenia. Po drugie, musimy wymyślić, jak się stąd wydostać.

- Z maską.

Dugan zmarszczył brwi.

- Z maską albo bez. Ważne, żeby ocalić życie. Spojrzała na niego, twarz jej stężała, oczy wilgotniały.

- Nie ruszę się stąd bez maski.

- Dwie godziny temu powiedziałaś...

- To było, zanim on zagroził ojcu. Zanim zrozumiałam, że on też chce ją zdobyć.

Dugan już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnował. Miała rację. Też mu się wydawało, że kiedy Emilio spytał o maskę, wiedział dokładnie o czym mówi.

Co więcej, kiedy zapytał, czy mogło jej nie być na wraku zdradził, że się nią interesuje. Gdyby chodziło mu tylko o złoto, maska w ogóle by go nie obchodziła.

- Chwileczkę - odezwał się w końcu. - Jeżeli Emilio chce maski... Skarbie, to będzie ostatnia rzecz na ziemi, którą dostaniesz w swoje ręce. On jest gotów zabić, by zdobyć to, co chce.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Jeśli ją znajdę i gdzieś ukryję, nie zabije nas, bo straci ją na zawsze. Może być naszą jedyną szansą. Obiecamy, że mu ją damy, jeśli puści nas wolno i da ojcu spokój.

- To byłoby możliwe, gdyby nie jeden szkopał.

- Co takiego?

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że znajdziemy maskę w ciągu najbliższych czterech dni?

- Co masz na myśli? Co za różnica, ile to będzie trwało?

- Jeżeli nie wrócimy do portu najpóźniej do piątku, moja sekretarka wypuści za nami psy gończe.

- Ale dlaczego? Przecież nie pływamy według grafiku.

- Nie, ale ona wie, że prowiantu mamy tylko na pięć dni. Potem zabraknie nam jedzenia i jeśli się nie pojawimy, to nic jej nie powstrzyma przed zaalarmowaniem straży przybrzeżnej.

- Och! - jęknęła.

- No i twój ojciec.

- On nie będzie się martwić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Jest w Tampie i zostanie tam do poniedziałku, póki nie skończy badań.

- Pozostaje więc Ginny. I uwierz mi, to wystarczy. Kiedy tylko zaczną nas poszukiwać, Emilio się o tym dowie. Trudno nie zauważyć krążących helikopterów. A wtedy... cóż, zdziwiłbym się, gdyby nas nie sprzątnął. Nie dopuści, żeby ktoś się dowiedział o jego poczynaniach.

Przyznała mu rację.

- W takim razie maska jest naszą jedyną szansą. Musimy ją odnaleźć. To nasz jedyny atut.

W jej oczach dostrzegł niewzruszony upór. Jej rozumowanie nie było całkowicie logiczne, ale przecież zachowywała się tak od samego początku. Może to przez utratę słuchu, a może wiedziała, że druga taka okazja się nie trafi. A może chodziło jej o coś zupełnie innego. Odnosił wrażenie, że Weronika całą swoją przyszłość uzależnia od maski, że bez niej nigdy nie poczuje się w pełni kobietą.

Maska jako karta przetargowa? Kto wie, zawsze to jakaś szansa. Ale nie może liczyć tylko na to. Za wszelką cenę musi znaleźć sposób, żeby wydobyć ich z tej matni.

Dla Weroniki maska zdaje się być ważniejsza niż życie. Już nieraz dawała mu to do zrozumienia. Dla niego jednak ważniejsza niż życie była Weronika.

Próbował zaprzeczać, tłumacząc sobie, że wyolbrzymia własne uczucia. Ona jest tylko sympatyczną kobietą i zasługuje, by żyć... tak właśnie powinien o niej myśleć.

Nic, dosłownie nic nie jest dla niego ważniejsze niż własna skóra. Już raz popełnił błąd, drugi raz go nie powtórzy.

Niezależnie od tego, co czuje do Weroniki, jednego jest pewien. Nie będzie się dla niej poświęcał. Jeśli chce zostać tutaj i polować na maskę, niech tak będzie.

A tymczasem musi modlić się do wszystkich bogów, dawnych i obecnych, żeby pomogli im się stąd wydostać.

Rozdział 20

Dugan musiał przyznać Weronice rację: przez kolejne dwa dni prowadziła wydobywanie tak, jakby wykopaliska były pod jej całkowitą kontrolą. Co dziwniejsze, Emilio Zaragosa godził się na to.

Wszystkim kierowała, każdemu mówiła, co ma robić. Spodziewał się, że będą szukać wykrywaczami na chybił trafił i wyciągać tylko cenniejsze okazy, tymczasem starannie i metodycznie przeszukiwali teren, zgodnie z jej instrukcjami.

Podczas gdy „Mandolina” tkwiła unieruchomiona, między „Conchitą” a oddaloną o pięćdziesiąt metrów motorówką rozciągnięta była lina z sześcioma kolorowymi bojami. Obie jednostki zgodnie zmieniały pozycje, a boje stanowiły dla sześciu nurków punkty odniesienia, tak by nie pominęli najmniejszego skrawka dna.

To rzeczywiście dawało efekty. Wydostali mnóstwo interesujących przedmiotów, które składali na gumowej tratwie. Pod koniec pierwszego dnia wydobyli kilka złotych sztabek.

Wszystkich fascynował widok złota. Oprócz Dugana. Był wyraźnie rozczarowany. Spodziewał się, że sztabki będą przypominały te na fotografiach ze skarbcza rezerw federalnych, a były cienkie i nierówne - wąskie, złote paseczki. Nie miały żadnych znaków. To utwierdzało Weronikę, że musiały pochodzić z przemytu. Nawet Emilio sprawiał wrażenie zadowolonego, kiedy wszyscy zgromadzili się na jachcie przy kolacji.

Jak na cholernym towarzyskim przyjęciu, pomyślał Dugan, siedząc przy stole, nakrytym śnieżnobiałym obrusem i częstując się wyszukanymi specjałami serwowanymi przez kelnerów w białych marynarkach. Z pewnością

Zaragoza był dziwnym człowiekiem.

Weronika zdumiewała go. Wydawała się całkowicie pochłonięta poszukiwaniami, jakby zapomniała o niebezpieczeństwie grożącym i ojcu, i jej samej. To wszystko było na pokaz. Dostrzegał to w jej niebieskich oczach, które w spokojniejszych momentach przybierały ciemniejszą barwę. Cholernie dobrze grała swoją rolę, chcąc przekonać Emilia, że stoi po jego stronie. Czy ten facet da się na to nabrać?

Drugiego dnia poszły w ruch pompy. Dugan nie cierpiał ich. Co prawda te cholerne urządzenia dużo szybciej usuwały warstwy mułu, odsłaniając coraz to nowe skarby, ale po paru chwilach woda była tak zmacona, że czuł się jakby był zamknięty w mrocznym pomieszczeniu.

Znajdowali teraz dużo więcej złotych sztabek, a także biżuterię - złote łańcuchy, krzyż wysadzany kamieniami, dwa okazałe kolczyki. Natrafili też na osprzęt żaglowca - działa i mosiężny dzwon z wygrawerowaną nazwą statku, co ostatecznie upewniło ich, że to „Alcantara”.

To Dugan znalazł dzwon. Szperał po dnie w mętnej wodzie, uszy wypełniał mu syk pracującej parę metrów dalej pompy, kiedy dostrzegł błysk metalu.

Serce w nim zamarło i na sekundę poniosła go wyobraźnia - znalazł maskę! Obmyślał, gdzie by ją ukryć, gdyby istotnie ją znalazł. Musiała być tak duża jak ludzka twarz, a może nawet większa; odruchowo sprawdził, czy do paska ma przypięty woreczek. Wszyscy nurkowie mieli takie na drobne znaleziska. Nikt nie wiedział, że do swojego Dugan wepchnął zapasowy, tak na wszelki wypadek.

Gdyby ją znalazł. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle tego chce. Gdyby tak się stało, Weronika zaspokoiłaby swoje pragnienie i zniknęła z jego życia. Wróciłaby do swojego świata albo zginęła od kuli na pokładzie „Conchity”. Nienawidził tej pieprzonej maski.

Kończył już nurkowanie. Wyciągnął dzwon na powierzchnię i umieścił na

tratwie, po czym podpłynął do „Mandoliny” i wspiał się na pokład.

Tam był jeszcze pod wodą. Weronika pochylona nad notesem, zapamiętała coś pisała. Zapiski z ekspedycji - jakby komuś na coś miały się przydać, pomyślał gorzko. Czy aż tak była oderwana od rzeczywistości?

Zszedł na dół wziąć sobie coś do picia i zjedzenia, po czym wrócił i usiadł obok niej. Tam wciąż się nie pojawiał. Instynktownie zerknął w kierunku „Conchity” i zauważył, że ktoś obserwuje ich przez lornetkę. Cały czas byli pod nadzorem. Odwrócił się plecami do jachtu na wypadek, gdyby na pokładzie był ktoś, kto potrafi czytać z ruchu warg.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Świetnie. - Spojrzała na niego obojętnie.

- Co zapisujesz?

- Robię notatki, na wypadek, gdybym wróciła do swoich badań.

A więc nie straciła poczucia rzeczywistości. Westchnęła i odłożyła kartkę.

- Wiem, że prawdopodobnie tracę czas, ale wolę to niż ciągłe rozmyślanie.

- Rozumiem cię. Jakieś nowe pomysły?

- Nie. Chciałabym tylko jak najszybciej znaleźć maskę.

- Taak, ja też bym chciał.

Przez kilka minut żadne z nich nie odezwało się. Wreszcie spytał.

- Przypuszczam, że nasz porywacz znowu oczekuje nas na kolacji?

- Tak właśnie powiedział.

- Nie rozumiem faceta. Traktuje nas jak gości, a cały czas trzyma na muszce.

- To cywilizowany kryminalista. - Zacisnęła wargi.

- Aaaa, to wszystko wyjaśnia.

- On naprawdę jest dziwny - dodała po chwili.

- Tak?

- Wydaje się szczerze przejęty znaleziskami, nawet tymi bez większej

wartości.

- No i?

- Nie wiem. Nie pasuje po prostu do mojego wyobrażenia o facecie, który zabija dla pieniędzy. - Machnęła ręką, jakby nie potrafiła dobrać odpowiednich słów.

Przypomniał sobie swojego szefa z czasów giełdy.

- Z pewnością nie działa jak typowy zbir. Ale ja już zetknąłem się z takimi ludźmi.

- To znaczy?

- Oni wcale nie uważają się za drani. Uważają, że mają powody i że to ich usprawiedliwia.

- To pasuje do Emilia. Wciąż próbuje nam udowodnić, że nie jest złym facetem.

- Chodzi ci o te wystawne kolacje? Taak. Traktuje nas jak honorowych gości.

- A może wcale nie zamierza nas zabić?

- Nie zaczynaj się oszukiwać, Weroniko. Cokolwiek nim kieruje, zrobi wszystko, żeby dopiąć celu. Może poczuje się trochę nieswojo, ale nic go nie powstrzyma.

Spojrzała w bok, w kierunku „Conchity”.

- A ty masz jakiś pomysł? - zapytała po chwili.

- Cały czas myślę jak oszalały. Daj mi jeszcze trochę czasu. Znów popatrzyła na „Conchitę” i pomachała facetowi z lornetką.

- To Tomas. Jestem dla niego bardzo miła.

- Mądrze. - Zauważył, że i Tomas pomachał ręką. - Wygląda na to, że cię polubił.

- Pracuję nad tym. To on zazwyczaj nas pilnuje.

I pomyśleć, że uwierzył, iż pogubiła się w tej całej sytuacji.

- Znalazłem coś interesującego - wskazał na tratwę. - Sądzę, że zechcesz obejrzeć to wieczorem, po kolacji. - Nie mógł się powstrzymać, by nie nadać swoim słowom sarkastycznego tonu.

- Co takiego?

- Dzwon okrętowy. Z wygrawerowanym napisem. To rzeczywiście „Alcantara”.

Przez chwilę jej twarz pojaśniała z podniecenia i poczuł ukłucie w sercu - dawno jej takiej nie widział. Od tej nocy, kiedy się kochali. Jej entuzjazm Jednak szybko opadł, a pojawił się smutek i rezygnacja.

- Wiem, że to dziecinne - podjęła - ale mam ochotę walić pięścią i wrzeszczeć, że to niesprawiedliwe.

Zgadzał się z nią, sam czuł się podobnie.

- Ale się naciąłem! Kiedy zgodziłem się dla ciebie pracować, myślałem, że funduję sobie trzymiesięczne wakacje na morzu na twój koszt.

- Taak? - Zaśmiała się krótko. - Zabawne, jak sytuacja może się odmienić.

- Ty chyba też znasz to uczucie.

- To znaczy?

- Wypadek, utrata słuchu... - Wzruszył ramionami.

- Straciłam moje dziecko... - powiedziała. W jej głosie było tyle żalu, że trudno było mu znieść. - To było najgorsze. Ono się jeszcze nie urodziło, nigdy nie trzymałam go na ręku, ale czułam taką pustkę... - Głos jej drżał, pokręciła tylko głową.

- Jeszcze będziesz miała dziecko. - Nie powinien tego mówić, ale były to jedyne słowa, jakie mu przyszły do głowy.

- Nie, nigdy nie będę miała. Zabolało, chociaż nie wiedział dlaczego.

- Dlaczego nie? Czy coś się stało, że to niemożliwe?

- Nie. Ale zmądrzałam na tyle, że nie związę się już z żadnym mężczyzną.

- Tylko dlatego, że pewien facet zachował się podle? - Nie miał pojęcia,

po co staje w obronie innych mężczyzn, to przecież nie jego sprawa. Ale stało się.

Znów zacisnęła wargi. Spodziewał się, że odpowie coś ze złością, ale odezwała się łagodnie.

- Tylko dlatego, że pewna kobieta zachowała się podle!

- Kto? Co? - Zgłupiał na chwilę. - Masz na myśli mnie? Chodzi o Janę?

Skinęła potakująco.

- Minęło już dziesięć lat, prawda? A ty wciąż nie wyglądasz na kogoś, kto gotów jest ponownie się zaangażować.

Miał już gotową odpowiedź „to co innego”, ale zdołał ugryźć się w język, zanim zrobił z siebie głupka. Zwłaszcza że miała rację. Poczł się niewyraźnie - dawał jej rady, które sam powinien wziąć sobie do serca.

- No, już dobrze - odezwał się pojednawczo. Zaskoczył go jej śmiech.

- W porządku. Na razie nie spieszno mi, żeby jeszcze raz przeżywać podobne rozczarowanie.

- A gdybyś tak spojrziała na to inaczej. Przecież facet, który się w tobie teraz zakocha, musi zaakceptować, to, że nie słyszysz.

- To prawda.

Jej uśmiech przygasł, a on uznał, że czas zmienić temat.

- A poza wrakiem, o czym jeszcze myślisz?

- O czym myślę? - Wydawała się zaskoczona pytaniem, wzruszyła ramionami. - O ojcu. Muszę go jeszcze zobaczyć, choćby tylko raz. Muszę.

W jej tonie zabrzmiała nuta rozpacz. Wkroczyli na naprawdę głębokie wody i nie ma szans, żeby wrócił jej humor, pomyślał.

- Co masz na myśli?

- Byłam wobec niego niesprawiedliwa. - Odłożyła pióro i splotła dłonie. - Zachowywałam się paskudnie. Po wypadku byłam w strasznej depresji.

- Nic dziwnego.

Nie patrzyła na niego, w ogóle go nie słuchała.

- Jakbym wpadła w ciemną otchłań. Byłam jedną wielką raną. Nawet oddychanie sprawiało mi wysiłek. Każdego ranka wstawałam z łóżka tylko dlatego, że ojciec nalegał. Potem siadałam w bujanym fotelu i cały dzień wpatrywałam się w okno. Nie pamiętam, czy w ogóle o czymś myślałam. Siedziałam tak i zatapiałam się w nieznośnym bólu. Jedyne czego chciałam, to umrzeć.

Ujął jej dłoń i lekko uściśnął. Też miewał takie czarne myśli, kiedy Jana go porzuciła, więc rozumiał ją, przynajmniej po części.

- Straciłam w ten sposób sześć miesięcy. Miałam terapeutkę, która uczyła mnie czytać z ruchu warg. Powtarzałam tylko jej ruchy i nigdy tak naprawdę nie ćwiczyłam. Nic mnie to nie obchodziło. Wtedy ojciec dowiedział się, że ma raka i pozostało mu tylko pół roku życia. - Obróciła się i spojrzała na Dugana. - Nie poddał się jednak. Wciąż żyje, a choroba się cofa. Przynajmniej tak było ostatnio. Boże, żeby tylko w Tampie nie dostał złych wiadomości.

- Miejmy nadzieję.

- Kiedy dowiedział się, że jest chory, jeszcze bardziej zaczął się o mnie martwić. Wtedy postanowił powiedzieć mi o matce i poszukiwaniach. Byłam tak piekielnie na niego wściekła, że całymi dniami nie chciałam go widzieć. Wręczył mi wówczas list, w którym opisał wszystko, co do tej pory tak skrętnie ukrywał. Chryste, jak ja go znienawidziłam, że nie powiedział o tym wcześniej.

Dugan mruknął coś, jakby ze zrozumieniem, chociaż zupełnie nie wiedział, dlaczego pałała do ojca taką złością.

- To brzmi głupio, prawda? - podjęła po chwili. - Kiedy teraz o tym myślę, nie bardzo znajduję powód tej wściekłości. Właściwie nie wiem, dlaczego poczułam się taka zdradzona. Wmówiłam sobie, że przez niego nie dowiedziałam się we właściwym czasie, jaka rzeczywiście była moja matka. A

przecież on zataił przede mną jedynie fragment jej pracy - jej obsesję.

Pociągnął ją za rękę, by spojrzała na niego.

- Mógłbym zrozumieć twój gniew, gdybyś naprawdę uważała, że cię okłamywał. Ale może chodziło ci o coś więcej.

- O co?

- Może go znienawidziłaś, że wydobył cię z depresji.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mówiłem ci już chyba, jak podle czułem się po rozstaniu z Jana.

Przychodziły mi do głowy różne idiotyczne pomysły - zapić się na śmierć albo roztrwonić resztę życia na plaży. Nie zależało mi na niczym.

- I co?

- To, że uczenie się życia na nowo musi boleć. Dużo łatwiej jest poddać się. Może właśnie to było główną przyczyną twojej złości? Że nie zostawił cię w bezpiecznym kąci, byś mogła się nad sobą użalać. Musiałaś na nowo zmierzyć się z życiem.

Powoli pokiwała głową i przymknęła oczy.

- Może masz rację. Wiem tylko tyle, że nigdy sobie nie wybaczę tej nienawiści.

- Mogę cię pocieszyć, że na martwienie się nie pozostało ci już dużo czasu. Oczy jej się zaokrągliły ze zdumienia, po czym roześmiała się bezradnie.

- Jesteś okropny, Dugan.

- Nie, jestem tylko facetem. I nie wierzę w poczucie winy. To nie znaczy, że nigdy nie miałem wyrzutów sumienia. Ale co to pomoże? Co się stało, to się nie odstanie, teraz trzeba tylko spróbować wszystko naprawić.

- Gdybym tylko miała taką możliwość.

Głos jej się łamał, była na granicy płaczu. Objął ją ramieniem, a ona przylgnęła twarzą do jego piersi, chociaż mokry kombinezon nie bardzo nadawał się do przytulania.

Nie rozpląkała się. Powolotku uspokajała się, jakby zrzucając z siebie wielki ciężar.

- Umrzemy, prawda? - zapytała, nie patrząc na niego.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Za czterdzieści osiem godzin Ginny zacznie rozważać, czy zawiadomić straż. Nie miał pojęcia, ile czasu jej to zajmie, ale zakładał, że niewiele. Może do soboty rano. Najdalej. Potem złączą ich szukać. A Emilio zrobi to, co uzna za niezbędne, by chronić własną skórę. Pozbędzie się świadków.

Patrzył na „Conchitę” i zacumowaną przy niej jego własną tratwę. Emilio zabrał ją prawdopodobnie w jednym celu - żeby pozbawić ich możliwości ucieczki. Jak ją odzyskać?

Weronika wyprostowała się.

- Przepraszam. - Przetarła oczy. - Już wszystko w porządku.

- No pewnie. - Pragnienie wyrwania jej stąd było z każdą minutą coraz silniejsze. Oceniał, że zostało im jeszcze trzydzieści sześć godzin. - Słuchaj, duszę się w tej pianie. Idę jeszcze raz zanurkować.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do niego, tak wojowniczo, że wbrew samemu sobie pochylił się i pocałował ją.

- *I'll be back* - powiedział a la Schwarzenegger. Uśmiechnęła się jeszcze promienniejsze i nawet gdy był już po drugiej stronie burty jej uśmiech wciąż miał przed oczami.

Jak zwykle wzdrygnął się przy zetknięciu z wodą. Jakże tego nienawidził. Teraz, kiedy używali pomp, jeszcze bardziej. Miał dość zmąconej wody, poczucia całkowitej izolacji. Odpłynął z terenu oznaczonego bojami w kierunku motorówki, gdzie woda była bardziej przejrzysta. Usilnie rozmyślał o ich sytuacji, machinalnie operując wykrywaczem metalu, na wypadek, gdyby któryś z nurków zauważył, że oddalił się od obszaru poszukiwań.

Zerknął na zegarek. Powinien zostać pod wodą jeszcze pół godziny, żeby

nie wzbudzać podejrzeń. Do diabła z nimi. Co innego, gdyby robił to dla Weroniki, a co innego pod przymusem dla Emilia.

Potrzebował czasu, żeby spokojnie wszystko przeanalizować. Jak odzyskać tratwę? Gdyby nie było innego wyjścia, mogliby na niej spróbować ucieczki pod osłoną ciemności. Problem w tym, że na pokładzie przez całą noc czuwał strażnik i tratwę też miał na oku. Sama próba jej odebrania oznaczałaby kłopoty.

Ale czy teraz ich nie mieli? Tkwili w nich po uszy, a co ich czeka, kiedy Ginny powiadomi o zaginięciu „Mandoliny”. Może nie było już nic do stracenia? Ile czasu jeszcze upłynie, nim wpadnie na jakiś genialny pomysł?

Z drugiej strony, jak tu przekonać Weronikę, żeby zrezygnowała z tej cholernej maski. Wiedział, że to nie będzie łatwe - wspomniał ich ostatnią rozmowę. Czy ona rzeczywiście myśli, że Zaragosie zmięknie serce i puści ich wolno?

Oceniał go całkiem inaczej niż ona. Owszem, też uważał, że Emilio wolałby ich nie zabijać, ale nic go nie powstrzyma, jeśli będzie musiał ratować siebie... albo swojego syna. Nie zapominaj, powtarzał sobie, że na pokładzie jest jego syn. Dugan doskonale zdawał sobie sprawę, do czego zdolni są rodzice, by chronić swoje dzieci.

Chryste. Jest już środa, późne popołudnie. Do piątku za wszelką cenę muszą stąd zniknąć lub powstrzymać Ginny przed wszczęciem alarmu. Ale ona nie da się zbyć byle czym; doskonale potrafi czytać między wierszami. Nawet gdyby jakimś cudem udało im się dotrzeć do brzegu, Emilio też ich tam dosięgnie. Przecież groził, że jego człowiek w Key West zajmie się ojcem Weroniki. Ona ciągle wierzy, że jedynym ratunkiem jest maska.

Ale to byłby cud gdyby znaleźli ją w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Boże Wszechmogący, musi ich stąd zabrać jeszcze tej nocy. Ma na piątek umówione spotkania. Ginny może wystrzelić z raketnic już jutro

wieczorem.

Dugan czuł, jakby niewidzialna pętla zaciskała mu się na szyi. Weronika wierzyła, że tylko maska zapewni im bezpieczeństwo. Bez niej się nie ruszy. Emilio z pewnością dostanie szau, jeśli straż przybrzeżna zacznie szukać „Mandoliny”. Zresztą trudno przewidzieć, jak się zachowa. Równie dobrze może dopaść ich kilka dni później.

Robiło mu się już mdło od natłoku myśli. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że znalazł rozwiązanie, dochodził do wniosku, że może tylko pogorszyć sytuację.

Bez względu na wszystko, ich czas kończył się nazajutrz wieczorem.

Wtedy właśnie wskaźnik wykrywacza zaczął skakać jak szalony. Pewnie znów jakieś działo. Znaleźli już trzy.

Już miał to zignorować, kiedy przypomniał sobie Weronikę i właściwy powód, dla którego moczył się w wodzie całymi godzinami. Westchnął głęboko, wydmuchując przez ustnik chmurę bąbelków.

Odłożył na bok wykrywacz i rękoma zaczął odgarniać muł. Trzydzieści centymetrów głębiej natrafił na metalową opaskę okalającą zmurszałe drewno. Kopał dalej myśląc, że może natrafił na jakąś skrzynkę. Ładunek? Na pewno nie sztabki. Do tej pory znajdowali je w małych stosikach, tak jak były pakowane.

Spodziewał się jakichś narzędzi lub czegoś równie prozaicznego. Bez trudu rozgarnął zmurszałe drewno. W środku również był muł. Usunął kilkucentymetrową warstwę i na tym chciał poprzestać.

Wtedy błysnęło złoto.

Kolację tego wieczoru przygotowano równie starannie, jak poprzedniego dnia. Śnieżnobiały obrus, nienaganna obsługa, kryształowe kieliszki do wina. Gdyby nie człowiek z pistoletem stojący w drzwiach, można było ją uznać za

wytworne przyjęcie na eleganckim jachcie.

Głównym daniem była wołowina a la Wellington z groszkiem. Dugan jak zwykle odsunął swój kieliszek. Weronika upiła parę łyków wina, ale niewiele. Za to Emilio i jego syn Teo jedli i pili z prawdziwą przyjemnością.

Mosiężny dzwon, znaleziony przez Dugana, stał na stole na honorowym miejscu. Weronika zerknęła na niego co chwilę, jednocześnie z podziwem i z rozczarowaniem. Nawet Emilio w końcu to zauważył.

- Obejrzyj go sobie, Weroniko, jeśli chcesz. Jest doprawdy piękny. Dugan powtórzył słowa Emilia. Uśmiechnęła się blado i sięgnęła po dzwon.

- Czy to cię nie drażni? - spytał Emilio Dugana.

- Co?

- Tak cały czas wszystko jej powtarzać.

Dugan poczuł we wnętrzu pałacy ogień, coś znacznie silniejszego niż napady strachu, niepokoju i rozpacz, które nękały go przez ostatnie dwa dni. Jakiś morderczy instynkt.

- Nie, ani trochę mnie to nie drażni. Weronika chwyciła go za ramię.

- Dugan, czy coś się stało?

- Nie, do cholery. - Chociaż Emilio udawał szykownego dżentelmena, nie miał bladego pojęcia o elementarnych zasadach kultury. Nie mówiąc już o zwykłej przyzwoitości.

Weronika popatrzyła znowu na dzwon.

- Jest piękny - westchnęła.

To była prawda. Błyszczą, starannie wypolerowany i gdyby niejedno po dłużne wgniecenie, mógłby uchodzić za nowy. Jej palce wodziły po wygrawerowanym napisie - *La Nuestra Señora de Alcantara Deo Gracias 1606*.

- Niewiarygodne, prawda? - Jej głos cichł, kiedy palce delikatnie dotykały mosiądzu. - Wyobrażam sobie, jak bił na alarm w tych ostatnich godzinach.

Ostrożnie odłożyła go na stół.

- Ciekawe, kto nosił te kolczyki, które znaleźliśmy dzisiaj.

- Nigdy się tego nie dowiemy. - Emilio wzruszył ramionami. - Zresztą, jakie to teraz ma znaczenie.

Dugan dostrzegł w oczach Weroniki płomień, gdy powtórzył jego słowa. Zwróciła się prosto do swego prześladowcy i rzekła dobitnie:

- Właśnie, że ma. Liczy się tylko to, co te przedmioty mogą powiedzieć o życiu w dawnych czasach. Na tym polega ich wartość i na to nie ma ceny.

Wzruszył ramionami, uznał, że nie warto się sprzeczać. Kelner bezszelestnie zaczął sprzątać nakrycia, drugi przyniósł kartę deserów.

- Moja historia jest krótka - oświadczył Emilio. - Zostałem sierotą, gdy miałem siedem lat i żyłem na ulicy. Kiedy miałem osiem, umiałem już sam zdobyć jedzenie i ubranie. Historyjek przyjemnie się słucha, ale w życiu liczą się tylko pieniądze. Pieniądze to bezpieczeństwo.

- Szkoda mi pana, Emilio - pokręciła głową Weronika. - Pan nie rozumie magii.

- Magii? Phi, magia jest dla głupców.

Dugan nie silił się na tłumaczenie, ponieważ doskonale zrozumiała sens tej wypowiedzi.

- Mam pieniądze. Dzięki rodzinie matki jestem bogata. Ale moje życie nie miałoby sensu bez tej odrobiny magii.

- W tym nie ma żadnej magii.

- Owszem, jest. Jak pan sądzi, dlaczego maska Matki Burz jest taka cenna? Z racji tego kawałka złota? Nie, jej wartość finansowa i wszelka inna wynika z tego, co sobą przedstawia. A w tym już jest magia. Ponad trzysta lat temu pewna kobieta zakładała maskę, by móc okiełznać szalejące burze i ochraniać w ten sposób swój lud. A kiedy ją miała na twarzy, ona sama i jej lud wierzyli, że utożsamia się z huraganem i staje się Matką Burz. Gdyby w to nie wierzyli,

maska byłaby zwykłym świecidełkiem, niczym szczególnym. Gdyby ją dzisiaj wykonał jakiś artysta, ile mogłaby być warta?

- Jest taka cenna, bo jest unikatem.

- To tylko część prawdy. Na świecie jest wiele unikatów, a wcale nie są takie cenne. Ona jest cenna, bo ludzie jej pragną. A pragną jej, bo wiedzą, czym kiedyś była.

- A pani ją chce z powodu tej legendy. - Wzruszył ramionami. Dugan szybko powtórzył jego słowa. Weronika słuchała uważnie.

- Nie, chcę ją, ponieważ należy do mnie. To moje dziedzictwo. Ponieważ moja matka straciła życie, szukając jej. Z powodu historii, jaką przekazuje i magii, jaka w niej tkwi. Mam nadzieję, że kiedyś założę ją i poczuję więź z tą, która nosiła ją przed laty.

- Niech i tak będzie. - Emilio westchnął. - Jeśli ją znajdziemy, pozwolę, żeby ją pani sobie założyła.

Na pół minuty, pomyślał Dugan. Gdyby jego ktoś pytał o zdanie, Weronika ma zamiar nosić tę maskę tak długo, aż zdobędzie wszystko, o czym marzy. Do diabła, jeśli przyszłoby jej do głowy sterczeć w tej masce podczas sztormu i wyśpiewywać hymny do Matki Burz, z całą pewnością to zrobi. Koniecznie powinni się stąd wynieść.

Taak, to prawda. Jednak czuł wycelowaną w siebie broń i znowu wydało mu się to niemożliwe. Coś mu przyszło do głowy.

- Emilio, mamy mały problem.

- Co takiego?

- Jeśli nie przybędziemy do Key West przed piątkiem, moja sekretarka rozpocznie poszukiwania.

Emilio zmarszczył czoło.

- Skorzystaj z mojego radia. Powiedz jej, żeby tego nie robiła.

- To nie takie proste. Doskonale wie, na jak długo wystarczy nam

prowiantu. Według jej kalkulacji jutro wieczorem zabraknie nam jedzenia. Da mi jeszcze jeden dzień zapasu. Poza tym mam na piątek wyznaczone spotkania z klientami. Nie mogę ich opuścić ani odwołać.

Czekał niecierpliwie, aż Emilio przemyśli sprawę.

- Sam wiesz - zaczął Zaragosa - że mogę zakończyć prace bez was.
-Zabrzmiało to jak pogróżka.

- Wiem. Po prostu ostrzegam przed tym, co może nastąpić.

- Mogę was usunąć i niech sobie straż szuka, ile zechce. Za parę tygodni wrócę i dokończę robotę.

- Zapomniał pan - wtrąciła Weronika - że to ja mam pozwolenie. Nie będzie pan mógł prowadzić prac beze mnie. Przynajmniej przez dłuższy czas. A jeśli znikniemy, wszyscy będą wiedzieć, że maczali w tym palce piraci albo złodzieje. Inaczej nie da się tego wyjaśnić.

- Ona mnie rozumie. - Emilio popatrzył na Dugana.

- Czasami jest w stanie.

- W porządku. - Westchnął. - Przyznaję, że wasze zezwolenia ułatwiają mi zadanie. Ale to wszystko, *comprende?* Pamiętajcie o tym. Jeśli zaczniecie sprawiać kłopoty, zawsze mogę tu wrócić za rok albo dwa. - Spojrzenie Emilio stało się twarde jak stal.

- No cóż, - Dugan poczuł się nieswojo - powiadomię przez radio sekretarkę, ale nie sądzę, żeby to coś dało. Nigdy nie udało mi się jej oszukać. Zapewne nabierze podejrzeń.

Ręce oparł na poręczach krzesła, czekał, co będzie dalej. Słyszał tykanie zegara w głowie, szybsze niż kiedykolwiek dotąd.

- Pomyślę o tym - odezwał się w końcu Emilio. - Jutro rano powiem wam, co zdecydowałem. Na razie poślę z wami strażnika.

A więc jego plan spalił na panewce. Tylko jeszcze bardziej pogorszył sytuację.

Rozdział 21

Była już noc, kiedy wrócili na „Mandolinę”; hiszpańskim zwyczajem Emilio późno jadał posiłki. Dochodziła północ i wszyscy troje czuli się bardzo zmęczeni.

Niestety, jednego ze swych ludzi Zaragosa pozostawił na łodzi. Najwidoczniej zaniepokoił się, kiedy Dugan wspomniał o swojej sekretarce. Obawiał się, że zawiadomiła straż przybrzeżną i nie zamierzał dopuścić, by w razie przybycia ratowników, któreś z nich powiedziało coś, co mogłoby wpędzić go w kłopoty.

Dugan był wściekły, że w porę nie ugryzł się w język.

Zeszli na dół, a facet z pistoletem i ohydny nożem został na pokładzie. Luk kazał im zostawić otwarty i przez to nie mogli swobodnie rozmawiać.

- Idę się położyć - odezwała się Weronika.

Według Dugana nie wyglądała dobrze. W porównaniu z emocjami, które wcześniej było po niej widać, teraz - chyba z powodu obecności strażnika na pokładzie - z jej oczu wyzierała pustka, jakby straciła resztki nadziei.

- Musimy porozmawiać - powiedział. Tam natychmiast się ożywił i spojrzał pytająco. Weronika jednak nie chwyciła jego słów.

- Słucham?

Położył palec na ustach i wskazał na sufit. Mówiła dość głośno, zdawał więc sobie sprawę, że będzie ją słyszeć na górze, zwłaszcza przy otwartym luku.

Przyjęła to bez urazy. Rozłożyła tylko ręce w geście bezradności.

Wziął ze stolika notes, ołówek i szybko napisał. „Musimy porozmawiać. Po cichu. W twojej kabinie”.

Skinęła głową i natychmiast skierowała się do kajuty, a oni za nią.

Dugan zamknął za sobą drzwi i ponownie położył palec na ustach. Napisał na kartce: „Musimy mówić cicho, bo inaczej nas usłyszy”.

Weronika przytaknęła bez słów, po czym napisała: „Będę pisała”.

- Dobrze - odparł cicho. - Czy słyszysz mnie? Przytaknęła.

- W porządku. Dziś w nocy wynosimy się stąd.

- Człowieku, o czym ty mówisz? - wtrącił Tam. - Przecież tam jest strażnik. Emilio nas załatwi.

- Tak, jeśli coś go do tego zmusi - zgodził się Dugan. - Trudno, spieprzyłem sprawę.

Weronika cicho jęknęła.

- Zaplanowałem, że wypłyniemy tej nocy i dlatego chciałem uspić jego czujność. Liczyłem, że uzna, iż do piątku będzie miał spokój, ale pomyliłem się.

Weronika skinęła głową.

- Nie wyszło - skostatował Tam.

- Niestety. Przeze mnie zaczął coś podejrzewać.

„Nie przejmuj się - napisała Weronika. - I tak nie ruszymy się stąd bez maski. To nasze jedyne zabezpieczenie, także na przyszłość. Zresztą, nie mamy jak uciec”.

Podsunęła kartkę Duganowi, który szybko przebiegł ją oczami.

- Jesteś kochana - powiedział. - Spieprzyłem okazję. Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to ten strażnik.

- Już dobrze - przeciął Tam. - Wracajmy do rzeczy. Jak mielibyśmy się stąd wydostać?

- Rąbniemy tratwę.

- Nie. - Wyrwało się Weronice. Połapała się i wzięła od Dugana kartkę.

„Nie! To zbyt niebezpieczne”.

Dugan odpisał wielkimi literami: COKOLWIEK TERAZ USŁYSZYSZ, BĄDŹ CICHO.

Skinęła głową i zasłoniła usta ręką.

- No dobrze. Znalazłem maskę.

Ona i Tam byli zaszokowani, aż zamarli z wrażenia. Po chwili Tam gwizdnął cicho, a ona pisnęła, ale natychmiast przycisnęła dłoń do ust. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nie żartuj ze mnie - odezwała się.

- Ciii... - Znów położył palec na ustach. - Weroniko, jesteś słodka jak miód, ale mówisz zdecydowanie za głośno. Pilnuj się, dobrze?

- Powiedz wreszcie, na Boga. Mów - wyszeptała.

- Natknąłem się na nią przy ostatnim zejściu. Nie żartuję: Odpłynąłem trochę dalej, żeby spokojnie pomyśleć, jak stąd uciec. Była pod przegniłym drewnem z żelazną obejmą, chyba w jakiejś skrzynce. I gwarantuję, że to jest twoja maska.

- Jak wygląda, narysuj, proszę! - wyszeptała rozdygotana.

Usłuchał, wziął kartkę i z grubszą naszkicował maskę, z dużymi wycięciami na oczy, wydatnym nosem i małym otworem na usta. Krawędzie ozdabiały spirale imitujące huragan.

- To ona - wyszeptała Weronika z nabożną czcią. - Och, to naprawdę ona. - Z przejęciem wodziła palcami po rysunku. - Mogę ją zobaczyć?

- Ukryłem ją.

- Gdzie?

- Pod łodzią, w tym świństwie, które zablokowało śrubę. Spojrzała ponownie na rysunek.

- Mój Boże, wiesz co to oznacza?

- Później - odpowiedział. - Zostawmy to na później. Teraz musimy się stąd zabierać. Mój plan jest prosty. Poczekamy jeszcze parę godzin. Spróbujemy

namówić strażnika na kielicha. Tam, masz ze sobą butelkę, prawda?

- Skąd wiesz?

- A ruszyłeś się kiedykolwiek bez niej? Będzie potrzebna. Trzeba dać się facetowi napić, żeby przysnął. Potem popłynę po tratwę. Musisz go jakoś zagadać, gdyby się obudził.

- Nie ma sprawy - zgodził się Tam.

- Może trzeba go będzie unieszkodliwić - dodał Dugan.

- Unieszkodliwić? - powtórzyła Weronika z odrazą, na szczęście po cichu.

- Związać go, żeby nie podniósł alarmu. Zrobimy to tylko w ostateczności, bo ma przy sobie radio i założę się, że musi regularnie się zgłaszać.

- Na pewno. - Tam przyznał mu rację.

- Krótko mówiąc: przyciągam tratwę, bierzemy maskę i spieprzamy. Kiedy odpłyniemy dalej w morze, włączymy awaryjną radiolatarnię, a straż znajdzie nas, zanim zrobi to „Conchita”.

Zatoka Meksykańska to wielkie połacie wody, a dryfująca tratwa nie zostawia za sobą żadnego śladu. Dzięki nadajnikowi straż przybrzeżna będzie w stanie ją namierzyć, „Conchita” - nie. Zresztą Dugan nie przejmował się zbytnio, czy ktoś ich znajdzie. Był gotów pokonać całą odległość do brzegu nawet na samych wiosłach. Wszystko jest lepsze, niż tkwić tutaj i czekać jak owce na rzeź.

Powiedział Tamowi, żeby wziął butelkę i poszedł na pokład. Wkrótce usłyszeli na górze śmiechy. Na razie szło dobrze.

Pół godziny później zszedł Tam i zdał im relację. Zaproponował strażnikowi, żeby sobie łyknął, a ten chętnie pociągnął. Tam zostawił więc butelkę na górze i wrócił. Teraz tylko muszą czekać, żeby facet wypił więcej. Dużo więcej.

Weronika była zbyt przejęta, żeby spać, jednakże Dugan namówił ją, by wyciągnęła się na koi i odpoczęła przed drogą. Potem założył piankę. Było mu

gorąco i niewygodnie, chociaż nie sięgała mu nawet do kolan.

Usiadł obok Weroniki, wpatrując się w fosforyzującą tarczę zegarka. Pogasili wszystkie światła, żeby stworzyć pozory, że śpią. Jego wzrok przyzwyczajał się do ciemności. „Mandolina” kołysała łagodnie, czuł się nieomal jak dziecko w kołysce.

To wspaniała łódź, pomyślał. Jeśli uda mu się wydostać z tego bagna, pożegluje w długi rejs, sam jeden. Żadnych archeologicznych problemów, żadnych bandziorów, tylko jeden człowiek i morze.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę - doszedł go w ciemnościach szept Weroniki.

Nie wiedział, jak jej odpowiedzieć, przecież nie widziała jego ust.

W odpowiedzi tylko coś mruknął.

- Czy rzeczywiście jest taka piękna?

- Ummm - przytaknął, choć miał trochę inne zdanie. Była zbyt masywna i bynajmniej nie oszałamiała kunsztem wykonania. Biorąc jednak pod uwagę narzędzia, jakimi dysponowali jej twórcy, stworzyli prawdziwe dzieło sztuki.

Wyciągnęła rękę, próbując coś odnaleźć. Jej dłoń spoczęła na jego gołym kolanie, aż przeszedł go przyjemny dreszczyk. Nie pora na to Dugan, powiedział do siebie. Nie ma mowy.

- Dziękuję, że ją odnalazłeś.

Chciał powiedzieć, że to tylko ślepy traf, ale dał spokój. Nie chodzi jej przecież o niego ani jak na nią trafił. Interesowała ją wyłącznie maska. Zabierze ją i zniknie z jego życia, jeśli tylko zdoła z tego wszystkiego wyjść cało.

Wyobraził to sobie, jakby dotykał językiem bolącego zęba, aż poczuł nieprzyjemne ukłucie. Nie przejmuj się, pomyślał, byli już tacy, którzy odchodzili bez śladu.

Powoli mijały minuty. Zaczął nasłuchiwać odgłosów z góry. To lepsze, niż dać się uśpić kołysaniem łodzi albo... myśleć wciąż o ręce Weroniki na jego

kolanie.

Byłoby łatwiej, dużo łatwiej, gdyby tak mógł skrócić czas, Kochając się z nią. To jednak niemożliwe... z wielu powodów. Nie miał ochoty, żeby strażnik podsłuchał ich; miałby niezły ubaw. Po drugie, uspiłoby to jego czujność. No i w końcu.... w końcu... nie miał zamiaru dopuścić, by Weronika znów była tak blisko. To, co między nimi zaszło, było jak narkotyczny trans. Mowy nie ma, nie będzie znów ryzykował... Za każdym razem jej pazurki wbijają się w jego duszę coraz głębiej. Wciąż jeszcze mógł się wycofać bez śmiertelnych obrażeń. Potem, kiedy te pazurki zagłębią się jeszcze bardziej, nie będzie odwrotu.

Zerknął na zegarek. Minał kwadrans. Weronika spała od paru minut. Strażnik nie dawał znaku życia. Dugan nie był pewien, ale wydawało mu się, że koło pierwszej słyszał, jak rozmawiał przez radio. Może miał polecenie meldować się co godzinę? Najlepiej będzie poczekać, aż minie druga, wtedy wyruszy.

Jednego był pewien. Facet musi być okropnie zmęczony. Ludzie Emilia nie wyglądali na doświadczonych, takich, co to w razie potrzeby mogą nie spać i dwa dni. A większość zwykłych ludzi o tej właśnie porze ogarnia nieprzeparta senność.

Nie modlił się często, lecz teraz prosił Boga, by strażnik się ululił. Dlaczego by nie? Musiał przecież zadać sobie pytanie, po co ma ich pilnować, skoro i tak nie uciekną zepsutą łodzią?

O drugiej ponownie usłyszał jego głos, prawdopodobnie rozmawiał z kimś na „Conchicie”. W tym momencie do kabiny wszedł Tam.

- Gotowy? - wyszeptał.

- Jeszcze nie. Strażnik nadaje właśnie przez radio. Poczekajmy trochę. Weronika poruszyła się i jej ręka zsunęła się z jego kolana. Natychmiast zaczęło mu czegoś brakować.

- Dugan?

- Ciii.... - Złapał ją za rękę. - Miał nadzieję, że usłyszy.

- Dugan? W ciemności zamajaczyła twarz Weroniki. Nie namyślając się wiele, zamknął jej usta pocałunkiem. Niemal go poraziło, kiedy poczuł miękkie wargi. Miękkie i chętne. Z trudem oderwał od nich usta.

Usiadła, w ciemnej kabinie ledwo ją było widać. Niedobrze, pomyślał. Nie będzie w stanie zrozumieć, co on mówi.

- Chryste - wymamrotał. Nie pozostało mu nic innego, tylko nachylić się, przyciągnąć ją ramieniem i dotknąć ustami ucha.

- Cicho. Nie ruszaj się.

Najwidoczniej rozumiała, bo pokiwała głową.

- Czekaemy.

Czekali. Powoli minął kolejny nerwowy kwadrans. Wreszcie Dugan się zdecydował.

- Zobacz, co z nim - poprosił Tama.

Ten kiwnął i zniknął w ciemności. W razie czego miał pretekst - zostawiona butelka whisky.

Dugan wziął Weronikę za rękę i poszedł za nim, zatrzymując się przy stopniach prowadzących na pokład. Po trzech nieskończone długich minutach pojawił się cień Tama.

- Śpi.

Odwrócił się do Weroniki i ścisnął jej rękę na znak, żeby została na miejscu, po czym dał do zrozumienia, żeby włożyła słuchawki do wodoszczelnej saszetki. Skinęła głową.

Dzięki Bogu noc była jasna, za światło gwiazd odbijało się w wodzie. Inaczej niechybnie by się potopili, on i niesłysząca Weronika. A tak przynajmniej zobaczy jego znaki.

Wszedł na zejściówkę, chwilę później był już za burtą. Tam usiadł na ławce niedaleko strażnika, z butelką w rękę, jakby popijał sobie na świeżym

powietrzu.

Woda była ciepła, jak zawsze w tych stronach, lecz dużo chłodniejsza niż rozgrzane ciało. Przez pierwsze sekundy było mu nieprzyjemnie, potem jednak przestał odczuwać chłód. Płynął miarowo w kierunku jasno oświetlonej „Conchity”.

Dobrze, że tratwa była czarna. Pięć minut później przecinał linkę, którą przywiązana była do „Conchity”. Na pokładzie nie było widać nikogo. Dzięki Bogu, dzięki Bogu! W głowie kołatały mu się błagalne modlitwy, serce waliło jak młotem.

Holowanie tratwy do „Mandoliny” było dużo trudniejsze, niż przypuszczał. Fale nie były zbyt wysokie, jednak uderzały mocno i łatwo mogły mu wyrwać linkę z rąk. Tratwa, choć lekka, stawiała opór przy każdym uderzeniu.

Po dziesięciu minutach był już z powrotem. Wokoło panowała cisza. Przyciągnął tratwę do łodzi, do miejsca, gdzie nie można jej było dostrzec z jachtu. Tam przechylił się, chwycił linkę i starał się ją przymocować do knagi przy rufie. Wstrzymując oddech, zanurzył się pod wodę, by z kryjówki wydobyć maskę.

Weronika omal nie wyskoczyła ze skóry. Nie docierały do niej żadne dźwięki, bo za radą Dugana słuchawki trzymała w saszetce przy pasku. Miał oczywiście rację, na tratwie każda kropla mogłaby je uszkodzić.

Jeśli w ogóle zdołają się na nią dostać. Jeśli uda im się stąd odpłynąć.

Przez myśl przemknęły jej koszmarne wizje, na plecach poczuła lodowate macki strachu. Pierwszy raz w życiu czekała ją taka noc, a wywołane głuchotą poczucie izolacji przerażało ją jeszcze bardziej.

Skąd będzie wiedziała, jeśli coś pójdzie nie tak? Nawet jeżeli ktoś będzie próbował ją ostrzec i tak nie usłyszy. Wyobrażenia podsuwała jej coraz to nowe przerażające obrazy.

Ale jaki miała wybór? Co innego mogła zrobić? Emilio groził ojcu, groził

jej, groził Duganowi. Gdyby nawet z początku nie wierzyła w jego pogroźki, teraz obecność strażnika na pokładzie przekonała ją całkowicie. Cała w nerwach cichutko weszła na schodki i wyjrzała na zewnątrz. Strażnik wciąż drzemał, Tam siedział bez ruchu na ławce. Gdzie był Dugan? Czy przyholował już tratwę?

W tym momencie poczuła lekkie uderzenie o kadłub. Boże, co teraz będzie?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać. Stuk obudził ich stróża, który skoczył na równe nogi. Tam wciąż siedział na ławce, widziała jego uspokajające gesty, zdawało się jej, że coś mówi. Cofnęła się w obawie, że strażnik ją zobaczy, lecz po chwili znów wysunęła głowę.

Teraz obaj byli odwrócenii do niej plecami i patrzyli w kierunku rufy. Coś tam się działo, miała złe przeczucia. Gesty Tama stawały się coraz bardziej gwałtowne, jakby się o coś wyklócał. Boże, tak bardzo chciała teraz słyszeć.

Spodziejając się, że Tam może potrzebować pomocy, zaczęła wspinać się do kokpitu i zdezorientowana w ciemnościach niechętnie oparła się o radio.

Tam obejrzał się gwałtownie - patrzył na nią w popłochu. Również strażnik odwrócił się i chwycił za broń.

I wtedy rozpętało się piekło.

Dugan był pod wodą, kiedy doszły go przytłumione dźwięki. Serce łomotało mu jak szalone, gdy usiłował przytroczyć woreczek z maską do jednej z taśm opasujących tratwę. Po chwili, trwającej całą wieczność, udało się.

Mocnym kopnięciem odepchnął się i wynurzył na powierzchnię. Usłyszał strzały, trzaski radia, a po chwili jakiś głos. Z jego tonu domyślił się, że to straż przybrzeżna z Key West pyta, co się u nich dzieje.

Drugie kopnięcie - i był już z tyłu łodzi. Ujrzał Tama mocującego się ze strażnikiem, słyszał krzyki dochodzące od strony „Conchity”. Wiedział, że liczy się każda sekunda. Kolejnym potężnym pchnięciem wybił się z wody, złapał za

uchwyt przy rufie i wciągnął na łódź.

Na pokładzie panował chaos. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację. Tam walczył ze strażnikiem, błysnęła stal, chyba nóż. Weronika, z bosakiem w ręku, ruszała w ich kierunku. Głos w radiu wciąż domagał się odpowiedzi.

Nagle walczący mężczyźni potykając się ruszyli w kierunku burty, przy której zacumowana była tratwa. Chwilę potem Tam zawył z bólu, chwycił się za bok, zatoczył i zniknął z pola widzenia.

Dugan nie słyszał plusku wody, domyślił się więc, że spadł prosto na tratwę. Strażnik siłował się z linką przywiązaną do rufy.

Weronika rzuciła się do przodu z wymierzonym w niego bosakiem. Wtedy ją spostrzegł. Uskoczył, ostrze haka przeszło obok, ona z całym impetem wpadła na burzę, a bosak poszybował prosto do wody.

Teraz przyszła kolej na Dugana, uzbrojonego tylko w mały nóż, jakich używają nurkowie. Przeciwnik wymachiwał dużo większym, na którym widać było ciemne plamy. Krew Tama.

Z lewej dobiegały go krzyki z „Conchity”. Na jachcie włączono wszystkie światła, wokoło zrobiło się jaśniej. W każdej sekundzie mogą zacząć strzelać albo wysłać motorówkę, pomyślał. Czas uciekał.

Nagle poczuł ogromny przyływ siły, jakby coś w niego wstąpiło. Nie widział nic oprócz faceta z nożem. Nie miał czasu na uniki, zwody, parowanie ciosów. Tam musiał wcześniej wytrącić mu pistolet, ale gdyby z jachtu zdążyła nadejść pomoc, to i tak nie miałyby znaczenia.

Miał jeden ruch, może dwa. Jeśli go nie pokona od razu, będą skończeni. Nie czuł żadnego strachu, żadnego napięcia. Myślał jedynie, że to ostatnia szansa, by uratować Weronikę.

Miał wrażenie, że to nie on, a ktoś inny skacze do przodu, lewą ręką chwytając prawe przedramię wroga i blokuje cios. To nie jego, a czyjaś inna ręka wbija nóż w bok strażnika, a skóra, mięśnie i kości nie stawiają najmniejszego

oporu.

Zobaczył, jak oczy przeciwnika rozszerzają się, jak słania się na nogach. Strażnik zatoczył jeszcze ręką łuk, bezwiednie kierując na siebie ostrze własnego noża. Czy upadł na niego, czy nie, Dugan nie czekał, żeby się przekonać.

W dwóch susach doskoczył do Weroniki, która dopiero teraz zdołała głęboko odetchnąć. Podniósł ją i pociągnął za sobą, spoglądając niespokojnie w stronę jachtu. Do motorówki wsiadali ludzie. Był już najwyższy czas.

- Musimy uciekać-wskazał na jacht.

Skinęła głową.

- Gotowa?

- A Tam?

- Jest w tratwie.

Znów kiwnęła głową. Podeszli do burty. Po tratwie nie było śladu. Tylko linka luźno zwisała z knagi.

Rozdział 22

Tratwa zniknęła. Odpłynęła od „Mandoliny”, jakby jej tam nigdy nie było. Weronika poczuła, jak Dugan ściska jej dłoń. Spojrzała na niego w nadziei, że coś usłyszy. Nic. Wiedziała tylko, że ludzie Emilia będą tu lada chwila, a oni nie mają dokąd uciec.

- Do wody - rzucił Dugan. Wyczytała to z jego ust, choć nie dotarł do niej żaden dźwięk. Na szczęście mówił wyraźnie.

- Zabiją nas...

Dodał coś i pokazał na migi, że muszą skakać. Zsunęła tenisówki, teraz już niepotrzebne i miała nadzieję, że podkoszulek i szorty nie będą bardzo przeszkadzały. Pomyślała przez sekundę o swoich uszach, nie miała przecież zatyczek, ale dała spokój. Nie miało to teraz znaczenia.

Wyciągnął ze schowka kamizelkę ratunkową i pomógł jej założyć.

- A ty? - zapytała. Pokręcił tylko głową.

Trzymając się za ręce skoczyli z łodzi. Woda była zimna, lecz do wytrzymania. Przez chwilę wpadła w panikę - było ciemno, nie wiedziała gdzie dno, gdzie powierzchnia.

Ale Dugan cały czas mocno ją trzymał i za moment byli już na powierzchni. Zerknęła na niego, lecz on miał głowę zwróconą w kierunku jachtu. Bez słowa wsunął jej rękę za pas piankowego kombinezonu. Zwykle wkładał tam obciążniki, teraz została tylko pochwa od noża.

Zaczęli oddalać się od „Mandoliny”. Doskonale wiedziała, że musi się go trzymać, że nie wolno im się rozdzielić. Pracując nogami i zagarniając wodę wolną ręką, pomagała jak mogła. Z każdym ruchem, powoli oddalali się od rozjaśnionego jachtu; płynęli w ciemne, bezkresne morze.

Usłyszała warkot zapuszczanego silnika i zaskoczyło ją, że słyszy go tak

wyraźnie. To woda, uświadomiła sobie. Jakby woda przenosiła dźwięki wprost do jej ciała.

Po chwili usłyszała coś jeszcze. Silniejszy i niższy odgłos innego silnika.

Mocno szarpnęła za pasek Dugana. Zwrócił twarz w jej stronę.

- Słyszysz? - zapytała. - Jakaś wielka łódź.

Rozejrzał się we wszystkich kierunkach, ale nie widział nic, poza oświetloną „Conchitą” i małym cieniem „Mandoliny”.

Spojrzał na nią i mając nadzieję, że zdoła go zrozumieć - zapytał.

- Jesteś pewna?

Najpewniej nie była, gdyż wskazała tylko kierunek, z którego przyплыnęli.

Inna łódź, pomyślał. To możliwe. Ale czy im pomoże? Szansa, że w tych ciemnościach ich zobaczą, była tak nikła, że nawet o tym nie marzył. Koniecznie musieli znaleźć tratwę. Dlatego, że Tam mógł się wykrwawić na śmierć, i dlatego, że sami jej potrzebowali. Zrezygnował z kamizelki, żeby nie opóźniać ucieczki, ale nie wiedział doprawdy, jak długo zdoła bez niej płynąć. Nawet w dziennym świetle prawdopodobieństwo, że ich znajdą, było bliskie zera. Muszą się trzymać w pobliżu „Mandoliny”, z której wysłano sygnał o pomoc - dlaczego Tam lub Weronika to zrobili, nie wiedział. O świcie straż przybrzeżna zacznie ich szukać. Jednakże Tam...

Rozejrzał się, próbując dostrzec tratwę, ale wiedział, że to na nic. Przedtem jej czarny kolor wydawał się błogosławieństwem, teraz go przeklinał. Mogła być dwadzieścia metrów od nich i też by jej nie zobaczył. Patrząc na Weronikę, powiedział najwyraźniej, jak mógł.

- Musimy odszukać Tama.

Skinęła głową. Może zrozumiała, a może odczytała tylko imię i reszty się domyśliła.

Teraz i on usłyszał silnik. To musiała być duża łódź. Serce zabiło mu mocniej na myśl, że to kuter straży przybrzeżnej, spieszący im na pomoc.

- Słyszysz to? - spytała Weronika. - Słyszysz?

Pokiwał głową. W tym momencie fala zalała mu twarz i poczuł smak słonej wody.

Weronika pokazała ręką. Spojrzał i zapało mu dech. Duży, ciemny kształt wyłonił się z ciemności, płynąc prosto w kierunku „Conchity”. Weronika uniosła rękę, jakby zamierzała machać i wołać, ale Dugan powstrzymał ją, kręcąc przy tym zdecydowanie głową.

To nie była straż. Był to ogromny jacht, który płynął bez świateł. Jak pirat. Jezu, co teraz?

Zwolnił i po chwili był już przy „Conchicie”. Czyżby sojusznicy Emilia?

Po wodzie rozniosły się odgłosy strzałów. Dugan poczuł się nieswojo. Znowu wypalił pistolet, potem jeszcze raz. Po paru minutach „Conchitą” podniosła kotwicę i zaczęła znikać w ciemnościach, a tuż za nią podążała tajemnicza łódź. W oddali niewyraźnie majaczyła „Mandolina”.

Wszystko stało się tak szybko. Dugan i Weronika zostali sami pośród otaczającej ich zewsząd wody.

W uszach Weroniki od czasu do czasu rozlegało się dzwonienie. W zasadzie nie słyszała nic, tylko co pewien czas to dziwne ćwierkanie, jakby dzwonił telefon.

Odległy, bardzo wysoki dźwięk, trwający jedynie sekundę, może dwie. Czyżby to tylko złudzenie? Ale nie, znów się odezwał....

To było na granicy słyszalności. Dźwięki o wysokiej częstotliwości, których zdolności słyszenia nie utraciła.

Pojawiały się nieoczekiwanie, ale uderzyło ją, że były bardzo regularne. Jak... Nie mogła znaleźć porównania. Na pewno już je słyszała, ale nie mogła ich z niczym skojarzyć.

Dugan przyciągnął ją bliżej. Teraz, w tej pustce, mógł krzyczeć bez obaw.

- Musimy wracać do łodzi! - wrzasnął.

- A Tam?

- Tak go nie znajdziemy. Jesteśmy zbyt nisko. Potrzebujemy świateł.
Zrozumiała. I nagle coś zabłyśło jej w głowie.

- Słyszę tratwę.

- Co?

- Słyszę tratwę!

Nawet w tych ciemnościach zobaczyła niedowierzanie w jego oczach. Była głucha. Dlaczego miałby jej wierzyć?

- Słyszę jakiś elektroniczny sygnał, włącza się i wyłącza. Pulsuje. Poznaje te dźwięki.

- Jakim cudem? Ja słyszę tylko fale.

- A ja ich nie słyszę. Tylko ten przerywany pisk. I twój wrzask.

- Ale...

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Posłuchaj mnie. Nie słyszę tylko w średnim zakresie, a to prawie wszystkie codzienne odgłosy. Odbieram natomiast bardzo wysokie dźwięki.

- Przecież tratwa nie wydaje żadnych dźwięków! - krzyknął zdezorientowany.

- Chyba, że Tam włączył awaryjną radiolatarnię. Zrozumiał.

- Gdzie? - zawołał.

Wskazała ręką na lewo, gdzieś za „Mandoliną”.

- W tamtym kierunku.

Ponownie zaczepił jej rękę za pasek i popłynął we wskazanym kierunku. Fale bez ustanku biły ją w twarz, podświadomie wyczuwała, że zbliża się burza. Tak jakby morze przekazywało jej wiadomość. Muszą odnaleźć Tama, zanim morze się rozkołysze. Zanim nadejdzie sztorm.

Po chwili, trwającej wieczność, Dugan zatrzymał się, łapiąc oddech. Weronika wyteżyła słuch. Piski nie zanikały. Powtarzały się i były teraz

głośniejsze.

- Jesteśmy bliżej, Dugan, jesteśmy bliżej.

Skinął głową, z trudem łapiąc oddech, wzrokiem przebijał ciemność. Coś powiedział, ale nie zrozumiała.

Starła się skoncentrować tylko na dźwięku, który się gubił z każdym uderzeniem fali. Powoli ustaliła dokładny kierunek.

W tej samej chwili dostrzegła słabe światełko. Migotało w oparach mgiełki, przykrywającej wodę grubą chustą.

- Jest! - krzyknęła uradowana. - Tam, ledwo je widać! Zajęło mu parę chwil, nim je zobaczył. Odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem, coś mówiąc.

- Głośniej, krzycz do mnie.

- Dopłyniesz sama do łodzi? Obejrzała się przez ramię. Nie było daleko, może trzysta metrów.

- Tak. A co z tratwą? Wskazał palcem na nią, potem na „Mandolinę”. Znów palcem na siebie, a następnie na pulsujące, niewyraźne światełko.

- Nie... - poczuła strach. - Możesz się zgubić w tych ciemnościach. Nie pozwolę, żebyś płynął sam.

- Nie ma innego wyjścia. Razem nie zdołamy dopłynąć.

Miał rację. Owszem, umiała pływać, ale nie tak dobrze jak on, a machanie ręką przez ostatnie pół godziny mocno nadwątliło jej siły. Nie miała na sobie kombinezonu piankowego i zaczynała marznąć. Tylko by mu zawadzała.

Chwycił ją za podbródek, drugą ręką cały czas zagarniał wodę.

- Włącz na łodzi wszystkie światła!

- Dobrze.

- W razie czego skacz do wody!

- Tak.

Wykrzykiwał te słowa, w jego głosie wyczuwała napięcie. Dobrze

rozumiała, że musi ratować Tama. Ale, Boże, nie mogła go przecież stracić.

Potem pocałował ją. To nie był prawdziwy pocałunek, gdyż z trudem utrzymywał głowę nad wodą, ale poczuła go aż po koniuszki palców u nóg.

Machnął jej ręką i odpłynął. Patrzyła za nim, pełna bólu i obaw. Jeśli nie wróci...

Nie było czasu na rozmyślania. Próbując wykrzesać z siebie resztki sił, przypomniała sobie, że w każdej chwili mogą pojawić się rekiny. Popłynęła w stronę ciemnej sylwetki łodzi.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że rekiny mogą zaatakować i Dugana. Zaczęła się modlić tak żarliwie, jak nigdy w życiu.

Miała jeszcze na tyle siły, żeby wdrapać się po drabince na pokład. Kiedy tylko poczuła deski pod nogami upadła wyczerpana, niezdolna do najmniejszego ruchu.

Wówczas zobaczyła ciało. Kompletnie zapomniała o leżącym pod burką strażniku. Żołądek podszedł jej do gardła, zmusiła się, żeby wstać. Była w pułapce, z martwym ciałem w zepsutej łodzi. Poczowała, jak przechodzą ją ciarki.

Musiała teraz oświetlić łódź dla Dugana. Starając się nie patrzeć na strażnika, pozapalała wszystkie światła na pokładzie i w sterówce. Nawet w pomieszczeniach na dole włączyła lampy i odsunęła zasłonki.

Nie chciała tam zostać, czuła się całkowicie odcięta od świata. Niechętnie wróciła na pokład, próbując nie widzieć martwej, ciemnej postaci.

O ile rzeczywiście była martwa. Ścisnęło ją w gardle. Odrętwiała patrzyła na leżącego i nie wiedziała, co robić. Nie chciała go dotykać. Chciała, żeby go tu nie było. Ale jeśli żyje i potrzebuje pomocy? Czy może go tak zostawić?

Przypomniała sobie o glocku, który Dugan trzymał w szufladzie w mesie, i zeszła po niego. Nie wiedziała, czy był odbezpieczony i czy w ogóle był załadowany. W razie potrzeby, zawsze będzie mogła nim postraszyć.

Kiedy wróciła na górę, doznała szoku. Na pokładzie stał mężczyzna.

Widziała go już przedtem.

Luis Gallegos zobaczył pistolet i podniósł ręce do góry.

- Nie strzelaj - powiedział.

Nie mogła go słyszeć. Jej słuchawki były wciąż schowane w saszetce przy pasku. Lewą ręką, drżącą ze zdenerwowania, sięgnęła do woreczka. Wyjęła słuchawkę i z trudnością umieściła ją w uchu. Następnie przełożyła pistolet do drugiej ręki, wyciągnęła drugą słuchawkę i włożyła ją.

Noc nagle ożyła. Weronika znów słyszała ogłuszający świst wiatru, uderzenia wzburzonych fal o kadłub.

- Siadaj! - rozkazała Luisowi. - Co tutaj robisz? Odpowiedział coś, ale zrozumiała tylko kilka słów.

- Czy on nie żyje? - pokazała na strażnika.

Luis pokiwał twierdząco. Widziała jego uniesione do góry ręce, przerażoną twarz...

Stała przy kokpicie, odwrócona tyłem do radia, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że jest włączone. Pewnie włączyło się, kiedy je potrąciła. To właśnie głos z radia musiał przestraszyć strażnika, który wyciągnął broń.

Targała nią rozpacz i wątpliwości. Jej głuchota mogła kosztować Tama życie. Kim ona jest, że ma prawo trzymać tego człowieka na muszce, nie wiedząc nawet, czy broń wystrzeli, gdy pociągnie za spust. Przez nią Dugan płynie teraz gdzieś w ciemnościach, szukając przyjaciela, który może właśnie umiera.

Nie. Nie może tak myśleć. Musi się wziąć w garść. Potrąciła radio i włączyła je, ale to był czysty przypadek.

W głębi duszy jednak wciąż czuła się winna.

Upływały minuty. Glock coraz bardziej ciążył jej w ręku. Luis próbował coś powiedzieć, lecz kazała mu się zamknąć. Nie była w stanie go zrozumieć i nie miała zamiaru się wysilać. Boże, tak bardzo pragnęła połączyć się ze strażą

przybrzeżną, poinformować, co się stało.

Niech tylko wróci Dugan. Jeśli wróci... Wiatr się wzmaczał, morze szalało coraz mocniej, a on tam...

Tak bardzo się o niego bała.

Niełatwo jest znaleźć ruchomy cel, a tratwa była właśnie takim celem, niesionym przez piętrzące się fale. Kiedy Dugan zwolnił, żeby złapać oddech, spostrzegł, że na zachodzie gwiazdy znikły, jakby zgarnięte potężną łapą. Zbliżała się burza. Miał coraz mniej czasu.

Migające, blade światełko było teraz dużo wyraźniejsze. Obejrzał się, światła „Mandoliny” miał wciąż w zasięgu wzroku. Sygnalizator na tratwie i automatyczne sygnały z łodzi powinny sprowadzić straż wraz ze świtem. Powinny. Nie dopuszczał do siebie innej myśli.

Bolały go mięśnie, zmęczone od nieustannego machania rękami, ale oddech wyrównał się i uspokoił. Wziął jeszcze kilka głębokich wdechów i ruszył dalej.

Dzięki Bogu, że Tam był na tyle przytomny, by włączyć radiolatarnię.

Miał nadzieję, że przyjaciel nie wykrwawił się na śmierć.

Jak długo płynie? Nie miał pojęcia. Na horyzoncie nie było widać żadnych oznak wschodu słońca, nie mogło więc upłynąć dużo czasu. Kiedy wreszcie nadejdzie świt? Nie wiedział. Czuł się jak w pułapce, z której nie ma ucieczki. Ogarniało go przerażenie, ciemność i morze napierały z każdej strony. Boże, co za głupota płynąć samotnie w nocy.

W pewnym momencie ognik zniknął. Był bliski paniki, ale opanował się. Teraz tylko dzięki światłom „Mandoliny” za plecami mógł orientować się w ciemnościach.

Z niepokojem pomyślał o Weronice. Powinien poczekać i zobaczyć, czy

dostała się na pokład. Cholera, wiele rzeczy powinien zrobić zupełnie inaczej. Ale w końcu nie był supermanem, a dzisiejszy wieczór doskonale to udowodnił.

Blade światełko pojawiło się ponownie, dodało mu sił. Jego ramiona i nogi pracowały teraz, jakby płynął setkę na olimpiadzie. Tyle, że na olimpijskim basenie nie ma fal, smagających po twarzy i rzucających człowiekiem jak korkiem.

Światło stawało się coraz wyraźniejsze. Wydawało mu się nawet, że przed oczami mignął mu cień tratwy, ciemny kształt na rozświetlonych gwiazdami falach. Poczł przyplływ adrenaliny i zdwoił wysiłki.

Chwilę później, kiedy jego mięśnie zaczynały już przypominać sflaczałą gumę, uderzył głową w coś twardego. Pracując mocno nogami, uniósł głowę. Tratwa była tuż przed nim. Nie pozwolił jej uciec, chwycił kurczowo za jedną z linek.

- Tam? Tam?

Nie było odpowiedzi. Brakło mu tchu, musiał odpocząć. Wreszcie zebrał się w sobie, podciągnął i całym ciężarem zwałił się do środka.

Tam leżał nieprzytomny i ledwo oddychał. Lepka kałuża świadczyła, że wciąż krwawi. Dugan po omacku badał jego ciało, aż znalazł ranę. Rozerwał mu podkoszulek i takim prowizorycznym bandażem owinał mu bok w nadziei, że zatamuje krew.

Nic więcej nie mógł zrobić. Upłynął kwadrans, zanim zebrał resztki sił i zabrał się do wiosłowania.

Nie wiedział, czy zdoła dopłynąć. „Mandolina” zdawała się być tak daleko. A jeśli zacznie padać...

Rozmyślenia na nic się na zdadzą, uznał. Zanurzył wiosło i zaczął mozolnie zagarniać wodę.

Burza nadeszła przed świtem. Wiatr wył przeraźliwie, dookoła piętrzyły się fale, zupełnie jak podczas huraganu trzysta lat temu. „Mandoliną” rzucało na wszystkie strony. Niebo przecinały błyskawice, Weronika czuła jak jej włosy elektryzują.

Luis, wstrząsany napadami choroby morskiej, padł wyczerpany na pokład, kurczowo obejmując ławeczkę.

Weronika nie czuła lęku, czuła w swym ciele nieokiełznaną siłę sztormu, była niepokonana... Z politowaniem spojrzała na skurczoną postać Luisa.

Znowu spojrzała na morze; w świetle błyskawic widziała kłębiące się fale. Gdzieś tam był Dugan. Daleka była od strachu, ale wzbierał w niej gniew. Uniosła ręce do góry, jakby chciała pochwycić pioruny i z całej siły krzyknęła.

- On jest mój!

Jej rozdzierający krzyk z trudem przebił się przez zawodzący w słuchawkach wiatr i przepadł w huku grzmotu. Fala wywindowała „Mandolinę” do góry, a potem rzuciła na burtę. Weronika nie bała się o siebie. Pragnęła tylko jednego, żeby burza oszczędziła Dugana. Ale sztorm odpowiadał jej tylko zdwojonym łoskotem.

Noc wydawała się trwać bez końca.

Była bezradna. Siedziała w kokpicie na kapitańskim miejscu, starając się utrzymać pistolet wycelowany w Luisa. Tkwił smętnie na ławce, ze zwieszonymi rękami, wyczerpany do cna.

Ciało wciąż leżało na pokładzie.

Na wschodzie pojawiły się różowe pasemka świtu, zaczynało się rozwidniać, burza słabła. Każdym jej nerwem zawładnął teraz strach. Bała się, że Dugan nie przeżył sztormu, że będzie tak trwać uwięziona wraz z Luisem na zepsutej łodzi.

Wiatr wciąż huczał w słuchawkach, fale waliły z łoskotem o kadłub. Hałas

zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Luis jakby spał. Korzystając z okazji, wyszła ze sterówki i rozejrzała się dookoła. Nagle wstrzymała oddech. Na niebie pojawił się mały punkcik. To był helikopter. Jej oczy wypełniły się łzami. Była uratowana, ale co z Duganem?

Śmigłowiec zbliżał się szybko i po paru chwilach zawisł nad nimi, a ktoś się z niego wychylał. Zapominając, że trzyma w ręku pistolet, zaczęła machać.

W tym momencie helikopter nieoczekiwanie poderwał się i odleciał. Wtedy uświadomiła sobie, że wymachuje glockiem. Boże, pomyśleli, że oszalała.

Nadzieje rozwiały się. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Luis spogląda na odlatujący śmigłowiec, równie zawiedziony jak ona.

Wróć, powiedziała do siebie, muszą wrócić. Mimo że wymachiwała bronią. Bez sił, zrezygnowana, wróciła do kokpitu, usiadła i patrząc na Luisa zastanawiała się, czy rzeczywiście postradała już zmysły.

Kiedy kuter zatrzymał się tuż obok „Mandoliny”, Weronika zobaczyła wymierzone w siebie lufy karabinów. Dudniło coś z głośnika, ale nie rozumiała co. Była otępiała ze zmęczenia i dopiero po chwili dotarło do niej, dlaczego w nią celują.

Odrzuciła glocka i podniosła ręce do góry.

Dwadzieścia minut później oboje z Luisem siedzieli w niewielkiej szarej kabinie indagowani przez dwóch mężczyzn w mundurach. Nie rozumiała ani ich, ani tego, co mówił Luis, lecz nie dbała o to. Co z Duganem?

Nie mogła jednak bez końca ignorować ich pytań. Zebrała się w sobie i spojrzała jednemu z oficerów prosto w oczy.

- Jestem głucha. - Po raz pierwszy wypowiedziała te słowa bez najmniejszego wstydu i skrupowania. - Jeśli pan chce, żebym odpowiadała, proszę mówić wolno i wyraźnie. Czy znaleźliście tratwę?

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia. Jeden z nich odpowiedział

wolno, wyraźnie aż do przesady.

- Jaką tratwę?

Powiedziała im. Nie czekając na jakiegokolwiek pytania, wyrzuciła z siebie całą ponurą historię. O wyprawie, Emiliu Zaragosie i tajemniczej łodzi, która go zmusiła do odpłynięcia, o strażniku, który ugodził Tama. O tym, jak Tam podryfował na tratwie i jak w ciemną noc Dugan popłynął go ratować. Skończyła, oparła głowę na stole i rozplakała się. Kiedy przestała płakać, wrócili do zadawania pytań. Niektóre rozumiała, innych nie, ale chciała wyjaśnić wszystko. Gdy czegoś nie rozumiała, prosiła, by pisali na kartce.

Wydawało jej się, że wypytywali ją długie godziny, wciąż o to samo, myślała, że ta rozmowa nigdy się nie skończy. Serce jej się ścisnęło z niepokoju o Dugana, a nadzieja, że wróci bezpiecznie, topniała z każdą minutą. Musiała przestać o tym myśleć.

- Jak się dostałeś na moją łódź? - zwróciła się do Luisa. Odpowiedział, lecz nie zrozumiała. Mówił zbyt szybko, na dodatek z obcym akcentem. Podsunęła mu kartkę.

Napisał: „Pewien nieznajomy chce mieć maskę, której szukacie. Zmusił mnie, żebym powiedział, gdzie jesteście, i popłynął z nim na spotkanie z Emiliem. Potem kazał mi przejść na waszą łódź. Nie wiem dlaczego”.

Jeden z oficerów wziął kartkę i przebiegł ją wzrokiem. Wywiązała się krótka rozmowa, po czym wyszedł z pomieszczenia.

Luis popatrzył na Weronikę.

- Naprawdę, bardzo panią przepraszam - powiedział. Tym razem zrozumiała go bez trudności, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kabiny wszedł Dugan. Był blady i wyczerpany, wciąż miał na sobie kombinezon do nurkowania, a w ręku trzymał zawiniątko. Bez słowa otworzył je, wyciągnął maskę Matki Burz i podał Weronice.

- To dla ciebie - powiedział. - Jest twoja.

Ledwie na nią spojrzała. Odłożyła ją na stół i zerwała się z miejsca. Chwilę potem Dugan trzymał ją w ramionach, a ona mocno obejmowała swój najcenniejszy skarb – jego.

Rozdział 23

Tato, przepraszam - Weronika powtórzyła to już kilkanaście razy, od chwili kiedy ojciec poprzedniego dnia wrócił z Tamy. Badania wypadły pomyślnie, a Orin z każdym dniem wydawał się silniejszy. Zastanawiał się nawet, czy nie popłynąć z nimi następnym rejsem, kiedy „Mandolina” zostanie naprawiona, a Tam powróci do zdrowia.

Tymczasem nastąpiła pora tropikalnych deszczów. Maska, przyczyna tylu kłopotów, znalazła bezpieczne miejsce na uniwersytecie w Tampa. Weronika nawet nie próbowała jej przymierzyć, a Orin wcale nie palił się, by ją obejrzeć. Teraz wyciągnął ramiona i przytulił ją mocno.

- Już dobrze - powiedział, gładząc jej włosy. - Już dobrze. Wiem, co przeszłaś. Miałaś rację, nie powinienem niczego przed tobą ukrywać. Rozumiem cię, kochanie.

Ale ona wciąż nie mogła sobie wybaczyć... Była głupia, gniewając się na ojca straciła tyle cennego czasu, czasu, który nigdy nie wróci.

- Teraz wiem, że próbowałeś mnie chronić.

- No cóż, nie bardzo mi to wyszło - odparł pośpiesznie.

Dodał coś jeszcze, ale odwrócił głowę i wszystko, co usłyszała, to bezładny potok samogłosek. Nie miała o to do niego pretensji. Już nie. Orin starał się pamiętać, że jest głucha, ale czasami zapominał - w końcu był starym, zmęczonym człowiekiem. Tak bardzo go kochała.

Spojrzał na nią.

- Przyjechał Dugan, widziałem jego samochód. Baw się dobrze. Uściskała go, cmoknęła w policzek i wybiegła. Dugan właśnie wysiadał z samochodu.

- To mi się podoba - powiedział z uśmiechem.

- Co takiego?

- Kobieta, która się nie spóźnia. Roześmiała się bez specjalnego powodu, była w świetnym humorze.

Miniony tydzień był naprawdę trudny i wyczerpujący. Musiała rozmawiać z wieloma nieznajomymi, żeby wszystko wyjaśnić, zwłaszcza śmierć strażnika na łodzi. Teraz miała to już za sobą i czuła się całkowicie wolna.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał, nim ruszyli.

- Zupełnie pewna.

- No to jedźmy. Będzie ją uczył nurkowania. Od kiedy zauważyła, że woda pomaga jej słyszeć, postanowiła to wykorzystać. Może nie będzie w stanie prowadzić wykładów na uniwersytecie - czy brak słuchu rzeczywiście ją dyskwalifikuje? - lecz mogłaby w pełni uczestniczyć w podwodnych wykopaliskach, jak przedtem na łodzi. Widziała już siebie jako specjalistkę od wydobywania dawno zatopionych statków.

Dugan zabrał ją do cichej, ustronnej zatoki, gdzie mogła bez przeszkód go słyszeć. Po godzinnym instruktazu zrobili przerwę na piknik na wąskim, piaszczystym pasku plaży.

- W następnym tygodniu będziemy mogli wypłynąć - powiedział. - „Mandolina” już jest prawie gotowa.

- Wspaniale. - Westchnęła i spojrzała na morze. - A jeśli Emilio wróci?

- Nie sądzę. Z tego, co powiedział Luis, wynika, że ktoś trzeci wmieszał się we wszystko i zmusił go do odwrotu.

- A jeśli przyplynie ten trzeci?

- Według Luisa, zależało mu tylko na masce. A maska spoczywa bezpiecznie w muzeum. Naprawdę, kochanie, nie ma się czym martwić.

Coraz częściej mówił do niej „kochanie” i za każdym razem mocniej biło jej serce, ale po chwili ogarniało ją zwątpienie. Przecież żaden mężczyzna jej nie zechce. Jest głucha. I chociaż Dugan tak łatwo i taktownie sobie z tym radzi, musi go to czasami irytować. Ją samą to denerwuje, ale to w końcu jej

zmartwienie. Dlaczego on miałby je sobie brać na głowę?

Zresztą, od powrotu prawie jej nie dotykał. Raz czy dwa dotknął jej ręki i to wszystko. Lecz teraz delikatnie pieścił jej dłoń.

- Jesteś pewien, że chcesz dalej pomagać przy wydobywaniu? - spytała. - Musisz się przecież zająć firmą.

- Oczywiście, że chcę. Przez całe lata nie miałem tylu wrażeń. Nie mam zamiaru dłużej żyć jak kret.

- Ale przecież nie znosisz zanurzać się w wodzie - wytknęła mu żartobliwie.

Machnął ręką lekceważąco.

- Pianka trochę pomaga. Poza tym, po tak wielu godzinach w wodzie, i to nocą, zanurzanie się to naprawdę drobiazg.

Ujął palcami jej nadgarstek i lekko przyciągnął do siebie.

- Poza tym, nie chcę się z tobą rozstawać. - Pochylił się nad nią i spojrzał jej głęboko w oczy.

Na chwilę serce w niej zamarło, po czym zaczęło trzepotać jak oszalałe, pełne niedowierzania i nadziei.

- Słucham?

- Nie chcę się z tobą rozstawać - powtórzył dobitnie. - Wiem, że jestem niepoważny z tą całą moją firmą, a ty ważnym doktorem archeologii, ale... cóż... - Westchnął, na moment zamknął oczy i posmutniał. - Przysięgałem sobie, że nigdy już mi się to nie przydarzy.

- Co się nigdy nie przydarzy? - Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Że nigdy więcej się nie zaangażuję. Nie zakocham się. Ale jak powiesz, że czegoś nigdy nie zrobisz, życie i tak cię zmusi, by to odszczekać.

- Dugan? - Wprost bała się uwierzyć w to, co usłyszała.

- A ty? Wciąż jesteś zdecydowana nie angażować się?

Czuła, że musi odpowiedzieć na to proste pytanie. Trudno było jej znaleźć

słowa.

- Nie - powiedziała w końcu. Wiedziała, że zaangażowała się już dawno.

- Świetnie. Więc jeśli jeszcze trochę pokręcę się koło ciebie, jest jakaś nadzieja, że mnie pokochasz? Choć odrobinę?

Jej oddech stawał się coraz szybszy, serce waliło z podniecenia i radości.

- Ummm...

- Wiem, wiem, proszę chyba o zbyt wiele. - Nadzieja znikła z jego twarzy, ale nim zdążył odwrócić głowę, Weronika ujęła go pod brodę.

- Już się zaangażowałam - powiedziała drżącym głosem. - Od dawna cię kocham.

Spojrzał z niedowierzaniem, lecz po chwili w oczach pojawiła się nadzieja.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie chciałam, ale... Po prostu się zakochałam.

Aż krzyknął z radości i przyciągnął ją do siebie, tak mocno, że prawie straciła oddech. Ale była szczęśliwa. Taka szczęśliwa! Było to jak przebudzenie z koszmarne go snu w słoneczny poranek. Minione lata gdzieś odpłynęły, mroczne wspomnienia rozwiały się jak mgła przed wschodem słońca.

Dugan był najjaśniejszym promykiem w jej życiu, a kiedy wziął ją w ramiona wiedziała, że on czuje to samo.

Nigdy jeszcze dzień nie wydawał się tak piękny.

Epilog

Kradzież złotej maski.

TAMPA. Bezcenna złota maska, jedyny relikw z zaginionej karaibskiej kultury, została skradziona w miniony weekend z nowo otwartego Muzeum Sztuki Antycznej przy Uniwersytecie Południowej Florydy. Policja nie ma jeszcze podejrzanych.

Maska była pierwszym eksponatem muzeum. Została odnaleziona przez dr Weronikę Coleridge-Gallagher, która jest wykładowcą na tymże uniwersytecie, a następnie ofiarowana muzeum...

Wycinek prasowy wypadł z koperty z zagranicznym znaczkiem. Weronika wróciła właśnie z kolejnego tygodniowego pobytu na morzu, gdzie kontynuowała prace przy wydobywaniu „Alcantary”, i dopiero teraz dowiedziała się o kradzieży. W kopercie było coś jeszcze. Wyjęła złożoną kartkę pełną obaw, że to pogróżki od Emilia.

Ale to było coś zupełnie innego:

Maska powróciła do jej prawowitych właścicieli, potomków tych, którzy ją stworzyli, którzy przywiązują wielką wagę do jej mocy. Bądź błogosławiona, Córkó Burz, za pomoc w jej odzyskaniu.

Powinna się zmartwić, że nigdy już jej nie zobaczy, ale nie przejęła się zbyt. Przebudziła się i maska nie miała już nad nią żadnej władzy, była zaledwie wspomnieniem. Weronika miała teraz inne problemy. Przed nią nowe wyzwania i nowe życie. Z Duganem i dzieckiem, którego właśnie oczekiwali.

Teraz doznawała jedynie satysfakcji i uczucia spełnienia. Zmęła kartkę i wyrzuciła do kosza.